

A woman with shoulder-length brown hair, wearing a white short-sleeved shirt with red and black embroidery, stands in a lush vineyard. She is holding a black camera. The background features a dirt path, tall cypress trees, a small white building, and rolling green hills under a clear blue sky.

ANNA J. SZEPIELAK

---

# Francuskie zlecenie

NASZA KSIĘGARNIA



**Anna J. Szepielak**

# **Francuskie zlecenie**

NASZA KSIĘGARNIA

# Francuskie zlecenie

## Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Zajrzyj na strony

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Epilog

\*\*\*

Karta redakcyjna



# Prolog

– Dziedziczka! – krzyknęła radośnie stara akuszerka. – Jaśnie pani powiła dziewczynkę!

W uścisku doświadczonych dłoni trzymała pulchne różowe ciało.

– Dziedziczka? Bogu Najwyższemu niech będą dzięki – szepnęła z ulgą położnica.

Córka! Taka córka to prawdziwy dar Niebios! Poród był bardzo ciężki, ale młoda matka myślała już tylko o tym, że wypełniła swój obowiązek i przeżyła. Miesiące niepokoju oraz długich nocnych modlitw wreszcie się skończyły. Teraz zyska szacunek nestorki rodu i będzie mogła żyć spokojnie w tej dziwnej rodzinie, w której z utęsknieniem wyczekiwano narodzin córek, a nie synów.

Drżąc ze zmęczenia, młodziutka kobieta uniosła się na łokciach, by zobaczyć dziecko, ale natychmiast opadła bez sił z powrotem na haftowane poduszki. Jej drobna twarz o łagodnych rysach zniknęła w półmroku rozpraszonym przez migotliwe światło świec i ognia buzującego na kominku.

W niewielkiej komnacie panował nieznośny zaduch. Kobieta powolnym gestem odgarnęła ze spoconego czoła kosmyki czarnych włosów i zwilżyła koniuszkiem języka wysuszone wargi.

– Pokażcie mi córeczkę – słaby głos ledwie przebijał się przez płacz noworodka i świst zimowego wiatru za oknami. – Chcę ją zobaczyć – prosiła, lecz służące ją ignorowały.

Długo wyczekiwane narodziny kolejnej dziedziczki starego francuskiego rodu dla nich także były świętem. Oznaczały nie tylko uczyty, zabawy i podarki od jaśnie państwa, były również gwarancją spokoju i stabilizacji w ich małym świecie. Od siedemdziesięciu lat w rezydencji nie narodziła się sukcesorka, dlatego moment ten wart był zapamiętania.

Uwaga wszystkich kobiet skupiła się na dziecku, które obmywała akuszerka. Gdy skończyła, ostrożnie zawinęła noworodka w jedwabny pled i bardzo z siebie zadowolona podeszła do siedzącej przy kominku sędziwej damy.

Delikatnie i z szacunkiem złożyła wrzeszczący tobolek na jej kolanach.

Służące, zachowując pełen szacunku dystans, ciekawie wyciągały w jej stronę

głowy, aby przez koronki i jedwabie dojrzeć słynne rude włoski na główce nowo narodzonej dziewczynki.

– Moja prawnuczka – stwierdziła z dumą matrona. – Spadkobierczyni! Urodzona w Roku Pańskim tysiąc siedemset siedemdziesiątym trzecim. – Ostrożnie pogładziła różowe czółko.

Dziecko momentalnie się uspokoiło. Otworzyło zapłakane oczy.

– A toż co?! – niespodziewany okrzyk zdumienia wzbudził dreszcz wśród zgromadzonych w pomieszczeniu kobiet.

Światło ognia krwawym błyskiem prześliznęło się po kosztownym rubinowym pierścieniu damy, gdy jej pomarszczona, koścista dłoń zawisała w bezruchu tuż nad główką noworodka. W tej samej chwili od strony łoża rozległ się głośny jęk.

Leżąca wśród zmiętej pościeli matka dziecka skręciła się spazmatycznie, a jej białe dłonie zacisnęły się z bólu na koronkach poduszek.

Akuszerka, odtrącając pokojówki, natychmiast rzuciła się w kierunku łoża. Wystarczył jej rzut oka, by pojąć, co się dzieje. Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, rozpaczliwy skowyt bólu zagłuszył jej słowa.

– Jaśnie pani...!

Przerażająco czerwona plama na prześcieradle powiększała się z każdym ułamkiem sekundy. W komnacie zapanował chaos.

# Rozdział 1

## Sobota

– Słuchasz mnie? – Korpulentna blondynka z irytacją rzuciła plik papierów na biurko Ewy. – W ogóle nie myślisz o swojej karierze. Chcesz do końca życia ślęczeć przed komputerem, poprawiając to, co inni spartolili?

– Jola, o co ci chodzi?

– Dlaczego obrabiasz zdjęcia za Tomka?

– Bo mnie poprosił. Klientce zależy na czasie.

– A jemu co? Rączki odebrało?

– Pojechał do parku na sesję z psami.

– To mogłaś wziąć tę sesję zamiast niego. Masz talent, dziewczyno, a dostajesz zlecenia głównie na gazetki do supermarketów. I to jest wyłącznie twoja wina!

– Przecież fotografia produktowa to moja działka – westchnęła zniechęcona.

– Owszem, ale kiedy się trafiła oferta na zdjęcia biżuterii i damskiej bielizny, to szef chapnął ją dla siebie i nic nie powiedziałaś.

– Jola, proszę cię. Przecież wiesz, jak jest. – Ewa oderwała zmęczony wzrok od monitora. – Nie mam wpływu na przydział zadań.

– Bo w ogóle nie walczysz o swoje! Przez ciebie trudniej mi panować nad tymi męskimi szowinistami. – Jola zmysłowym gestem odgarnęła z ramienia długie platynowe loki. – Ja ich przyciskam, a ty odpuszczasz. I kołowacieją od tego.

Nieznaczny uśmiech rozjaśnił drobną, piegowatą twarz Ewy.

– Ty masz z nimi jakieś trudności? Nie wierzę – stwierdziła kpiąco.

Oficjalnie Jola była tylko sekretarką, lecz dzięki umiejętności łączenia feministycznych poglądów z kobiecym urokiem i zmysłowością stała się kimś w rodzaju szarej eminencji, której wpływom potulnie ulegał nawet roztargniony szef.

Introwertyczna Ewa zazdrościła koleżance przebojowości, ale jak wszyscy pracownicy doceniała, że właśnie dzięki niej firma miała tak dobrą pozycję na rynku.

Wygadana, emanująca seksapilem blondynka potrafiła nie tylko owinąć sobie wokół palca każdego nowego klienta. Umiała także dopieszczać stałych zleceniodawców, żeby przez myśl im nie przeszło zrezygnowanie z usług firmy. Jola znała się na księgowości, kadrach, ubezpieczeniach, prawie pracy i wielu innych sprawach, z którymi niefrasobliwy przełożony zupełnie sobie nie radził. Jeśli pojawiał się jakiś problem, wszyscy biegli po ratunek właśnie do niej, a ona zawsze znajdowała rozwiązanie.

Krażące po firmie plotki o prywatnych relacjach Joli z szefem nie tylko jej nie szkodziły, ale dodatkowo podnosiły jej status. W czasach pogłębiającego się bezrobocia każdy pracownik traktował ją jak narzeczoną monarchy, która w odpowiednim momencie sama włoży koronę na głowę.

Tylko Ewa, jako jedyna poza nią kobieta w firmie, pozostawała z Jolą w typowo koleżeńskich relacjach. Mogła sobie pozwolić na zupełną szczerość, a nawet na marudzenie, co w ostatnich miesiącach zdarzało się jej coraz częściej.

– Nie zmieniaj tematu – odparła niczym niezrażona sekretarka, w której filigranowa Ewa zawsze budziła opiekuńcze instynkty. – Ile razy ci tłumaczyłam, że powinnaś im pokazać, co potrafisz? A ty co? Nic.

– Co mogę zrobić, skoro nie dają mi się wykazać?

– Nie denerwuj mnie! Osobiście trułam głowę szefowi, żeby ci dał tę robotę na weselu burmistrzówny. A dzisiaj się okazało, że zlecenie dostał Jacek. Taki dureń, a sprzątnął ci przed nosa niezłą fuchę.

– E tam! – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Nie zależało mi. Samej i tak by mnie szef nie puścił, bo nie ma do mnie zaufania.

– Nawet jako asystentka mogłabyś się wreszcie wykazać.

– Akurat! Skończyłoby się na tym, że dźwigałabym sprzęt i oganiała się od wątpliwych uroków burmistrza i jego VIP-ów po paru głębszych. Niech ich Jacek zabawia. Jest świetnym wazeliniarzem.

– Gadane to on ma, ale na tym kończą się niestety jego kwalifikacje – przyznała Jola kwaśno. – Fotograf z niego jak z koziej dupy trąba. Ciągłe coś zawala i muszę świecić za niego oczyma. Gdyby nie był siostrzeńcem Władka... to znaczy szefa. – Odchrząknęła. – Już dawno bym go stąd wygrzyła. Pasożyt cholerny!

– Joluś, daj spokój. Nie mam dziś nastroju na twoje wymówki, padam ze zmęczenia.

– Ewa sięgnęła po filiżankę stojącą obok klawiatury i upiła łyk zimnej kawy, krzywiąc się przy tym niemiłosiernie.

Była to już czwarta kawa w tym dniu i być może dlatego smakowała jak czarna



trucizna, wywołując tylko skurcz żołądka.

– No właśnie o tym mówię. Marnujesz zdrowie przy tych pierdołach. – Jola machnęła w kierunku komputera dłonią ozdobioną długimi tipsami i mnóstwem złotych pierścionków. – Dlaczego, do diabła, orzesz tu sama jak chłop pańszczyźniany?

Ewa znów wzruszyła ramionami. Pracownia już dawno opustoszała, bo wszyscy jak zwykle skorzystali z nieobecności szefa i wymknęli się po angielsku, chcąc przedłużyć sobie weekend choć o parę godzin. Ją zatrzymało poczucie obowiązku i nie miała ochoty tłumaczyć się z tego przed koleżanką.

Jola stała jednak przy biurku niewzruszona niczym starożytny obelisk egipski albo gotycka katedra i doskonale wiedziała, kto pierwszy straci cierpliwość.

Po minucie bezproduktywnego gapienia się w ekran komputera Ewa skapitulowała.

– Błagam cię, zostaw mnie samą – poprosiła. – Muszę to skończyć.

– Inni też mieli robotę, a już dawno wyszli.

– Urwali się, bo pewnie mieli więcej drobniaków niż ja. – Ewa uśmiechnęła się blado. – Mnie do pierwszego została stowa, więc nie mogę wesprzeć dzisiaj twojej puszczonej.

Jola krytycznie pokręciła głową. Nie rozbawił jej ten żart.

Pełna życiowej energii kobieta w wolnym czasie oddawała się wolontariatowi, ponieważ była znakomita w wyciskaniu pieniędzy nawet z najbardziej opornych obywateli. Podczas jednej z akcji na rzecz chorych dzieci poznała Ewę, która wtedy pracowała jeszcze w szkole. To właśnie ona nieświadomie podsunęła Joli myśl o zbiórce w miejscu pracy. Od tej pory każda uprzejmość czy przysługa ze strony sekretarki kosztowały współpracowników dziesięć złotych, które z uśmiechem na ustach wrzucali do specjalnej puszczonej, traktując to jak dobrą inwestycję.

Szef początkowo patrzył na te poczynania krzywym okiem, ale szybko uległ perswazji Joli, która w sobie tylko znany sposób przekonała go do uczestniczenia w działalności charytatywnej. Musiała na tę okoliczność przyodziać się w zapach nowych, kosztownych perfum i czerwoną garsonkę, która zawsze robiła na mężczyźnie piorunujące wrażenie, ale potraktowała to jak element wojennej taktyki. Bitwa została wygrana: Jola postawiła na swoim, a puszczonej regularnie zapełniała się datkami od pracowników, szczególnie w soboty, gdy każdy chciał wyjść z pracy wcześniej niż zwykle.

– Przestań mi tu pieprzyć, moja droga – burknęła do Ewy. – Czy kiedykolwiek musiałas kupować moją lojalność?

Kobieta spojrzała na nią skruszona.

– Przepraszam. Nie wiem, co gadam. To z głodu.

Już od dawna czuła, że pusty żołądek skręca się jej w pętelkę, ale poczucie obowiązku gniotło bardziej niż hipotetyczne wrzody.

– No właśnie. Kończ to i idź wreszcie coś zjeść. Tylko najpierw podpisz mi szybciutko te papiery.

– Co to jest?

– Rozwiązanie wszystkich twoich problemów.

– Doprawdy? Moje trzy życzenia do złotej rybki?

– Prawie. Zamiast siedzieć godzinami w Photoshopie, pojedziesz na przyjemną delegację z dobrym jedzeniem i ładnymi widokami. Takimi jak lubisz.

– Jaką delegację?

– Co za różnica? Jest ciekawa robota do wykonania, a przy okazji zarobisz kupę kasy.

– A możemy o tych fantazjach pogadać później? Nie mam teraz do tego głowy.

– Żadne później! Już osiemnasta, a ja muszę oddzwonić do klientki, że wszystko załatwiłam. Inaczej pójdzie do konkurencji. No już, podpisuj.

– Ale...

– Żadne: ale! To cud, że klientka przyszła, kiedy szefa nie było, i sama się nią zajęłam. Muszę jeszcze dzisiaj zawieźć mu tę umowę do zatwierdzenia – paplała z energią. – I załatwić mnóstwo innych spraw.

– I tak nic z tego nie będzie – westchnęła Ewa.

Doceniała starania Joli, ale była przekonana, że koledzy wygrzą ją z interesu natychmiast, gdy dowiedzą się o tym zleceniu. Łatwiej było więc odpuścić już na starcie, niż znosić tygodniami wymówki, że usiłowała sobie załatwić robotę za ich plecami. Nie miała złudzeń, że jej zgoda jest bez znaczenia.

Ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała, był fakt, że kiedyś zrazi się do tego zawodu, tak samo jak rozczarowała się pracą w szkole.

Fotografia była jej pasją od dzieciństwa. Dom rodzinny obwieszony był portretami rodziców, braci, wujków, kuzynek tudzież innych atrakcyjnych fotograficznie krewnych, którzy pozwolili uwiecznić się na kliszy.

Ewa była fotograficznym samoukiem, ale bardzo gorliwie uzupełniała wiedzę, czytając wszystko, co tylko wydano w Polsce na ten temat, i eksperymentując z każdym nowym aparatem, jaki udało się jej zdobyć.

Rodzina, w której nie brakowało indywidualistów, długo wykazywała daleko

posuniętą tolerancję dla artystycznego hobby dziewczynki. Dlatego nikt nie poczuł się urażony, gdy na pewnych imieninach ojca dwunastoletnia Ewa z dumą zaprezentowała wystawę zdjęć pod wspólnym tytułem *Rodzina od kuchni*. Czarno-białe fotografie przedstawiały między innymi niepokojąco uśmiechniętą szczękę dziadka leżącą na nocnym stoliku, nieprzyzwoicie wielki biust ciotki schylającej się do zadymionego piekarnika, obrzydliwą krostę na czole brata, zajmującą niemal cały kadr, oraz przepastne czarne dziury w nosie śpiącego wuja, zarośnięte jak gęsta dżungla.

Jej wysiłki zostały nagrodzone umiarkowanie przychylnymi komentarzami, bo wszyscy wiedzieli, że ta nieco dziwacznie ukierunkowana makrofotografia pochłaniała ją wtedy bez reszty.

Niestety, ostatnie zdjęcie, które pokazała, zebrani przyjęli potępiającym milczeniem. Zbliżenie damskiej dłoni wyciągającej z torebki paczkę prezerwatyw, było jednym z mniej udanych kadrów, lecz nie to wzbudziło największe emocje. Wszyscy zorientowali się, że smukłe palce z osobliwym czarnym manikiurem i pierścionkiem z trupią czaszką należały do szesnastoletniej kuzynki Ewy – Marty. Odkrycie to w dość nieprzyjemny sposób zakończyło rodzinne spotkanie.

Wskutek awantury, jaka wybuchła, Ewa roztropnie, choć niechętnie zgodziła się z sugestią rodziców, że „elementy ludzkie” nie są tak interesujące, jak się jej pierwotnie wydawało. Zdenerwowanej matce solennie obiecała, że od tej pory zajmie się wyłącznie fotografią przyrodniczą.

Na szczęście nowy temat ją wciągnął. Nawet po latach całymi miesiącami oszczędzała pieniądze z pensji, którą dostawała w szkole, by w wakacje zaszyć się gdzieś w malowniczej głuszy z plecakiem pełnym sprzętu fotograficznego. Impresjonizm grał jej w duszy na całego. Czuła się wolna i szczęśliwa, gdy mogła biegać w mokrych od rosy butach po łąkach, wąwozach, lasach czy poloninach i łapać w obiektyw dzieła natury, przeradzające się później na jej fotografiach w coś zaskakująco oryginalnego w swej prostocie i szczerości.

W tych wyprawach towarzyszył jej początkowo nowy chłopak, Jurek, zanim nie odkrył, że komary i brak łazienki zdecydowanie źle wpływają na natchnienie, którego szukał w przyrodzie. Na co dzień pracował jako nauczyciel muzyki, lecz w wolnych chwilach zawzięcie komponował utwory dla swojego zespołu. Ewa szybko zaakceptowała fakt, że każdy artysta potrzebuje innych warunków do tworzenia, dlatego nie miała do Jurka żalu, gdy zrezygnował ze wspólnych wyjazdów.

Ta znajomość, początkowo fascynująca, nie układała się jednak najlepiej. Ewa

sądziła, że głównym powodem spadku temperatury ich uczuć był ciągły brak czasu. Choć pracowali w tym samym gimnazjum, mijali się całymi tygodniami, obciążeni obowiązkami zawodowymi.

Męczyło ją również to, że w pracy musieli ukrywać swój związek. Trafili do małej wiejskiej szkółki, która nie była zbyt przyjaznym miejscem dla „obcych z miasta”. Prostszy rozwiązaniem wydawało się zatem unikanie wszelkich plotek, które naraziłyby ich na nieprzyjemności ze strony apodyktycznej dyrekcji i lokalnego środowiska. Tak przynajmniej twierdził Jurek.

To wszystko sprawiało, że czasem w głowie Ewy rozlegał się dzwonek alarmowy: jakieś niesprecyzowane przeczucie żądało od niej zastanowienia się nad własnym życiem, zarówno prywatnym, jak i zawodowym.

Ewa lubiła uczyć, ale miała powyżej uszu bałaganu panującego w oświacie, który według niej z edukacją młodzieży nie miał nic wspólnego. Odsuwała jednak od siebie te wątpliwości, choć uważała, że coś powinna zmienić, bo każdy dzień przynosił nowe rozczarowania.

Gdy po kolejnym w jej karierze uroczystym zakończeniu roku szkolnego musiała tradycyjnie zostać na obowiązkowych imieninach dyrektora, nie spodziewała się, że właśnie nadszedł czas na te zmiany.

Przez przypadek uwieczniła na fotografii „elementy ludzkie”, które w ferworze burzliwej dyskusji chlusnęły w twarz wysokoprocentowym drinkiem innym zacieurzewionym „elementom ludzkim”. Zniesmaczona Ewa z trudem patrzyła na to, co się później działo przy stole w szkolnej stołówce, i zazdrościła choremu na grypę Jurkowi, że nie musi brać udziału w tej awanturze. Najgorsze wydarzyło się jednak dopiero, kiedy wrzaski ucichły. Ktoś przypomniał sobie niespodziewany błysk flesza i kilka par oczu podejrzliwie spojrzało na aparat, którym Ewa na akademii robiła zdjęcia do szkolnej kroniki. Ku swojemu zdumieniu usłyszała nagle kategoryczne żądanie oddania szpiegowskiego sprzętu. Zdenerwowana kobieta zaprotestowała, przypominając, że to jej prywatna lustrzanka, a wtedy polecono jej publicznie wyczyścić kartę pamięci, bo „jak nie, to bardzo tego pożałuje”.

– Chyba chce pani zdać ten egzamin na kolejny stopień awansu, a może nie? – usłyszała.

Zatrzęsło nią. Ta jedna dramatyczna chwila, kiedy nieco zamglone spojrzenia kilkunastu osób wpatrywały się w nią ze złośliwą ciekawością i czekały na reakcję, wystarczyła jej do podjęcia decyzji o zmianie zawodu.

– Wiecie co? Mam już dość tego całego cyrku! – warknęła. – Żegnam!

Trzaśnięcie drzwiami nie przyniosło jej ulgi. Była zbyt wzburzona, by pomyśleć, że



mogłaby po prostu zatrudnić się w innej szkole. Czuła potrzebę radykalnych zmian.

O dziwo, poszło łatwiej, niż sądziła. Dzięki informacji od Joli dostała pracę w prywatnej pracowni fotograficznej, która właśnie szturmem zdobywała lokalny rynek. W ofercie firmy były zarówno tradycyjne sesje indywidualne, jak i fotografia modowa, produktowa, kulinarna, zdjęcia wnętrz i architektury, fotoreportaże, sesje rodzinne, narzeczeńskie i inne.

Ewa była wniebowzięta. Ukończyła kolejny kurs fotografii cyfrowej i miała nadzieję zdobyć solidne doświadczenie. Wierzyła, że przy takiej rozpiętości usług nawet dla początkującej pracownicy znajdzie się wiele ciekawych zleceń, które pozwolą jej doskonalić umiejętności. Wydawało się jej, że od tej chwili będzie widzieć wokół siebie tylko uśmiechnięte twarze ludzi; że będzie im sprawiać przyjemność, uwieczniając ważne w ich życiu momenty.

Kiedy zdołała sprzedać lokalnemu wydawnictwu dwa zdjęcia do kalendarza botanicznego, była zachwycona i zaczęła skrycie marzyć o własnym albumie oraz prawdziwej wystawie.

Dopiero po roku zorientowała się, że konkurencja w branży jest olbrzymia, a codzienna praca polega głównie na podlizywaniu się klientom i retuszowaniu ich zdjęć. Była zdumiona tym, jak wielu spotykała zakompleksionych, a jednocześnie roszczeniowych ludzi. Musiała nawet niechętnie zgodzić się w duchu ze swoim pyszałkowatym kolegą Jackiem, który oznajmił kiedyś na firmowym bankiecie, że technika cyfrowa to operacje plastyczne dla ubogich.

– Teraz kiedy ze zdjęciem można zrobić niemal wszystko, nie ma sensu katować się na siłowni – stwierdził rozbawiony, machając kanapką z łososiem przed nosem zde gustowanej Ewy. – Jesteśmy właściwie lepsi od psychoterapeutów. Sprawiamy, że ludzie od samego patrzenia na swoje poprawione zdjęcia mają wyższe poczucie własnej wartości. Wrzucają to potem do netu i mogą szpanować przed znajomymi. Brakuje ci zębów? Dorobimy w Photoshopie! Masz pryszczę? Usuniemy bez skalpela! Ważysz sto pięćdziesiąt kilo? Odchudzimy cię w minutę! – wykrzykiwał rozbawiony. – Jesteśmy cudotwórcami!

– Szkoda tylko, że rozumu nie przybywa od takiego gapienia się na swoje zdjęcia. A to przydałoby się niektórym baranom – odparła znacząco Jola, która była najmniej zakompleksioną osobą, jaką kiedykolwiek Ewa poznała.

– Hej! Ziemia do Ewki. Jesteś tu jeszcze? – Jola wyrwała ją z zamyślenia.

– Co? No jestem, ale usiłuję pracować.

– A ja chciałabym już pozamykać. Mam plany na wieczór.

– To zostaw mi klucze i idź – odparła łagodnie. – Pogadamy w poniedziałek.

– Oszaleję przez ciebie, dziewczyno! Dostaniesz klucze, jeśli weźmiesz tę sesję.

Podpisuj.

– Ależ ty jesteś uparta! Co to właściwie za zlecenie?

– Coś ekstra. Dostaniemy niezłą sumkę, jeśli klientka będzie zadowolona.

Potrzebuje zdjęć do katalogu reklamowego i na stronę internetową swojej kwiaciarni. To robota idealna dla ciebie: wnętrza, kwiaty i przyroda. Klientka mówiła, że chce fotografii z kobiecą duszą.

– Naprawdę? – Oczy Ewy rozbłysły zachwytem, ale zaraz potem przygasły. – Jolka, jesteś szalona, jeśli sądzisz, że szef zgodzi się dać mi to zlecenie. Sam będzie chciał je wziąć.

Ewa lubiła właściciela firmy, bo nikogo się nie czepiał, a nawet od czasu do czasu dawał premię. Często jednak zagarniał dla siebie najciekawsze projekty, bo mimo całej swojej poczciwości ślepo wierzył w to, że jako dyplomowany mistrz fotografiki jest we wszystkim najlepszy.

Jola uśmiechnęła się, słysząc zwątpienie w głosie koleżanki.

– Będzie chciał, ale nie weźmie – stwierdziła. – Po pierwsze, mam swoje sposoby na załatwianie z nim takich drobiazgów. A po drugie, klientka wyraźnie pytała o ciebie.

– Naprawdę? Jak to?

– Nie wiem. Ona chce kobietę fotografa, a sama wiesz, że to się często nie zdarza. Postawiła właśnie taki warunek i szef nie może tego zignorować. W jego imieniu zapewniłam ją, że nie musi już szukać innego zleceniobiorcy, bo zapewnimy jej usługę na najwyższym poziomie i dokładnie według życzeń. To zlecenie możesz wziąć ty albo nikt.

– Dziwne to jakieś. – Ewa się zawahała. – Nie uważasz?

– E tam! Może sądzi, że do kwiatów bardziej pasuje kobieca wrażliwość? A może już się wcześniej nauzerwała z jakimiś fotografami i ma dość. Patrząc na naszego Jacusia, wcale bym się temu nie dziwiła.

– No nie wiem. – Ewa była tak zmęczona, że w tej chwili marzyła tylko o kolacji i spaniu, a nie o jakimś wyjeździe. – Kiedy się chłopcy dowiedzą, nie dadzą mi żyć.

– Czy ty słyszysz sama siebie, do cholery! Masz, podpisuj to, bo już mi nogi w dupę wchodzi od tego czekania. – Zniecierpliwiona kobieta wcisnęła Ewie do ręki długopis.

– Z tobą jest gorzej niż z dzieckiem!

– No już dobrze, nie wściekaj się. To i tak nie ma znaczenia.

– Nareszcie! – Jola przez moment uważnie śledziła ruch długopisu, po czym wyciągnęła z kieszeni telefon komórkowy. – Szefie, będę za pół godziny – powiedziała

do słuchawki, ponętnie modelując głos. – Trafiła się ważna umowa do podpisania... Szczegóły to już osobiście ci naświetlę, ale chyba nie wątpisz w moje starania. Wszystko już zorganizowałam... Będę niedługo. Pa – rzuciła ciepło, rozłączyła się i spojrzała na rozbawioną Ewę. – Czemu się śmiejesz? Załatwione. Reszta to czysta formalność.

– Naprawdę sądzisz, że się zgodzi?

– Ja nie sądzę, ja mam pewność. Jest mi coś winny za to wesele burmistrzówny.

– Ale...

– No co znowu?

– Myślisz, że... dam radę sama? Że was nie zawiodę? – spytała Ewa cicho, a Jola wreszcie pojęła jej wcześniejsze opory.

– Kobieto, stanowczo brak ci wiary w siebie. Pewnie, że dasz radę. Po tym zleceniu zmieni się całe twoje życie, zobaczysz.

Tanecznym krokiem odwróciła się na różowych szpilkach i ruszyła do drzwi, kołysząc szerokimi biodrami.

– Jedź do domu się pakować – dodała jeszcze od niechcienia. – Zatwierdzoną umowę i delegację podrzucę ci jutro na lotnisko. Klucze zostawiam w sekretariacie.

– Jutro? Chwileczkę! Jakie lotnisko? Gdzie jest ta kwiaciarnia?

Jola zatrzymała się w progu.

– A nie mówiłam ci? Musiało mi wylecieć z pamięci. Już późno, a mam jeszcze tyle spraw do załatwienia.

– Jola!

– Czekają cię upojne dwa tygodnie we Francji, kochana. Gdzieś na prowincji. – Stukot szpilek zabrzmiał w korytarzu.

– We Francji? WE FRANCJI?! – wrzasnęła za nią Ewa, ale usłyszała tylko chichot zwariowanej koleżanki.

## Rozdział 2

### Niedziela

– Kobieta w zawodzie fotografa to chyba wciąż rzadkość. Czy mogę spytać, dlaczego zdecydowała się pani na tę profesję? – melodyjny głos z wyraźnym francuskim akcentem wyrwał Ewę z zamyślenia.

Przez małe okienko wpatrywała się właśnie w morze obłoków płynące pod samolotem i zachwycała się różnorodnością ich barw. Słyszając głos towarzyszki, odwróciła się.

– Ludzie często mnie o to pytają, a ja właściwie nie wiem, co powiedzieć – odparła. – To dość skomplikowane. Musiałabym za każdym razem opowiadać historię mojego życia.

– Przepraszam, że byłam tak mało oryginalna. Chciałam się tylko czegoś o pani dowiedzieć. W końcu spędzimy razem trochę czasu.

Ewa się zmieszała. Uświadomiła sobie, jak mało uwagi poświęciła niezwyklej klientce, która na własny koszt zabierała ją do swojego domu do Francji.

Niecodzienna sytuacja peszyła Ewę, bo nie wiedziała, czego się może spodziewać. Jeszcze wczoraj siedziała bezpiecznie w pracowni i mozolnie poprawiała cudze zdjęcia, a dzisiaj leciała w nieznane z bogatą, obcą kobietą, dźwigając na swoich barkach odpowiedzialność za prestiż całej firmy.

To zlecenie kompletnie ją zaskoczyło. Gorączkowe pakowanie i poszukiwania zagubionego w szufladach paszportu zabrały jej pół nocy. Niewyspana i oszołomiona stojącym przed nią zadaniem na lotnisku ograniczyła się jedynie do zdawkowego powitania. Z ulgą pozwoliła Joli przejąć dowodzenie. To właśnie Jola roztoczyła wokół klientki aurę profesjonalnej opieki. To Jola w oczekiwaniu na odprawę prowadziła wytworną konwersację na temat Polski i wrażeń, jakie kraj przodków zrobił na młodej Francuzce. To ona wreszcie na pożegnanie dała Ewie jasno do zrozumienia, że właśnie tak powinna się zajmować ich zleceniodawczynią.



– Dasz sobie radę, tylko się nie zamyślaj jak zwykle – szepnęła Ewie do ucha na odchodnym. – Staraj się chociaż udawać profesjonalistkę i nie rozpieprz naszej reputacji w drzazgi. Poręczyłam za ciebie szefowi. To nasze pierwsze zagraniczne zlecenie, pamiętaj.

Widząc przerażoną minę koleżanki, dodała cicho dla rozluźnienia:

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze. Szkoda, że nie słyszałaś rano Jacka. Był wściekły, kiedy się dowiedział, jaka okazja ci się trafiła. Krzyczał, że w tej pracy nie liczy się parytet, tylko talent. – Złośliwy uśmiech przemknął po jej twarzy. – Dureń. Miotał się po pracowni i opowiadał, że ta Francuzka to pewnie jakaś stara, despotyczna, gruba baba, która myśli, że w Polsce znalazła tanią siłę roboczą. – Równocześnie spojrzały na młodą klientkę i z trudem powstrzymały śmiech.

Dwudziestoparoletniej, zgrabnej, wysokiej kobiety w eleganckim szafirowym kostiumie w żaden sposób nie można było określić mianem baby.

Podając jej na powitanie rękę, Ewa zwróciła uwagę na przenikliwe błękitne oczy i delikatną twarz, którą otaczały niewiarygodnie gęste, długie, kasztanowe loki lśniące w słońcu ognistymi refleksami rudości.

Z trudem powstrzymała westchnięcie, bo tak według niej wyglądały kiedyś muzy artyków. I było pewne, że Ewa też wolałaby tak wyglądać, niż być niewysoką, piegowatą osobką o nieokreślonym kolorze jasnych włosów. Pomyślała, że Jacek potknąłby się o własny pożądlwie wywieszony jęzor, gdyby zobaczył tę niepokojąco prerafaelicką kobietę, jakby żywcem wyjętą z ram obrazów Rossettiego.

– Jutro prześlę wam jej zdjęcie do biura – mruknęła ze złośliwą satysfakcją.

– Dobrze kombinujesz. Będą z ciebie ludzie – szepnęła Jola i odwróciła się do klientki. – Zostawiam panią w bardzo dobrych rękach. Ewa to nie tylko nasz najlepszy pracownik, to prawdziwa artystka. Będzie pani zachwycona efektem końcowym. Życzę bezpiecznego lotu.

Podróżniczki sprawnie przebrnęły przez wszystkie formalności przy odprawie, choć Ewa z lekkim niepokojem rozstała się z torbą pełną cennego sprzętu fotograficznego, który powierzył jej szef. Kiedy usiadły wreszcie w wygodnych fotelach samolotu lecącego do Paryża, Ewa poczuła, jak mocno bije jej serce.

Zgodnie z zaleceniem Joli starała się ukryć fakt, że taka sytuacja jest dla niej nowością. Chciała zachowywać się naturalnie i swobodnie jak ktoś bardzo doświadczony, kto już obleciał pół świata, wykonując swoją pracę. Nie mogła się jednak powstrzymać i już w czasie startu zapomniała o wszystkim, ekscytując się każdą chwilą.

Nigdy wcześniej nie leciała samolotem. Zamiast się tego obawiać, jak każdy

normalny człowiek na jej miejscu, Ewa była podekscytowana. Wszystko wokół wydawało się jej szalenie interesujące, niczym dziecku, które po raz pierwszy zabrano do wesołego miasteczka. Swoim zwyczajem dała się porwać widokom i chłonęła je całą sobą. Dopiero uwaga klientki przywróciła ją do rzeczywistości.

– Nie, to ja przepraszam. Ma pani rację – powiedziała skruszona. – W takich sytuacjach ludzie chcą się jak najszybciej poznać. Proszę mi wybaczyć.

– Nic się nie stało.

– Fotografowanie zawsze było moją pasją, ale karierę zawodową mam nieco pogmatwaną – wyznała. – To dość trudno wyjaśnić.

Towarzyszka najwyraźniej doceniła szczerść.

– Mam propozycję: jesteśmy w podobnym wieku i będziemy ze sobą sporo przebywać w najbliższym czasie. Myślę, że byłoby nam znacznie wygodniej zwracać się do siebie po imieniu. Co pani na to?

– Bardzo chętnie.

– Eliza.

– Ewa. – Odwzajemniła uścisk dłoni.

Z przyjemnością stwierdziła, że czuje się teraz dużo swobodniej, więc zaczęła wypytywać klientkę o jej wycieczkę do Polski.

– W mojej rodzinie dużo podróżujemy, szczególnie w młodości. Lubimy zwiedzać świat, najchętniej tak bez planu, gdzie nas instynkt zawiedzie. To taka tradycja – wyjaśniła Eliza.

– Instynkt przywiódł cię do Polski?

– W pewnym sensie tak. To moja ostatnia wyprawa przed... – zawahała się. – Niedługo będę mieć sporo obowiązków i dlatego pragnęłam jeszcze raz zobaczyć kraj moich przodków. Nie wiem, kiedy następnym razem będę mogła znów tu przylecieć.

– No właśnie, na lotnisku zaskoczyłaś mnie świetną polszczyzną. Na szczęście dla mnie, bo ja z francuskiego jestem kompletna noga – wyznała Ewa z rozbijającą szczerścią.

– Noga?

– To znaczy, że po francusku potrafię się tylko przywitać i powiedzieć, że nic nie rozumiem – zaśmiała się.

– Nie martw się, w moim domu z każdym się jakoś porozumiesz. – W głosie Elizy zabrzmiała uspokajająca pewność.

– Dawno zamieszkaliście we Francji?

– Co masz na myśli?

– Powiedziałaś, że Polska to kraj twoich przodków. Kiedy twoja rodzina wyemigrowała?

Pobłażliwy, choć nadal uroczy uśmiech znów rozjaśnił twarz kobiety.

– To nie tak – odparła. – Moi przodkowie mieszkają w Prowansji od wieków. Jestem rodowitą Francuzką.

– Teraz ja nie rozumiem.

– Nasze związki z Polską są... jakby to ująć... dość świeże i emocjonalne. Jeden z moich dziadków był Polakiem.

– Emocjonalne?

– To zbyt dużo do opowiadania. Na miejscu powoli się zorientujesz w tym, co trzeba, choć moja rodzina na pewno ci tego nie ułatwi. – Tajemnicza mina rozmówczyni zaniepokoiła Ewę.

– No tak, hmm... – odchrząknęła. – A jak ci się podobał mój kraj?

– Jest piękny, zwłaszcza poza wielkimi miastami. Ostatnio byłam nad morzem, teraz w górach. Najbardziej zachwyciła mnie Małopolska. Widoki, prostota i tradycjonalizm małych miejscowości. I ludzie tacy otwarci. Tylko drogi są zaskakująco archaiczne – stwierdziła, a rozbawiona Ewa doceniła jej takt. – W tym przypadku to raczej nie jest zaleta.

– Widzę, że lubisz zwiedzać to, co na uboczu. Jak trafiłaś do naszego miasteczka?

– Przypadkiem. Gdy podróżuję, nigdy nie mam konkretnego planu, ale nie lubię tłumów i ośrodków turystycznych. Małe hoteliki, przyroda, zwykli ludzie, z którymi można porozmawiać, to zawsze mnie interesowało. Często korzystam z podpowiedzi znajomych, którzy też dużo podróżują.

– A skąd pomysł, żeby zatrudnić fotografa z Polski? – Ewa wreszcie nie wytrzymała i zadała pytanie, które nurtowało ją od wczoraj. – Czy u was takie usługi są zbyt kosztowne?

– Kosztowne? Owszem, ale to nie ma wielkiego znaczenia. – Eliza wydawała się nieco rozbawiona. – Dobra jakość zawsze kosztuje. A właśnie o tę jakość mi chodzi.

– To znaczy?

– Miesiąc temu zatrudniłam pewną firmę z Paryża, ale moja babcia nie była z niej zadowolona. Powiedziała, że mowę kwiatów może odczytać tylko artysta o wrażliwej duszy i otwartym umyśle. Oni zdecydowanie tacy nie byli, dlatego zrezygnowałam z ich usług.

– No dobrze, ale to nie wyjaśnia sprawy.

– Cóż... twój kraj jest taki staroświecki, tradycyjny, inny. Pomyślałam, że to może być dobry pomysł: artystka z Polski.

Ta odpowiedź wyraźnie speszyła Ewę.

– Ale właściwie to też był przypadek – mówiła dalej Eliza, jakby czuła potrzebę wytłumaczenia się z niecodziennej decyzji. – W wypożyczalni samochodów wisiał kalendarz z pięknymi zdjęciami przyrodniczymi. Kiedy czekałam na kluczyki, moją uwagę przyciągnął niezwykle motyl.

– Motyl?

– Fotografia takiego srebrzystobiałego motyla, trochę nierzeczywista. Wspaniała.

– Moje zdjęcie niepylaka apollo na omszałym pniu? – Przyjemnie zaskoczona Ewa aż się wyprostowała na fotelu. – Widziałaś to?

– Owszem.

– Ten motyl jest pod ochroną i trudno go spotkać, ale dla mnie zapozował jak rasowy model – cieszyła się.

– Bardzo mi się spodobała ta fotografia. Sprawdziłam nazwisko w podpisie, a potem przez internet trafiłam na waszą firmę. To wszystko.

Serce Ewy zabiło radosnym rytmem zwycięstwa.

„Niech teraz Jacek spróbuje powiedzieć coś o parytecie i braku talentu!” – pomyślała zadowolona.

– Nie ukrywam, iż liczę na całkowicie świeże spojrzenie podczas realizacji zdjęć i na odrobinę dyplomacji – usłyszała. – Musisz się spodobać.

„Komu?” – zdziwiła się Ewa w duchu.

– Ten folder i katalog będą początkiem trudnych zmian.

– Mam nadzieję, że nie zawiodę twojego zaufania – bąknęła, w jednej chwili tracąc pewność siebie. – Dla dobrych zdjęć mogę wiele poświęcić, więc dam z siebie wszystko.

– Poświęcić?

– Miałam kilka przygód w pracy – odparła szczerze, bo uznała, że bezpieczniej będzie wrócić do bardziej neutralnych opowieści.

– Jakich?

– Na przykład raz niemal zamarzłam podczas zdjęć, co oczywiście nie jest powodem do dumy, ale każde doświadczenie jest cenne.

– Brzmi groźnie.

– To nic takiego. Dwa lata temu była w Polsce piękna zima. Zdarzył się akurat tak słoneczny weekend, że nie mogłam przepuścić okazji. Pożyczyłam samochód od rodziców i pojechałam na Roztocze. To region na wschodzie Polski. Bez trudu można tam znaleźć cudne odludzia i widoki zapierające dech! – emocjonowała się jak zwykle, gdy opowiadała o fotografowaniu. – I rzeczywiście trafiłam na dobre miejsce, tylko auto musiałam zostawić przy drodze. Spróbuj sobie wyobrazić taki widok: wielkie,



bielusieńkie poduchy śniegu iskrzące się w słońcu jak obsypane brylantami, drzewa pokryte srebrnym szronem, światłocien wśród zasp i niebo tak dziwnie błękitne jak w tropikalnym kraju. – Snuła przed Elizą wizję baśniowej krainy. – Wyszły mi fantastyczne zdjęcia!

– To wspaniale. Ale co to ma wspólnego z zamarzaniem? Był aż taki mróz?

– Był, ale nie o to chodzi. Na moje nieszczęście płynęła tam rzeczka, która fantastycznie się komponowała w kadrze. To znaczy, ja sądziłam, że to była rzeczka, niemal strumień, tak wyglądała. Podeszłam więc bliżej brzegu i... no cóż, nagle się okazało, że brzeg wcale nie był brzegiem.

– Nie rozumiem.

– To był już lód na skraju tej rzeki, przykryty grubą warstwą śniegu. Nie wytrzymał mojego ciężaru.

– Załamał się pod tobą lód? – Przejęta Eliza aż drgnęła.

– Niestety. Wpadłam do wody aż po szyję, bo jak widzisz, nie jestem zbyt wysoka.

– *Oh, mon Dieu! Et après?*<sup>[1]</sup>

– To się stało tak szybko, że nie zdążyłam się nawet przestraszyć. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że właśnie się topię w lodowatej wodzie. I wiesz, co było w tym wszystkim najdziwniejsze? Kiedy lód się załamał, instynktownie uniosłam prawą rękę, bo w głowie miałam tylko jedną myśl: nie zamoczyć sprzętu! Dopiero gdy jakimś cudem wygramoliłam się na brzeg, uświadomiłam sobie, że aparat przymocowany do statywu tym razem wyjątkowo trzymałam w lewej ręce. Rozumiesz?

Zapadła cisza. Eliza w milczeniu przyglądała się zabawnej minie Ewy i dopiero po chwili zachichotała.

– Przepraszam, nie powinnam się śmiać – zmitygowała się. – To musiało być okropne.

– Nie przepraszaj. Dziś i mnie to się wydaje komiczne, ale wtedy, zanim cała mokra i zamarzająca dotarłam do samochodu, nie było mi do śmiechu. Wokół jak okiem sięgnąć prawdziwe odludzie, nikt by mi nie pomógł. Ubranie zeszywniało na mnie w jednej chwili, tak że nawet dojście do auta było problemem. Nie czułam zimna, tylko nogi nie chciały mnie słuchać. – Rozbawiony ton opowieści wyraźnie kontrastował z treścią. – Na szczęście adrenalina to dobra rzecz!

– I co dalej?

– Auto miało porządne ogrzewanie. Zawinęłam się w suchy koc i wyobraź sobie, że nawet się nie przeziębiłam. Tylko sprzęt musiałam kupić nowy.

– Niezwykła przygoda. A zdjęcia?

– Kartę pamięci uratowałam. Ale co z tego? Nigdy nie wykorzystałam tych zdjęć. Świat fotografii jest dość hermetyczny. W tym zawodzie jeden na tysiąc może się przebić.

– Dlaczego?

– Wydawnictwa nie chcą artystów, tylko wyrobników dostarczających schematyczne obrazki pod publiczność. Nawet to rozumiem, choć szlag mnie jasny trafia, że dla pieniędzy zabija się sztukę! O, przepraszam – zreflektowała się.

– Nie szkodzi, rozumiem twoje emocje.

– Naprawdę? Taka wytworna osoba? Mówisz po polsku ładniej niż ja.

Eliza uśmiechnęła się ciepło, a na jej policzkach pojawiły się zabawne dołeczki.

– Nie ma z czego żartować. Rozumiem cię, bo jestem psychologiem – odparła. – Nie takie wyznania ludzi rozczarowanych swoją pracą już słyszałam, tyle że po francusku.

– Psychologiem? Myślałam, że pracujesz w kwiaciarni swojej babci.

– Niezupełnie. To trochę bardziej skomplikowane. Na razie rodzinny biznes znajduje się w rękach *grand-mère*<sup>[2]</sup>, ale...

– Ale?

– Wszystko się zmienia – odparła Eliza z filozoficznym spokojem.

– To znaczy?

– Mam pewne obowiązki rodzinne, przed którymi nie mogę się uchylać, lecz chciałabym również spełnić swoje marzenia.

Ewa pomyślała, że brzmi to nieco tajemniczo, ale na głos spytała tylko:

– A konkretnie o czym marzysz?

– O czym? Żeby uratować naszą firmę dla przyszłych pokoleń, bo ostatnio mamy poważne straty. Chcę też zrobić coś pożytecznego jako psycholog, bo lubię ten zawód. I muszę jakoś uspokoić duchy moich przodków – wymieniała wolno, z namysłem. – Ale przede wszystkim chcę się spokojnie zestarzeć u boku mojego Pierre’a.

– Niezły plan. Ja chyba wciąż nie bardzo wiem, czego konkretnie chcę od życia. Poza banalnym znalezieniem szczęścia, oczywiście.

– To wcale nie jest banalne – zaprzeczyła Eliza. – Kto jest szczęśliwy, potrafi uszczęśliwiać innych, a o to przecież w życiu chodzi.

– Piękna teoria. Ale w praktyce codzienność wygląda zupełnie inaczej – stwierdziła Ewa pesymistycznie. – Na przykład moje decyzje życiowe wciąż okazują się błędne. Może lepiej niczego nie zmieniać?

– Nikt nie twierdzi, że to jest łatwe. Ja uważam jednak, że trzeba się ciągle starać, szukać. Nie chodzi przecież o to, by złowić króliczka...

– Ale by gończyć go – Ewa dokończyła słowa piosenki. – No tak.

Temat rozmowy stał się nagle tak osobliwie poważny, że kobiety zamilkły, jakby nieco spłoszone swoimi wyznaniem.

Krępująca cisza przedłużała się, więc Ewa w końcu nie wytrzymała:

– A kim jest Pierre? – spytała, choć miała ochotę wrócić do zupełnie innego wątku i zapytać: „O co właściwie chodzi z tymi duchami przodków?”.

\*\*\*

– Jesteś pewna, że nie zrobię wam kłopotu? – dopytywała Ewa. – Przecież mogłabym wynająć pokój w jakimś hotelu. Na pewno w okolicy jest jakiś hotel. – Zerknęła przez okno taksówki, za którym migały jedynie słoneczne krajobrazy z gajami oliwnymi i winnicami.

– Ależ skąd! Babcia nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym gościa z Polski ulokowała w hotelu. Zresztą, uwierz mi, że tak będzie lepiej.

– Nie będzie jej krępowała obca osoba?

Rozbawiony uśmiech błąkał się przez chwilę po ustach Elizy, a Ewa pomyślała, że już nie pierwszy raz swoim zachowaniem rozśmiesza klientkę.

„O co w tym wszystkim chodzi?” – martwiła się.

– Zapewniam cię, że nikt nie będzie się czuł skrępowany. Dom jest naprawdę obszerny. Mieszkamy tam wszyscy razem i nikt nikomu nie chodzi w paradę.

– Nie wchodzi w paradę – Ewa poprawiła ją odruchowo, mocno zaniepokojona określeniem „mieszkamy wszyscy razem”.

Gdy samochód zatrzymał się na chwilę przed wielką bramą, Ewa z ciekawością przysunęła się do szyby. Gdyby nie klimatyzacja, chętnie otworzyłaby okno i wystawiła głowę na zewnątrz, by szybciej obejrzyć miejsce, do którego się zbliżały. To, co zobaczyła, na dłuższą chwilę odebrało jej mowę.

Dom Elizy był rzeczywiście duży. Gdy taksówka wyjechała z długiej zacienionej alei i zatrzymała się na dziedzińcu, Ewa aż sapnęła.

– Przecież to prawdziwa rezydencja!

– Nie, to tylko pozostałość po dawnym pałacyku myśliwskim – sprostowała Eliza. – Moje przodkinie przeniosły się tu przed wiekami z dawnego *château*<sup>[3]</sup>. Nasze dzieje były dość burzliwe.

– Ach tak. No jasne – bąknęła Ewa, powtarzając sobie w duchu, że miała się niczemu nie dziwić.

Natychmiast jednak zapomniała o tym postanowieniu. Gdy taksówkarz wyciągał walizki z bagażnika, ona stała przy otwartych drzwiach samochodu i wpatrywała się

z zachwytem w światłocienie malujące się na fasadzie kamiennego budynku.

Dom trochę przypominał skomplikowaną w konstrukcji, dwupiętrową kamienicę z poddaszem. Ciepły kolor ścian budynku stojącego wśród zieleni starych drzew przybierał właśnie bursztynowy, niemal złoty odcień, jaki ze względu na światło rzadko można było spotkać w Polsce. Leniwie zachodzące słońce odbijało się ogniście w szklanych taflach okien o kamiennych obramowaniach i niebieskich okiennicach na piętrze. Ozdobny portal otaczał wielkie, zaokrąglone u góry drzwi. Dziedziniec schludnie wysypano białymi kamyczkami, które przyjemnie chrzęściły przy każdym poruszeniu. Pod oknami parteru czerwieniły się kwiaty, a ciepły wiatr przynosił z oddali bogaty zapach ziół.

Niespodziewany widok dziwnie podziałał na Ewę. Poczowała się nagle jak w innym świecie i jedyne, co jej przyszło do głowy, to konieczność uwiecznienia tych ulotnych wrażeń. Trochę nieprzytomnie rzuciła się do torby ze sprzętem. Zanim jednak zdążyła wyłowić ją ze stosu bagaży, usłyszała za swoimi plecami radosne okrzyki, szczekanie psa i chrzęst kamieni pod stopami kilku zbliżających się osób.

– *Venez, c'est Eliza!*<sup>[4]</sup> Czemu nie zadzwoniłaś po szofera?

– Nareszcie wróciłaś, córeczko.

– *Comment ça c'est passé en Pologne?*<sup>[5]</sup>

– Przywiozłaś nam prezenty?

Uściskom i pocałunkom nie było końca.

Pochylona nad walizkami Ewa zastygła w bezruchu, podświadomie nie chcąc ściągać na siebie uwagi hałaśliwej gromadki, która tak niespodziewane wkroczyła jej w kadr nastrojowego, słonecznego obrazu tego niezwykłego miejsca. Patrzyła więc tylko zaskoczona liczebnością rodziny.

Elizę otaczali przystojni mężczyźni w różnym wieku, wysokie i smukłe kobiety, groteskowo niekształtne nastolatki płci obojga, dwie małe dziewczynki biegające wokół taksówki z radosnym piskiem oraz szalejący ze szczęścia pies – czarny, kudłaty i bardzo duży, co Ewa zauważyła z lekkim popłochem.

„No tak, teraz rozumiem wreszcie, czemu Elizę tak śmieszyły niektóre moje uwagi – pomyślała. – Dla niej mieszkanie z rodziną i dom oznaczają coś innego niż dla zwykłego Polaka. Tutaj na pewno nikt się nie awanturuje o zajmowanie łazienki albo podbieranie jedzenia ze wspólnej lodówki”.

Eliza witała się ze wszystkimi, nie tracąc przy tym spokoju i elegancji. Cierpliwie odpowiadała na pytania o podróż, głaskała dzieciaki po głowach, oganiała się z uśmiechem od psa, tłumaczyła się z przyjazdu taksówką i ścisnęła wszystkich po

kolei z tą samą szczerą radością.

Raptem pełna entuzjazmu i energii gromada, przekrzykująca się w polsko-francuskiej mieszaninie językowej, wyraźnie przycichła. Ewa pomyślała najpierw, że to z jej powodu, bo niektórzy z zaciekawieniem na nią zerkali. Gdy jednak rodzina zaczęła się rozstępować, Ewa zobaczyła, kto wzbudza wśród tych hałaśliwych Francuzów taki respekt. Bez trudu domyśliła się, iż starsza pani, która właśnie ucałowała Elizę na powitanie, jest jej babką.

Rysy twarzy, dystyngowany sposób poruszania się i ogniście rude pasemka, które można było dostrzec wśród siwych już włosów spiętych w schludny kok nad karkiem, nie pozostawiały żadnych wątpliwości, co do łączącego je pokrewieństwa.

„To musi być ta ważna babcia, o której Eliza ciągle wspominała – pomyślała onieśmielona. – Tylko co ona powie na mój widok?”.

– Elizo, przedstaw nam, proszę, swoją towarzyszkę – poleciła dama mocnym, spokojnym głosem, w którym jednak dało się wyczuć karcący ton.

– Och, przepraszam. – Spłoszona Eliza odwróciła się do nowej znajomej, jakby dopiero teraz przypomniawszy sobie o jej obecności. – To jest Ewa, z Polski. Zaprosiłam ją na dwa tygodnie, żeby wykonała dla nas profesjonalną sesję zdjęciową. – Zerknęła ukradkiem na babkę, po czym dokończyła odważnie: – Wykorzystamy jej fotografie do reklamy naszych kwiaciarni. Ewo, to moja babcia Konstancja, głowa naszego rodu.

Ewa uśmiechnęła się niepewnie, bo zauważyła, że w trakcie tej spokojnej przemowy brwi starszej pani uniosły się z pewną dezaprobatą, a reszta rodziny wymieniła się dziwnymi spojrzeniami. Wszyscy patrzyli teraz wyczekująco na seniorkę.

Jeżeli nawet cokolwiek było nie po myśli Konstancji, szybko i sprawnie zamaskowała swoje prawdziwe odczucia. Życzliwie wyciągnęła dłoń do Ewy.

– Witaj, moje dziecko. Drzwi tego domu zawsze są otwarte dla gości z Polski. Mam nadzieję, że spędzisz u nas miłe chwile.

– Dziękuję – bąknęła Ewa, odwzajemniając uścisk silnej, ciepłej dłoni.

– *Bon*<sup>[6]</sup>, Michał, Aleksander, proszę się zająć bagażami panny Ewy. Teodorze, zapłać za taksówkę. Trzeba pozwolić wreszcie odjechać temu biednemu człowiekowi – zarządziła. – Isobelle, poproś o przygotowanie pokoju gościnnego. Za pół godziny spotykamy się przy stole, jak co dzień. – Spojrzała znacząco na wnuczkę. – Niektóre zwyczaje tego domu jeszcze się nie zmieniły – oznajmiła stanowczo i pomaszerowała z godnością do drzwi, opierając się na eleganckiej srebrnej lasce.

Zadowolona z rozwoju sytuacji Eliza pomogła gościowi podnieść ciężką torbę ze sprzętem, której ze zrozumiałych względów wolała nie powierzać szalonym



nastolatkom.

– Myślisz, że zrobiłam dobre wrażenie? – spytała cicho Ewa.

– Tak. Nie martw się, problemy tej rodziny nie dotyczą ciebie. Będiesz przyjmowana jak królowa.

– Nie chciałabym popełnić jakiejś gafy.

– O wszystko możesz pytać mnie albo kogoś ze służby. Tylko nie zapomnij, proszę, o swoim zadaniu – podkreśliła Eliza. – Odpoczniesz kilka dni, a później do pracy. I cokolwiek byś usłyszała od *grand-mère* na temat niemądrych pomysłów młodego pokolenia, rób swoje. Przejmowanie władzy w tej rodzinie zawsze wywoływało perturbacje, ale to już mój kłopot. – Ostatnie zdanie powiedziała raczej do siebie niż do gościa.

– Władzy?

– W naszym domu od wieków panuje matriarchat, a niedługo głową tej rodziny zostanie ja. Nie wszystkim się to podoba.

Ewa spojrzała na nią z uśmiechem. Była przekonana, że Eliza żartuje, ale odkryła, iż dziewczyna jest śmiertelnie poważna.

„A więc to tak! Rozumiem. Moje zdjęcia będą zapewne częścią tych niechcianych zmian... W co ty mnie wpakowałaś, Jolka?” – westchnęła w duchu, z niepokojem wkraczając w progi olbrzymiego domostwa.

\* \* \*

Gdy odświeżyła się po podróży i zeszła na dół, pokojówka zaprowadziła ją do salonu, gdzie wszyscy już czekali. Ze względu na gościa Konstancja zarządziła bowiem uroczystą kolację.

Pomieszczenie wypełniał gwar i radosne okrzyki dziewczynek, swobodnie biegających wokół skórzanych foteli i sof. Przyjaźnie potrącana przez maluchy Ewa została na początek każdemu przedstawiona, jednak niewiele imion udało się jej zapamiętać. Później usadzono ją wygodnie, podano chłodne napoje i zasypano kurtuazyjnymi pytaniami, jakie po prostu wypadało zadać w takiej sytuacji. Kobieta odniosła jednak wrażenie, że większość rozmówców wcale nie jest zainteresowana odpowiedziami, co jej wcale nie martwiło. Najchętniej usiadłaby w kąciку i poddała się swojemu obserwacyjnemu roztargnieniu. Niestety musiała odgrywać rolę, jaką na siebie przyjęła, zgadzając się na ten niezwykle służbowy wyjazd.

Szybko zauważyła, że mieszkańcy rezydencji w ferworze dyskusji posługują się dziwną mieszaniną polskiego i francuskiego, ale do Konstancji zawsze zwracają się w tym pierwszym języku. Odkrycie to zaskoczyło ją, bo wskazywałoby na silne

związki rodziny z Polską, a tymczasem wiedziała od Elizy, że nie mają tam nawet jednego żyjącego krewniaka, jedynie sporo znajomych.

„Same zagadki – myślała skołowana. – Dziwne to wszystko”.

Jej zainteresowanie wzbudziła młoda dziewczyna – Sophie – niedawno poślubiona małżonka któregoś z braci Elizy. Eteryczna ciemnowłosa kobieta nieśmiało i jakby pocieszająco uśmiechała się do Ewy z drugiego końca salonu.

„Ona też jest tu nowa”. To wspierające spojrzenie od razu pokrzepiło Ewę na duchu.

– *Le diner est servi*<sup>[7]</sup> – zakomunikował sztywno szpakowaty kamerdyner, stając w drzwiach salonu.

Ewa odetchnęła. Przytłoczona wrażeniami niezwykłego dnia poczuła się nagle bardzo głodna i zmęczona liczną, gadatliwą rodziną gospodyni. Na ich tle Eliza i jej babcia zdecydowanie wyróżniały się specyficznym spokojem płynącym, według Ewy, z poczucia godności i czegoś jeszcze, czego nie umiała określić.

Bardzo się ucieszyła, gdy przy stole wskazano jej miejsce obok Sophie. Chciała się dyskretnie dowiedzieć czegoś o zwyczajach panujących w tym domu, a młoda mężatka wydała się jej odpowiednią partnerką do takiej rozmowy. Z krótkich obserwacji wynikało bowiem, że Eliza nie będzie mogła poświęcić jej dużo uwagi. Zbyt absorbowowała ją jakaś tajemnicza rozgrywka z babcią.

Jadalnia była dużym, jasnym pomieszczeniem urządzonym w typowym prowansalskim stylu, z nutą pałacowej elegancji i wyrafinowania. Centralne miejsce zajmował długi stylizowany stół, nad którym zwisały ozdobne żyrandole. Ewa szybko oszacowała liczbę krzeseł na jakieś trzydzieści, ale przy tak sporej rodzinie nie zdziwiło jej tyle miejsc.

Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające starożytne i nowożytne uczyty, na których szczególne rozpasanie kulinarne przeplatało się z nagością amorków i kobiet. Najwyraźniej seniorka rodu nie uważała tych widoków za gorszące, skoro pozwalała tu zasiadać swoim nieletnim prawnukom.

„Zresztą czy w dzisiejszych czasach może kogokolwiek gorszyć *Śniadanie na trawie* Maneta?” – pomyślała rozbawiona Ewa, ciesząc się, że wersja Picassa nie mieściła się w estetyce pani domu.

U szczytu stołu usiadła oczywiście *grand-mère*, obok niej z jednej strony Eliza, a z drugiej Teodor ze swoją drugą żoną Isobelle. Reszta rodziny zajęła krzesła bez wyraźnego porządku. Ewie przypadło miejsce między delikatną Sophie a jednym z nastolatków – Aleksandrem. Widocznie ktoś uznał, że dzięki towarzystwu młodych osób gość poczuje się swobodniej, zwłaszcza podczas posiłku, który dla Francuzów

stanowił w zasadzie najważniejszy moment dnia.

Gdy jadalnia wypełniła się apetycznymi zapachami, wygłodniała Ewa z zapalem wzięła się do jedzenia, choć krążące po głowie pytania skutecznie odwracały jej uwagę od rodzaju dań. Miała świadomość, że potrawy są bardzo smaczne i aromatyczne, ale nie przyglądała się zbyt wiele temu, co nakładano jej na talerz. Wolała dyskretnie obserwować rodzinę i zapisywać w pamięci kolejne rodzące się pytania.

Z apetytem spożyła dziwną zupę o rybnym smaku podaną jako *entrée*<sup>[8]</sup>, później bez mrugnięcia okiem zjadła kaczkę, mocno ziołową potrawkę z królika, zapiekane warzywa i pasztet.

Dopiero gdy na stół podano *fromages*<sup>[9]</sup>, nie wytrzymała i szepnęła do sąsiadki:

– Widzę, że hierarchia przy stole nie ma nic wspólnego z wiekiem. Eliza siedzi na honorowym miejscu obok pani Konstancji, a jej rodzice znacznie dalej. Dlaczego?

– Ona ważna jest bardziej od swoich rodziców. Eliza jest dziedziczka *de la maison*<sup>[10]</sup>, kwietowni i reszty majątek – odparła cicho Sophie.

Widać było, że język polski sprawia jej sporo trudności.

– Mówi się kwiaciarni, *chérie*<sup>[11]</sup> – poprawił ją mąż siedzący po jej lewej ręce. – Sophie ma jeszcze problemy z językiem, ale bardzo się stara – wyjaśnił Ewie, wychylając się zza szczupłej sylwetki żony i sięgając po kawałek sera leżący na półmisku.

Niespeszona uwagą męża kobieta dokończyła półgłosem:

– A jej ojciec jest tylko u... uzi...

– Udziałowcem, skarbie.

– *Oui*<sup>[12]</sup>, tym czymś w rodzinnej firmie wytwarzającej wino. Winnice należy do jego starszy brat Teodor. Taka tu tradycja jest: mężczyźni mają *le vin*<sup>[13]</sup>, a kobiety kwiaty.

– To ciekawe. Czyli macie dwie rodzinne firmy?

– *Oui*.

– Ale dlaczego to Eliza ma przejąć majątek po pani Konstancji?

Sophie obejrzała się dyskretnie na zagadanego męża, przysunęła się do Ewy i odparła najciszej jak się dało:

– *Je ne sais pas*<sup>[14]</sup>. Nie znam wszystkich sekretów mojej nowej *famille*<sup>[15]</sup>, ale kobiety miały tu zawsze najważniejszy głos. To mi bardzo podoba. – Uśmiechnęła się promiennie. – Poproś Aleksandra, on pokaże ci galerie przodków i coś opowie więcej. On ulubieniec Konstancji jest i się jej nie boi.

– *Oui!* – W drugim uchu Ewy zabrzmiał piszczący głos nastolatka przechodzącego

właśnie mutację. – Nie boję się niczego, nawet duchów. Mogę pani pokazać galerię przodków, najlepiej w nocy.

– Czemu w nocy?

– Będzie odpowiednio dramatyczny nastrój. – Uśmiechnął się zawadiacko.

– Dzięki – szepnęła ucieszona. – Ale wiesz co, Aleksandrze? Będzie wygodniej, jeśli zaczniesz mi mówić po imieniu.

– Serio?

– Tak, jestem Ewa.

– Aleks. To co z naszą wyprawą?

– Z chęcią obejrzę... – zaczęła, lecz nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo do jadalni wszedł kamerdyner.

Przebijając się mocnym głosem przez gwar rozmów, oznajmił:

– *Monsieur Pierre*.

Konstancja odstawiła na spodek trzymaną w ręku filiżankę z ziołową herbatą, a uśmiechnięta Eliza podniosła się z krzesła.

Do sali wszedł wysoki, smukły brunet około trzydziestki. Zgrabny mężczyzna, ubrany z niewyszukaną elegancją, od razu skojarzył się Ewie z modelem lub aktorem. W ręku trzymał bukiet czerwonych róż.

Niepewnie stanął w drzwiach, spojrzał na Konstancję i mruknął:

– *Bonsoir madame*<sup>[16]</sup>.

– Dobry wieczór, Pierre. Siadaj proszę, zaraz podadzą deser.

Skinął głową, ale nie ruszył się z miejsca, tylko niespokojnym wzrokiem przebiegł towarzystwo przy stole. Zatrzymał się na Ewie.

Na jego twarzy pojawiło się najpierw niedowierzanie, potem zdziwienie, a na koniec radość. To pełne szczęścia spojrzenie przeniósł na Elizę, następnie zaś ruszył wreszcie w jej kierunku szybkim krokiem.

– *Lizzi* – szepnął donośnie, wręczając jej bukiet. – *Ma belle... je t'aime!*<sup>[17]</sup>

Przy stole rozległy się chichoty rozbawionych nastolatków i chyba tylko to powstrzymało mężczyznę od gorącego pocałunku.

– Nakrycie dla Pierre'a – zarządziła babcia z pobłażliwym uśmiechem, bo podawano właśnie tort i lody.

Ewa, która nic nie zrozumiała z tej zaskakującej sceny, musiała mieć dziwną minę. Rozbawiona Sophie nachyliła się litościwie do jej ucha.

– Nie dziwiaj się, Ewo. Pierre to narzeczony Elizy jest – wyjaśniła.

– To wiem. Ale czemu tak się na mnie gapił?

– On wiedział, że wraca ona z podróży dzisiaj. Całe dwa tygodnie był jak otruty...

– Struty, *chérie*, chodził jak struty.

– No właśnie. Bo nie wiedział, kogo ona przywiezie ze sobą.

Ewa wytrzeszczyła oczy jeszcze bardziej.

– Przepraszam, ale nic nie rozumiem. Skąd miałby wiedzieć, że Eliza zabierze z Polski fotografa? Mówiła, że tego nie planowała.

– On nie wiedział o tym.

– To skoro nie wiedział...

– Och, bo tu taki przesąd jest w ta rodzina. – Sophie otarła usta z lodów brzegiem serwetki i mówiła dalej półszepem. – Każdy, kto kończy dwadzieścia pięć років, może pojechać do jakiegoś kraju sam do wycieczki... *obligatoirement*<sup>[18]</sup>.

Pod słuchujący Aleksander nie wytrzymał i przerwał ciotce, która mówiła zdecydowanie zbyt wolno jak na jego cierpliwość:

– Ja opowiem. – Odłożył srebrny widelczyk na talerz z okruchami po torcie. – Podobno nasz praprapra-któryś tam dziadek w głębokim średniowieczu miał sen o tajemniczej kobiecie zza morza. Przyśniła mu się dokładnie w jego urodziny i wołała go do siebie, więc pojechał w podróż i rzeczywiście przywiózł sobie żonę. A teraz to jest rodzinną tradycją.

– Co?

– Każdy z nas może wyjechać w podróż tak jak ten przodek gdzieś daleko na koszt rodziny. No i wolno nam bezkarnie podrywać babki w obcych krajach – stwierdził z uśmiechem. – Auu! Za co? – jęknął, gdy siedząca obok niego starsza siostra trzepnęła go po głowie.

– Mamy prawo odwiedzić dowolny kraj, nawet gdyby to było bardzo egzotyczne miejsce – poprawiła go surowo Patrycja. – I nikt nie jest zaskoczony, jeśli przy okazji przywozi się ze sobą gościa z takiej wyprawy. To czysty przypadek, że w ten sposób powiększa się nasza rodzina.

– Świeża krew dla starego rodu! – zachichotał Aleksander i znowu dostał po głowie.

– Uspokój się, prostaku – mruknęła do niego Patrycja i dodała wyjaśniająco: – Prababcia mówi, że przeznaczenie trzeba dopuścić do głosu.

– Przeznaczenie?

– Tak. Podobno niektórym z nas rzeczywiście wcześniej śniły się takie podróże, a prababcia jest niedzisiejsza, wierzy w sny. Ja wolę sama zdecydować, gdzie chcę pojechać. Mam tylko nadzieję, że kiedy dorosnę, nadal będzie nas stać na takie wycieczki.



– To piękna historia. Tylko nadal nie rozumiem, czemu on tak się ucieszył na mój widok. – Ewa spojrzała zdezorientowana na rozpromienionego Pierre’a, który właśnie napełniał kieliszek narzeczonej sokiem pomarańczowym.

– Pierre też zna ta legenda – wyjaśniła Sophie. – I pomyślał, że Eliza go... *quitterait*<sup>[19]</sup> dla innego tam w Polska. A zwariowanie jest w niej kochający. Chciał z nią jechać, ale się nie zgodziła, to ucieszył, kiedy zobaczył tylko ciebie.

– Ach tak. – Ewa z trudem powstrzymała śmiech. – Wszystko jasne. A gdzie ciebie poznał twój mąż? Też w podróży?

– *Oui*. On przyśnił sobie Chiny. Ale *grand-mère* Konstancja modliła się, żeby on nie przywiózł... komunistka. I pomogło.

– To znaczy?

– Dużo turyści spacerują tam po Wielki Mur. I ja też tam chodziłam. Tam spotkaliśmy siebie z Piotrem i razem już do *France* polecieci. Bo ja jestem pary... szanka. *Et voilà!*<sup>[20]</sup> – Sophie uniosła dłoń, na której zaśnił piękny zaręczynowy pierścionek i nowiutka obrączka.

– To chyba rzeczywiście przeznaczenie spotkać paryżankę w Chinach. – Ewa z niedowierzaniem pokręciła głową.

Gwar przy stole nagle ucichł, ponieważ Konstancja podniosła się ze swojego miejsca.

– Dziękuję za miłą kolację, ale pora już udać się na odpoczynek. Nasz gość musi być bardzo zmęczony po tylu wrażeniach. Dobranoc wszystkim.

Zaszurały krzesła. Rodzina wolno opuszczała jadalnię, ustępując miejsca służbie sprzątającej ze stołu.

Sophie chciała jeszcze zabrać Ewę na wieczorny spacer po parku, ale widząc jej zmęczenie, odprowadziła gościa prosto do pokoju. Kiedy się rozstawały, przechodzący obok Aleksander obdarzył Ewę porozumiewawczym mrugnięciem.

– Będę o północy – rzucił konspiracyjnym szeptem i zniknął na schodach.

\* \* \*

Pokoje gościnne znajdowały się na parterze rezydencji, tak jak i część reprezentacyjna, czyli olbrzymi salon, jadalnia, biblioteka i bawialnia dla dzieci, pełniąca też funkcję pokoju gimnastycznego – tę część domu pokazała Ewie Sophie, gdy ją odprowadzała. Po kolacji większość domowników udała się jednak na piętro, więc Ewa domyśliła się, że tam muszą być apartamenty prywatne rodziny.

Jako gość otrzymała do swojej dyspozycji niewielki gabinet ze sprzętem komputerowym, sypialnię z wygodnym łóżkiem i wielką szafą oraz błękitną łazienkę.

Umieblowanie w odróżnieniu od tego, co zdołała zobaczyć w innych pomieszczeniach,

było znacznie skromniejsze i bardziej nowoczesne, a jednak całość sprawiała miłe wrażenie i lśniła czystością. Duże okna, rzeźbiony kominek, pachnąca kwiecista pościel i wielkie lustro dopełniały całości. Nie zapomniano nawet o świeżych bukietach i napełnieniu sprytnie ukrytej w gabinecie małej lodówki, w której znajdowały się zimne napoje i przekąski.

Po obfitej kolacji Ewa z ulgą wróciła do tego luksusowego zakątka, który gwarantował jej nieco prywatności i spokoju. Czowała się kompletnie wyczerpana, zarówno długą podróżą, jak i wrażeniami całego dnia. Zdołała jedynie nastawić w telefonie komórkowym alarm na godzinę 23 i padła na łóżko w ubraniu.

Po przebudzeniu przez kilka sekund nie mogła się zorientować, gdzie jest. Niezdarnie namacała lampkę na stoliku, rozejrzała się po pokoju i dopiero rzut oka na bałagan, który wcześniej zrobiła, wrócił jej pamięć.

– A niech to! – mruknęła. – Wszystkie ciuchy będą wymięte.

Zanim jednak zajęła się rozgrzebanymi walizkami, pobiegła wziąć szybki prysznic, zawstydzona faktem, że zasnęła w ubraniu. Kiedy skończyła wypakowywać bagaże, usiadła przy biurku i napisała krótkie e-maile do Jurka, do rodziny i do Joli. Dzwoniła do nich już z taksówki, ale wtedy nie wiedziała jeszcze, co zastanie na miejscu, i chciała jak najszybciej podzielić się najnowszymi wieściami.

– A jutro specjalnie dla Jacusia wyślę do firmy zdjęcie pięknej Elizy przed jej wielkim domem – mruknęła do siebie. – Mam nadzieję, że zrobi na tym bufonie odpowiednie wrażenie.

Gdy usłyszała pukanie, staroświecki zegar na kominku wskazywał 12.15. Cicho otworzyła drzwi.

– Gotowa? – spytał szeptem pryszczaty nastolatek, świecąc jej latarką w oczy.

– Jasne. Dokąd idziemy?

– Ciii... Na drugie piętro, do galerii przodków. To śmieszne, chciałem powiedzieć strraaszne miejsce. – Aleksander wytrzeszczył oczy, ale zamiast przestraszyć kobietę, rozbawił ją.

– Super. Lubię poznawać dziwne miejsca.

– W ogóle się nie boisz. – Rozczarowany chłopak przystanął i poświecił w głąb korytarza. – Ale poczekaj, niech no któryś przodek znów coś narozrabia, to jeszcze zobaczysz – rzucił tajemniczo. – Chodź, zanim nas nakryje stary Paul. Ma pokój tam na końcu.

– Kto?

– No ten siwy facet, który zarządza pracownikami domowymi. Tylko on mieszka z nami na stałe.

– A, kamerdyner.

– No. To sztywny Anglik. Uważa, że dzieci powinny mieć więcej dyscypliny. Gdyby nas zobaczył, wygadałby wszystko prababci, bo kocha ją jak swoją królową brytyjską.

– Anglik? Tutaj?

– Był u nas od zawsze. Moja prababcia jest międzynarodowa. Z małym wyjątkiem.

– O cholera! – Ewa potknęła się w ciemności.

– Uważaj. Teraz musimy przejść na palcach przez piętro – poinstruował ją cicho, omiatając snopem światła kolejny korytarz.

– Dlaczego?

– Nie chcę, żeby moja wścibska siostrunia się do nas przyczepiła. Pati ma uszy jak radary i psuje każdą zabawę. Ledwie się wymknąłem.

– To tutaj mieszka cała rodzina?

– Prawie. Prababcia ma swój apartament na parterze z drugiej strony. Ciężko jej było chodzić po schodach, więc kazała przebudować część pomieszczeń. My zajmujemy piętro. Trochę się już robi ciasno, ale Eliza nie chce pogadać z prababcią o przerobieniu poddasza. Mój ojciec ostatnio często się z nią o to kłóci, a ona ciągle swoje, żeby dać prababci spokój.

Ewa z rozbawieniem przypomniała sobie własny stary dom, gdzie w czterech niedużych pokojach przez długie lata mieszkała z rodzicami, dwoma braćmi i starszą ciotką, która potrzebowała opieki.

– To czemu się nie wyprowadzicie? Wygodniej przecież mieszkać na swoim – spytała, starając się nie wpadać ciągle na chłopca, który raz po raz przystawał w mrocznych zakamarkach, rozglądając się podejrzliwie.

Doskonale wiedziała, że Aleksander specjalnie zachowuje się tak, jakby zwiedzanie poddasza było sekretną wyprawą w poszukiwaniu skarbów. Bawiło ją to, więc dostosowała się do sytuacji, by sprawić mu przyjemność.

– Nie wiem, podobno nie mamy kasy. – Chłopiec wzruszył ramionami. – Ja i tak za pięć lat pryskam stąd na studia.

„Nie mamy kasy? – pomyślała z przekąsem. – Gdyby moja rodzina miała kłopoty finansowe, nie wynajęłabym za takie pieniądze fotografa w obcym kraju. I nie zatrudniałabym służby”.

Przemknęli cicho po schodach i nieco zdyszani dotarli na drugie piętro, które w zasadzie stanowiło już poddasze budynku. W odróżnieniu od pozostałych korytarzy nie świeciła się tu żadna lampka, jedynie przez odległe okno wpadała do środka dziwnie błękitna poświata księżyca.

– Co jest w tych pokojach? – spytała zaciekawiona, zatrzymując się obok niewielkich

drzwi.

– Właściwie nie wiadomo. Są zamknięte. Dawniej mieszkała tu podobno służba, ale od kiedy pamiętam, wszystkie pomieszczenia gospodarcze są teraz osobno, z tyłu domu. Tutaj prababcia urządziła składnicę pamiątek, które ocalały z różnych zawieruch historycznych – tłumaczył cicho tonem zawodowego przewodnika. – Tylko ona ma klucze. *Malheureusement*<sup>[21]</sup>.

– I nigdy nie widziałeś, co jest w środku?

– Podobno jestem za młody. Przy nas nie mówi się ani o pieniądzach, ani o przeszłości. – W jego głosie zabrzmiało niezadowolenie. – Prababcia ciągle uważa mnie za dziecko, a tu zabiera tylko dorosłych na ich dwudzieste piąte urodziny.

– To taki rytuał?

– Chyba tak, ale głupi. W zasadzie nasza przeszłość nikogo w tej rodzinie nie obchodzi poza mną, a mnie się mówi, że jeszcze nie pora. Prosiłem Elizę, żeby się za mną wstawiła, ale nic z tego. Jej nie zależy, ona już wszystko widziała – irytował się.

– To jasne. Jest spadkobierczynią.

– No właśnie. To też niesprawiedliwe.

– Na pewno pani Konstancja ma jakiś powód, że wybrała właśnie ją.

– Pewnie, że ma, ale to jakiś głupi babski wymysł. Kocham ten dom tak samo jak Eliza, a nawet nie mam szans go dostać.

– No wiesz, to nie moje sprawy. – Ewa chciała uspokoić naburmuszonego chłopca, ale jej przerwał.

– Pytałem ojca, dlaczego tak jest. Powiedział, że zawsze decyzję o spadku podejmowała seniorka rodu i żebym się tym nie interesował, tylko wziął do nauki. Ale ja wiem swoje, nie jestem głupi. – Zamilkł na chwilę, a poczucie krzywdy wyraźnie w nim pęczniało.

– Co wiesz?

– Domyśliłem się, o co w tym chodzi.

– O co?

– W naszej bibliotece jest mnóstwo starych książek i zapisków. Na szczęście nikt nie sprawdza, w czym tam grzebię. Przynajmniej czytać mi nie zabraniają.

– A co znalazłeś?

– Na najwyższych półkach są ciekawe woluminy. Te zakurzone są najlepsze, bo nikt ich tu nie czyta. Chyba nawet nikt tam nie sprząta. – Uśmiechnął się, bo myśl o tym, że być może robi coś zakazanego, poprawiła mu humor.

Ewa poczuła nagle, że marzną jej nogi. Odsunęła od siebie myśl, że chłód bijący od

posadzki jest trochę dziwny w taką ciepłą noc.

– No i co wyczytałeś? – spytała nieco zniecierpliwiona.

Aleksander wziął ją za rękę i pociągnął do najbliższej ściany.

– Różne krwawe historie z przeszłości. Ale jedną ciekawostkę sama odgadniesz, przypatrz się dobrze.

W ostrym świetle latarki ukazały się nagle wiszące na ścianach korytarza portrety, mnóstwo portretów: małe, duże, w złożonych lub drewnianych ramach, współczesne i bardzo stare. Ze wszystkich patrzyły na Ewę twarze nieznanymi ludźmi. Prezentowali się w różnych pozach i sceneriach – jedni byli uśmiechnięci i łagodni, inni wyglądali surowo i władczo, ale każdy sprawiał smutne wrażenie minionej przeszłości.

– Twój przodek – domyśliła się. – I co z tego? Co mam tu odgadnąć?

– Teraz popatrz na tę ścianę. – Aleksander pociągnął ją w drugi koniec korytarza. – To są dziedziczki majątku, przywódczyni naszego rodu.

Ewa przyjrzała się z zainteresowaniem. Na pierwszym obrazie rozpoznała Konstancję, ale bardzo odmienioną: sylwetka młodej, zgrabnej kobiety rysowała się na tle frontowej ściany rezydencji. Z poważnej twarzy o łagodnych rysach patrzyły te same błękitne oczy, które tak uważnie przyglądały się jej po przyjeździe. Na odsłonięte ramiona gęstą falą opadały lśniące ognistym kasztanowym kolorem włosy, łudząco podobne do tych, które zachwyciły Ewę na lotnisku w Polsce, gdy po raz pierwszy zobaczyła Elizę.

– Pani Konstancja... była piękna – powiedziała cicho. – Ale taka poważna.

– A to już inna historia. Patrz dalej. – Poprowadził ją do następnego obrazu, a potem do kolejnego, omiatając snopem światła każdy z portretów.

Ewa w milczeniu przyglądała się coraz starszym malowidłom przedstawiającym kobiety, które różniły się od siebie właściwie tylko strojami, odcieniami rudych włosów i u fryzowaniem.

– Są do siebie takie podobne – powiedziała ze zdziwieniem. – Niesamowite. Od razu widać, że to matki i córki. – Zafascynowana szła w głąb korytarza, oglądając kolejne portrety.

– Raczej babki, wnuczki i prawnuczki.

– Naprawdę?

– Tak. Teraz właśnie w Paryżu powstaje portret Elizy. Też tutaj zawiśnie.

– Ale czego ja się mam domyślić z tych obrazów?

Aleksander uśmiechnął się znacząco.

– Nadal nie rozumiesz, o co chodzi? Czy myślisz, że linia dziedziczenia majątku to przypadek, jak sądzi większość mojej rodziny? – spytał zadowolonym tonem. – No



pomyśl.

W Ewie zagrała nagle dawna nauczycielska pasja i momentalnie podjęła wyzwanie rzucone przez chłopca. Jeszcze raz przyjrzała się namalowanym postaciom.

– Mówisz, że to dziedziczki – zaczęła wolno. – I nie przejmowały spadku z matki na córkę, tylko w innej kolejności?

– No, no!

– Czy zrobiły coś szczególnego dla waszej rodziny, że akurat one zostały wybrane przez kolejne seniorki?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Zresztą Eliza też niczego jeszcze nie zrobiła. Właściwie czasem mam wrażenie, że prababcia wcale nie jest zadowolona z tego, że musi jej oddać swoje miejsce. I tego właśnie nie rozumiem.

– Ciekawe – mruknęła do siebie Ewa, marszcząc czoło. – Ich portrety wiszą na osobnej ścianie...

– Tak.

– A gdzie są ich matki? – Odwróciła się do chłopca.

– Doskonale pytanie – pochwalił. – Na przykład tu, i tu, i tu... – Światło latarki wyszukało na przeciwległej ścianie kilka obrazów.

– Aha. – Przez chwilę Ewa zastanawiała się w ciemności nad tym, co zobaczyła. – Czeka! Już wiem!

– *Silence!*<sup>[22]</sup> – syknął, bo uradowany głos Ewy odbił się echem od ścian. – Zaraz ktoś tu przyleci. No i co wymyśliłaś?

– To nie jest takie trudne. Co przede wszystkim łączy te kobiety? Są do siebie bardzo podobne, bo...

– Bo?

– W odróżnieniu od własnych matek są rude.

– Brawo. – Pokiwał głową.

– Ale wiesz co? To chyba zbyt błahy powód powierzać opiekę nad rodziną komuś tylko dlatego, że urodził się z taką a nie inną czupryną – stwierdziła z powątpiewaniem. – Musi chodzić o coś jeszcze.

– Właśnie że nie. To tylko genetyczna ruletka i dlatego tak mnie to wkurza. Dla tradycji liczy się wyłącznie fakt, że nie jestem rudą babą.

– Aleks, nie powinieneś się tak wyrażać – zaśmiała się mimowolnie.

– E tam. – Wzruszył ramionami. – Jako facet mogę w tej rodzinie najwyżej produkować wino, a wszystkie tajemnice przeszłości odziedziczy Eliza. To nieuczciwe.

– Nie poddawaj się tak łatwo – zachęciła łagodnie, bo w głosie chłopca usłyszała

rozżalenie. – Może kiedy podrośniesz, prababcia zgodzi się, żebyś zajrzał do tych waszych tajemnic z przeszłości. Właściwie czemu aż tak cię pociągają? W twoim wieku raczej siedzi się ciągle przy komputerze.

– Chcę zostać historykiem, znanym historykiem. Byłoby idiotyczne, gdybym nie znał sekretów własnej rodziny.

– Naprawdę? Wyłamiesz się z rodzinnej tradycji?

– Pewnie! Nie zamierzam biegać po winnicach i martwić się o zbiory. Wolę grzebać w książkach niż w ziemi.

Ewa pokiwała głową. Wreszcie pojęła wcześniejsze rozgoryczenie chłopca.

– No tak, w tej sytuacji pozamykane na klucz pamiątki są dla ciebie jak ciastko za szybą w cukierni. – Uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Szkoda, że prababcia nie rozumuje tak jak ty – burknął.

– Może po prostu nie wierzy w szczerść twoich zainteresowań. Musisz ją przekonać, że to nie jest zwykła ciekawość nastolatka, tylko poważne przyszłościowe zajęcie. Na pewno będzie z ciebie dumna, kiedy jej pokażesz, na co cię stać.

– No weź! Tylko nie zaczynaj głądzić jak ojciec o dobrych stopniach w szkole.

– Nie to miałam na myśli. Mówię tylko, że mógłbyś z nią o tym porozmawiać, wykazać się czymś.

– Gdybym był Elizą, nie musiałbym niczego udowadniać – mruzczał niezadowolony, bo znów stracił humor. – A wszystko przez tę babkę.

– Jaką babkę?

– No tę pierwszą, zza morza. O tam. – Omiótł latarką odległą część korytarza.

Ewa poszła we wskazanym kierunku.

– Kim była?

– Legenda mówi, że to założycielka tego babskiego rodu. Flora. – W głosie chłopca rozgoryczenie mieszało się z nutą szacunku. – Pierwsza praprapra-któraś tam babka, którą mój przodek w średniowieczu przywiózł z nieznanego kraju jako swoją żonę.

Ewa musiała zadrzeć głowę, by objąć wzrokiem ostatni portret. Był tak duży, że początkowo światło latarki wydobyło z mroku tylko zarys ciemnych kolorów i starej, drewnianej ramy. Obraz ukryty był za błyszczącą taflą szklanej gabloty, która najwyraźniej miała chronić malowidło przed zniszczeniem.

– To cenne płótno?

– Trochę. Choć to tylko siedemnastowieczna kopia. Podobno pierwowzór namalował jakiś zdolny artysta w piętnastym wieku na podstawie opowiadań jej wnuczki i rodzinnego podobieństwa. Ale oryginał spłonął w starym *château*.

– Czy to ta kobieta, która się przyśniła twojemu przodkowi?

– Tak, wzywała go do siebie we śnie, więc pojechał. W oficjalnej kronice zapisano, że nie było go przez rok, a jego chciwi bracia zagarnęli cały majątek. Kiedy wrócił, miał z nimi ciężką przeprawę, ale jakimś sposobem odzyskał to, co jego. Krewni oczywiście nie chcieli go znać. Rozpuszczali plotki, że jego żona była chłopką i dzikuską z Irlandii. Że go zaczarowała i trzeba ją spalić na stosie. Ale jakoś nic złego jej nie spotkało.

– Żyli długo i szczęśliwie – zażartowała.

– Tego nie ma w zapiskach. Ale musiał ją kochać ten mój przodek, bo zostawił jej cały majątek.

– Kobiecie? W średniowieczu?

– No. Pewnie miała jakieś kłopoty z tym spadkiem, ale nie dała się wykołować – stwierdził z nieoczekiwaną dumą. – Pomógł jej jakiś przyjaciel, któremu mój przodek ocalił życie. Podobno był ważnym duchownym. Niektórzy nazwali ją za to czarownicą, ale prości ludzie wychwalali jak świętą. Znalazłem informację, że umiała leczyć ziołami, pomagała biednym, chroniła poddanych podczas różnych walk na tych ziemiach i to ona założyła tu pierwsze ogrody.

– Czarownica i święta – szepnęła Ewa zauroczona. – To bardzo ciekawa opowieść.

Obraz wydał się jej niemal czarny. Pograżony w mroku, pociemniały ze starości, nie tak szybko pozwolił, by nocni intruzi poznali jego sekrety.

– Daj latarkę. – Skierowała snop światła ku górze.

Błysnęła szklana tafla i z mroku wyłoniła się wreszcie cała namalowana postać. Ewa zadrżała.

– Zmarzłaś? – spytał Aleks.

Nie odpowiedziała. Jak zahipnotyzowana patrzyła w górę, prosto w twarz średniowiecznej kobiety. Zaskoczony jej milczeniem chłopak spojrzał także, ale zobaczył to, co zawsze: bujnie rozwiniętą sylwetkę przodkini o tak zmysłowych kształtach, że istotnie mogły oczarować jej małżonka w czasach, gdy za ideał kobiecego piękna uważano chude i wiotkie, bladolice panny. Niewiasta, ubrana w prostą zieloną suknię, z cerą zaróżowioną zdrowym rumieńcem i z nieprzyzwoicie rozpuszczonymi włosami koloru marchewki, których nie okrywał żaden zwyczajowy welon czy czepiec, patrzyła z obrazu z taką pewnością siebie, jaką wtedy mogły mieć tylko królowe.

Ewa nie widziała jednak tych szczegółów. Zastygła w bezruchu z zadartą głową. Nie mogła się ruszyć z miejsca, bo fizycznie czuła, że wzrok tej kobiety przewierca ją na wylot, przyciąga i woła do siebie, jakby czegoś żądał. Władcze spojrzenie niesamowitych zielonych oczu było przerażająco żywe.

– Ewa? – Głos Aleksandra wyrwał ją z transu. – *Qu'est-ce qui se passe?*<sup>[23]</sup>

– Co? Nie, nic – skłamała, odzyskując oddech. – Już późno. Dawno powinieneś być w łóżku. Wracajmy. – Ruszyła przodem i prawie zbiegła ze schodów, nie dbając o to, czy ktokolwiek ją usłyszy.

Zatrzymała się dopiero pod drzwiami swojego pokoju. Za nią cicho nadbiegł zdyszany chłopak.

– Poczekaj, czy zrobiłem coś nie tak? – niepokoił się.

– Ależ skąd. Byłeś fantastycznym przewodnikiem i bardzo ci dziękuję za tę przygodę. Jestem tylko zmęczona, a i ciebie nie powinni złapać po nocy na korytarzu – tłumaczyła szeptem. – Idź już. Do jutra. – Nie czekając, aż odejdzie, zamknęła drzwi.

W sypialni zrzuciła z siebie bluzkę i spodnie, poszła do łazienki i zimną wodą przemyła twarz. Posapała chwilę nad umywalką, próbując uspokoić bicie serca.

– Weź się w garść. Zachowujesz się jak głupia nastolatka na cmentarzu! – skarciła siebie półgłosem, patrząc w lustro.

Odetchnęła. Trochę spokojniejsza, wyjęła z kosmetyczki pojemnik na szkła kontaktowe. To była jej mała tajemnica. W pracy nikt nie wiedział, że jest krótkowidzem, a i rodzina już dawno zapomniała, że Ewa w dzieciństwie nosiła okulary.

Jak zwykle ostrożnie wyjęła z oczu soczewki i umieściła w pojemniczku z płynem. Kosztowały ją sporo pieniędzy, ale nie umiałyby już nosić zwykłych okularów, choć kompleksy z lat dziecięcych dawno straciły znaczenie. Tylko z przyzwyczajenia kupowała wciąż te same specjalne soczewki, które pomagały jej spełniać dawny kaprys – lekko barwiły tęczęwki na wymarzony brązowy kolor.

Potarła zmęczone oczy, choć doskonale wiedziała, że robią się od tego zmarszczki, ale po tylu wrażeniach miała w nosie przyszłe defekty urody. Otworzyła krem, nabrała odrobinę na palec, spojrzała w lustro i zamarła z podniesioną ręką.

Zobaczyła siebie jak co wieczór: bez makijażu, z nieco potarganymi, jasnymi włosami i mnóstwem piegów, które zawsze latem stawały się bardziej widoczne. Tym razem dostrzegła jednak coś, na co nie mogła zwrócić uwagi jeszcze wczoraj – z lustra patrzyły na nią niezwykle, bystre, błyszczące wewnętrznym ogniem oczy przodkini Aleksandra: zielone, kocie oczy czarownicy.

---

[1] O mój Boże! I co? (fr.).

[2] Babcia (fr.).

- [3] Pałac, zamek (fr.).
- [4] Chodźcie, to Eliza (fr.).
- [5] Jak było w Polsce? (fr.).
- [6] Dobrze (fr.).
- [7] Kolację podano (fr.).
- [8] Przystawka (fr.).
- [9] Sery (fr.).
- [10] Domu (fr.).
- [11] Kochanie (fr.).
- [12] Tak (fr.).
- [13] Wino (fr.).
- [14] Nie wiem (fr.).
- [15] Rodzina (fr.).
- [16] Dobry wieczór pani (fr.).
- [17] Moja piękna, kocham cię (fr.).
- [18] Koniecznie (fr.).
- [19] Opuści, porzuci (fr.).
- [20] No i proszę! (fr.).
- [21] Niestety (fr.).
- [22] Cicho! (fr.).
- [23] Co się dzieje? (fr.).



## Rozdział 3

### Poniedziałek

- Widzę, że się nie wyspałaś. – Eliza uśmiechnęła się z nad kierownicy samochodu. Speszona Ewa zastygła w połowie dyskretnego, jak się jej wydawało, ziewnięcia.
- Przepraszam – odparła nieco zażenowana. – Wczoraj późno się położyłam.

Gdy rano ktoś zapukał do drzwi, zasnana Ewa ze zdziwieniem skonstatowała, że piękny stylowy zegar na kominku wskazuje dopiero 7.45.

Pokojówka – miła, młoda dziewczyna – z trudem powstrzymała uśmiech na widok rozczochranej piegowatej blondyneczki zaplątanej w rękaw szlafroka w wielkie różowe słonie. Najwyraźniej została poinformowana, że gość z Polski słabo zna język, bo starannie dobrała proste francuskie zdania, by uprzedzić, że śniadanie podaje się w tym domu między 8 a 9 w jadalni, a pokoje gościnne sprząta się o 10.

Po jej odejściu Ewa spędziła intensywne pół godziny, miotając się pomiędzy łazienką, szafą a torbą ze sprzętem fotograficznym. Eliza już wczoraj uprzedziła, że po śniadaniu zamierza pokazać jej główną kwaciarnię, więc Ewa chciała mieć wszystko przygotowane do wyjścia. Z pośpiechu kosmetyki leciały jej z rąk, ubrania okazały się niemiłosiernie wymięte, nie mogła znaleźć jednego buta i omal nie wydlubała sobie oka, zakładając soczewkę.

W efekcie tej bezładnej krzątaniny wyszła z pokoju mocno spóźniona, w białych, bawełnianych spodenkach, błękitnej bluzeczce i z mokrymi włosami. Biegnąc do jadalni, modliła się w duchu, by nie być przy stole ostatnia. Kiedy stanęła w progu, odetchnęła z ulgą. Tylko część miejsc była zajęta, a czyste nakrycia świadczyły o tym, iż nie ona jedna się spóźniała.

Konstancja powitała ją ciepło, choć Ewa mogłaby przysiąc, że na widok jej mokrej czupryny brew starszej pani drgnęła ze zdziwienia.

- Częstuj się, moje dziecko. Jeśli masz jakieś specjalne życzenia, zaraz ktoś się tym zajmie – powiedziała.

– Ależ skąd, wystarczą mi te pyszności. Dziękuję.

– W takim razie życzę wszystkim miłego dnia. – Starsza pani podniosła się zza stołu. – Paul, każ podstawić samochód i przynieś mi, proszę, moją aktówkę z dokumentami – poleciła kamerdynerowi, który skinął w milczeniu głową i zniknął cicho jak duch.

Niektórzy w ślad za seniorką rodu podnieśli się z krzeseł, inni dopiero pojawili się w jadalni. Nie było widać szczególnego pośpiechu, ale dało się zauważyć, że na każdego czekają jakieś obowiązki.

– Dokąd jedzie pani Konstancja? – Ewa pochyliła się nad stołem w stronę Sophie, która tego ranka siedziała na wprost niej.

– Do pracy.

– Tak wcześnie? Myślałam, że właścicielka takiej posiadłości nie musi się spieszyć do zajęć – stwierdziła żartobliwym tonem, gdy na kamiennej posadzce ucichł stukot srebrnej laseczki. – Czy nie powinna już wypoczywać na emeryturze?

– Ona bardzo poważna jest do obowiązku swego – odparła kobieta. – Już po osiemdziesiąt lat ma, ale wszystko swoimi oczami dopilnuje. Tak woli.

– Kobiety w tej rodzinie rzeczywiście są twarde – mruknęła Ewa do siebie i z przyjemnością rozejrzała się po zastawionym stole.

Poza pachnącym pieczywem, nieśmiertelnymi francuskimi *croissants*, kilkoma rodzajami dżemów, płatkami śniadaniowymi, kawą i sokiem zauważyła obok swojego nakrycia półmiski z cieniutkimi plastrami szynki, nabiałem i pomidorami.

„To chyba specjalnie dla mnie – ucieszyła się w duchu, bo trochę się obawiała typowych słodkich śniadań francuskich – albo w tym domu także tradycje kulinarne są bardziej polskie”. Sięgnęła po bagietkę.

Nigdy nie zależało jej na sylwetce zagłodzonej łabędzicy, którą prezentowały na wybiegach modelki całego świata. Pod tym względem nie miała kompleksów, bo ruch i szybka przemiana materii pozwalały jej nie martwić się zbyt o figurę. Modelkom zazdrościła jedynie wzrostu, gdyż sama była raczej niska. Niewiele mogła jednak na to poradzić, więc nie zwracała sobie tym zbyt głowy.

Przy śniadaniu systematycznie i z widoczną przyjemnością pochłaniała wszystko, co było w zasięgu jej rąk. Nie pogardziła nawet dość nietypowym jak na ten region dżemem agrestowym, choć przyglądała mu się krytycznie przez dłuższą chwilę.

– Już całe wieki nie widziałam takiego dżemu – powiedziała cicho jakby do siebie. – Dawniej moja babcia go robiła, ale zawsze uciekałam, kiedy trzeba było drylować owoce. Babcia mawiała, że w kresowych dworach drylowano nawet porzeczki, zanim

zrobiono z nich konfitury – stwierdziła nagle, wywołując konsternację. – Ale ja tego nie znosiłam.

Przy stole zapadła cisza.

– Co zrobiono z tym *fruit*<sup>[24]</sup>, kochany? – spytała Sophie teatralnym szeptem.

– Drylo... to znaczy usuwano pestki, ręcznie – odparł zaskoczony Piotr, najwyraźniej zafascynowany wizją, którą nakreśliła Ewa. – Z porzeczek? *Mon Dieu!* Co to za upiorny kraj ta Polska – dokończył cicho.

Aleksander, który zszedł na śniadanie niedługo po Ewie, zachichotał, parsknął i o mało nie zadławił się rogalikiem posmarowanym kremem czekoladowym. Tłuste, brązowe okruszki wylądowały niespodziewanie na jedwabnej bluzeczce Sophie, która drgnęła przestraszona i niechcący pacnęła zastygłego w zadumie męża trzymaną w ręce łyżeczką pełną dżemu. Szmaragdowe mazidło zaczęło ściekać po eleganckim szarym krawacie, a oburzony tym Piotr potrącił szklaneczkę z sokiem pomarańczowym i wylał go sobie na spodnie, ochlapując przy tym brata. Okrzyki niezadowolenia uniosły się nad stołem i katastrofa posunęłaby się zapewne dalej, gdyby nie trzeźwa reakcja Elizy.

– Uspokójcie się, proszę – zażądała spokojnie, ale stanowczo. – Co sobie o nas pomyśli nasz gość? Aleks, dobrze się czujesz?

– *Oui* – wykrztusił z trudem chłopiec, którego Ewa uratowała potężnym ciosem w plecy, w momencie gdy już zaczynał sinieć. – Przepraszam – jęknął, widząc potępiające spojrzenie ojca i wniebowziętą minę siostry.

Ewa szybko spuściła wzrok na własny talerz. Przez chwilę miała wyrzuty sumienia, ale ku jej zdumieniu ta mała katastrofa, którą spowodowała, tylko rozbawiła zebranych. Nie rozumiała ich komentarzy, jednak ton wypowiedzi był wyraźnie wesoły. Odetchnęła więc i obiecała sobie w duchu, że musi jakoś wynagrodzić Aleksandrowi tę sytuację.

– Zauważyłam, że szybko zaprzyjaźniłaś się z moim bratankiem. – Eliza przerwała jej rozmyślenia.

– Tak, to miły chłopiec, przypomina mi moich dawnych uczniów.

– Pracowałaś w szkole?

– Dużo by o tym mówić. – Machnęła ręką. – Aleks jest bardzo inteligentny i kontaktowy. Ma prawdziwy dar opowiadania i bardzo ładnie się wysławia po polsku – zmieniła temat.

– A zatem zwiedziłaś już galerię przodków?

– To ty wiesz?

– *Naturellement*<sup>[25]</sup>. Aleksander zabiera na takie wyprawy większość naszych gości.

Uwielbia opowiadać o historii, a co ważniejsze, sam lubi być w centrum uwagi. Obawiam się, że to jedna z jego głównych cech.

– Jeśli poprze ją solidną wiedzą, to wcale nie musi być wada.

– Właśnie z tą solidnością trochę u niego krucho. Najbardziej chciałby szybko i bez wysiłku stać się znaną osobistością. – Eliza uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Takim naukowym celebrytą.

– To typowe dla nastolatków, każdy chce być sławny. Ale myślę, że Aleks ma poważne plany na przyszłość. – Ewa podświadomie starała się bronić chłopca, którego już zdążyła polubić.

– Myślę, że on sam jeszcze nie wie, czego chce. Gdyby nie jego historyczne zainteresowania i całkowita pogarda dla współczesnej polityki, powiedziałabym, że zamierza zostać premierem.

– Premierem? Dlaczego nie prezydentem? – roześmiała się Ewa.

– Aleks uważa, że na historię świata nie mają wpływu władcy koronowani, tylko tzw. *éminences grises*<sup>[26]</sup>. Myślę, że w takiej roli czułby się doskonale – zażartowała Eliza. – Posiadałby władzę, informacje, jakich nie mają inni, i łaskawie kierowałby losami świata. A odpowiedzialność za niepowodzenia mógłby zrzucić na kogoś innego.

– Jest jeszcze dzieckiem. Dojrzeje i do odpowiedzialności.

– Też tak sędzę.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się na niego.

– Za co?

– Za ten nocny wypad. Może twoja babcia nie byłaby zadowolona.

– Nie przejmuj się drobiazgami. – Eliza szybko domyśliła się, o co chodziło. –

W naszej rodzinie nie ma takich tajemnic, które mógłby ci wyjawić Aleks. Obie z babcią bardzo się cieszymy, że choć on jeden interesuje się rodzinną przeszłością. No, może jeszcze Sophie. Chciałybyśmy tylko, żeby bardziej skupił się na zdobyciu wykształcenia niż na zabawach w detektywa.

– Ale on chce się kształcić! Tylko niepokoi go, że nie wszystkim podobają się jego zainteresowania. No wiesz, wasze rodzinne firmy to zupełnie inne dziedziny.

– Jego rodzice nie mają nic przeciwko temu, żeby wyrósł na porządnego historyka. A babcia chciałaby tylko, żeby zrozumiał, czym się różni rzetelna wiedza od sensacyjnych opowiadań. Dla niej przeszłość to zbiór trudnych zdarzeń – westchnęła.

– Ona wszystko traktuje zbyt poważnie i trzeba to uszanować.

Ewa pokiwała głową.

– Jasne. W takim razie Aleks niepotrzebnie obawia się waszych protestów?

– Oczywiście. Przecież nie wszyscy pracujemy w rodzinnych firmach, na przykład ja. To nasz przywilej, nie przymus.

– No tak, zapomniałam. A gdzie pracujesz?

– Poza tym, że pomagam babci, prowadzę terapię z dziećmi, które nie miały łatwego życia. Lubię to. Szczerze mówiąc... – zawahała się. – Kłopot polega na tym, że chciałabym połączyć swoją pasję z rodzinnym interesem, ale mam trochę inną koncepcję niż babcia.

– To znaczy?

– Później ci opowiem. Dojeżdżamy. – Eliza przyhamowała i włączyła kierunkowskaz.

– No właśnie, nie ustaliłyśmy żadnych szczegółów tej sesji. Jakie masz oczekiwania?

– To ty jesteś fachowcem. Ufam ci.

Stwierdzenie Elizy od razu przypomniało Ewie o pokładanych w niej nadziejach. Nie czuła się z tym zbyt pewnie.

– Na początku twoim obiektem będzie ta kwaciarnia – usłyszała. – Chcę ją odpowiednio wyeksponować, bo to oczko w głowie babci i nasza spuścizna po przodkach. Taki trochę... – Eliza zastanowiła się nad właściwym słowem – ...talizman, symbol naszej firmy.

– Jak to: symbol?

– Prowadzimy dość rozległe interesy. Zarabiamy głównie na lawendzie i winach, ale kwiaty to ważna tradycja naszej rodziny. Jesteśmy na miejscu. – Zaparkowała łagodnie przed budynkiem. – Oto królestwo babci Konstancji.

\* \* \*

Ewa wysiadła z klimatyzowanego samochodu i natychmiast oblał ją żar gorącego powietrza. W przewodniku, który czytała w samolocie, napisano, że klimat w Prowansji jest raczej łagodny, jednak oślepiające słońce i rosnący upał nie miały nic wspólnego z łagodnością. A południe miało dopiero nadejść.

„Widocznie przewodniki piszą tubylcy” – pomyślała rozbawiona, założyła okulary przeciwsłoneczne i ruszyła za Elizą.

Parking był nieco oddalony od budynku. Do kwaciarni prowadziła żwirowa ścieżka obsadzona klombami kwiatów i krzewami. Na dziedzińcu tryskała niewielka fontanna – urządzenie dość ekstrawaganckie jak na rejon, w którym nigdy nie skarżono się na nadmiar wody.

Ewa zatrzymała się urzeczona: na środku małego stawu znajdowała się śliczna



rzeźba baraszkujących w wodzie skrzydlatych dziewczynek o słodkich twarzyczkach, które natychmiast skojarzyły się jej z wizerunkiem słynnej wróżki na obrazie Sophie Anderson.

Szybko pstryknęła fotkę podręcznym aparatem i dogoniła Elizę.

– Więc to jest ta niezwykła kwiaciarnia – mruknęła do siebie.

Eliza jeszcze w drodze wyjaśniła jej, że kiedyś w tym miejscu, na skraju posiadłości stał domek zarządcy, który *grand-mère* kazała po wojnie podnieść z gruzów i przebudować.

„Domek” – pomyślała z przekąsem, przyglądając się rozłożystej parterowej willi o kamiennych ścianach porośniętych gdzieniegdzie winoroślą.

Duże czyste okna wyposażono w zielone okiennice, a nad wejściem lekko falowała na wietrze elegancka markiza. Do środka prowadziły szerokie, oszklone drzwi, nad którymi dumnie wisiał złoty szyld z nazwą: Chez Flora<sup>[27]</sup>.

Eliza, otwierając drzwi, poruszyła jakiś niewidoczny dzwoneczek, który delikatnym brzękiem oznajmił ich wejście. Ewa uśmiechnęła się, słysząc ten dźwięk. Przyszło jej do głowy, że staroświecki sposób zawiadamiania o wejściu klienta bardzo pasuje do tego miejsca.

Wnętrze ją zaskoczyło. Gdy później usiłowała odtworzyć je w pamięci, zdziwiła się, jak mało pamięta obrazów, a jak wiele zapachów.

Oślepiąca blaskiem rozprężonego słońca, początkowo niewiele zobaczyła w chłodnym przyciemnionym wnętrzu. Poczula jednak, że otoczył ją delikatny nieokreślony aromat wiosny.

Pierwsze pomieszczenie skojarzyło się jej z recepcją przytulnego pensjonatu: jasne meble o ciepłym beżowym odcieniu, pomalowane na biało drewniane boazerie, wysokie zielone rośliny doniczkowe, podwiązane złotymi sznurami kotary o lawendowej barwie i dominująca nad wszystkim woń kwiatów.

Na widok wchodzących kobiet zza kontuaru podniosła się uśmiechnięta młoda dziewczyna.

– *Bonjour, mademoiselle* Eliza<sup>[28]</sup>. Witam panie.

– Dzień dobry, Zosiu. Powierzam twojej opiece naszego gościa. Proszę spełnić wszystkie prośby pani Ewy, tak jak uprzedzałam.

– Oczywiście, proszę pani.

– Ty nie zostajesz? – spytała zaskoczona Ewa.

– Nie, muszę pojechać do moich dzieciaków. Zosia się tobą zajmie, jest Polką. Przyjeżdża do nas w każde wakacje, żeby zarobić na studia. Rozejrzyj się, a kiedy

skończysz, zadzwonią po samochód dla ciebie. Baw się dobrze.

Cichy dźwięk dzwoneczka przy drzwiach rozbrzmiewał jeszcze przez chwilę.

– Proszę usiąść. – Dziewczyna wskazała Ewie miękki fotel. – Zaraz ktoś się panią zajmie. Ja nie mogę opuścić swojego stanowiska. – Podeszła do kontuaru i zadzwoniła gdzieś. – Życzy sobie pani coś do picia?

– Nie, dziękuję.

Ewa delikatnie położyła na fotelu torbę ze sprzętem i dopiero w tej chwili zauważyła dwóch mężczyzn na sąsiedniej sofie: jeden przeglądał leżące na stoliku katalogi ze zdjęciami bukietów, drugi zatopił wzrok w swoim laptopie.

„Poczekalnia w kwiaciarni? Ciekawe” – pomyślała rozbawiona.

– *Bonjour*. – Usłyszała nagle za swoimi plecami śpiewny francuski akcent. – Jestem asystentką *madame* Constance. Czekaliśmy na panią.

Odwróciła się i ujrzała przed sobą kobietę w średnim wieku, ubraną w taki sam lekki zielony kostium jak Zosia.

– Zapraszam, pokażę pani serce naszej kwiaciarni, salę bukieciarek. *Suivez-moi s'il vous plaît*<sup>[29]</sup> – zachęciła uprzejmie kobieta, znikając w bocznym korytarzu.

Ewa pospiesznie ruszyła za nią. Korytarz z kilkorgiem zamkniętych drzwi nieoczekiwanie otworzył się na dużą, skąpaną w słońcu salę.

Wysokie, zaokrąglone u góry okna ciągnęły się po obu stronach pomieszczenia, więc światło swobodnie zalewało wnętrze, a widok pięknie utrzymanego ogrodu na zewnątrz przyciągał wzrok.

Pod oknami znajdowały się szerokie drewniane lady. Za nimi na specjalnych schodkowych podestach ustawiono potężne szklane wazony z mnóstwem kwiatów, eksponując ich barwy i różnorodność. Na półkach witryn piętrzyły się florystyczne akcesoria oraz dodatki potrzebne do układania i ozdabiania bukietów. Z sufitu zwisały stylizowane żyrandole, a lustra w staroświeckich ramach porozwieszano na ścianach w taki sposób, by dodatkowo optycznie powiększały pełne kolorów wnętrze.

Lekki wiosenny zapach unoszący się w poczekalni nabierał w tym miejscu intensywności przyprowadzającej o zawrót głowy i kojarzył się z dojrzałym, zmysłowym latem.

Wystarczył rzut oka, by Ewa pojęła, jaką funkcję pełni sala bukieciarek – przy każdej ladzie pojedynczo siedzieli klienci, a florystki stojące z drugiej strony rozmawiały z nimi i na ich oczach komponowały bukiety.

– Niezwykłość naszej kwiaciarni polega na indywidualnym podejściu do klientów – skomentowała asystentka. – Nie jesteśmy zwykłym *boutique de fleuriste*<sup>[30]</sup>. Naszym

celem jest nie tylko zadowolenie nabywcy, lecz także dotarcie do jego duszy.

– Nie rozumiem.

– Pierwszą rzeczą, jakiej *madame* Constance uczy nowe florystki, jest reguła: bukiet to nie tylko ozdoba, aranżacja czy naturalne dzieło sztuki; bukiet jest lekarstwem dla duszy, ma wywoływać uśmiech i koić smutki.

– Słyszałam, że kwiaty mogą przemawiać, ale żeby leczyły? – zażartowała Ewa.

– *Oui, bien sûr*<sup>[31]</sup> – przytaknęła kobieta. – Większości kwiatów przypisuje się konkretne znaczenia. W wiktoriańskiej Anglii na przykład nabrało to charakteru popularnego towarzyskiego flirtu, a bukiet mógł być czytany niemal jak list. Nam raczej zależy na wywoływaniu dobrych emocji u obdarowywanych osób – tłumaczyła nieco protekcyjnym tonem. – Proszę, może wejdziemy dalej, będzie pani mogła przyjrzeć się z bliska pracy naszych kwiaciarek.

– Czy one muszą mieć jakieś specjalne kwalifikacje, czy tylko talent?

Asystentka uśmiechnęła się dyskretnie.

– Oczywiście, że talent nie wystarczy. Nasze pracownice ukończyły najlepsze szkoły florystyczne w kraju. Są nie tylko wyjątkowymi projektantkami i artystkami. Dysponują olbrzymią wiedzą, biorą udział w międzynarodowych konkursach, niektóre z nich ukończyły nawet kursy feng shui i psychologii. Mają świetny kontakt z klientami, w ciągu krótkiej rozmowy są w stanie określić, jakie są prawdziwe oczekiwania i potrzeby rozmówcy.

– Nie sądziłam, że to takie skomplikowane. – Ewa poczuła się nieco oszołomiona.

– Praca w kwiaciarni Chez Flora jest przede wszystkim niezwykle prestiżowa. Nasza firma wygląda skromnie, ale opiera się na wielowiekowej wręcz tradycji. Jesteśmy czymś w rodzaju... *produit régional*<sup>[32]</sup>. Niektórzy klienci umawiają się na spotkania u nas dla czystej przyjemności i z dużym wyprzedzeniem. Wiedzą, że otrzymają usługę na najwyższym poziomie.

– Wydawało mi się, że kwiaciarnia nie prosperuje zbyt dobrze. – Ewa była wyraźnie zbita z tropu. – Przecież po to jest właśnie potrzebna reklama.

– Nie wnikam w szczegóły ustaleń właścicielek. – Asystentka wyraźnie ochłodziła ton. – Wysoka jakość musi jednak nieść pewne ograniczenia ilościowe, dlatego klienci indywidualni to raczej rodzaj hobby rodzinnego. *Madame* Constance bardzo tego pilnuje.

– Hobby?

– Z tego, co wiem, największe dochody przynosi obsługa dużych imprez oraz firm z okolicznych miast. Zamawiają u nas kompozycje kwiatowe do biur, hoteli czy

rezydencji. Mamy kilka filii, które właśnie tym się zajmują. Natomiast kupowanie tutaj na miejscu jest... jak by to powiedzieć... w dobrym tonie, takie *haute couture* kwiaciarstwa. Nasz bukiet to jak suknia od Diora. Każda kobieta będzie zachwycona, gdy otrzyma kwiaty z bilecikiem napisanym na naszym firmowym blankiecie.

– Ach tak.

– Czy chce pani wiedzieć coś jeszcze? – spytała, widząc, że Ewa mocuje obiektyw do korpusu aparatu.

– Nie, dziękuję. To na razie wystarczy. Mam już pewien pomysł na tę sesję. – Przesunęła wzrokiem po wnętrzu. – Chyba wiem, jak uwydatnić charakter tego miejsca, intymność, emocje... – Zamyśliła się.

– Będzie pani od razu fotografować? – zdziwiła się asystentka. – Myślałam, że to tylko wstępne rozpoznanie.

– Tego jeszcze nie wiem.

– W takim razie może potrzebuje pani asysty? Innego oświetlenia? Ale nasi klienci... – Kobieta rozejrzała się nieco bezradnie.

– Nie, tak jest doskonale – zaprotestowała Ewa. – Wykorzystam światło zastane. Będzie naturalnie, z ludźmi w kadrze, trochę reportażowo – tłumaczyła cicho, ale asystentka odniosła wrażenie, że mówi raczej do siebie niż do niej. – Twórca i dzieło, widz i dzieło.

– W takim razie nie przeszkadzam.

Zanim jednak asystentka zniknęła w korytarzu, odwróciła się jeszcze. Poprzednia ekipa fotograficzna zrobiła mnóstwo zamieszania: trzeba było zamknąć pracownię na kilkanaście godzin, odwołać umówione spotkania, poprzestawiać wiele sprzętów i przetrzymać po godzinach cały personel. Właścicielki nie były jednak zadowolone z efektów ich pracy.

Tym razem zamiast całej gromady ludzi na końcu sali stała niepozorna blondyneczka ze sporym aparatem w ręku. W krótkich spodenkach i z nieułożonymi włosami wyglądała zupełnie nieprofesjonalnie, niemal jak nastolatka, którą przez przypadek poproszono o pstryknięcie kilku fotek. Jednak wyraz jej twarzy sprawiał inne wrażenie: w niezwykłym skupieniu i z powagą przyglądała się wszystkiemu wokół, jakby chłonęła całą sobą to, na co patrzyła.

Ewa w tym czasie czekała na natchnienie. Przyjechała z zamiarem obejrzenia wnętrza i wykonania paru roboczych ujęć, aby sprawdzić warunki i zaplanować pracę. Jednak gdy poczuła znajome mrowienie w koniuszkach palców, wiedziała, że nie wolno jej tego zmarnować.

Dyskretnie zbliżyła się do jednego stołu i przez chwilę przyglądała się pracującej kobiecie: oceniała kształty i kolory, szukała ciekawej kompozycji dla kadru, obserwowała układ światła i cieni. Starła się rozsądnie ocenić warunki, ale czuła, że jak zwykle jej artystyczna dusza zwycięży z profesjonalizmem.

„Jaką historię chcesz mi opowiedzieć?” – spytała bezgłośnie, patrząc na powstający bukiet.

W takich chwilach Jurek śmiał się z niej, mówiąc, że przypomina jakiegoś telewizyjnego detektywa, który w skupieniu przygląda się miejscu zbrodni. Ewa lubiła kryminały, ale lekceważące komentarze Jurka sprawiały jej przykrość. Chciała, by rozumiał i szanował jej nowe zajęcie, tymczasem on śmiał się, gdy mówiła o fotografii jak o dziele sztuki. Uważał, że tylko świat dźwięków jest godny tego miana, reszta zaś zmysłów nadaje się co najwyżej do tworzenia sztuki użytkowej, produkowanej przez rzemieślników.

– Coś, co można dowolnie poprawiać w komputerze, nie jest sztuką – twierdził kpiąco. – Tylko instrument jest szczerzy, tu nie ma mowy o fałszu. Prawdziwa muzyka dociera do głębi duszy.

– Jestem więc fałszerzem rzeczywistości, tak? – irytowała się, a potem kłócili się do późnego wieczoru.

Ewa wolała myśleć o sobie jak o malarzu stojącym z zamkniętymi oczyma przed czystym płótnem, na którym za moment pojawi się zaskakujący obraz wydobyty z głębin wyobraźni artysty. Nie umiała namalować go pędzlem, ale bezbłędnie potrafiła odszukać obiektywem i uchwycić w kadrze to, czego nie dostrzegali zwykli ludzie.

Odetchnęła głęboko ciężkim od zapachów powietrzem. Zmrużyła oczy. Otaczał ją cichy gwar rozmów, szcęk nożyczek, szelest wstążek.

Florystka sprawnie przemieniała pojedyncze kwiaty w barwną całość. Ewa patrzyła w milczeniu na jej skupioną twarz o nieco meksykańskiej urodzie i wreszcie nacisnęła spust migawki. Karta pamięci aparatu zaczęła powoli, ale systematycznie wypełniać się obrazami.

Na pierwszy ogień poszły kwiaciarki: uśmiechnięte i poważne, rozmawiające z klientami, z rozmysłem dobierające elementy kompozycji, skupione, pochylone z błyskiem w oku nad swoją pracą, precyzyjne jak jubiler tworzący brylantowy naszyjnik.

Później w kadrze zaczęły się pojawiać kwiaty: dostojne róże, eleganckie lilie,



delikatne storczyki i orchidee, postrzępioneminiaturowe goździki, fiołki, margerytki i wiele innych, których Ewa nawet nie umiała nazwać.

Odnosiła wrażenie, że rośliny wręcz pozują, wabiąc ją różnorodnością kształtów i barw: począwszy od przezroczystej wątłej bieli przez ciepły pomarańczowy, pogodny róż, zmysłową czerwień i tajemniczy fiolet aż do radosnego błękitu, który nagle na tej samej gałązce stawał się poważnym odcieniem granatu.

Obrazy pochłonęły Ewę do tego stopnia, że nie zwracała uwagi ani na upływ czasu, ani na rozbawione spojrzenia zmieniających się klientów. Dystyngowani panowie i eleganckie kobiety, czasem jakiś młodzian w skórzanej kurtce motocyklisty czy młoda dziewczyna w bluzce z nieprzyzwoicie dużym dekoltem – wszyscy z życzliwością zerkali na cicho krążącą po sali kobietę z aparatem, najwyraźniej doceniając błysk artystycznego szaleństwa w jej oku.

– Widzę, że oddajesz się swojej pracy z autentycznym zamiłowaniem, moje dziecko – rozległ się nagle głos Konstancji. – To godne podziwu.

Mocno rozkojarzona Ewa, wyrwana z transu, wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się przepaszająco na widok starszej pani.

– Tak, wiem. Nie wygląda to zbyt profesjonalnie – przyznała. – Ale ja po prostu nie mogę się powstrzymać.

– To nie był zarzut. – Konstancja podeszła do jedyne wolnego stołu, skinieniem głowy witając się z pracownikami i klientami.

Odłożyła na bok laseczkę, wyjęła z szuflady długi, zielony fartuch z logo firmy, podobny do tych, jakie miały na sobie florystki, i przepasała się nim.

– Czytałam ostatnio biografię wielkiej polskiej aktorki, Heleny Modrzejewskiej... Naturalnie wiesz, o kim mówię, moje dziecko?

– Oczywiście.

– Tak więc Helena Modrzejewska nie została wielką aktorką, gdyby ograniczyła się tylko do techniki i sprawiania profesjonalnego wrażenia, jak zalecały ówczesne kanony sztuki teatralnej. By stać się kimś w swoim fachu, trzeba mieć talent, determinację do ciężkiej pracy i odrobinę szaleństwa w duszy. I ty to masz.

– Dziękuję. – Ewę zaskoczył niezwykle komplement i natychmiast pożałowała, że jej szef nie mógł tego usłyszeć.

Na salę wkroczyła asystentka Konstancji, a za nią kilku pracowników niosących naręczą świeżych kwiatów.

– Zostawcie to tutaj – poleciła starsza pani. – *Merci*<sup>[33]</sup>. Moja wnuczka prosiła, abym pozwoliła się sfotografować przy kwiatkach – wyjaśniła. – Właśnie jest okazja, bo raz

w tygodniu sama układałam świeże bukiety do naszego domu i do kaplicy.

– Do kaplicy?

– Aleksander nie pokazał ci jeszcze całej posiadłości? W takim razie poproszę, aby naprawił to niedopatrzenie. Galeria przodków nie jest jedynym ciekawym miejscem.

Ewa, chcąc ukryć zmieszanie, sięgnęła do torby ze sprzętem. Tym razem chciała zrobić lepsze wrażenie. Zanim starsza pani przygotowała sobie miejsce pracy, Ewa zamontowała jeden z aparatów na statywie, oceniła światło, z namysłem wybrała parametry, a nawet bez słowa wyjaśnień poprzesuwała przedmioty na ladzie i ustawiła swoją modelkę w nieco lepszej pozycji, wywołując tym rozbawiony uśmiech na twarzy Konstancji.

– Czy jesteśmy gotowe, moje dziecko? – Głos starszej pani brzmiał ciepło i życzliwie.

Skupiona Ewa tylko kiwnęła głową. Przez chwilę przyglądała się płynnym ruchom pomarszczonych dłoni, które z gracją zaczęły tworzyć pachnące kompozycje. Nie musiała czekać na natchnienie. Wiedziała dokładnie, jak chce sportretować Konstancję – w klimatycznej, ciepłej sepii.

---

[24] Owoc (fr.).

[25] Naturalnie, oczywiście (fr.).

[26] Szare eminencje (fr.).

[27] U Flory (fr.).

[28] Dzień dobry, panno Elizo (fr.).

[29] Proszę za mną (fr.).

[30] Kwiaciarnia (fr.).

[31] Oczywiście (fr.).

[32] Wyrób regionalny (fr.).

[33] Dziękuję (fr.).

## Rozdział 4

### Środa

*Jurku,*

*dlaczego nie odpisujesz na moje wiadomości? Wysłałam Ci wczoraj chyba dwadzieścia esemesów. Martwię się. Czy coś się stało?*

*Jest czwarta rano. Piszę, bo znowu nie mogę spać. Nawet nocą jest tu gorąco, a przez klimatyzację ciągle chce mi się pić. Może dlatego męczą mnie sny? Kiedy się budzę, nic nie pamiętam, ale czuję się zmęczona i zdenerwowana. Nie wiem, jak oni wytrzymują te temperatury. A to nawet nie jest środek lata.*

*Nie będę jednak narzekać, w końcu to przygoda mojego życia. Wszyscy są zresztą bardzo mili i ogólnie jest wspaniale, tylko chwilami ogarnia mnie dziwny nastrój.*

*Otoczenie jest tak piękne, że niemal cukierkowe, a nie widziałam jeszcze wszystkiego. Na posiadłość składa się rezydencja, olbrzymi park, basen, kort tenisowy, tarasy i mnóstwo przestrzeni. Prawdziwe luksusy. Szkoda, że nie ma Cię tu ze mną. Myślę, że Prowansja by Ci się spodobała. Kiedyś na pewno przyjedziemy tu razem.*

*Dlaczego właściwie nie odbierasz moich telefonów? Jesteś aż tak zapracowany? Jeśli komponujesz, to cudownie, ale odezwij się, proszę.*

*Mam nadzieję, że już przestałeś się na mnie dąsać. Naprawdę miałam tylko jeden wieczór na przygotowanie się do wyjazdu, nie mogłam się z Tobą zobaczyć. Mnie samą bardzo to zaskoczyło. Rozumiesz chyba, że nie przyjechałam tu na wakacje, tylko do pracy? Nie miałam wpływu na termin wyjazdu.*

*Jeszcze raz Cię przepraszam, że nie mogłam być na Twoim występie na rynku, ale trudno mi uwierzyć, że naprawdę o to się obraziłeś.*

*Czy tylko ja mam wrażenie, że ostatnio coraz mniej się rozumiemy? No cóż, to nie jest sprawa do wyjaśnienia przez e-mail. Porozmawiamy, gdy wrócę, jednak odpisz choć kilka zdań albo zadzwoń jak najszybciej, bo się martwię.*

*Ewa*

Dłoń wyciągnięta nad klawiaturą zawisała w bezruchu. Kobieta westchnęła. Chciała dopisać „tęsknię”, ale nie wiedząc czemu, zrezygnowała.

Ostatnio wyraźnie się im nie układało. W jakimś momencie w ich związku zapanowała dziwna atmosfera, lecz Ewa nie umiała sprecyzować, kiedy i dlaczego to się właściwie stało. Coraz mniej ze sobą rozmawiali – zabiegani, zajęci pracą. Na dodatek posprzeczali się przez telefon tuż przed jej wyjazdem. Czuła, że jak każdej mądrej kobiecie powinno jej zależeć na udobruchaniu swojego mężczyzny, nie miała jednak na to ochoty. Rozczarowanie i zniechęcenie wzięło górę.

„Powinnam coś zrobić – przekonywała się w myślach bez entuzjazmu. – Ale denerwuje mnie, że jest ostatnio taki niedostępny, zdystansowany! – Zagryzła wargę. – Muszę wszystko przemyśleć, bo znowu coś palnę bez sensu”.

Kliknęła „wyślij” i smętnie zapatrzyła się w park widoczny przez otwarte okno.

Zieleń drzew właśnie ożywała w świetle wschodzącego słońca. Ewa lubiła poranki, a w rezydencji miały one swój własny rytm, niemal melodię, którą szybko nauczyła się rozpoznawać: na początku budził się park, alarmując ptasim śpiewem w koronach drzew; potem rozlegał się odgłos podjeżdżających na parking samochodów, z których wysiadali pracownicy i dostawcy; później na parterze zaczynały się ciche rozmowy, rozlegały odgłosy kroków, aż wreszcie na piętrze trzaskały jakieś drzwi i po schodach zbiegały dziewczynki, z radosnym piskiem pędząc za szczekającym psem. Wtedy dopiero zegar na jej kominku melodyjnie wybijał ósmą godzinę i przypominał, że Ewa znów będzie ostatnia na śniadaniu.

Te odgłosy przypominały jej trochę Polskę i własny dom rodzinny, który też tak leniwie i spokojnie budził się latem ze snu. Nawet odbijające się echem po parku szczenie kudłatej czarnej bestii, którą nie wiadomo dlaczego nazwano po angielsku Lucky, przyjemnie kojarzyło się jej z psem Guzikiem biegającym o poranku po mikroskopijnym ogródku w czasach jej dzieciństwa.

Tym razem jednak nie czuła radości z budzącego się dnia.

– Cholerka! Tkwę w tym cudownym luksusie i wreszcie robię to, o czym marzyłam, ale zamiast się cieszyć, siedzę i użalam się nad sobą – szepnęła zniechęcona.

Odsunęła krzesło od biurka i podeszła do okna. Firanka poruszona lekkim powiewem delikatnie połaskotała ją w policzek.

„To wszystko przez Jurka! – pomyślała ze złością. – Zachowuje się jak dzieciak! Dlaczego właściwie pozwalam mu wbijać się w poczucie winy? Bo nie mogłam oklaskiwać jego występu? Bo nie zdążyłam się z nim pożegnać przed wyjazdem? Czy dlatego, że on nie mógł przyjechać ze mną do tego cudownego miejsca? Ależ ja jestem głupia! – zżymała się w myślach. – Właśnie, że czuję się tutaj jak na urlopie i świetnie

się bawię!”. Tupnęła nogą.

– Skoro on nie chce się odzywać, to trudno. Nie będę się przejmować! – rzuciła buntowniczo na głos, sięgając po szklanę z wodą mineralną.

Wypiła ją duszkiem i oklapła. W milczeniu patrzyła na przejrzyste krople wody ściekające wolno po szkle na dno naczynia.

– Nie, to nie przez Jurka. W każdym razie nie tylko przez niego. Cholera jasna! – zaklęła cicho.

Przez chwilę spacerowała po saloniku zdenerwowana i rozstrojona. Kiedy jej spojrzenie padło na wiszące nad kominkiem lustro w barokowych ramach, przypomniało się jej tamto przyzywające zielone spojrzenie z portretu w galerii przodków. Zmarszczyła brwi.

– Co mi jest? Co się ze mną dzieje? – wyszeptała do zmartwionej piegowatej kobiety w lustrze.

\* \* \*

– To zabawne jest, ale ja *absolument*<sup>[34]</sup> nie znam się na produkowanie wino. – Sophie uśmiechnęła się rozbrajająco. – Wiem tylko, które mnie lubi... które ja lubi – poprawiła się. – Ale mój mąż powiedział, że ja dobry prawnik jestem i *grand-mère* Constance dała dla mnie praca we firmie.

– Ja też się nie znam na winach, ale to jest pyszne! – Ewa podniosła kieliszek. – Jakby śliwkowe? – Przyjrzała się głębokiej barwie. – Ale tamto różowe też było dobre.

Siedziały na zacienionym tarasie i rozkoszowały się chłodnym trunkiem, który przed chwilą przyniósł im jeden z pracowników winnicy. Ewa wyciągnęła się wygodnie i westchnęła z uśmiechem, czując, że ogarnia ją przyjemne uczucie rozleniwienia, tak charakterystyczne dla tutejszych godzin sjesty.

Słońce dotarło właśnie do najwyższego punktu na niebie i nawet drżące powietrze zdawało się zasypiać w tym upale.

– W moje wino wanilia jest na pewno – stwierdziła Sophie.

– No, ja się nie mogę wypowiedzieć – burknął Aleks popijający obok nich sok. – Prababcia nie pozwala nam nawet próbować, choć nie jesteśmy już dziećmi!

– I bardzo słusznie. Nie powinienes się zbyt spieszyc do dorosłości, bo odkryjesz, że jest bardziej pokręcona niż...

– Niż życie nastolatka? – przerwał Ewie niezbyt grzecznie. – Nie sądzę. Wiecie co, mam już dość na dzisiaj tej wyprawy, wracam do domu. – Zerwał się z ławki i pomaszerował w kierunku parkingu.

Ewa chciała iść za nim, ale Sophie ją powstrzymała.



– Zostań, tam kierowiec odwiezie go do dom i wróci do nas. On nie lubi tutaj być, bo ojciec go może zobaczyć – wyjaśniła, a Ewa przez chwilę poważnie zastanawiała się, dlaczego starszy miły pan, pracujący jako rodzinny szofer, miałby się bać swojego ojca.

Dopiero po kilku sekundach uświadomiła sobie, że Sophie miała na myśli Aleksa i jego ojca, a ona po raz kolejny dała się złapać w pułapkę fascynująco nowatorskiej wersji języka polskiego. Uśmiechnęła się nieznacznie.

– On uczyć ma się w wolne chwile, bo w szkoła miał coś bardzo źle – ciągnęła Sophie. – I ojciec go sprawdza z tego.

– Przecież są wakacje – bąknęła Ewa.

Poczuła się niepewnie, bo to ona namówiła chłopca, by towarzyszył im podczas zwiedzania winnic.

Chwilowo miała dość siedzenia przed komputerem i rozmyślenia o Jurku, więc postanowiła pokręcić się z aparatem po okolicy, by lepiej poznać to miejsce. Aleks dał się namówić bez problemu, ale mina mu nieco zrzedła, kiedy się okazało, że Sophie właśnie zrobiła sobie wolny dzień i chciała jechać z nimi. Wolałby mieć gościa tylko dla siebie, a przy okazji popisać się wiedzą zaprogramowaną w nim niemal genetycznie. Wcale nie musiał interesować się pracą swojej rodziny – o winoroślach i tak wiedział niemal wszystko. Niestety, w pęczniejącym skwarze fotograficzna wyprawa przerodziła się w babskie ploteczki, więc chłopcu trudno było ukryć rozczarowanie.

Ewa natomiast jak zwykle zachwycała się wszystkim. Miękkie, faliste linie zielonych rzędów winorośli, rysujące się na zboczach wzgórza, z daleka w zabawny sposób kojarzyły się jej z wielką grządką, po której ktoś fantazyjnym ruchem przeciągnął grabkami. Z bliska krzewy nabierały odpowiednich rozmiarów i tworzyły pachnące, zielone szpalery ciągnące się daleko przed siebie.

Ewa zrobiła sporo ciekawych zdjęć: najpierw, jeszcze z daleka, uchwyciła panoramę całej winnicy wraz ze wzgórzami na horyzoncie; później sportretowała ludzi pracujących zarówno wśród winorośli, jak i przy kamiennych budynkach obok parkingu; na koniec wciągnęły ją zbliżenia krzewów i winogron na tle lazurowego nieba.

Jednak po jakimś czasie poczuła się znużona jednostajnie pocztówkowym pejzażem, więc ukradkiem schwyciła w obiektyw nadąsanego Aleksa i uśmiechającą się spod wielkiego kapelusza Sophie. Francuzka wyczuła, że gość jest już wyraźnie zmęczony. Skinęła na Ewę i zaprowadziła ją do fabryczki, aby zaprezentować chłodne piwnice z wielkimi, dębowymi beczkami.

– Sądziłam, że prowadzicie tu produkcję na dużą skalę, a tymczasem to raczej mały

rodzinny biznes – stwierdziła Ewa, rozkoszując się chłodem długiej piwnicy, w której leżało wino.

– Nie jesteśmy wyjątkiem – powiedział Aleksander, nie ruszając się ze schodów. – Takich winnic jest w naszym regionie więcej. Mój ojciec twierdzi, że nasze wino dzięki połączeniu nowoczesnej myśli z tradycją ma naprawdę dobrą markę. Kiedyś wuj Teodor miał dziwny pomysł, żeby przestawić się na oliwki, ale prababcia nawet nie chciała o tym słyszeć. Z winnicy żyje większość naszej rodziny.

– Myślałam, że to należy do pana Teodora, a kwiaciarnie do Elizy i pani Konstancji.  
– Ewa wyglądała na zdezorientowaną. – On nie może sam decydować o losach winnicy?

Sophie zdawała się nie słyszeć pytania, zajęta przyglądaniem się butelkom, które przynosił jej pracownik.

– Nie wiem do końca, ale zdaje mi się, że ciągle wszystko należy do prababci, a tylko zyski są jakoś tam dzielone, bo każdy ma swoje udziały i pensję.

– To jakie w końcu macie te rodzinne interesy? Bo się pogubiłam.

– No, są winnice, uprawa lawendy i kwiaciarnie. Zgodnie z tradycją winnicę prowadzi najstarszy męski przedstawiciel rodu, czyli po Teodorze przeszłaby chyba na mojego dziadka Walerego... – Chłopak zamyślił się przez chwilę.

– To coś jak ordynacja rodowa?

– Co takiego?

– Nie wiesz? Musisz zajrzeć do książek. To wiedza z twojej dziedziny – podpuściła chłopca.

Skrzywił się.

– Gadasz jak ojciec.

– Kiedyś może ty zostaniesz najstarszym mężczyzną w rodzinie, więc powinieneś wiedzieć – zaśmiała się.

– Ciocia Sophie jest u nas prawnikiem. Ona się zna – skwitował.

– Tak? Ja coś znam? – wtrąciła się Sophie.

Ewa skorzystała z okazji.

– À propos, może wy mi wyjaśnicie sytuację. Eliza przywiozła mnie tutaj, bo chce poprawić sytuację firmy. Ale ja nie do końca rozumiem wasze kłopoty finansowe – powiedziała trochę speszona. – Ciągle mam wrażenie, że chodzi o coś więcej niż reklama kwiaciarni, i to mi przeszkadza pracować. Nie wiem, czemu mają służyć moje zdjęcia, a Eliza ciągle mnie zbywa. Czy to jakiś sekret?

Nastolatek wymienił z ciotką porozumiewawcze spojrzenie.

– Może ja wyjaśnię. Jestem trochę dłużej w tej rodzinie – stwierdził, a Sophie

podziękowała mu wzrokiem. – Właściwie to żaden sekret. Z tego, co wiem, Eliza chce zmian, które nie podobają się prababci. Ona jest kochana, ale...

– Ale?

– Nie rozumie, że żyjemy w innych czasach. Na wszystkim chce oszczędzać. Była wściekła, kiedy Stefan stracił swoje pieniądze na giełdzie. I chyba uważa, że bez niej z niczym sobie nie poradzimy.

– Jest ostrożna tylko. Lubi sama *contrôler*<sup>[35]</sup>. – Sophie próbowała bronić starszej pani, ale nastolatka znudziły te rozważania.

– E tam! – Machnął ręką. – Chodź, Ewa, pokażę ci najstarsze roczniki naszych win. Zawsze to coś historycznego. – Pociągnął ją w głąb piwnicy.

Kiedy wyszli z przyjemnie chłodnych podziemi, Sophie zaproponowała małą przekąskę i degustację win, które sama wybrała. Ewa nie mogła sobie odmówić tej przyjemności, tym bardziej że już dawno burczało jej w brzuchu. Aleksander również wyglądał na zadowolonego. Jednak gdy na zacieniony taras podano jedynie przekąski w postaci plasterków aromatycznej suszonej kiełbasy, oliwek, surowych warzyw i plastrów pasztetu z zająca, chłopiec zupełnie stracił zainteresowanie wycieczką.

– Chyba się na nas nie obraził? – zmartwiła się Ewa.

– Aleks? Ty nie przejmuj się. On lubi w środku uwagi być, a dzisiaj nie jego dzień jest. Coś z ojcem rano *se sont disputés*<sup>[36]</sup>. Napij się.

– No tak, Eliza też mi to mówiła. A skoro już o piciu mowa...

– *Oui?*

– Jestem tu już parę dni i zauważyłam, że nigdy nie podajecie wina do posiłków. Może jestem w tej kwestii ignorantką, ale zawsze myślałam, że we Francji to norma.

Sophie zmieszała się nieco. Odstawiła na stolik prawie nietknięty kieliszek.

– Ty widzisz, Ewa, w ta *famille* wszystko wydawa się takie proste, ale każdy ma swojego problema. Powiem tobie, bo pomyślisz, że coś dużego się ukrywa, a to nieprawda. Tylko nie mów głośno.

– Jasne.

– Teodor miał kiedyś pierwszą żona.

– Słyszałam. I co?

– I ona nie była dobra. Mój mąż nie mówił dużo, ale że oni ciągle o pieniądze kłócili się. Mieli na koniec *divorce*<sup>[37]</sup>. Ale Teodor chyba kochał żona bardzo i zaczął... *se souler*<sup>[38]</sup>. Nie tak zwyczajnie, wiesz, tylko tak niedobrze. Ty rozumiesz?

– Tak, mieszkam w Polsce i niestety wiem, co to znaczy „pić niedobrze”.

– *Oui* – szepnęła lekko zawstydzona. – I wtedy Constance zrobiła awanturę jemu, że

niszczy dobra pamięć o swoim ojcu. I narada rodzinna była, i kazali mu przysięga dać.

– Że nie będzie pił?

– I pomogli jemu, więc teraz nikt w dom nie pije *le vin*. Żeby było wsparcie pokazane.

– Ale przecież on prowadzi winnicę! – Ewa była zdumiona – Gdyby chciał, to i tak znalazłby okazję.

– Od kiedy ja tu jestem, nigdy nie widziała Teodor *se souler*. On ma siła.

– Coś takiego! Ale skoro rodzina jest taka zgrana, może było mu łatwiej.

– Zgrana?

– No, czyli taka... *loyal, solidaire*<sup>[39]</sup>. – Ewa wykrzesła z siebie odrobinę francuszczyzny.

Sophie się zadumała.

– Ty nie wierz w taki obraz kolorowy – mruknęła z troską. – Każda *famille* ma swój kłopoty, kłótnie. My też. Trzeba tylko nie dać się smutkom i myśleć, że będzie lepszej.

\* \* \*

*U mnie wszystko OK, ale nie mam czasu na pogaduszki, bo szukam nowej pracy. Przez ciebie mam już dość kłopotów w tej głupiej szkółce. Zresztą na pewno jesteś BARDZO zajęta, więc nie musisz tracić na mnie cennego czasu. Jurek*

Zdumiona Ewa bezmyślnie wpatrywała się w ekran telefonu. Miała tak dziwną minę, że zaniepokojona Sophie dotknęła lekko jej ramienia.

– Ty się dobrze poczujesz, Ewo?

– Co? A tak, w porządku. Przepraszam, zamyśliłam się – skłamała.

Szybko schowała telefon i odwróciła głowę, udając, że ogląda krajobraz za szybą samochodu.

Nie czuła się dobrze. Miała paskudne wrażenie, że właśnie ktoś ją spoliczkował. Tych kilka zaskakujących zdań w esemesie spowodowało, że w głowie miała kompletny chaos.

„Co to znaczy, że przeze mnie Jurek szuka nowej pracy? I skąd ten sarkastyczny ton? Cholera, zwariuję przez tego faceta!... Tylko spokojnie. Nie dam mu się wciągnąć w te gierki” – rozmyślała zdenerwowana.

– Na pewno dobrze jest? Nie widać po tobie. Jakaś zła wiadomość?

– Nie, właściwie nie. Później się tym zajmę. – Rozkojarzona kobieta usiłowała się

uspokoić i szybko znaleźć inny temat rozmowy. – Wiesz co? Już dawno chciałam spytać, czemu jedna z dziewczynek Stefana ma takie niecodzienne imię. Aristeia to chyba nie jest francuskie słowo?

– Nie, to greckie jest.

– Greckie? Dlaczego?

– Ari ma imię po jednej babce, a Blanche po drugiej. Stefan znalazł swoją żonę w Grecji. Helena jest córką produkcji wina stamtąd i tak się poznali.

– Poczekaj, nic nie rozumiem. Córką...? Chcesz powiedzieć, że Helena, matka dziewczynek, jest Greczynką i córką producenta wina?

– *Mais oui.*<sup>[40]</sup>

– Ach tak.

– Tam też bardzo tradycje są ważne, więc oni po babka i dziadek dają imię – tłumaczyła dalej Sophie. – A tu *les jumelles sont nées*<sup>[41]</sup> i dwie babki szczęśliwe były z imion. I nie było kłótni.

– To dobrze – stwierdziła Ewa bez entuzjazmu.

– A czemu teraz ty pytasz mnie?

– Bez powodu, po prostu mnie to interesowało. Codziennie rano dziewczynki budzą mnie, kiedy biegną na śniadanie, a ciągle zapominałam o to spytać – wyjaśniała nieco mętnie.

Sophie nie wydawała się przekonana. Spoglądała na Ewę zmartwiona.

– *Qu'est-ce qui se passe?*<sup>[42]</sup> – wyrwało się jej, gdy samochód gwałtownie zahamował na tylnym dziedzińcu.

Kierowca tylko wskazał ręką na maskę – nie mógł podjechać dalej na parking, bo został skutecznie unieruchomiony przez Lucky'ego. Mimo upału olbrzymi pies nie pożałował energii: sumiennie obszczekiwał auto, biegając wokół.

– Nie bój się, Ewa. Chodź. – Rozbawiona Sophie wysiadła i pogłaskała wielkie, kudłate zwierzę. – On cię lubi.

– Ja też go lubię, ale z daleka. Możesz nad nim jakoś zapanować?

– Bez problemu.

Wystarczyła jedna komenda po francusku, by pies posłusznie zniknął gdzieś w głębi parku. Dopiero wtedy Ewa wygramoliła się z auta.

– A co to za dźwięk? – spytała zaintrygowana, zatrzymując się na schodach. – Ktoś ścina drzewa w tym upale?

– *Ah, ce bruit?*<sup>[43]</sup> To tylko *cigales*<sup>[44]</sup>. Ty już je słyszała. Grają zawsze, gdy gorąco jest.



– Cykady? – Ewa pokręciła z niedowierzaniem głową.

Słyszała już ten lokalny „owadzi śpiew”, gdy pojechała z Elizą do kwiaciarni. Wtedy wydawał się jej równie nastrojowy co dźwięki polskich świerszczy. Jednak to, co brzęczało natarczywie w gorącym powietrzu, przypominało raczej zepsutą piłę spalinową lub starą kosiarkę do trawników, a nie romantyczne brzmienie natury.

– To jakiś harmider. – Uśmiechnęła się nieznacznie, zapominając o przykrym esemesie. – Skąd to właściwie dobiega?

– Na pewno blisko gdzieś są. – Sophie rozejrzała się uważnie dookoła.

Uznała, że gość z Polski ma prawo dziwić się takiej zwyczajnej rzeczy jak *cigales*, więc pełna życzliwości wyciągnęła dłoń w kierunku olbrzymiego płatana na skraju dziedzińca.

– O, ty widzisz? Tam.

Nie podejrzewając niczego, Ewa spojrzała w kierunku drzewa, pod którym ustawiono drewnianą ławeczkę. Przez chwilę nie dostrzegła nic szczególnego. Dopiero gdy wyteżyła wzrok, zorientowała się, że pień drzewa dziwnie się porusza i połyskuje. Popatrzyła jeszcze uważniej i nagle oczy rozszerzyły się jej ze zgrozy.

– O matko! – jęknęła. – Te wielgachne brązowe robale to mają być wasze słynne cykady? Fuuuj!

Sophie roześmiała się na widok pełnej obrzydzenia miny Ewy.

– Ty jesteś taka zabawna!

– Błagam cię, chodźmy stąd! Nie mogę na to patrzeć.

Niemal wbiegła po schodkach do wnętrza, ale szczery dźwięczny śmiech Sophie był tak zaraźliwy, że i Ewa poweselała.

– Po co mi to pokazałaś? – marudziła jeszcze komicznym tonem. – Teraz będę się bała przejść pod tym drzewem. I na pewno to paskudztwo przyśni mi się w nocy. Brrr! Chyba straciłam apetyt.

– To szkoda wielka. – Sophie usiłowała przybrać poważną minę, bez rezultatu. – Czujesz aromat z kuchni?

Ewa stanęła w korytarzu i pociągnęła nosem.

– Mięsko? – ucieszyła się. – Pięknie pachnie.

– Pytałam rano. Powiedzieli, że będzie króliki i szlimaki.

– Co? Ślimaki? Jeszcze tego mi dzisiaj brakowało.

---

[34] Absolutnie (fr.).

[35] Kontrolować, dopilnować (fr.).

[36] Pokłócił się, posprzeczał (fr.).

[37] Rozwód (fr.).

[38] Upijać się (fr.).

[39] Lojalna, solidarna (fr.).

[40] Oczywiście (fr.).

[41] Bliźniaczki się narodziły (fr.).

[42] Co się dzieje? (fr.).

[43] Ach, ten hałas? (fr.).

[44] Cykady (fr.).

## Rozdział 5

### Piątek

*Cześć, Siostra,*

*jak Ci leci w tej Francji? Napisz coś więcej i prześlij jakieś foty, bo rodzinka usycha z ciekawości.*

*U nas wszystko OK. Będziemy mieć w sobotę niezły ubaw. Wreszcie zakończyła się sprawa spadku po ciotce Eugenii i podobno możemy w końcu odebrać to, co zostało po spłacie jej długów. Dorwiesz się w końcu do tego tajemniczego kufierka, który Ci zostawiła. Oczywiście rodzina kipi od emocji, więc właściwie Ci zazdroszczę, że omija Cię ten cały harmider. Wiesz, u nas jak zwykle: Matula zawzięcie sprząta, piecze placki i lepi pierogi na kolejny spęd rodzinny. Znowu będzie pełna chałupa ludzi, jak na Boże Narodzenie. Wyniósłbym się tym razem do Leszka, ale co na to powie nasza ulubiona bratowa?*

*Najchętniej wynająłbym jakąś samodzielną kawalerkę, tak jak ty, ale wiesz, jak jest – bida z nędzą. Muszę poczekać do końca studiów i znaleźć porządną robotę. Trochę zazdroszczę Ci tego wyjazdu, też bym chętnie zarobił grubszą kasę. Ale do mieszkania w pałacu lepiej się nie przywiązuj ☺. Po powrocie do swojej klitki możesz doznać szoku.*

*A przy okazji, czy Ty dobrze pilnujesz swojego faceta? Spotkałem go wczoraj przypadkiem w pubie. Siedział tam z niezłą laską. Trochę był zażenowany, kiedy mnie zobaczył, ale mówił, że to koleżanka z pracy. Uprzejmie donoszę, Siostra, że ja się tak dobrze nie bawię z koleżankami ze studiów. Wiem, że to nie mój biznes, ale lepiej z nim pogadaj, zanim ja to zrobię.*

*Trzymaj się i nie pracuj zbyt ciężko w tych pięknych okolicznościach przyrody. Że też Ci się trafiła taka fucha! Ty to masz szczęście.*

*Brat*

*Hejka, Michasiu,*

*wszystko leci dobrze. Prowansja piękna, gorąca i smakowita, ale przede wszystkim pachnąca. I upalna. Zaprzyjaźniam się powoli z rodziną Elizy. To równie fascynujące osobowości, jak w naszym klanie, tylko charaktery mają tu wszyscy jakieś łagodniejsze, nigdzie się zbyt nie spieszą i dużo się uśmiechają. To pewnie kwestia klimatu. Dowiaduję się ciekawych rzeczy, zbieram doświadczenia, zapisuję w pamięci i na zdjęciach. Masa wrażeń.*

*Jednak z drugiej strony wszystko tu jest tak malownicze, że aż wydaje się nieprawdziwe, nawet niebo w tym absurdalnie szafirowym kolorze. Jako fotograf powinnam być zachwycona, bo zdjęcia wychodzą niesamowite (przesyłam kilka w załączniku), ale nawet nie wiesz, jak bardzo mi brakuje naszych polskich obłoków! Chyba odkryłam w sobie jakiś pokręcony patriotyzm.*

*Praca jest świetna. Wreszcie nikt mi nie ślęczy nad głową, choć szef naturalnie już dzwonił, żeby zapytać o efekty i sprawdzić, czy nie zniszczyłam cennego sprzętu. Potem zadzwoniła Jola i opowiadała, że musiała go ustawić do pionu. Marudził podobno, że to przez nią powierzył tak ważne zlecenie niedoświadczonemu pracownikowi. Zazdrośnik. I tak nie miał wyboru, ale pewnie Jacuś go podpuszcza, by mi uprzykrzał życie. Nic z tego, nie dam się!*

*Zamierzam posłać szefowi materiały dopiero po wstępnym zaakceptowaniu ich przez Elizę, na razie zatem musi jakoś wytrzymać. Może w końcu nauczy się, że też jestem godnym zaufania fachowcem.*

*Od poniedziałku zrobiłam już kilka sesji i mam mnóstwo materiału, więc muszę się wziąć do porządnej selekcji, żeby to jakoś ogarnąć. Nie chcę zawieść Elizy, tym bardziej że praktycznie nie wtrąca się w to, co robię. Powiedziała tylko: „Fotografuj wszystko, nie wiadomo, co się może przydać”. I tyle. Marne wskazówki do pracy, ale staram się kierować intuicją, bo przecież logiczne, że nie chodzi jej o zdjęcia do pamiątkowego albumu, tylko biznesowe.*

*Przy okazji oczywiście wypoczywam i zwiedzam. W środę Aleksander, bratanek Elizy, i jego nowa ciotka (czy raczej stryjenka?) Sophie pokazywali mi rodzinne winnice. Spodobałoby Ci się w ich winiarni: długachne piwnice z olbrzymimi dębowymi beczkami, butelki z winem, specyficzny zapach starego drewna, ziemi i czegoś jeszcze...*

*Tak, degustowałam ich wina, i są pyszne. Oczywiście, że Ci coś przywiozę – z góry odpowiadam na Twoje pytania. ☺*

*Ech, mogłabym chyba tak żyć. Na początku zmyliły mnie opowieści Elizy o kłopotach finansowych. Teraz widzę, że raczej miała na myśli brak odpowiednich zysków. Utrzymanie takiej posiadłości musi sporo kosztować, a nasze polskie problemy (czy*

wystarczy z pensji na rachunki albo na porządne buty na zimę) są śmiechu warte! To zupełnie inny świat.

Opływam tu w luksusy, choć oni uważają to za zupełnie normalne. Zresztą dom z basenem ma co druga rodzina, to chyba wynika z klimatu. Jest faktycznie upalnie, ale mają pyszne jedzenie i mnóstwo świeżych owoców oraz warzyw, które na dodatek umieją świetnie przyrządzać. Tutaj nawet zwykły lunch to ucza.

Jeśli chcesz, na przyszłe wakacje załatwię Ci tu pracę. Zatrudniają sezonowo wielu studentów z zagranicy, bo pani Konstancja uważa, że trzeba pomagać młodym ludziom. Spotkałam już kilka osób z Polski i z innych krajów. Podobno tylko niemieckojęzycznych nacji nie przyjmują. Coś mi tam Aleks mruczał tajemniczo, że pani Konstancja nie lubi tego języka i ma swoje powody. Trochę się na początku zdziwiłam, bo ona nie wygląda na kogoś, kto ma jakiegokolwiek uprzedzenia. Później jednak przypomniałam sobie naszą kochaną babcię Urszulę i jej poglądy na temat Rosjan, i już o nic nie pytałam.

Mam dziwne przeczucie, że jeszcze nie wszystko tu odkryłam, a wiesz, że lubię włączyć tam, gdzie nie trzeba. Chwilami mam nieprzepartą chęć, by dowiedzieć się czegoś więcej o historii tego miejsca, i to nie tylko dlatego, że im więcej wiem, tym lepiej mogę to wykorzystać na zdjęciach. Może to wpływ Aleksa? Ten chłopiec umie zaciekawić i wprawia mnie w dobry nastrój, nawet kiedy się dąsa, jak każdy nastolatek. W tym przypomina mi Ciebie z młodszych lat.

Co do ciotki Eugenii – zabraniam zbliżać się do mojego kufra!!! Łapy precz! Powiedz ciekawskiej rodzinie, że nie pozwalam tam zaglądać beze mnie. Pewnie ciotka trzymała tam swoje pamiętniki i tylko ja mam do nich prawo. Resztę niech sobie rozdrapują. O ile znam życie, i tak niewiele zostało, biorąc pod uwagę nasze pazerne urzędy, podatki itp.

Natomiast w sprawie Jurka, dziękuję Ci, Michasiu, za braterską lojalność, ale proszę, żebyś się tym nie zajmował. Kiedy wrócę, sama wszystko wyjaśnię.

Ściskam Was ciepłutko. Pa, pa.

Ewa

– Jeszcze mi tego brakowało! – westchnęła, wylogowując się z poczty.

Przeciągnęła się z cichym jękiem, bo od długiego siedzenia za biurkiem bolały ją plecy. Nie miała ochoty rozmyślać o nieprzyjemnej wiadomości od brata, tym bardziej że tego dnia była wyjątkowo zmęczona.

Od kilku dni miała mętlik w głowie. Wiedziała, że w końcu będzie musiała coś postanowić w sprawie Jurka, ale jak zwykle odkładała to na później. Wolała zająć się czymś konstruktywnym niż analizować własne uczucia.

Konsekwentnie ignorując swój niepokój, zaraz po śniadaniu rzuciła się zatem w wir pracy: zrobiła selekcję zdjęć, zaczęła ich edycję w Photoshopie, napisała kilka e-maili. Materiał zdjęciowy z kwaciarni był już niemal gotowy, więc chciała porozmawiać na ten temat z Elizą i poprosić o kolejne instrukcje. Zwiedzanie okolicy i fotografowanie tego, co jej wpadło w oko, było bardzo przyjemne, ale pamiętała, że nie przyjechała tu na wakacje. Potrzebowała konkretnego zadania i wskazówek Elizy.

„Spytam ją po kolacji. Tym razem musi znaleźć dla mnie czas – postanowiła. – I trzeba pogadać z Alekssem”.

Chłopiec ostatnio jakby przycichł, co trochę ją martwiło, bo polubiła zwariowanego nastolatka i jego opowieści. Pozostawiona sama sobie, poczuła się nieco osamotniona w tym wielkim domu.

„Jeśli kazali mu ślęczeć nad książkami w tym upale, to zamierzam go uratować. Nawet jeżeli to niewychowawcze – pomyślała przekornie i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się. – Dobrze mu zrobi jakaś rozrywka, najlepiej historyczna. A przy nim i ja się trochę oderwę od myślenia o bzdurach. Aleks świetnie odwraca uwagę od teraźniejszości – pochwaliła go w myślach i zadumała się. – Bo to są bzdury! Michaś na pewno przesadza. Co z tego, że Jurek poszedł na piwo z koleżanką?... Co prawda powinien raczej pójść z chłopakami z zespołu, ale... Może ona załatwia mu tę nową pracę? – przekonywała się w duchu. – Koleżanka. Ciekawe, która to? Mam tylko nadzieję, że nie Kryśka. Coś za dużo ostatnio tej kobiety. – Zmarszczyła brwi. – Przyjaciółka z dzieciństwa, akurat! Tu ją odwieź, tam ją zabierz, to jej załatw... Trochę dziwne zachowanie jak na mężatkę, nawet jeśli jej facet jest wiecznie w delegacji! – Skrzywiła się kwaśno. – Ciekawe, co on teraz robi?”.

Sięgnęła po telefon i znalazła numer Jurka w kontaktach.

– Nie, to bez sensu. Nie będę go przecież kontrolować – mruknęła w przestrzeń. – Zresztą niech zadzwoni pierwszy, skoro ma jakieś głupie pretensje. – Ze złością odłożyła telefon na biurko. – Mam tego dość! Nie będę go niańczyć! Co to w ogóle za pomysł, żeby facet stroił takie fochy, bo jego kobieta wyjechała nagle w delegację? Biedny porzucony miś!

Zirytowana własnymi odczuciami, zrobiła to, co zwykle w podobnej sytuacji: podeszła do okna i głęboko odetchnęła ciepłym, aromatycznym powietrzem. Uspokajała się powoli.



„W ogóle nie będę o nim myśleć – postanowiła twardo. – Jest tyle ważniejszych spraw... Na przykład... na przykład, co będzie dzisiaj na kolację. – Spojrzała na zegar, który wybijał właśnie godzinę osiemnastą. – Lepiej się przebiorę. Dzisiaj znowu przychodzi narzeczony Elizy”.

Oderwała się od ulubionego widoku na park, zamknęła okno, włączyła klimatyzację i poszła wziąć prysznic. Gdy przyjemnie chłodna woda spływała jej po plecach, przypomniawszy sobie o kuferku ciotki Eugenii.

„Ciekawe, co tam dla mnie schowała? Mam nadzieję, że albumy ze starymi zdjęciami. Szkoda, że prawie się nie widywałyśmy – pomyślała z żalem, wycierając się do sucha puchatym ręcznikiem. – Niewiele wiem o jej życiu. Pewnie nie rozpoznam nawet połowy ludzi na fotografiach. Czemu właściwie rodzina tak się od niej odseparowała? Tylko z powodu tego mezaliansu?”.

Odkąd pamiętała, ciotka zawsze postrzegana była w rodzinie jako dziwaczka. Mieszkała samotnie z dwoma kotami w wielkim domu po swoim ukochanym zmarłym mężu. Nie przepadała za spotkaniami rodzinnymi, a i krewni też trzymali dystans, na co Ewa jako dziecko nie zwróciła uwagi.

O przeszłości nie mówiło się głośno, ale małżeństwo Eugenii z młodym, wysoko postawionym radzieckim naukowcem przekreśliło dobre relacje rodzinne. Starszy brat Ewy, Leszek, pamiętał trochę więcej z tamtych czasów, więc kiedyś go o to spytała.

– Dokładnie nie służyłem, ale ojciec wspominał raz naszej mamie o zaręczynach ciotki – odparł wtedy Leszek. – Podobno kiedy przyznała się swoim rodzicom, kim jest jej narzeczony, wszyscy zamarli. A potem rozpętało się piekło. Babcia Urszula omal nie dostała apopleksji i wyrzuciła ciotkę z domu, jak to się mówi, w jednej koszuli. Na mróz, bo akurat niefortunnie dla ciotki był środek zimy – opowiadał bez większych emocji. – Nikt chyba specjalnie nie protestował.

– Dlaczego? Przecież to musiało być okropne!

– Co chcesz? – Wzruszył ramionami. – Tylu naszych przodków zginęło w walce z carem, a potem na wojnie polsko-bolszewickiej. Gdyby nie zapobiegliwość opuszczanych żon, nie byłoby komu podtrzymywać ciągłości nazwiska – zakpił. – A potem jeszcze napaść na Polskę w trzydziestym dziewiątym, wymordowanie połowy rodziny przez Ukraińców, wysiedlenie z Kresów i komunizm po wojnie. Nie ma się co dziwić, że babcia Urszula była rusofobką.

– No tak, w tej sytuacji trudno było zaakceptować w rodzinie radzieckiego komunistę – mruknęła Ewa.

– No i ten ślub bez ślubu – dodał Leszek. – Babcia nigdy nie uznała małżeństwa

zawartego przed urzędnikiem zamiast przed ołtarzem.

– A co z ciotką?

– Nasz ojciec w tajemnicy wyniósł Eugenii walizkę, do której zapakował jej parę rzeczy. A ona przeprowadziła się na drugi koniec Polski. Resztę już znasz: dość szybko w niejasnych okolicznościach została młodą wdową. Ale z tego, co wiem, nigdy nie próbowała uzyskać przebaczenia matki i wrócić do nas. Może czekała na jej ruch?

Ewa odwiesiła ręcznik i sięgnęła po grzebień. Westchnęła. Historia opowiedziana jej kiedyś przez Leszka wróciła do niej smutnym wspomnieniem.

„Szkoda, że nawet po śmierci babci Urszuli nie udało się odbudować naszych więzi – pomyślała melancholijnie, szarpiąc wilgotne włosy. – Ciotka podobno odwiedzała nas kilka razy, ale wtedy byłam już na studiach. A przecież ona jako jedyna interesowała się naszą przeszłością, mogła nam tyle opowiedzieć. Właściwie to wstyd, że Aleks wie więcej o swojej rodzinie niż ja o swojej, choć on jest dzieciakiem”.

Ewa wiedziała z opowiadań mamy, że kiedyś Eugenia była ukochaną córką Urszuli. Dzielily się wszystkimi tajemnicami i były ze sobą bardzo zżyte, więc obie musiały przeżyć szok, gdy tak nagle utraciły siebie.

„Może dlatego ciotka potem tak gorliwie spisywała swoje wspomnienia w pamiętnikach? – pomyślała. – A może po prostu tęskniła? To musiało być bardzo trudne: wybierać między matką i rodziną a ukochanym mężczyzną. Dlaczego tak bezmyślnie uległam rodzinnej presji?”. Skrzywiła się do własnych myśli.

Ewa tylko raz w życiu, jako dziecko, odwiedziła z ojcem ciotkę. Eugenia była jeszcze wtedy piękną, młodą kobietą. Jej dom wypełniały antyki, bukiety suchych kwiatów, albumy ze zdjęciami, ordery męża i książki: niektóre przedziwne – o duchach, jasnowidzach i astrologii.

Gdy Ewa przypominała sobie tę wizytę, powracały do niej mieszane uczucia. Dom ciotki dziwnie pachniał, koty jeżyły się i prychały, gdy do nich podchodziła, ojciec był onieśmielony, a Eugenia – tajemnicza i niepokojąca. Zawsze gdy patrzyła na Ewę, dziecku wydawało się, że w spojrzeniu ciotki kryje się coś dziwnego, co wzbudza lęk.

Z ulgą pożegnała Eugenię i nigdy więcej nie chciała już pojechać do niej w odwiedziny, choć ciotka była dla niej naprawdę miła. Powtarzała, że są do siebie bardzo podobne, i nazywała ją swoją ulubienicą. To jednak nie poprawiło sytuacji – wtedy, będąc dzieckiem, Ewa nie chciała czuć się podobna do osoby, którą większość rodziny obchodziła szerokim łukiem.

– Biedna Eugenia! Ostatni raz widziałam ją chyba... zdaje się, że na pogrzebie babci Urszuli – mruknęła do siebie, zapinając guziki nieco wymiętej sukienki, którą po dłuższych poszukiwaniach wyciągnęła ze sterty ubrań w szafie. – Ale wtedy byłam za młoda i za głupia. Szkoda, że już nie możemy się spotkać. Dopiero dzisiaj widzę, że była odważną, ekscentryczną kobietą. Polubiłybyśmy się.

Spojrzała w lustro nad kominkiem, by poprawić splątany łańcuszek, i zapatrzyła się na swoje odbicie. Przyszła jej nagle do głowy zdumiewająca myśl, jakby ktoś nieoczekiwanie otworzył zamknięte drzwi w jej pamięci.

„O rany! Moje kompleksy z dzieciństwa! – Aż uniosła brwi ze zdumienia. – Już wiem, skąd się wzięły!”.

Przez pół życia nienawidziła swoich zielonych oczu, ale dopiero w tej chwili uświadomiła sobie dlaczego: wcale nie chodziło o przewiska w szkole, kiedy dzieciaki krzyczały za nią „kocica – czarownica!”. Nie było też istotne, że wszystkie romantyczne bohaterki z książek czytanych pod kołdrą przy świetle latarki miały lazurowe, miodowe lub ostatecznie fioletowe spojrzenia, którymi zniewalały gromady zabójczo przystojnych rycerzy padających im z jękiem do stóp, a raczej stópek.

W jednej zaskakującej chwili zrozumiała, że jej awersja dotyczyła ciotki Eugonii.

– O matko! – szepnęła do siebie nieco oszołomiona niespodziewanym odkryciem. – Eugenia... krnąbrna i nielubiana w rodzinie, wydziedziczona przez babcię Urszulę. Piękna, niezależna siostra mojego taty. Ona też miała zielone oczy! – Ewa patrzyła w lustro z niedowierzaniem. – A ja nie chciałam być do niej podobna. Ciekawe, co by na to powiedziała pani psycholog Eliza?

\* \* \*

Z rozmyślań wyrwało Ewę szczekanie psa, który na dziedzińcu radośnie witał jakiegoś domownika wracającego z pracy.

Spojrzała na siebie nieco krytycznie.

– Jest jeszcze trochę czasu. Powinnam wyprasować tę sukienkę – westchnęła z niechęcią. – Wygląda fatalnie.

Żelazko stało w szafie na półce, ale Ewa nienawidziła prasować.

„Gdybym we własnym domu musiała się tak ciągle stroić do wspólnych posiłków, chyba umarłabym z głodu – pomyślała z przekąsem. – No trudno, idę. Nie chce mi się jeszcze raz przebierać. Może nikt nie zauważy?”.

Kiedy zajrzała do jadalni, okazało się, że pracownicy dopiero układają zastawę. Nie czując się zbyt pewnie w swoim stroju, postanowiła zejść im z oczu i przespacerować się po parku bocznymi alejkami.

Dyskretnie wymknęła się tylnym wyjściem. Po całym dniu siedzenia w pokoju poczuła się nagle jak ptak uwolniony z klatki.

Słońce bardzo powoli chowało się za drzewami, jakby samo było zmęczone upałem, do którego się przyczyniło. Przyroda zaczynała jednak wracać do życia: łagodny ciepły wiatr przynosił zapach kwiatów i ziół; ptaki ożywiły się, skrzecząc gdzieś w gęstym listowiu; wysuszony słońcem trawnik, podlewany przez młodego ogrodnika, nabierał znów zielonej barwy.

Ewa szybkim krokiem przemierzyła dziedziniec. Była zbyt zajęta własnymi myślami, by dostrzec, że chlapiący wodą po trawie wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna przygląda się jej uważnie z nieco zuchwałym uśmiechem na twarzy. Nie zwróciła na niego uwagi także dlatego, że z powodu kiepskiej pamięci do imion nawet nie starała się poznać pracowników rezydencji.

Mieszkała w domu Elizy już tydzień, ale z trudem udało się jej zapamiętać imiona wszystkich członków rodziny. Stresowała się za każdym razem, gdy rozmawiała z kimś rzadko widywanym – za wszelką cenę chciała bowiem uniknąć jakiejś gafy.

Przypominało jej to dawne czasy i nieprzyjemne początki każdego roku szkolnego. Musiała wtedy szybko nauczyć się rozróżniać nowych uczniów, a często było to aż kilkadziesiąt dzieci z klas pierwszych. Wyraz rozczarowania na ich twarzach, gdy zdarzyło się jej pomylić imiona, wywoływał w niej poczucie winy, że za mało się stara.

Z tego właśnie powodu podświadomie nie interesowała się dodatkowymi osobami w rezydencji, choć wiedziała od Sophie, że nie było ich dużo: poza trzyosobową obsługą kuchni, dwiema pokojówkami, kierowcą i kamerdynerem Pauliem widziała przelotnie zaledwie kilka obcych twarzy. Jak na dobrych pracowników przystało, nie rzucali się w oczy. Wykonywali swoje obowiązki profesjonalnie, co doceniła, przyglądając się posprzątaney sypialni, którą pierwszego dnia rano zostawiła w oplakanym stanie, biegnąc spóźniona do jadalni.

Gdy spytała Sophie, jakim cudem dwie pokojówki dają sobie radę ze sprzątaniami tak ogromnego domu, usłyszała, że tylko przy ważniejszych okazjach przychodzą dodatkowe pomocnice. Codziennymi obowiązkami rodzina zajmowała się właściwie sama, jak w każdym normalnym domu. Taką zasadę wprowadziła Konstancja wiele lat temu, gdy jeszcze nie wiodło się im tak dobrze, i nie pozwoliła jej zmienić. Twierdziła, że w życiu różnie się układa, w związku z tym każdy człowiek musi umieć zadbać o siebie, rodzinę i dom.

Jedynie Ewa jako gość cieszyła się szczególnym względami. Po kilku dniach spędzonych w tym luksusowym miejscu czułaby się zatem zrelaksowana jak nigdy

dotąd, gdyby nie przeszkadzały jej dziwne skoki nastroju, które z całą stanowczością usiłowała ignorować, zagłębiając się w pracę.

Rzuciwszy przelotne i raczej nieuświadomione spojrzenie na ogrodnika, ruszyła w głąb alei. Otaczały ją dźwięki, kolory i zapachy, które chłoneła jak gąbka, napełniając się uczuciem spokoju i zostawiając za sobą nieprzyjemne myśli.

Spacerowała już dłuższą chwilę, gdy raptem wśród drzew dostrzegła coś niezwykłego.

„To chyba cmentarz” – pomyślała.

Nieduży, prostokątny skrawek ziemi otaczał niski, kamienny murek, za którym kryło się kilka okazałych grobowców.

Nie zdziwiła się. Robiła już kiedyś jesienne zdjęcia na rodzowym cmentarzu w jednej z polskich posiadłości ziemskich. Porzucone groby przodków, zarośnięte dzikim bluszczem prezentowały się w kadrze aparatu niezwykle malowniczo, choć smutno – na poszarzałych ze starości płytach widniały zatarte imiona i daty będące ostatnim ziemskim śladem po ludzkim istnieniu.

Ewa lubiła takie miejsca. Emanowały spokojem, dystansem do świata i spraw codziennych, a ten nastrój doskonale udawało się jej uchwycić na fotografiach.

W pierwszej chwili pożałowała, że nie zabrała ze sobą na spacer lustrzanki. Gdy jednak zbliżyła się do ogrodzenia, przystanęła niepewnie. W centrum znajdowało się niewielkie i stosunkowo nowe mauzoleum, a przed nim na ławeczce, tyłem do Ewy, siedziała Konstancja. Przygarbiona, ze spuszczoną głową, jedną rękę jakimś bezsilnym gestem opierała na lasce. Wiatr łagodnie poruszał kosmykiem siwych włosów, które wysunęły się ze starannie upiętego koka. Wyglądała zupełnie inaczej niż zwykle, jakby raptem przybyło jej lat.

Ewa poczuła się nieswojo. Pogrążona w zadumie starsza pani najwyraźniej nie usłyszała kroków, ale Ewa błyskawicznie zrozumiała, że nie powinna zakłócać Konstancji jej prywatności w tym miejscu. Postanowiła niepostrzeżenie zawrócić, gdy nagle do jej uszu dotarł zduszony szloch. Przygarbione ramiona Konstancji zadrżały od hamowanego z trudem płaczu.

„O mój Boże! – Ewa aż wstrzymała oddech. – Ona płacze? Co się stało?”

Konstancja była w tej chwili tak niepodobna do dynamicznej i władczej *grand-mère*, że młoda kobieta poczuła się bardzo niezręcznie.

„Może trzeba jej jakoś pomóc? – zastanawiała się w popłochu. – Chociaż nie, to na pewno coś bardzo osobistego. Lepiej, żeby mnie tu nie zobaczyła, bo obu będzie nam głupio. Poszukam Elizy albo Aleksa, niech oni coś zrobią” – postanowiła.

Nie wróciła jednak na ścieżkę, którą można było dostrzec z cmentarza, lecz zaczęła się cicho skradać w kierunku najbliższych krzewów, byle jak najszybciej skryć się przed wzrokiem starszej pani. Na szczęście ta część parku była znacznie bardziej porośnięta roślinnością niż zadbane alejki prowadzące do rezydencji. Ewa z ulgą zagłębiła się w zielone zakamarki.

Cmentarz szybko zniknął jej z oczu, bo zmartwiona tym, co zobaczyła, szła pospiesznym krokiem. W pewnym momencie jednak niepewnie rozejrzała się dookoła.

– Moment, a gdzie ja właściwie jestem? Przecież słońce jest tam... więc dom powinien być gdzieś tu – zaniepokoiła się głośno. – Skąd się tu wzięła ta gęstwina?

Wśród bujnie rozrośniętej zieleni dostrzegła jedynie fragment wysokiego muru okalającego posiadłość.

„Cholera, chyba zablądziłam – pomyślała zaskoczona. – No, nieważne. Nie mam czasu wałęsać się w kółko. Jest mur, to i wyjście się znajdzie. – Z determinacją zaczęła się przedzierać przez gąszcz roślin. – Jeśli pójdę wzdłuż ogrodzenia, w końcu dotrę do jakiejś bramy czy alejki. Ciekawe, czy pani Konstancja wie, że ogrodnik już bardzo dawno tu nie zaglądał”.

Uśmiechnęła się z przekąsem. Sytuacja wydawała się jej właściwie zabawna. Żałowała jedynie tego, że nie ubrała się nieco wygodniej na ten spacer.

– Obawiam się, że znowu ostatnia dotrę do jadalni – mruknęła pod nosem. – Że też mnie się zawsze musi coś przydarzyć... Auć! – jęknęła, gdy jakiś krzew ostrym kolcem rozdarł jej skórę na przedramieniu.

„No, przynajmniej tyle dobrego, że nie marnowałam czasu na prasowanie – pomyślała z satysfakcją. – I tak będę się musiała przebrać, bo z tej sukienki zostaną za chwilę strzępy”.

Dotarła w końcu do muru, ale to, co zobaczyła, mocno ją rozczarowało.

– Zdaje się, że nie tylko ogrodnik by się tu przydał. Murarz także – rzuciła krytycznie w przestrzeń, patrząc na zniszczone ogrodzenie.

Pokruszona zaprawa nie utrzymała na miejscu wielu kamieni, które odpadły i leżały na ziemi, porastając wysoką trawą.

– Tędy to raczej nikt nie chodził już od lat – mruknęła. – A to co?

Za wyrosniętym krzewem w murze tkwiła zardzewiała metalowa brama zamknięta na równie zardzewiałą kłódkę.

„Hmm... Nie takie wyjście miałam na myśli – przemknęło jej przez głowę. – Kiedyś musiała tu prowadzić droga wjazdowa. Ciekawe, dlaczego już jej nie używają?”.

Przez pręty bramy zobaczyła kostkę brukową, ciągnącą się gdzieś poza posiadłość, gęsto porośniętą na brzegach wysokimi chwastami i niekoszoną trawą.



Pociągnęła za kłódkę, ale ta ani drgnęła.

– Tędy na pewno nie wyjdę – stwierdziła niezadowolona.

Otarła dłonie z rdzy i chciała zawrócić. Nie zauważyła jednak wielkiego kawałka gruzu pod stopami. Potknęła się i z impetem wpadła prosto w pokrzywy.

– No jasna cholera! – zaklęła na cały głos, wygrzebując się z zarośli. – Tylko tego mi brakowało. Co to ma być?! Jakiś pieprzony tajemniczy ogród?

Ze złością otrzepała ubrudzoną sukienkę. W czasie fotograficznych wypraw Ewa przeżyła już niejedno, więc ten mały wypadek nie powinien zrobić na niej żadnego wrażenia, a jednak w ciągu kilku chwil ogarnął ją niewytłumaczalny gniew.

Otoczona ścianą nieprzyjaznej zieleni, podrapana, głodna i spragniona, poczuła się nagle jak w pułapce.

– Sklerotyczka! Trzeba było zabrać ze sobą telefon! – sapnęła wściekle, rozdrapując do krwi skórę na nodze, bo sparzona pokrzywami łydka zaczęła ją niemiłosiernie swędzieć. – Tylko że wtedy Aleks śmiałyby się ze mnie przez tydzień. *Halo, tu Ewa, zgubiłam się jak dzieciak w waszym cholernym parku. Czy ktoś może mnie uratować?* – burczała ze złością, parodiując samą siebie. – I tak będą mieć ubaw, kiedy mnie zobaczą taką wypapraną. Mój wizerunek poważnej osoby diabli wzięli! A niech to... – Urwała nagle, schylona w niewygodnej pozie.

Od strony zardzewiałej bramy doszedł ją zniekształcony kobiecy krzyk:

– *Non! Laissez mon mari!*<sup>[45]</sup>

Przestraszona wstrzymała oddech i nasłuchiwała dłuższą chwilę. Wokół zapanowała cisza, nawet ptaki niespodziewanie umilkły.

„Co to było, do cholery?” – zdziwiła się.

Czując, że krew napływa jej do głowy, chciała się wyprostować i ostrożnie wyjrzeć zza krzewu, ale zdołała jedynie uchwycić się jakiejś gałęzi. Świat zawirował jej nagle przed oczyma, a uszy wypełniły nieprzyjemny szum i głosy.

– Dokąd chcecie go zabrać? Nie macie prawa! – protestowała kobieta.

– Mówisz do niemieckiego oficera! Najwyraźniej za mało wiecie o naszych prawach, francuskie świny! Ale już niedługo się dowiecie. Niech tylko generał wyjedzie. Nikt więcej nie będzie mnie traktował jak chłopca na posyłki – warczał mściwie mężczyzna o nieprzyjemnym ostrym głose. – A wtedy zrobię z wami wszystkimi porządek! Myślicie, że nie wiem o ukrywaniu zbiegów? O ruchu oporu?

– Nie robimy nic złego.

– Milczeć! Dobrze wiem, co tu się dzieje. Mnie nie przekupicie. Ja nie mam przed nazwiskiem *von*, jak generał, i wasze pochodzenie nic mnie nie obchodzi! Dla mnie

wszyscy jesteście zwykłym francuskim śmieciem, zrozumiano?

– Pańskie prymitywne opinie nie mają dla nas najmniejszego znaczenia – odparła zimno kobieta.

– Co?! Poczekaj, jeszcze sobie z tobą zatańczę, paniusiu! – syknął wściekle, przeciągając sylaby. – Nie dziś, to jutro, ale cię dopadnę.

– Nie próbuj się nawet zbliżyć do mojej żony, bo pożałujesz – ostrzegł cicho męski głos.

– Śmiesz mi grozić?! – Głośne klaśnięcie poniosło się echem w głąb parku.

Uderzony mężczyzna tylko stęknął.

– Kurt! Brać go!

– *Jawohl!*<sup>[46]</sup>

Metalowa brama szczęknęła głośno, gdy uderzyło o nią ciało brutalnie popchniętego człowieka.

– Przestańcie! On nic złego nie zrobił!

– Uspokój się, Stasienko. Czego właściwie od nas chcecie?

– Zamknij się i wsiadaj na motor!

– Spokojnie, Kurt, potem sobie na nim poużywasz. Nie widzisz, że straszysz damę?

Jeszcze się poskarży generałowi – kpił oficer. – Podnieś go z tego błota, zabrudzi cały motor.

– Panie majorze, po co się z nim tak cackamy?

– On nam jest potrzeby sprawny, Kurt. Na razie. Trzeba było jednak poczekać z egzekucją tego głupiego lekarza.

Trzasnęła zapalana zapalniczka. Oficer wolno zaciągnął się papierosem.

– Nie musiałbym teraz po nocy szukać znachora do tego pijanego cymbała – mówił dalej z pogardą. – Gdyby chociaż spadając ze schodów, rozwalił sobie ten głupi generalski łeb.

– Panie majorze...

– Daj spokój, Kurt, oni niczego nie słyszeli. Mają dzieci. Prawda?

– Nie słyszeliśmy – szepnęła zdenerwowana kobieta.

– Widzisz, Francuzeczko, jeśli chcesz, potrafisz być grzeczna.

Przydeptany butem papieros cicho zaskwierczał w błocie.

– No, dosyć gadania. Twój mąż jedzie z nami. Generał złamał rękę i trzeba się tym zająć. Ale zaręczam, że to nie jest nasze ostatnie spotkanie, damulko.

– Mój mąż nie leczy Niemców! – Tym razem głos kobiety zadźwięczał jak stal: nisko, ostro, niebezpiecznie.

– Coś ty powiedziała?

– Spokojnie, panie majorze. Żona nie miała nic złego na myśli. Jedźmy.

– Janku...

– *Chérie*, ja lecę ludzi. Po prostu ludzi. Zadbaj o dzieci i dom.

– Janku!

– Nie trać wiary, Stasiu, wszystko będzie dobrze.

Warknął silnik motocykla.

„Będzie dobrze... Ale dlaczego... jest tak zimno?” – pomyślała zamroczona Ewa i utonęła w czarnej ciszy.

\*\*\*

Gdy seniorka nie zjawiała się w jadalni o zwykłej porze, wuj Teodor spojrzął znacząco na Elizę, a ta bez słowa wyszła do parku. Był piątek, zatem każdy z domowników wiedział, gdzie należy szukać Konstancji.

Zbliżając się do cmentarza, Eliza czuła poirytowanie i bezradność jednocześnie. Widok babci coraz częściej płaczącej nad grobem męża, którego straciła niemal sześćdziesiąt lat temu, przygnębiał ją i coraz bardziej niepokoił. Obawiała się, że wieloletnia melancholia Konstancji zaczyna się przeradzać w coś poważniejszego. Kilkakrotnie starała się namówić babcię na rozmowę, lecz ona tylko ją zbywała.

– Moja droga, może i jesteś świetnym psychologiem, ale ze mnie niczego nie wyciągniesz. Zajmij się własnym życiem. – W ten sposób Konstancja kwitowała każdą próbę pomocy.

Nie chciała, by ktokolwiek widział jej łzy i wypytywał o przeszłość. Tę sferę swojego życia uważała za zbyt intymną i bolesną, by komukolwiek, nawet swojej wnuczce, uchylić drzwi, które wiele lat temu zamknęła na zardzewiałą kłódkę.

– Babciu, szukałam cię. – Eliza cicho stanęła za plecami starszej pani.

– Niepotrzebnie. Właśnie miałam wracać. Czy wszyscy są już przy stole? – spytała Konstancja, podnosząc się z ławki i z pewną oschłością przyjmując pomocne ramię wnuczki.

– Kiedy wychodziłam, nie było jeszcze Ewy. Pewnie zasiedziała się przed komputerem.

– Twój gość jest pracowitą osobką. Widać, że traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie.

– Babciu, nie zmieniaj tematu. Martwi mnie twoje zdrowie. Gdybyś pozwoliła się

przebadać...

– Nie zawracaj mi głowy, moje dziecko! – przerwała jej stanowczo. – Na mnie nie wypróbujesz tych swoich psychologicznych sztuczek.

– Jakich znowu sztuczek?

– *Assez!*<sup>[47]</sup> Chodźmy jeść, bo świeże powietrze zaostrzyło mi apetyt. A Michałowi należy się reprimenda.

– Dlaczego?

– Nie słyszysz, że Lucky szczeka? – Konstancja machnęła laską w kierunku zielonego gąszczu. – Nawet chwili spokoju nie można tu znaleźć.

Gdzieś niedaleko zawzięcie ujadał pies.

– Pewnie goni jakąś wiewiórkę.

– Już dawno mówiłam Michałowi, że trzeba poddać tego psa tresurze. Gérard ciągle się skarży, że rozkopuje mu rabatki.

– Dobrze, zajmę się tym.

– To nie twoja rzecz, masz dość na głowie. Jedynym obowiązkiem Michała poza nauką jest zajmowanie się tym zwierzęciem, a nawet tego nie umie – stwierdziła zirytowana Konstancja. – Młodzieńcy w jego wieku powinni już robić coś więcej, niż tylko siedzieć całymi dniami przed komputerem. Mój syn zdecydowanie za mało wymaga od tego chłopca. Skąd Michał ma wiedzieć, jak wychować psa, skoro sam ma braki w tym zakresie?

– Babciu.

– Myślisz, że tego nie widzę? Każdy w tym domu chciałby tylko żyć wygodnie i bez zobowiązań.

– Jesteś niesprawiedliwa.

– Doprawdy? Nie sędzę.

– Babciu... Chodźmy, proszę. Nie wypada się tak spóźniać.

Ruszyły wolnym krokiem alejką.

– Przynajmniej ty spośród młodych pamiętasz jeszcze, co wypada, a co nie – sarknęła cicho starsza pani. – Nigdy nie wtrącałam się do wychowywania moich wnuków i to był błąd. Ale zanim umrę, jeszcze to naprawię.

– Babciu!

– Właśnie tak! I żadne głupoty o bezstresowym wychowaniu mi w tym nie przeszkadzają! – W przyпіlywie gniewu stuknęła kilkakrotnie laską o ziemię. – Oni noszą nazwisko twojego dziadka, a to jest dla mnie świętość!

– Uspokój się, proszę, bo znowu podskoczy ci ciśnienie.

– Jak mam się uspokoić, kiedy widzę, że w moim domu przestaje się szanować dawne wartości?

– Co też opowiadasz? – obruszyła się Eliza. – Dobrze wiesz, że to nieprawda. Zresztą, teraz nie pora na takie dyskusje.

– Ostatnio nigdy nie ma dobrej pory na rozmowę – mruknęła Konstancja.

Przeszły w milczeniu kilkadziesiąt metrów, gdy nagle usłyszały hałas: ktoś chaotycznie przedzierał się przez zarośla. Przystanąły zdziwione.

Niespodziewanie spośród zieleni wyłonił się Gérard. Wokół niego jak oszalały skakał wielki czarny pies.

Eliza pierwsza rzuciła się w ich stronę.

– *Mon Dieu!* Co się stało?!

– Nie wiem. Omdlała chyba – wysapał zmartwiony ogrodnik.

W ramionach dźwigał nieprzytomną Ewę.

– Połóż ją tam, na ławce! – zarządziła przestraszona Konstancja. – *Qu'est-ce qu'elle a?*<sup>[48]</sup> – Spojrzała pytająco na wnuczkę, która uklękła przy Ewie, by zbadać puls.

– Jestem psychologiem, nie internistą, babciu. Ma słabe tętno, ale chyba żadnych obrażeń. Ewo! Słyszysz mnie? Otwórz oczy... Ewo! – Delikatnie klepała zemdloną kobietę po policzkach.

– Jest okropnie blada.

– Trzeba unieść jej nogi do góry. Babciu, pomóż mi.

– Jak to: do góry?! – zgorszyła się Konstancja.

– Usiądź i potrzyмай jej nogi na kolanach, o tak. Ja zatelefonuję do naszego doktora, niech zaraz przyjedzie. – Odeszła kilka kroków, by złapać lepszy zasięg.

W tym czasie Konstancja przyglądała się z troską nieprzytomnej dziewczynie: miała pobrudzone ubranie, zmierzwiłone włosy, a na podrapanej jakimś kolcem ręce zastygła strużka krwi.

– Skąd ona się tu wzięła? Gérard, gdzie znalazłeś pannę Ewę?

Mężczyzna trzymał za obrozę wyrrywającego się psa i nerwowo gładził go po łbie.

– To nie ja, to Lucky – wyjaśnił. – Przybiegł ku mnie i w głąb parku mnie pociągnął. Myślałem, że znów kreta upolował, tedy poszedłem, aby zabrać mu truchło, nim zawlecze do domu, ale... – tłumaczył z trudem.

– Ale?

– W zarośla wpadł, a tam leżała ta panna. Blada i zimna... wyglądała jak...

– Przestań! – przerwała mu Eliza. – Lekarz już jedzie. – Pochyliła się nad Ewą. – Nie podoba mi się to omdlenie. Nie wiemy, jak długo jest nieprzytomna. Może to udar

cieplny? Ona nie jest przyzwyczajona do naszego klimatu.

– Jest taka krucha – wyrwało się zmartwionemu mężczyźnie.

– Musimy ją zanieść do domu.

– Ja pomogę. – Gérard puścił psa i najdelikatniej jak umiał, podniósł bezwładne ciało. – To cud prawdziwy, że Lucky w tej dzikiej gęstwinie ją odnalazł – dodał, podążając szybko za Elizą.

– W jakiej gęstwinie? – Zasapana Konstancja usiłowała dotrzymać im kroku.

– Zarosło bujnie, bo pani sama powiadała, by niczego tam nie ruszać.

– Tam, to znaczy gdzie?

– Przy starej północnej furtce.

– Gérard, pospiesz się! – uciszyła go Eliza, przebiegając przez dziedziniec. – *Vite!*<sup>[49]</sup>

Zniknęli wewnątrz. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na zdyszana Konstancję, która zamarła na schodach.

– Znalazł ją przy północnej furtce? – wyszeptała z dziwnym wyrazem twarzy.

\* \* \*

Lekarz – miły staruszek, który od lat troszczył się o zdrowie członków rodziny – uspokoił Konstancję. Nie znalazł u Ewy niepokojących objawów, ale na wszelki wypadek zalecił zrobienie badań. Zaordynował dużo wody mineralnej, witaminy w postaci świeżych owoców oraz wypoczynek, zwłaszcza w godzinach największego upału.

– *Un organisme jeune va récupérer vite. Mais si notre jeune demoiselle se sente mal de nouveau appelez-moi immédiatement. Je vais l'emmener à la clinique de mon fils. On n'est jamais trop prudent!*<sup>[50]</sup> – Uśmiechnął się dobrotniwie.

– Tak, wiemy, drogi przyjacielu. – Konstancja odprowadziła mężczyznę do wyjścia. – Jeszcze raz ci dziękuję, że tak szybko przyjechałeś. Odwiedzaj nas częściej. I dbaj o swoje serce. – Żartobliwie pogroziła mu palcem. – Nie jesteśmy już młodzi.

Po wyjściu doktora odesłała większość rodziny do jadalni i wróciła do apartamentu gościnnego. W drzwiach sypialni minęła Aleksandra, Sophie oraz zaciekawioną Patrycję. Z troską przyglądali się bladej kobiecie opartej na wysoko ułożonych poduszkach, które poprawiała Eliza.

– Co wy tu robicie? Nasz gość potrzebuje spokoju – upomniała ich. – Jak się czujesz, moje dziecko?

– Właściwie dobrze – odparła Ewa niepewnie. – Odrobinę boli mnie głowa i wstyd mi, że narobiłam takiego zamieszania.

– Tym się zupełnie nie przejmuj. – Eliza ubiegła babcię. – Lekarz powiedział, że



masz niskie ciśnienie i jesteś trochę odwodniona. Potrzebujesz wypoczynku, ale po powrocie do Polski musisz zrobić sobie wszystkie badania.

– Oczywiście – przytaknęła Ewa potulnie. – Naprawdę nic mi nie jest. Po prostu zbyt szybko się wyprostowałam i zakręciło mi się w głowie.

– Trochę nas przestraszyłaś, moje dziecko. Jutro żadnego siedzenia przy komputerze. Musisz się dotlenić. Jeśli chcesz zwiedzać posiadłość, Aleksander i Sophie będą ci towarzyszyć. Nie chciałabym, żeby znowu coś ci się stało.

– Przepraszam – bąknęła Ewa.

Starsza pani poklepała ją przyjaźnie po dłoni.

– Nie przepraszaj, to nie twoja wina. Jesteś jednak naszym gościem i odpowiadamy za ciebie. Teraz wypoczywaj. Ktoś za chwilę przyniesie ci lekką kolację.

– Dziękuję. – Ewę wyraźnie krępowała troska, jaką ją otoczono.

Jeszcze nigdy w życiu nie zemdląca, więc czuła się trochę zakłopotana. Nie pamiętała, jak się znalazła w pokoju i co się właściwie stało. Natomiast to, co sobie przypominała z ostatnich wydarzeń, wyraźnie ją niepokoiło.

– Gdybyś czegoś potrzebowała... – Starsza pani zatrzymała się w drzwiach z osobliwą miną.

Sprawiała wrażenie, jakby chciała jeszcze o coś zapytać, ale się powstrzymywała.

– Nie martw się, babciu. – Wnuczka po raz kolejny weszła jej w słowo. – Zajmiemy się nią. Aleksander dotrzyma jej towarzystwa, a ja pójdę do kuchni po coś do jedzenia.

Ucieszony chłopiec cofnął się, przepuszczając wychodzące kobiety, a za plecami prababci zagrał jeszcze na nosie niezadowolonej siostrze. Patrycja wcale nie miała ochoty siedzieć przy gościu, skoro sensacyjne wydarzenia dobiegły końca, ale nie lubiła, gdy jej młodszy brat był w jakikolwiek sposób faworyzowany. Spojrzenie Konstancji mówiło jednak samo za siebie.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, zadowolony Aleksander usadowił się w fotelu obok łóżka.

– Niezła historia! – zachichotał. – Szkoda, że nie widziałas zamieszania, jakiego narobiłaś. Z tego wszystkiego spaliła się jagnięcina, którą kucharka przygotowała specjalnie dla Pierre'a. Cała kuchnia się zadymiała.

– Przestań, proszę. Już i tak idiotycznie się czuję.

– Zwariowałaś? Na początku trochę kiepsko to wyglądało, ale kiedy już otworzyłaś oczy, cała reszta to był niezły ubaw.

– Ubaw?

– Jasne, Najpierw Gérard w roli *chevalier errant*<sup>[51]</sup>, a potem lamentująca kucharka

i biedny Paul, który biegał od okna do okna, żeby przewietrzyć ten smród spalenizny. Zresztą wszyscy się trochę miotali, a w tym czasie dziewczynki po cichu zeżarły pół tortu, który stał w jadalni. Rękoma! To był niezapomniany widok! – stwierdził rozbawiony.

– Nigdy nie zrozumieję nastolatków – westchnęła. – A kim jest Gérard?

– To nasz ogrodnik, *pardon*<sup>[52]</sup>, inżynier architektury krajobrazu. Moja prababcia ceni wyższe wykształcenie u wszystkich pracowników. – Uśmiech Aleksandra rozciągał się niemal od ucha do ucha. – Mówię ci, było super! Dawno nikt mnie tak nie rozśmieszył jak Gérard dzisiaj. Wreszcie spełniło się jego marzenie o ratowaniu dam z opresji.

– Nie rozumiem. – Skołowana Ewa usiłowała coś pojąć z radosnego potoku słów. – O co chodzi z tym ogrodnikiem?

– A nie powiedziałem? To on cię znalazł w parku i przyniósł do domu.

– Co? O matko! Naprawdę? – jęknęła zawstydzona.

Dotarło do niej, że kompletnie nieznany facet znalazł ją w krzakach, taszczył przez pół parku jak zepsutą lalkę, a na koniec cała rodzina pracodawczyni zobaczyła ją w stanie, w jakim za żadne skarby świata nie chciała być widziana.

„Nic nie pamiętam – myślała spłoszona. – Co za wstyd! Moja opinia legła w gruzach”.

Chłopiec nie zdawał sobie sprawy z jej rozterek. Wyciągnął się w fotelu i opowiadał dalej:

– Ciotce Isabelle oczy prawie wyszły na wierzch, kiedy Gérard wyjaśniał, co się stało.

– Dlaczego?

– On ma fatalny polski akcent i dziwaczne słownictwo. Prawie nikt go nie rozumiał, taki był przejęty. Czekał, jak to było? A, wiem: „znalazłem pannę Ewę zemdloną w ostępach i przybieżyłem ku domu co tchu!”. – Parsknął śmiechem. – Masakra!

„Coraz lepiej – pomyślała rozgoryczona Ewa. – Uratował mnie jakiś wariat”.

– Chociaż właściwie to znalazł cię Lucky. On tylko tak wygląda, jakby chciał kogoś zdeptać na śmierć, ale to prawdziwy rasowy briard. Uwielbia dzieci i jest bardzo opiekuńczy. Ari i Blanche go kochają. Pewnie dlatego karmiły go dzisiaj tortem pod stołem.

– Słucham? O czym teraz mówisz?

– No o naszym psie. Odezwał się w nim instynkt poszukiwawczy i potraktował cię

jak zaginioną owieczkę – śmiał się. – Briardy to psy pasterskie, ale używa się ich czasem do poszukiwań zaginionych pod gruzami, więc cię znalazł.

– Pies?

– No – odparł, zdziwiony nieco jej miną. – I co z tego?

– Jak to co? Tu pies, tu ogrodnik. Nic nie pojmuję.

– Naprawdę? Źle mówię po polsku?

– Nie, chwilami nawet znacznie lepiej niż polskie nastolatki. Ale jakbyś tak mógł bez skrótów i dygresji wyjaśnić od początku – poprosiła z desperacją w głosie, bo to, co usłyszała, wytrąciło ją z równowagi.

Aleksander cierpliwie opowiedział jeszcze raz przebieg wydarzeń.

– No tak – mruknęła bez entuzjazmu, kiedy skończył. – Najchętniej zapadłabym się teraz pod ziemię.

– Nie rozumiem.

– Bo nie jesteś kobietą. Trudno, będę musiała podziękować temu ogrodnikowi. Gdyby nie on, pewnie bym dalej leżała w tych krzaczorach... Co za dzień!

– A psu kto podziękuje?

– Aleks, nie przesadzaj. – Pogroziła mu palcem. – Wcale mi nie jest do śmiechu. Czy ja się jakoś dogadam z tym waszym Gérardem? On mówi po polsku, tak?

– W pewnym sensie.

– To znaczy?

– A chcesz krótko czy znowu długo?

– Długo. – Westchnęła po raz kolejny. – Dzisiaj trudno mi zebrać myśli.

– Dobra. To było tak, że on przyszedł do nas, kiedy szukał pracy po studiach, ale kandydatów na tę robotę było wielu. Wtedy obiecał prababci, że jeśli go zatrudni, to on się z wdzięczności nauczy mówić po polsku. Spryciarz!

– I co?

– Przyjęła go na próbę, więc poszedł na kurs. Tylko że trafił tam na jakiegoś miłośnika Sienkiewicza. – Chłopiec się zaśmiał. – To był jakiś wariat! Przynosił im kserówki z *Trylogii* i kazał tłumaczyć.

– Naprawdę? Trochę nietypowa metoda nauczania.

– Nietypowa? To jak praca w kamieniołomach! Nawet ja nie dałem rady Sienkiewiczowi, chociaż znam język. Ty wiesz, jak to jest napisane?

– No ja wiem – odparła z przekąsem. – Archaizmy cię wykończyły, co?

– Każdego by wykończyły! Gérard też się w końcu poddał. Przyszedł do mnie w sekrecie i poprosił, żebym mu opowiedział, o co chodzi w tej *Trylogii*, bo on od tych

fragmentów całkiem zgłupiał. Uśmiełem się.

– Czemu?

– Oj, Ewa, ty rzeczywiście coś ciężko kojarzysz dzisiaj. On myślał, że *Trylogia* to jeden utwór. Trochę się załamał, kiedy mu powiedziałem, że to są trzy różne tomy.

– I co? Pomogłeś mu?

– Ekspresowo. Pożyczyłem mu płytki DVD z adaptacjami filmowymi, i miałem go z głowy. A potem się okazało, że on oglądał te filmy w kółko i w kółko, tak mu się spodobały. I w końcu nauczył się większości dialogów na pamięć.

– Żartujesz?

– Wcale nie. Skończył ten kurs i prababcia zatrudniła go na stałe. Tylko czasem trudno go teraz zrozumieć.

Ewę tak zaciekawiła opowieść chłopca, że na chwilę zapomniała o niemiłej przygodzie. Uśmiechnęła się, szczerze rozbawiona.

– Dobrze, że lektor nie był miłośnikiem *Pana Tadeusza*. Zakładam, że wiesz, o jakiej książce mówię.

– Jasne. Myślisz, że prababcia by nam to podarowała? Ale dlaczego uważasz, że to dobrze?

– Bo teraz mielibyście ogrodnika, który mówi trzynastozgłoskowcem. – Ta wizja wyraźnie Ewę rozweseliła. – Sama nie wiem, co byłoby dla was gorsze.

– Czym by mówił?

– Oj, chłopcze. Braki w edukacji. Trzynastozgłoskowiec to taki specjalny rodzaj wiersza.

– Aha. No to mieliśmy szczęście. Mogłoby mu się to spodobać, niestety.

– Przecież żartowałam.

– A ja nie. Pati mówiła, że on podobno pisze wiersze – stwierdził chłopiec ze szczerym współczuciem w głosie.

– Naprawdę?

– No. Jeśli chcesz, jutro ci go przedstawię. Sama zobaczysz, jaki jest zabawny.

– Nie pali się – mruknęła. – Nie wiem jeszcze, co będzie jutro.

– Ja wiem. Prababcia kazała ci wypoczywać, to może urwiemy się na jakąś wycieczkę? Mam już dość zakuwania matematyki. Mieliśmy jechać na wakacje do Hiszpanii, ale ojciec stwierdził, że za mało się przykładamy do nauki, i mamy szlaban.

– Jacy my?

– Ja i moja wstrętna siostrunia. Na szczęście ze zdaniem prababci nawet ojciec musi się liczyć. Jej tylko duchy się nie słuchają w tym domu – zachichotał.

– Duchy?

– No, dzieją się czasem u nas dziwne rzeczy. Wspominałem ci.

– Jakie dziwne rzeczy? – Ewa momentalnie spoważniała.

– W normalnym domu światła same nie gasną, a obrazy nie spadają ze ścian.

– Może psuje się wam elektryka? W mojej lampce już dwa razy wymieniali żarówkę.

– Nie, nic z tego – zaprzeczył. – Fachowcy sprawdzali i nic nie znaleźli. Zresztą nasz

Paul też widział coś dziwnego, ale na nim trudno zrobić wrażenie, więc się nie przyznał. Typowy Angol.

– A co zobaczył?

– Podśluchałem, gdy mówił prababci coś o bibliotece. Jedna z włoskich studentek rzuciła pracę bez wyjaśnień, gdy wysłał ją po coś do biblioteki. Podobno wyleciała stamtąd z krzykiem. A ja tego nie widziałem! – Był wyraźnie rozczarowany.

– Może i lepiej – rzuciła cicho Ewa, zamyślając się, ale chłopiec tego nie zauważył.

– Szkoda, że mnie nic nie straszy. Ciągle siedzę w bibliotece i guzik z tego.

A porządna rezydencja powinna mieć jakieś *mystère effrayant!*<sup>[53]</sup>. Gdybyśmy mieszkali w dawnym zamku, to by było coś. Ale spłonął jeszcze w czasach *Grande Peur*<sup>[54]</sup>. – Spojrzał na milczącą Ewę. – Słuchasz mnie?

– Co? Tak, jasne. – Kiwnęła głową. – A straszyło kiedyś u was w parku?

– W parku? No coś ty! – Wydawał się zaskoczony. – Tutaj wokół dawniej były tylko tereny łowieckie i uprawne. Nic ciekawego.

– No tak... To może zatrudniacie kogoś o imieniu Stanisława? Zdrobniale Stasia lub Stasiénka, mam na myśli kobietę.

– Pierwsze słyszę.

Cichy brzęk szkła zaskoczył ich oboje. W progu stała Eliza. Trzymała tacę z wysoką szklanką, dzbankiem i talerzykiem z przekąskami. Przez chwilę patrzyła milcząco to na bratanka, to na Ewę.

– Postaraj się coś zjeść, Ewo. – Chcąc zamaskować zmieszanie, wolnym ruchem ustawiała naczynia na stoliku obok łóżka. – Chodź, Aleksandrze. Nasz gość musi wypocząć.

– Dziękuję. – Ewa posłała jej ciepły uśmiech.

– Spokojnej nocy... – zawahała się w progu, zupełnie jak jej babcia wcześniej. – Ewo?

– Tak?

– Czemu pytałaś o Stasię?

Zmieszana kobieta spuściła wzrok.

– To nic ważnego – wykręciła się.

– Chciałabym wiedzieć.

– Zdawało mi się... że ktoś wołał w parku to imię. Ale pewnie się przesłyszałam z tego gorąca.

Eliza zagryzła wargę.

– Tak, musiałaś się przesłyszeć. Nie wspominaj jednak o tym mojej babci – poprosiła cicho. – W rodzinie już nikt tego nie pamięta, więc lepiej nie rozdrapywać jej ran.

– Oczywiście. Przepraszam, jeśli spytałam o coś osobistego.

– Wiem, że zachowasz to dla siebie. – Eliza patrzyła na nią dziwnym wzrokiem. – Stasia to zdrobnienie od Konstancji. Tak nazywał moją babcię tylko jeden człowiek. Zginął w czasie wojny. To był mój dziadek.

---

[45] Nie! Zostawcie mojego męża! (fr.).

[46] Tak jest! (niem.).

[47] Dostyc! (fr.).

[48] Co jej jest? (fr.).

[49] Szybciej! (fr.).

[50] Młody organizm szybko dojdzie do siebie. Ale gdyby młoda dama znów poczuła się źle, proszę natychmiast po mnie zadzwonić. Zabiorę ją wtedy na szczegółowe badania do kliniki mojego syna. Pamiętajcie, że ostrożności nigdy za wiele (fr.).

[51] Błędny rycerz (fr.).

[52] Przepraszam (fr.).

[53] Straszne sekrety (fr.).

[54] Wielka Trwoga, czasy Wielkiej Rewolucji Francuskiej (fr.).



## Rozdział 6

### Sobota

Krajobraz za szybą samochodu przesuwał się dość szybko, a mimo to Ewa z fotograficzną dokładnością i dziecięcym zachwytem chłoneła każdy szczegół niesamowitych widoków. Paleta barw natury nie była zbyt bogata, ale niemal hipnotycznie intensywna. Ewa pomyślała, że być może specyficzne światło sprawia, iż wszystko we Francji wydaje się bardziej kolorowe niż w Polsce, poczynając od krajobrazu, a kończąc na warzywach podanych do posiłku.

W tle ruchomego obrazu, który tak ją fascynował, majestatycznie i powoli przesuwały się wzgórza. Drugi plan zajmowały wysuszone przez słońce trawy i niewysokie drzewa, skupione w małych grupach lub samotnie porzrucane wśród pól. Między zielenią drzew pojawiał się czasem zrujnowany kamienny domek, jak na obrazie Paula Cézanne'a, albo niewielki kościółek czy też klasztor, które już dawno utraciły czystość kamiennych ścian naznaczonych brązowymi naciekami czasu.

Centralne miejsce w kompozycji pejzażu zajmowały jednak pola lawendy – intensywnie fioletowe, delikatne, falujące lekko na wietrze, dywany pokrywające przestrzeń aż po horyzont długimi rzędami pachnących roślin.

Wzrok Polki, przyzwyczajonej do tradycyjnego widoku złotych łąk zbóż i zieleni łąk, przeżywał tu barwną ucztę fioletu, tak rzadko obecnego w rodzimym krajobrazie.

Ewa, jak każdy obcokrajowiec zwiedzający Prowansję, spodziewała się takich widoków, a jednak zaskoczyła ją ta śliwkowa soczysta barwa, która przybierała czasem w słońcu odcienie niemal różowe, by za chwilę znów zmienić się w dostojną tonację szat biskupich.

– Nie ekscytuj się tak – studził jej emocje Aleksander. – Większość tych plantacji to po prostu *le lavandin*, nie umywa się do naszej lawendy.

– *Lavandin*? A co to takiego?

– Taka odmiana, bardziej wydajna, ale jak każda hybryda – mniej prawdziwa – odparł Piotr, który prowadził samochód. – Dla turystów nie ma to znaczenia, bo i tak

się nieźle fotografuje. Prawdziwa *lavande* wymaga jednak nieco innych warunków, najczęściej rośnie na terenach położonych wyżej.

– I co z niej robicie?

– My uprawiamy ją głównie dla przemysłu perfumeryjnego, ale ma bardzo szerokie zastosowanie.

– Na większych plantacjach zbiera się je maszynami, ale u nas prababcia nie zgodziła się na zmiany – wtrącił chłopiec, niezadowolony, że stryj odbiera mu szansę na popisanie się przed Ewą. – Zatrudnia pracowników do ręcznych zbiorów. Pod tym względem jesteśmy zacofani.

– Aleks, daj spokój, nie znasz się na interesach.

– Nie kłóćcie się, chłopcy – poprosiła Ewa nauczycielskim tonem, nie zwracając uwagi na fakt, że Piotr jest parę lat od niej starszy i słowo „chłopiec” zupełnie do niego nie pasuje. – Chcę się w spokoju pozachwycać. O, jak pięknie! Zatrzymaj się, proszę.

Piotr bez słowa spełnił prośbę gościa, po raz kolejny z wyrozumiałą cierpliwością znosząc niepotrzebny, według niego, postój. W czasie gdy szalona fotograficzka bez żadnego szacunku dla prywatnej własności biegała z aparatem po cudzych polach, jego żona mogła chwilę odpocząć od uciążliwej jazdy. W opinii Piotra to była jedyna korzyść z tej sytuacji.

Upał ostatnio bardzo szybko męczył Sophie, lecz nie dała się przekonać, że potrzebuje wypoczynku. Oświadczyła mężowi, że ma zamiar pojechać na wycieczkę razem z Ewą i Alekssem, a on albo będzie im towarzyszył, albo może się łaskawie ugryźć w nos lub w inne dowolnie wybrane miejsce.

Zarówno stanowczość żony, jak i zasób jej polskiego słownictwa zaskoczyły Piotra. Nie usiłował zatem protestować, tylko wziął wolny dzień i w trybie pilnym zaplanował odpowiednio atrakcyjną trasę wycieczkową.

Okazał się jednak znacznie lepszym kierowcą niż przewodnikiem. Zupełnie nie przejmował się tym, że zapatrzona w krajobraz Ewa nie słuchała jego opowieści o historii regionu. Zirytowanej miny bratanka, który również chciał się wykazać przed gościem swoją wiedzą, także nie dostrzegał. Spokojnym, beznamiętnym tonem snuł swoje wywody, do chwili gdy zniecierpliwiona Sophie oznajmiła, że robi się jej niedobrze od tych wykładów.

– *Ferme-la!*<sup>[55]</sup> Albo będziesz prac obicie w to nowe auto! – zażądała kapryśnie, wzbudzając konsternację.

W głębi ducha Ewa była jej wdzięczna za interwencję, bo monotony głos Piotra odbierał jej przyjemność obserwowania widoków, ale gwałtowna reakcja Sophie ją

zaskoczyła. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją jednak zachowanie mężczyzny.

– Ależ oczywiście, kochanie. Przepraszam – rzucił tylko z osobliwą uległością i wreszcie zamilkł.

– Ewa! – wrzasnął znudzony Aleksander, którego zaczynały męczyć kolejne długie postoje. – Uważaj, bo za chwilę coś cię w końcu rozjedzie!

– Aleks, jak ty się odzywasz?

– Czy stryjek chce, żeby nam prababcia pourywała głowy, kiedy coś się jej stanie? – burknął zbesztany chłopiec, stojąc obok samochodu w cieniu drzewa.

– Wszystko jedno. Za kilka lat będziesz dorosłym facetem i nie powinieneś zapominać o szacunku wobec kobiet w żadnej sytuacji – strofował go cicho Piotr, ale Ewa i tak to usłyszała.

Wyrwana z artystycznego oszołomienia, spostrzegła nagle, że znajduje się dokładnie na środku jezdni, bo tylko w tym miejscu mogła odpowiednio skadrować zdjęcia, omijając znaki drogowe i słupy energetyczne. Bez słowa wsiadła do samochodu.

– Nic nie szkodzi – powiedziała ze skruszoną miną. – Dobrze, że Aleks mnie pilnuje. – Uśmiechnęła się pocieszająco do naburmuszonego nastolatka. – Czasami daję się ponieść twórczym emocjom. A tu jest tak pięknie.

– No dobrze, tylko po co wlaźłaś na środek drogi?

– Stamtąd był najlepszy widok. Właściwie zbędne obiekty można wymazać podczas obróbki, ale takie zdjęcia są bardziej prawdziwe. Przynajmniej ja tak sądzę, bo nie każdy fotograf się ze mną zgodzi – tłumaczyła pogodnym tonem, by poprawić nastrój.

– Na szczęście to boczna droga – skwitował Piotr. – Ale jeśli będziemy się tak ciągle zatrzymywać, to z obiadu nici, bo zastanie nas sjesta.

Ewa natychmiast poczuła, że burczy jej w brzuchu.

– Obiad? To jedźmy! Na razie wystarczy mi lawendowych pól.

– I innych widoczków – rzucił z przekąsem Aleksander.

– A gdzie właściwie jedziemy?

– To niespo... dziewczanka – odparła Sophie. – Chcemy tobie prawdziwą Francję pokazać, nie dla turystów.

– Mówi się niespodzianka, kochanie.

– *Oui, la surprise*<sup>[56]</sup>.

– Co to znaczy „nie dla turystów”?

– To porządny *déjeuner*<sup>[57]</sup>, *un marché* w małym miasteczku, *pétanque*<sup>[58]</sup> i inne zwykłe rzeczy. Miejskie widoki też ci się spodobają – wtrącił chłopiec.

– A turyści tego nie lubią?

– O tej porze roku wszyscy upychają się na Lazurowym Wybrzeżu. Mają to, czego chcą: tłok, korki i śmiesznie małe porcyjki na talerzach.

– Mówisz tak, jakbyś nie lubił przyjezdnych.

– On ma rację. – Piotr pokiwał głową. – Oczywiście, że region żyje także z turystyki, lecz dla miejscowych bywa to szalenie uciążliwe. Niektórzy nawet wyjeżdżają na ten czas, bo mają już dość tłumów obcych ludzi we własnym mieście.

– Ale dużo miejsc pracy jest z tego, a to ważne, prawda, kochany? – skomentowała Sophie, bo przyszło jej do głowy, że Ewa mogłaby wziąć uwagę o turystach do siebie. – Lepiej, że ludzie przyjeżdżają odwiedzać nas. Bardzo dobrze nawet – upierała się, widząc minę męża, który najwyraźniej nie zorientował się w jej intencjach.

– Oczywiście, *chérie*, ale sama wiesz, co przyjezdni wyprawiają w...

– O, popatrz, Ewo, drzewa oliwkowe! – przerwała mężowi, głośniejszym głosem niż wypadało. – To w Polsce nie macie chyba.

– Gdzie ty widzisz drzewa? – zdziwił się.

– No tam rosną. Ty nie patrz, tylko jedź porządnie.

– Rzeczywiście, są! I dokładnie tak powykręcane, jak na obrazach van Gogha – potwierdziła szybko Ewa.

Rozbawiła ją ta wymiana zdań. Piotr był według niej typowym Francuzem: z wysokim poczuciem własnej męskiej wartości, nieco flegmatycznym podejściem do życia i spokojnym usposobieniem, przynajmniej dopóki coś go wyraźnie nie zirytowało. Wobec swojej żony był nieco nadopiekuńczy, ale sprawiał wrażenie człowieka szczęśliwego i całkowicie zadowolonego z życia, jakie wiódł u jej boku.

Sophie była natomiast eteryczną, piękną kobietą, niemal stworzoną do tego, by ją uwielbiać, nosić na rękach i spełniać wszystkie zachcianki. Odwdzięczała się za to mężowi uroczym uśmiechem, ale Ewa bez trudu domyśliła się, że siła tej delikatnej istoty leży w jej kobiecej mądrości – potrafiła tak podejść Piotra, że otrzymywała dokładnie to, czego chciała, bez zbędnego przekonywania. Ewa od początku patrzyła na ich relacje z podziwem.

„Chyba zacznę wierzyć w przeznaczenie. Cokolwiek ich ze sobą zetknęło w tych Chinach, nie mogli lepiej trafić – pomyślała. – No, chyba że to Flora zadziałała, a nie przeznaczenie. Sophie, choć jest taka niby cicha i ułożona, doskonale pasuje do stanowczych kobiet z rodu Elizy”.

Tego dnia Sophie reagowała jednak znacznie bardziej emocjonalnie i bezpośrednio niż zwykle, dlatego Ewa postanowiła załagodzić sytuację.

– Zatrudniacie u siebie wielu obcokrajowców i jesteście z tego zadowoleni, prawda? –

spytała ugodowo.

– Tak, ciotka Isobelle zajmuje się tymi sprawami – odparł znudzony Aleksander. – Sprowadza pracowników sezonowych do winnicy i kwiaciarni. Niektórzy rzeczywiście przyjeżdżają zarobić tylko na wakacje, a potem wydają całą kasę na Lazurowym Wybrzeżu.

– Priorytetem naszej rodziny było zawsze dawanie ludziom pracy – wtrącił rzeczowo Piotr, wywołując grymas zniecierpliwienia u bratanka. – Babcia zawsze powtarzała, że każdy zasługuje na uczciwą pracę, bo to daje ludziom podstawy do porządnego życia i kształtuje charakter.

– Ja chyba zwariuję – sapnął cicho Aleksander. – Gorzej niż w szkole.

W tym momencie spokojny Piotr niespodziewanie stracił cierpliwość.

– *Merde alors!*<sup>[59]</sup> Rusz się! – Gniewnie nacisnął klakson i z piskiem opon wyminał ciągnący się po drodze traktor z małą przyczepą.

Zaskoczeni pasażerowie nieprzyjemnie odbili się od bocznych szyb.

– Piotr!

– No co?!

– Oszalany jesteś?! – denerwowała się Sophie. – Ja chcę być cała. Ty myśl!

– Przepraszam, kochanie, ale sama widziałaś. W tym tempie nie zajedziemy nawet na kolację.

– O rany! – krzyknęła z zachwytem Ewa, gdy samochód wyjechał z zakrętu. – Jak pięknie!

Z prawej strony wyłoniło się wzgórze. Między zielenią porastających go drzew tkwiły kamienne domy i domki: kremowe, lekko pomarańczowe lub niemal różowe, z brunatnymi albo czerwonymi dachami, łagodnie obejmowały pagórek, na którym wyrosły wzdłuż półkolistych uliczek. Miasteczko wyglądało jak wykute w skale i zrosnięte z nią niemal organicznie, jakby istniało od początku stworzenia świata.

– Zatrzymajmy się! Błagam! Muszę to sfotografować!

Entuzjastyczne okrzyki Ewy tym razem nie zrobiły na Piotrze wrażenia. Kobieta mogła jedynie otworzyć okno i złapać w kadr kilka ruchomych ujęć.

Gdy po dłuższej chwili wjechali między domy miasteczka, jej zachwyty jeszcze wzrósł. Urocze wąskie uliczki, latarenki przymocowane do ścian domów, odrapane okiennice na kamiennych ścianach, staroświeckie sklepiki z drewnianymi sztyldami, ozdobne ławki i ludzie stojący w małych grupach, pogrążeni w hałaśliwych rozmowach, gestykujący, uśmiechnięci – wszystko domagało się uwiecznienia na zdjęciach.

– O matko! To świetne ujęcie! O, a tu jakie piękne barwy! A tamten staruszek pod platanem ma genialną twarz do czarno-białego portretu! Piotrze, zaparkuj gdzieś. Ja muszę...! – emocjonowała się.

Mężczyzna był nieugięty.

– Wrócimy tu później – obiecał. – Sophie musi coś zjeść i odpocząć. Ty też mówiłaś, że jesteś głodna.

– Głodna? Tak, ale zdjęcia... – Ewa miotała się od szyby do szyby, chcąc ogarnąć wzrokiem wszystkie ciekawe kadry.

– Później – powtórzył spokojnie i nie zwracając uwagi na rozczarowane pomruki gościa, skręcił w bok.

Wspinające się w górę brukowane uliczki były tak wąskie, że samochód niemal ocierał się lusterkami o ściany domów, przyprawiając Ewę o szybsze bicie serca. Momentalnie ucichła i w dziecięcym odruchu zamknęła oczy.

– Już? Zaparkował? Żyjemy? – pytała szeptem siedzącego obok niej Aleksandra, który tylko chichotał.

– Ależ jesteś zabawna. Pewnie, że zaparkował. A co?

– Nareszcie! Chodźmy.

Mała restauracyjka z zewnątrz nie robiła zbyt dobrego wrażenia, lecz gdy weszli do ciemnego wnętrza, przywitały ich aromaty godne królewskiej kuchni. Tęgi, uśmiechnięty właściciel osobiście zaprowadził ich na antresolę i usadził tuż obok okna z taką życzliwością, jakby byli starymi znajomymi.

Wygłodzona Ewa zajrzała do karty, lecz szybko ją odłożyła. Jej wiedza o kulinariach Francji ograniczała się do mglistego pojęcia o *daube de boeuf à la provençale*<sup>[60]</sup>, *ratatouille*<sup>[61]</sup> czy *soupe au pistou*<sup>[62]</sup>, których nie udało się jej znaleźć w dość krótkim menu. Nie umiała zdecydować, czy na przykład *la bouillabaise*, *canard aux olives* lub *aubergines en éventail*<sup>[63]</sup> nie okażą się czymś tak dziwnym jak danie ze ślimaków, którym poczęstowano ją w domu Elizy. Z całego menu bezpiecznie mogłaby zamówić tylko sałatkę nicejską.

Z kłopotu wybawił ją Piotr, który bez zbędnych pytań sam zdecydował za wszystkich i po krótkiej wymianie zdań z rozgadany właścicielem oznajmił:

– Już nam niosą przystawki.

Na początek kelner – starszy pan wolno i bez zbędnych emocji krążący między zatłoczonymi stołami – przyniósł im *pastis*<sup>[64]</sup> oraz różowe wino. Zaraz potem na stole przykrytym jaskrawoniebieskim obrusem w wielkie żółte słoneczniki pojawiły się marynowane oliwki, figi z suszoną szynką, zapiekany bakłażan z kozim serem



i pomidorami, omlet z czymś zielonym w środku podany z czarnymi oliwkami oraz przypieczone bagietki posmarowane brunatną pastą, którą Aleksander nazwał *tapenade*<sup>[65]</sup>, a która Ewie wydała się nieco ohydna.

– No spróbuj, to jest pyszne – zachęcał.

Ewa nie bardzo wiedziała, od czego zacząć, ale burczenie w brzuchu domagało się natychmiastowej reakcji. Zapał, z jakim Aleksander i Piotr zabrali się do jedzenia grzanek, sprawił, że zapała się w sobie i ugryzła kawałek chrupiącej bułki. W następnej sekundzie jej świat wypełnił się rozkosznymi doznaniem. Wyczuła smak oliwek, kaparów, czosnku, ziół i anchois. Wszystko razem w tej nieapetycznej masie stawało się tak nieoczekiwanie smaczne, że niemal podskoczyła ze zdziwienia.

– Mmm... – zdołała tylko mruknąć, widząc rozbawioną minę Aleksandra.

Jako łasuch była już stracona dla świata. Na talerzach kolejno pojawiały się potrawy o dziwacznie brzmiących nazwach, które nic jej nie mówiły, jednak kubki smakowe bez trudu rozpoznawały znane składniki w zupełnie nowych odsłonach kulinarnych: pieczony w ziołach kurczak ze szparagami, roladki z królika, zupa krem z jakichś warzyw, nadziewane pomidory i papryki, sałaty obficie skropione aromatyczną oliwą, kotlety cielece z warzywami w gęstym śmietanowym sosie, duszone karczochy. Zawahała się dopiero przy ceramicznym półmisku o zielonej barwie, który z niejasnych przyczyn wydał się jej nieco podejrzany: podano na nim lekko przyzłoczone, pojedyncze wąskie udka, jakby z małego ptaka, pokryte maślanym sosem z posiekaną pietruszką i mocno pachnące czosnkiem. Piotr konsumował je z wyraźnym apetytem, nakładając sobie kolejne porcje na talerz.

– Co to? – spytała.

– *Cuisses de grenouilles*.

– To znaczy? – Słowo *grenouilles* nieprzyjemnie się Ewie skojarzyło, ale miała nadzieję, że jednak się myli.

– Żabie udka. Po prowansalsku – rzucił Aleksander, wycierając pospiesznie usta, bo kelner już wspinał się po schodach, niosąc deser.

– Żabie...? – Spłoszona kobieta zacisnęła usta, by nie wyrwał się jej niestosowny jęk.

– Bierz, zanim Piotr wszystko pożre – zachęcał chłopiec, nieświadomy jej stanu ducha.

– Yyy... Już nie mogę. Naprawdę się objadłam, dziękuję – odparła, czując, że światowej kobiecie nie powinno się przewracać w żołądku na widok smażonych żabich udek.

Upiła szybko łyk wina.

„Intuicja mnie nie zawiodła – pomyślała zadowolona z siebie. – Co to za kraj! Ślimaki, żaby... nie wiem, co jeszcze dziś zjadłam. I nie chcę wiedzieć!”.

Wkrótce ze stołu zniknęły puste półmiski, a na ich miejsce podano sery, owoce, lody z figami, tartę z orzeszkami piniowymi i ciasteczka lawendowe – ukłon w stronę turystów, którzy widocznie czasem jednak zaglądali do tego prowincjonalnego miasteczka.

– Widzę, że smakowało – mruknął zadowolony Piotr, gdy Ewa z westchnieniem błogości odsunęła od siebie talerzyk.

– Owszem, wszystko było pyszne – przyznała krótko, bo czuła, że po takim obżarstwie nie ma siły nawet na rozmowę.

Rozejrzała się z wysokości antresoli. Gwar rozmów słabł. Goście powoli opuszczali lokal, brzęk talerzy zastąpił dojrzały w swej tonacji bulgot win nalewanych do kieliszków i gardłowe okrzyki kelnera, który bezceremonialnie wyrzaskiwał w kuchni ostatnie zamówienia.

– Odpoczniemy trochę i pokażemy ci miasteczko. Antoine przyniesie nam jeszcze dobrego wina. Nie musimy się spieszyć.

– Jasne – przytaknęła z ulgą, myśląc, że w tym stanie i tak nie miałyby siły nigdzie się dotoczyć. – Przeczekajmy tu największy upał. Jak wy to wytrzymujecie?

– Normalnie.

– W Polsce nie ma gorącego lata? – zainteresowała się Sophie.

– Jest, ale rzadko aż takie jak u was.

– Chciałbym wreszcie zwiedzić Polskę, a nie tylko wysłuchiwać rodzinnych historyjek – stwierdził nagle Aleksander. – Muszę namówić ojca, żebyśmy pojechali.

– Najpierw musisz podciągnąć się w nauce. Przecież wiesz. – W tonie Piotra dało się słyszeć rozleniwienie i brak zainteresowania tematem.

– Porozmawiaj o tym z Constance. Ona pomoże – szepnęła życzliwie Sophie, nachylając się do ucha nastolatka. – Mój mąż też nie był w Polsce – dodała głośniej. – My razem pojechamy tam kiedyś, a Ewa będzie nasz przewodnik, *n'est-ce pas?*<sup>[66]</sup>

– Oczywiście, zapraszam serdecznie. Nasza regionalna kuchnia też bywa zaskakująca.

– Polskie potrawy nie som nam obsse... – wymamrotał Aleksander, wpychając sobie do ust lawendowe ciasteczko.

Ewie nagle coś się przypomniało.

– No właśnie, Eliza mi tego dokładnie nie wyjaśniła. Tylko twój pradziadek był Polakiem, tak?

– Tak.

– To był mąż pani Konstancji?

– No.

– I naprawdę nie macie w Polsce więcej krewnych?

Aleksander zerknął na stryja, a ten wzruszył ramionami.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł.

– W takim razie to trochę ekscentryczne. Wasze związki z moim krajem są w zasadzie dość słabe, a jednocześnie ta polskość jest w waszej rodzinie tak mocno osadzona, że aż mnie to zdumiewa. To wszystko ze względu na jednego przodka?

– Właściwie tak – przyznał chłopiec, bo odprężony Piotr spoglądał przez okno, niezainteresowany rozmową. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Kiedy się urodziłem, już tak było i tyle. To chyba ze względu na prababcie.

– A co wiecie o mężu pani Konstancji? Jak tu trafił?

– Dokładnie to nie wiadomo. Był dobrym człowiekiem i bardzo honorowym. Tak mówi prababcia, ale ona nie lubi opowiadać o ich życiu.

– *Précisément*<sup>[67]</sup>. Ale na pewno bardzo jego kochała, bo zawsze płacze przy grobie.

– Skąd to wiesz? – Zaskoczony Piotr spojrzał na żonę.

– To nietrudno widzieć. Ona opóźnia się na kolację w piątek i wtedy smutna jest zawsze. *La pauvre*<sup>[68]</sup>.

– Dziadek zmarł w piątek. Babcia od lat nosi wtedy na grób świeże kwiaty. No cóż...

– Mężczyzna skrzywił się lekko. – To chyba nie jest dla niej dobre, ale starszym ludziom trzeba wybaczyć ich przyzwyczajenia.

– Czy pani Konstancja od dawna jest wdową? – spytała ostrożnie Ewa, bo nie zamierzała być wścibska. Czuła jednak, że z jakiegoś powodu musi dowiedzieć się więcej, a okazja sama się nadarzyła. – To jakaś tragiczna historia?

Piotr wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że takie wspomnienia nie powinny Francuzowi psuć cudownie leniwego, słonecznego dnia, zwłaszcza gdy zjadł pyszny obiad, a przed nim stoi butelka dobrego wina.

– Raczej tak – odparł Aleksander.

Widząc, że stryj nie zamierza mu przeszkodzić, skorzystał ze sposobności.

– Pradziadek zginął w czasie wojny. Z tego, co opowiadała mi Eliza, wynika, że przyjechał do nas w 1940 roku, akurat gdy utworzono rząd Vichy. Nie wiem, jak się tu dostał, w sensie, że do Prowansji. Do nas trafił, szukając pracy. Dom był wtedy zrujnowany, ale on podobno znał się na wszystkim: na murarce, ogrodnictwie, hodowli zwierząt i innych rzeczach. Eliza mówiła, że prababcia bardzo się w nim zakochała,

więc został już na stałe. Ona była właściwie sama na świecie.

– Całkiem sama?

– Owszem. Jej rodzice zmarli tuż przed wojną na gruźlicę, a reszta krewnych rozproszyła się gdzieś – wtrącił Piotr, jakby nagle zdał sobie sprawę, że nie wypada przy Ewie tak ostentacyjnie okazywać obojętności wobec rodzinnej historii. – Została tylko babcia i paru wiernych służących. Nie musiała nikogo pytać o zdanie, więc po czterech miesiącach wzięli cichy ślub. To były niebezpieczne czasy i tak było dla niej lepiej.

– *Chéri*, ty ożenił się ze mną z miłości?

– Oczywiście – odparł nieco zdziwiony.

– To dlaczego mieszasz?

– Ja? Co mieszam?

– Śluba się bierze z miłości, a nie, żeby było lepiej – oświadczyła stanowczo Sophie.

– Ależ ja nic złego nie miałem na myśli.

– Co było dalej? – Ewa niecierpliwie przerwała im tę wymianę zdań.

– No, potem urodził się Teodor i jego brat, czyli mój dziadek Walery – opowiadał Aleksander. – A kiedy prababcia była w ciąży z Ludwikiem, pradziadek zginął.

– Jak umarł?

Chłopiec podrapał się po policzku, nieco skrepowany, i po raz kolejny zerknął na Piotra. On również miał nietęgą minę.

– Tego nikt nie wie.

– Jak to? – zdziwiła się Sophie, bo ona również nie знаła tej historii.

– To było zimą 1944 roku – wyjaśnił Piotr niechętnie. – Podobno jacyś żołnierze niemieccy go zabrali i już nie wrócił. Następnego dnia znaleziono jego ciało leżące na drodze, pół kilometra od domu. Tam go zastrzelili.

– Och, to okropnie jest! Biedna Constance. Jak mogli okrutnie tak zrobić? Jakim prawem? – Sophie była wyraźnie poruszona.

– Kochanie, babcia nikomu się nie zwierzała i myślę, że nawet Eliza jej o to nie pytała. Może dziadek pracował dla ruchu oporu albo coś takiego. To były przecież czasy wojny. Nie zajmuj tym swojej ślicznej główki, *chérie*. I nigdy nie pytaj o to *grand-mère* – zastrzegł. – Minęło tyle lat, a babcia nadal chowa w sercu wielki żal.

Przez chwilę przy stole panowało milczenie. Ewie przyszło do głowy, że pytanie Sophie było dość naiwne, jednak młoda Francuzka miała prawo nie orientować się zbyt w wojennej historii. Dramatyczne doświadczenia Polski okupowanej przez Niemców i Rosjan w czasie II wojny światowej wrosły w pamięć Polaków znacznie

mocniej niż u innych nacji.

Nagle Ewa przypomniała sobie coś i poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić.

– Jak on właściwie miał na imię? – spytała cicho, wpatrując się we własny, pusty kieliszek.

– Kto?

– Mąż pani Konstancji.

– Jan.

Ewa bezwiednie zacisnęła palce na szklanej czaszy.

– Jan? Czy... czy on był może lekarzem?

Piotr spojrzał na nią zaintrygowany.

– To ciekawe, że o to pytasz – mruknął. – Pamiętam, że kiedy byłem mały, Eliza lubiła opowiadać nam przed snem różne historyjki. O naszym dziadku powiedziała kiedyś, że miał w rękach cudowny dar uzdrawiania i leczył za darmo wszystkich potrzebujących ludzi. Przez wiele lat byłem przekonany, że sama to wymyśliła. Przypadkowo dowiedziałem się jednak, że dziadek był kimś w rodzaju... kręgarza, tak to chyba brzmi po polsku. Potrafił nastawiać kości, leczyć stłuczenia, złamania. Podobno cała okolica przyjeżdżała do niego w czasie wojny, żeby ich leczył. Skąd o tym wiesz?

Kobieta poczuła, że robi się jej duszno.

– Ja... chyba się domyślam, dlaczego żołnierze zabrali wtedy waszego dziadka – odparła wymijająco. – Pewnie zachorował ktoś ważny, na przykład niemiecki generał. Chcieli, żeby mu pomógł, a on nie odmówił. Sami powiedzieliście, że był dobrym człowiekiem.

Piotr tylko skrzywił się sceptycznie, ale nie zdążył zareagować na taki dziwaczny pomysł, bo Ewa niezgrabnie podniosła się z krzesła.

– Przepraszam, ale muszę wyjść na powietrze – stwierdziła słabym głosem.

– Co ci, Ewo? – zaniepokoiła się Sophie.

– Nic, trochę tu gorąco.

– Chodź, my pójdziemy na placu pod drzewa.

– Dacie sobie radę?

– Tak, Piotrze, nic mi nie jest.

Kobiety wyszły, a uspokojony mężczyzna, w oczekiwaniu na rachunek, wdał się w pogodną rozmowę z właścicielem restauracji. Nie zwrócił uwagi na to, że jego bratanek nadal tkwi za stołem z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

„Powiedziała to z takim przekonaniem, jakby była tego pewna – myślał Aleksander. – Dziwne... Skąd jej to przyszło do głowy?”.

Wycieczka przyniosła Ewie sporo wrażeń, których jednak nie zdążyła przeanalizować. Gdy wyszła spod prysznic, do drzwi zapukała pokojówka i oznajmiła, że kolacja nieco się opóźni, dlatego *madame* Constance zaprasza ją do kuchni na herbatę.

Po wyjątkowo obfitym lunchu Ewa nie miała na nic ochoty, ale wyraz *le thé*<sup>[69]</sup> niemal ją zelektryzował. Francuskiej kuchni nie mogła nic zarzucić, poza jednym – pełnego lekceważenia zwyczaju niepijania herbaty. W domu Elizy litrami pochłaniano wodę, soki i kawę, Konstancja lubiła po kolacji wypijać szklaneczkę *une tisane*<sup>[70]</sup>, ale ani razu nie zaproponowano Ewie prawdziwej liściastej herbaty. Pachnący cytrusami napar z zielonej, czerwonej czy jakiegokolwiek innej herbaty zaczynał się jej śnić po nocach. Wolałaby jednak umrzeć z pragnienia, niż zignorować zasady tego domu. Ucieszona, nie odmówiła zatem niespodziewanej propozycji.

Kuchnia zaskoczyła ją przestronnością. Pomyślała, że bez trudu zmieściłaby się w niej kawalerka, którą wynajęła w Polsce, i jeszcze zostałyby sporo miejsca. Jednocześnie całość wydała się jej nieco zagracona: sporo nowoczesnego sprzętu kuchennego, proste, ale funkcjonalne meble, naczynia i garnki w licznych oszklonych szafkach i kredensach, półki z przyprawami oraz mnóstwo innych potrzebnych w kuchni rzeczy – wszystko to składało się na wyposażenie miejsca, które dla każdego francuskiego domu było niezmiernie ważne. Jedyne, czego zdawało się brakować, to sprawnie działająca klimatyzacja. Na zewnątrz panował zwyczajny popołudniowy skwar, ale dopiero w kuchni było niemiłosiernie gorąco.

– O, jesteś, moje dziecko – przywitała ją Konstancja. – Wejdz, proszę. Właśnie pieczemy chleb.

Ewa podeszła bliżej do długiej wyspy z marmurowym blatem, ustawionej na środku. Z ciekawością przyjrzała się pracy zgromadzonych kobiet. Wszystkie domownice, oprócz nieobecnej Sophie, pracowały w pocie czoła, ubrudzone mąką aż po łokcie i zagadane tak, że w pierwszej chwili nawet nie zauważyły wejścia Ewy. Tylko Konstancja siedziała przy stole i z pewnej odległości oceniała ich pracę.

– Słyszałam, że wycieczka się udała – stwierdziła na widok Ewy. – Wróciliście jednak dość szybko. Czy coś się stało?

– Nie, wszystko w porządku, było naprawdę miło. Jednak obie z Sophie szybko się zmęczyłyśmy w tym skwarze – odparła Ewa wymijająco. – Ale zrobiłam mnóstwo fantastycznych zdjęć, bo widoki są tu zachwycające. Czy mogę wam pomóc? – Szybko zmieniła temat, zaglądając Elizie przez ramię.



– Jeśli chcesz, zapraszamy. Brakuje nam jednej pary rąk.

– Tylko nie wiem, czy potrafię. – Przyglądała się przez chwilę, jak kobieta z wysiłkiem miesza ciasto.

– To za ciężkie dla ciebie. Najlepiej pomóż Patrycji smarować brytfanki, bo ona coś dzisiaj nie nadaża.

Ewa z chęcią przepasała się fartuchem i stanęła obok siostry Aleksandra. Wielką frajdę sprawiło jej przyglądanie się zespołowej pracy kobiet. Od razu zauważyła, że tworzą różnego typu bochenki, każdy z nieco innego ciasta. Najbardziej zainteresowała ją produkcja białych, delikatnych bagietek i specyficznego płaskiego chleba, który jadła już wcześniej i bardzo jej smakował.

– U mnie w domu babcia Urszula piekła chleb na żytnim zakwasie – powiedziała, odbierając pełną foremkę od dziewczyny i układając ją obok pozostałych w równym rzędku. – Miesiącami przechowywała zakwas w lodówce, a wcześniej, kiedy jeszcze nie mieliśmy lodówki, w zimnej piwnicy.

– Nie mieliście lodówki? – zdziwiła się Patrycja, ale wzrok matki szybko ją uciszył.

– Takie były czasy. Wtedy u nas w sklepach prawie niczego nie było.

– Opowiadaj, moje dziecko. To ciekawe.

– Pamiętam, że babcia specjalnie posyłała wujka do młyna po dobrą mąkę. Zaczyn robiła wieczorem, żeby rósł przez całą noc, a dopiero rano zabierała się do ciasta. Ten domowy chleb wychodził z pieca taki pachnący, że zaraz chciało się go jeść. – Otarła czoło wierzchem dłoni, bo temperatura zaczynała ją przyprawiać o zawrót głowy. – Nie wolno go było jednak dotknąć, póki nie wystygł. Babcia najpierw stukała w spody bochenków, żeby sprawdzić, czy są wypieczone, a potem zawijała je w wilgotne lniane ściereczki. Zimą lubiłam się wpatrywać w parę, która unosiła się z takiego zawiniętego chleba.

– Tego pomysłu ze ściereczką nie znałam – sapnęła matka Elizy znad miski z ciastem. – Ale trzeba będzie kiedyś spróbować. I może tego za... kwasu? – Spojrzała pytająco na Konstancję.

– *Oui, c'est une bonne idée*<sup>[71]</sup>. Polski chleb jest nieco inny – odparła starsza pani. – Pamiętam jego smak z wizyty w twoim kraju. Ale to było tak dawno.

– Teraz coraz trudniej trafić na uczciwą piekarnię, która nie dosypuje żadnych świństw. – Ewa nie zauważyła zmarszczki na czole Konstancji. – Babcia opowiadała, że dawniej każda porządna gospodyni miała swój własny przepis na chleb. Różne sekretne dodatki czy proporcje składników trzymało się w tajemnicy.

– A ty masz swój sekretny przepis?

– Nie, teraz nikt nie ma czasu na pieczenie. Nawet moja babcia w ostatnich latach życia robiła chleb tylko na święta. Szczęśliwie mama ocaliła stary notatnik z przepisami, bo wujek chciał go spalić. Może kiedyś z niego skorzystam. Uff! Ależ tu gorąco!

Pani Konstancja przyjrzała się uważnie rumieńcom na twarzy Ewy i z pewnym trudem podniosła się z krzesła.

– Widzę, że już kończycie, więc zabiorę naszego gościa na powietrze. Patrycjjo, zajmij się sprzątaniami. I dopilnuj, żeby ta nowa pomocnica nie włączyła klimatyzacji, jak ostatnio. Chleb musi wyrosnąć w spokoju, zanim go włożymy do pieca.

– Jasne, dopilnuję.

– Przypomnijcie Paulowi, że zarządziłam kolację na dwudziestą, i poproście, żeby zaparzył nam herbaty. On robi to najlepiej. Będziemy na dolnym tarasie.

– Dobrze, babciu.

– Pijasz herbatę po angielsku czy zwyczajnie, moje dziecko?

– Po angielsku? – zdziwiła się Ewa.

– Z cukrem i mlekiem.

– Słodzę wyłącznie czarną – odparła dyplomatycznie Ewa, bo nie wypadało się dopytywać, jaką zostanie poczęstowana. – Naturalnie bez mleka. W Polsce tak się nie pija.

– Czy nadal podajecie herbatę w szklankach? – zainteresowała się Konstancja, stukając laską po kamiennych płytkach.

– Nie, na szczęście ten zwyczaj odchodzi w zapomnienie.

– Usiądź, moje dziecko. – Starsza pani wskazała Ewie miejsce obok siebie, gdy już dotarły na zacieniony taras. – To miło, że zechciałaś się do nas przyłączyć w kuchni. Jak się dzisiaj czujesz?

– Bardzo dobrze. Czy one często tak razem gotują? Całkiem sprawnie im szło.

– Niestety tylko raz w tygodniu. Staram się podtrzymywać tę tradycję, by młode pokolenie jakoś radziło sobie w życiu. Kobieta, która nie potrafi upiec chleba dla własnej rodziny... – Nie dokończyła. – Poza tym uważam, że to nas zbliża. W twoim kraju też bardzo się dba o ognisko domowe, *n'est-ce pas?*

Ewa nigdy nie czuła się zbyt mocna w uprzejmych konwersacjach na tematy ogólne, ale postanowiła wykrzesać z siebie odrobinę zaangażowania. Za filiżankę herbaty była gotowa nawet wygłosić orację.

– No cóż, czasy się zmieniają – odparła. – Teraz żyje się w większym pośpiechu niż jeszcze dziesięć lat temu, ale rzeczywiście jesteśmy raczej tradycyjnym narodem.

Mimo zachłyśnięcia się nowoczesnością coś jednak ciągle się w nas kołacze. Każdy potrzebuje jakichś korzeni, by na czymś budować swoją tożsamość.

– Nawet młode pokolenie?

– Ono szczególnie. I mówię to z pełną świadomością, jako była nauczycielka.

– O! – Pani Konstancja była mile zaskoczona. – A czego uczyłaś?

– Tylko plastyki, sztuki. To takie artystyczne przedmioty w młodszych klasach. Mój wuj jest za to wykładowcą na politechnice. Pewnie po nim zaplątały mi się jakieś geny belferskie.

– Nie mów „tylko”. Dzieci trzeba kształtować wszechstronnie od najmłodszych lat. Jak inaczej odkryją swoje talenty i mocne strony? Czasem aż się boję o moje prawniki. – Starsza pani westchnęła. – Chcą tylko wygodnie żyć, bawić się. Nie mają w głowie żadnych większych idei.

Ewa dostrzegła nagle świetną okazję do rozmowy o historycznych zainteresowaniach Aleksandra. Postanowiła to wykorzystać.

– Nie należy generalizować – zaczęła delikatnie. – Niektórzy na pewno mają z tym większy problem niż inni, ale przyzna pani, że dzisiejszy świat jest wobec ludzi bardzo wymagający: pośpiech, dyspozycyjność, wydajność i cały ten wyścig szczurów. To ogłupia. Człowiek musi dojrzeć i na własnej skórze przekonać się, że życie to coś więcej niż kariera, pieniądze czy sława. Trzeba znaleźć coś, co będzie siłą napędową każdego dnia, żeby po prostu chciało się wstać z łóżka.

– To znaczy? – Konstancja spojrzała na młodą kobietę z wyraźnym zainteresowaniem.

– Dla każdego taka idea życiowa jest czym innym. – Ewa czuła, że starsza pani uważnie ocenia każde jej słowo, ale świadomie zdecydowała się poddać próbie. – Jeden pragnie poczucia bezpieczeństwa i więzi, a do tego potrzebny jest mu dom i rodzina. Drugi ma talent, który zachwyca ludzi i przynosi innym pożytek. A trzeci chce na przykład zmieniać świat na lepszy dzięki swojemu zaangażowaniu. Każdy z nich może coś zdziałać dla innych, tylko musi mieć szansę, by spróbować.

– Och, wy młodzi. Wciąż chcecie coś zmieniać, ulepszać, ryzykować. Ciągle szukacie nowości.

– Czy to źle?

– Nie wiem. Przeżyłam chyba zbyt wiele, by teraz bez zastanowienia godzić się na niszczenie tego, co z trudem zbudowałam.

Ewa zorientowała się, że Konstancja mówi o czymś ważnym dla siebie. Nie chciała być niedelikatna, więc powiedziała ostrożnie:

– Ulepszać nie znaczy niszczyć. Z doświadczeń przeszłości można się wiele nauczyć,

ale najpierw trzeba ją poznać.

– Młodych nie interesuje przeszłość.

– Nieprawda – zaprzeczyła z łagodnym uśmiechem. – Na przykład Aleks. Zamiast przesiadywać przy komputerze, czyta, szuka, lubi odkrywać tajemnice historii.

– Czasem aż za bardzo. Dla niego to zabawa. Zbyt często zapomina przy tym o swoich obowiązkach.

– Czy to coś złego, że ma takie zainteresowania? Może wolałby zostać strażnikiem i opiekunem waszej przeszłości, niż zajmować się rodzinnym biznesem? – Ewa umilkła, trochę speszona własną śmiałością. – Przepraszam, to właściwie nie moja sprawa, ale trochę mi go żal.

– Dlaczego?

– Bardzo zazdrości Elizie dostępu do rodzinnych pamiątek.

– Aleks to kochany chłopiec. – Konstancja uśmiechnęła się pobłażliwie. – Jednak nie myśli o życiu poważnie.

– Sądzę, że się pani myli – zaryzykowała. – Historia to jego prawdziwa pasja. Choć jest taki młody, już wie, że chciałby się tym kiedyś zajmować profesjonalnie.

Na twarzy Konstancji zagościł wyraz zadowolenia, jakby reakcja Ewy spodobała się jej.

– Cieszę się, że go polubiłaś. Nie musisz go jednak bronić, moje dziecko. Znam talenty Aleksa lepiej niż on. I kto wie... Choć jest mężczyzną, może kiedyś to właśnie jemu Eliza powierzy nasze pamiątki. W końcu równouprawnienie musi dotrzeć i do nas – zażartowała. – Jednak najpierw mój prawnuk musi udowodnić, że jest odpowiedzialny. Zresztą nie tylko on. Jedynie ciężką pracą można coś osiągnąć, choć niektórym wydaje się, że znaleźli drogę na skróty, bo tacy są sprytni – mruknęła, znów mówiąc o czymś, czego Ewa nie rozumiała. – A tylko to, co zdobyte własnymi siłami, ma dla człowieka prawdziwą wartość.

– Wydaje mi się, że Aleks nie boi się pracy. Jak każdy nastolatek bywa po prostu przekorny.

– Wiem. Dlatego porozmawiam z jego ojcem. Jeśli ten chłopiec naprawdę chce zostać historykiem, pomożemy mu w tym.

– A więc pani się zgadza? – ucieszyła się.

– Owszem. Kto wie... – powtórzyła z tajemniczą miną. – Być może Flora i jemu przekazała jakieś dary – mówiła cicho, patrząc w dal, jakby zapomniała przez chwilę, że nie jest sama.

Ewa chrząknęła dyskretnie, by o sobie przypomnieć.

– A ty, moje dziecko? – Konstancja ocknęła się. – Jakie są twoje marzenia życiowe?

– Obawiam się, że należę do tych wiecznie poszukujących – wyznała samokrytycznie. – Wierzę, że wielkie lub małe cele są jeszcze przede mną, tylko na razie nie wiem jakie. Dlatego zazdroszczę Elizie, że tak jasno widzi swoją przyszłość.

– Doprawdy?

– Tak. Ona naprawdę wie, czego chce, i na dodatek nie jest w tych dążeniach egoistyczna. Chce robić coś dla innych, dla rodziny. Dla siebie pragnie tylko szczęścia w miłości.

– Tylko? – Brwi starszej pani powędrowały do góry. – To bardzo dużo, moje dziecko. Więcej, niż sądzisz. Ale młodość nigdy nie docenia tego, co dostaje od losu.

Milczały przez chwilę, bo speszonej Ewie przypomniła się scena na cmentarzu i nie bardzo wiedziała, jak odejść od trudnego tematu. Konstancja wybawiła ją z kłopotu.

– A jeśli się okaże, że jej plan to niewypał? – spytała nieco zaczepnie.

– Kto nie próbuje, nie poznaje rezultatów. – W tym momencie Ewa pomyślała bardziej o sobie i nieprzemyślanej do końca decyzji o zmianie zawodu niż o Elizie i jej nieco tajemniczych projektach. – Lepiej jednak popełniać błędy i je naprawiać, niż spocząć na laurach i zgnuśnić.

– Też tak myślę, Ewo – usłyszała za sobą radosny głos.

Uśmiechnięta Eliza podeszła do stolika. Tuż za nią kroczył z godnością Paul, niosąc na tacy serwis do herbaty.

– *Merci* – mruknęła zachwycona Ewa, gdy postawił przed nią filiżankę.

Z przyjemnością obserwowała strumień lejącego się z czajniczka płynu o barwie ciemnego miodu. Ledwie powstrzymała się przed wypiciem napoju jednym haustem.

– *Excellente comme d'habitude. Merci beaucoup, mon cher*<sup>[72]</sup>. – Konstancja skinęła mężczyźnie głową i poczekała, aż się oddali. – Takie błędy mogą jednak zbyt wiele wszystkich kosztować – oświadczyła niezadowolona, nawiązując do wcześniejszej uwagi Ewy. – Gdyby ktoś na przykład w porę wyperswadował Stefanowi jego niemądre pomysły... – Spojrzała znacząco na wnuczkę.

– Babciu, nie wracajmy już do tej sprawy. Każdy powinien sam ponosić konsekwencje swoich decyzji. Skoro Stefan nie zna się na giełdzie, nie powinien być w nią wkładać wszystkich swoich oszczędności. Teraz to już problem stryja Ludwika, żeby pomóc synowi wygrzebać się z dołka.

– Mylisz się, to jest nasz problem, całej rodziny. On ma żonę i dzieci. Wsparcie ich to nasz obowiązek.

– Babciu, wybacz, ale jestem innego zdania – przerwała jej łagodnie. – Należy pomagać sobie w sprawach istotnych, jak w przypadku... hmm... choroby Teodora. Ale

kwestie czysto finansowe to zupełnie co innego.

– Nie masz racji.

– Z głodu nie pozwolimy nikomu umrzeć, jednak Stefan powinien wreszcie stanąć na własnych nogach. Takie niańczenie do niczego dobrego nie prowadzi. Jaki przykład da kiedyś swoim córkom?

– Niańczenie?

– Nie możesz ciągle nas chronić. Jak mamy się nauczyć samodzielności, skoro o wszystkim chcesz decydować?

– Nic podobnego – obruszyła się starsza pani.

– Babciu, z jednej strony chcesz, żeby każdy był gotowy do samodzielnego życia, a z drugiej na przykład powstrzymujesz Franciszka przed wyprowadzką. Najwyższa pora, by nowe pokolenie zaczęło życie na własny rachunek.

– O nie! Rodzina musi trzymać się razem.

– To nie znaczy, że mamy bez końca utrzymywać ten wielki dom za nich wszystkich. Musimy zacząć oszczędzać.

– Elizo. Wiem, że szukasz środków na sfinansowanie...

– Przecież nie chcę nikogo wyrzucać – młoda kobieta znowu weszła jej w słowo. – Ale te pomysły z rozbudową... Nie, nie zgadzam się na przerabianie domu. To też pamiątka. Przez pół życia odejmowałam sobie od ust, by podźwignąć wszystko z ruiny, a ja nie pozwolę tego zmarnować.

– Sama wiesz, że jest ciasno. – Konstancja wydawała się przygnębiona.

– Owszem, właśnie o tym mówię. Skoro zdecydowałaś się przepisać dom na mnie, w przyszłości zamierzam wprowadzić tu nieco inne zasady. Jeśli ktoś nie będzie zadowolony, pomogę mu znaleźć na naszej ziemi dogodne miejsce, żeby wybudował sobie własny dom. Każdy ma prawo do swojego miejsca na ziemi.

Zapadła cisza.

Ewa czuła się niezręcznie, przysłuchując się tej osobistej wymianie zdań, ale nie mogła tak po prostu wstać i odejść bez zwrócenia na siebie uwagi. Taktownie zastygła z filiżanką w dłoni, udając, że wcale nie słucha.

„Zdaje się, że w końcu odkryłam, o co one się tak spierają – pomyślała. – Tylko co to ma wspólnego z zawodowymi planami Elizy?”

Chmurna mina Konstancji nie zwiastowała niczego dobrego.

– Babciu, tak bym chciała, żebyś wreszcie przestała się martwić. Zadbaj o to, by każdy z nas miał odpowiednie wykształcenie i dobrą pracę. Teraz własnymi siłami musimy budować naszą przyszłość.

– Czy ja was do czegoś zmuszam?



– Po prostu widzisz sprawę nieco inaczej. Ja na przykład nie wyobrażam sobie, że Pierre mógłby rzucić pracę i liczyć na mój majątek. A Stefan wciąż ogląda się na ciebie, na ojca i swojego teścia. To karygodne.

– Używasz ostrych słów, moja droga, a życie nie jest takie proste. Masz szczęście, że twój narzeczony posiada dość własnego majątku. Nie grozi ci zapewne to, co Teodorowi z jego pierwszą żoną – skwitowała słowa wnuczki gorzkim tonem.

– Tak, przyznaję, że najwyraźniej Flora wybrała dla mnie dobrego człowieka. Ale przykład Teodora i Stefana dał mi wiele do myślenia. Dlatego przedstawiłam Pierre’owi intercyzę małżeńską przygotowaną przez Sophie, tak jak prosiłaś. A on podpisał ją bez wahania.

– *Vraiment?*<sup>[73]</sup>

– Nie musisz ironizować. Zresztą i tak zamierzamy się razem zestarzeć, więc nigdy jej nie wykorzystamy. – Eliza złagodniała. – Dlatego teraz mogę z czystym sumieniem zacząć realizację naszych planów zawodowych.

– Czyli co? Jednak upierasz się przy tym ośrodku, sanatorium czy cokolwiek to będzie? Kosztem moich kwaciarni i ogrodów! – zirytowana Konstancja z trudem panowała nad głosem.

Eliza spokojnie ujęła jej pomarszczone dłonie.

– Babciu, nie denerwuj się. Słyszałaś, co mówił nasz doradca. Utrzymywanie filii kwaciarni w odległych rejonach przynosi nam straty i źle wpływa na postrzeganie naszej marki. Lepiej ograniczyć się do lokalnego rynku.

– Nie pozwolę ci zniszczyć dziedzictwa babki Flory!

– Przecież niczego nie niszczę. Chez Flora nikt nie tknie.

– A reszta?

– Kwaciarnie przynoszące zyski także zostaną. Skupimy się na jakości i przypomnieniu ludziom o prestiżu naszej marki. Sophie ma sporo dobrych pomysłów, więc mi pomoże w promocji. Teraz we florystyce liczy się to, co oryginalne i wyjątkowe, a my jesteśmy wyjątkowi, tylko musimy na nowo trafić do odpowiednich klientów.

– Czemu więc nie poczekaś na efekty tych działań promocyjnych?

Eliza westchnęła.

– Brutalna prawda jest taka, że muszę dodatkowo poszukać oszczędności. Nie kręć głową. Flora i ty złożyłyście w moje ręce ciężar odpowiedzialności za wszystko i przyjąłam to z pokorą. Ale mam także własne marzenia. Chcę robić coś więcej, coś pożytecznego. Proszę, powiedz, że starasz się mnie zrozumieć.

Starsza pani spuściła głowę.

– *Je suis fatiguée*<sup>[74]</sup> – szepnęła. – Wy, młodzi, decydujecie tak szybko i bez zastanowienia. Biegniecie przez życie, nie bojąc się, że... że coś może się stać, *qu'un moment peut détruire votre vie*<sup>[75]</sup>.

– Babciu...

– Przepraszam was, dziewczynki, ale pójdę się położyć. Nie będę dziś jadła kolacji. – Podniosła się z cichym stęknieniem i bardzo wolno, opierając się na lasce, weszła do środka.

Kiedy jej zgarbiona sylwetka zniknęła w drzwiach, Eliza spojrzała na Ewę, która przez cały czas siedziała w bezruchu, starając się nawet nie oddychać.

– Wybacz. Nie chciałam cię krępować tą rozmową. To wyszło zupełnie nieoczekiwanie.

– Rozumiem.

– Teraz już wiesz, dlaczego tak trudno się babci pogodzić z oddaniem w moje ręce władzy nad rodziną. Zgodnie ze zwyczajem zapisała mi niemal cały swój majątek. Dostanę go w posagu i wtedy zajmę jej miejsce. Babcia uważa jednak, że wciąż jestem za młoda na to brzemię, i pewnie ma rację.

– Czemu?

– Tak naprawdę ani ona, ani ja nie miałyśmy wyboru. Tradycja i babka Flora zadecydowały za nas. Naszym obowiązkiem jest strzec jedności i bezpieczeństwa rodziny. Flora jest dla nas kimś w rodzaju wzorca, według którego mierzy się wartość każdej kobiety w naszym rodzie. Trudno jest konkurować z taką legendą.

Ewa nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, bo w głosie Elizy usłyszała gorycz.

– Czy zawsze tak było? – spytała, by przerwać milczenie.

– Nie rozumiem.

– No, czy wasze dziedziczki zawsze przejmowały ten obowiązek w tak młodym wieku?

– Raczej tak, choć większość z nich otrzymywała majątek raczej w spadku niż w posagu. Na przykład moja praprababka Róża umarła w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku, zostawiając wszystko Konstancji, która wtedy miała dopiero pięć lat. Teoretycznie majątkiem zarządzali jej rodzice, ale dużo tego nie było, bo małżonek Róży lubił grać w karty i zostawił po sobie mnóstwo długów.

– To dobrze, że choć dom ocalał.

– Owszem, po śmierci rodziców babcia miała chociaż to – odparła Eliza spokojnie.

– Czemu więc ty przejmujesz majątek już teraz?

– Ze względu na stan jej zdrowia. Kilka lat temu podczas jednej z rodzinnych narad babcia uległa naszej perswazji i zgodziła się przejść w odpowiednim momencie na coś w rodzaju emerytury. Stąd się wziął pomysł z posagiem.

– Rozumiem.

– Zapewne nie sądziła, że będzie mieć tak mało czasu. Teraz ona nie może złamać danego słowa, a ja nie chcę i nie mogę odkładać ślubu. Pierre jest moją siłą. Zresztą...

– Tak?

– Babcia jest ostatnio ciągle taka przybita i zmęczona. Widzę, że stara się to ukryć, ale jest coraz gorzej. Chcę, żeby odpoczęła, bo lękam się, że to depresja.

– Depresja? To niedobrze.

– No właśnie. Muszę jej jakoś pomóc, nawet wbrew jej woli. Mam nadzieję, że odpoczynek będzie dobrym początkiem.

– Może powinna gdzieś wyjechać, oderwać się na jakiś czas?

– Może. Przepraszam, wiem, że chciałaś porozmawiać ze mną o swojej pracy, ale muszę teraz zadzwonić do Pierre'a. – Wyciągnęła z kieszeni telefon i zeszła do parku.

Na ławce została tylko zamyślona Ewa.

\* \* \*

Zegar w holu na parterze wybijał właśnie jedenastą wieczorem. Echo dźwięcznych uderzeń niesło się w górę po schodach cichego domu aż do galerii przodków.

Ewa od dłuższej chwili stała przed portretem Flory. Mrużąc oczy jak typowy krótkowidz, usiłowała w świetle latarki pożyczonej od Aleksandra dokładnie obejrzeć malowidło ukryte w mroku.

Nie była pewna, dlaczego tu przyszła, i to tak ukradkiem, dopiero gdy domownicy rozeszli się do swoich apartamentów. Z jakiegoś powodu chciała jednak przez chwilę zostać sam na sam z Florą. Czuła potrzebę zerknięcia na niezwykłą postać, która po tylu wiekach nadal miała wpływ na losy kobiet jej rodu. Gdyby mogła, chętnie weszłaby na jakąś drabinę i mimo strachu spojrzała prosto w niesamowite oczy, które patrzyły na nią z obrazu, wzbudzając dreszcz emocji. Dziwne wydało się jej porównywanie tego spojrzenia z obrazem Leonarda, ale odniosła wrażenie, że Flora jak Mona Liza wodzi za nią wzrokiem, gdziekolwiek by stanęła.

– Nie wiem, kto cię malował, ale musiał być cholernie zdolny – mruknęła. – Kim byłaś naprawdę, czarownicą czy świętą? Założę się, że nie wiedziałaś, jak wysoko stawiasz poprzeczkę swoim potomkom – szeptała, poddając się nastrojowi miejsca. – Skąd wzięłaś siłę do walki z całym światem? Eliza czerpie ją z miłości do Pierre'a i do swojej rodziny. A pani Konstancja raczej z żalu i tęsknoty, które chce zagłuszyć... Czy

to ty kazałaś mi usłyszeć ich tam pod bramą w parku? Czy to były tylko omamy słuchowe?

Za oknem zahukał puszczyk lub inny nocny ptak. Ewa spuściła wzrok. Zanim ruszyła w stronę schodów, szepnęła jeszcze w ciemność:

– Nie wiem, czego ode mnie chcesz, ale pamiętaj, że ja tu tylko pracuję. Za tydzień wyjeżdżam, więc nie mieszaj mnie do swoich spraw, Floro.

---

[55] Zamknij się! (fr.).

[56] Tak, niespodzianka (fr.).

[57] Obiad (fr.).

[58] Francuska gra w kule (bule).

[59] Cholera jasna! (fr.)

[60] Wołowina po prowansalsku (fr.).

[61] Regionalne danie z warzyw (fr.).

[62] Francuska zupa warzywna z bazylią (fr.).

[63] Zupa rybna, kaczka z oliwkami, wachlarz z bakłażanów (fr.).

[64] Likier o smaku anyżkowym (fr.).

[65] Pasta, której głównymi składnikami są oliwki i kapary oraz oliwa (fr.).

[66] Nieprawdaż? (fr.).

[67] Właśnie (fr.).

[68] Biedactwo (fr.).

[69] Herbata (fr.).

[70] Herbata ziołowa (fr.).

[71] Tak, to dobry pomysł (fr.).

[72] Jak zwykle doskonała. Bardzo dziękuję, mój drogi (fr.).

[73] Doprawdy? (fr.).

[74] Jestem zmęczona (fr.).

[75] Że jeden moment zniszczy wasze życie (fr.).

# Rozdział 7

## Niedziela

Nagły podmuch wiatru poruszył muślinową firanką. Białe światło księżyca zatańczyło na powiewającym materiale i przyciągnęło wzrok Ewy. Podeszła do otwartego okna.

Nocne powietrze nie przyniosło ulgi, nadał było duszno i gorąco. Coś przeszkadzało jej zasnąć. Lecz co?

Może dźwięki tych obrzydliwych cykad? Może myśli o Konstancji albo to hipnotycznie intensywne światło księżyca? A może dziwna cisza, która nagle zapadła? W mieście noc nie przynosi takiej ciszy.

Rozchyliła szerzej skrzydła okna. Zaskrzypiały. W szybie po prawej stronie zobaczyła odbicie swojej twarzy oświetlonej zimnym światłem nocy. Zdziwiła się. Oczy zdawały się płonąć jak w gorączce, a przecież czuła się dobrze. Tylko to nieznośne gorąco!

Chwyciła rękoma framugi okna i wdrapała się na szeroki parapet, gdzie światło księżyca mogło przenikać przez nią jak przez szkło. Poczowała się nagle lekka jak piórko, jakby wiatr poruszający jej nocną koszulą mógł ją bez trudu unieść w powietrze. A może mógłby? Ostrożnie wysunęła bosą stopę przed siebie.

Ktoś wyraźnie ją wołał z oddali i czegoś chciał. Tylko kto? Samotny księżyc na bezchmurnym niebie? Drzewa w parku?

Wiatr, który ją muskał, był ciepły jak dotknięcie ludzkiej dłoni, ale ciemność nocy niosła chłód.

Postawić gorącą stopę na tej chłodnej przestrzeni! To pragnienie zalało ją nagle niczym niespodziewana fala oceanu.

Zachwiała się. Jedną ręką mocno trzymała się framugi okna, ale druga zaczęła rozluźniać uścisk palców.

Czy to nie absurd? Czy nie należałoby raczej zacisnąć ręce z całej siły?

Zamknęła oczy. Chciała się skupić, złapać jakąś umykającą myśl, ale nie mogła się zmusić do... Do czego? Do myślenia? A o czym właściwie myślała przed chwilą?

Z chłodnej ciemności napłynął szum wiatru. Wzmagał się z każdą sekundą, jakby stała nad brzegiem oceanu pełnego cudownie chłodnej wody. Wystarczy skoczyć i zanurzyć się w tym orzeźwieniu. Ale...

Nie, nie ma „ale”! Nie może się dłużej opierać. Musi to zrobić, po prostu musi!

Rozluźniła palce i zrobiła krok. Poczowała, że na zewnątrz jest rzeczywiście chłodniej niż w pokoju. Ten chłód przynosił ulgę.

Spojrzała w dół. Odkryła, że unosi się w ciemności jak w wodzie. Uczucie było tak cudowne, że chętnie zanurkowałaby w mrok ponad drzewami, ale fala powietrza pchała ją w górę jak bezwolne piórko.

Wolno i majestatycznie przepłynęła obok okien pierwszego piętra, a później przez otwarte okno poddasza wpłynęła do środka. Wiedziała, gdzie jest – to galeria przodków. Po co znów tu przyszła?

Przed portretem Flory zatrzymał ją intensywny zapach kwiatów. Na stoliku pod obrazem stał bukiet ułożony własnoręcznie przez Konstancję. Przyglądała mu się przez chwilę, ale podmuch znów ją uniósł.

Po raz pierwszy spojrzała prosto w twarz Flory. Nie bała się. Tym razem zielone spojrzenie nie przerażało, było raczej zatroskane. Piękna kobieta na płótnie poruszyła się, wskazała ręką na coś w głębi korytarza.

Ewa bez zastanowienia popłynęła w tym kierunku. Nie zdziwiła się, że całkowity brak światła nie przeszkodził jej w rozpoznawaniu postaci na obrazach. Dlaczego miałyby się czemukolwiek dziwić?

Wysoko, niemal pod sufitem, wisiał mały, niepozorny portret mężczyzny. Przyjrzała się mu: ubrany w staroświeckim stylu, niezbyt już młody pan ze smutkiem patrzył gdzieś przed siebie. W prawej ręce trzymał dwie białe róże, które delikatnie, opiekuńczym gestem przytulał do piersi.

Zrobiło się jej go żal. Dla kogo przyniósł te kwiaty? Czego miały być symbolem? Co miały powiedzieć obdarowanej osobie?

Pomyślała, że mężczyzna nie powinien być tutaj taki samotny. Niespiesznym ruchem wyciągnęła dłoń i zdjęła malowidło ze ściany.

Trzeba gdzieś zanieść ten obraz. Ale gdzie? Zawahała się.

Nagle portret zaczął jej ciążyć. Choć zaciskała palce z całej siły, wyslizgnął się. Nie mogła nic zrobić. Malowidło wolno spadało w dół, jakby przebijało się przez gęsty płynny mrok. Twarda zimna posadzka była jednak coraz bliżej i bliżej...

– Co to?! – Zerwała się wystraszona, siadając na łóżku.

Zanim pomyślała, gdzie się znajduje, podświadomie sięgnęła do nocnej lampki



i zapaliła światło. Pokój wypełnił się ciepłą, kojącą jasnością.

– O matko jedyna! – mruknęła uspokojona. – Co za sny mnie prześladowają ostatnio!

Nagle gdzieś z korytarza dobiegły ją kroki i głosy. Wsunęła stopy w pantofle, zarzuciła szlafrok i zapalając po drodze wszystkie światła, uchyliła drzwi na korytarz.

Po schodach właśnie schodził Piotr, ale na górze ktoś cicho rozmawiał.

– Co się stało? – spytała.

– *Rien*<sup>[76]</sup>. Sophie wysłała mnie do kuchni, bo zachciało się jej kakao.

– W środku nocy?

– No cóż... – odparł enigmatycznie.

– A tam na górze kto jest?

– Aaa, to nic ważnego. Mój ojciec poszedł z Paulem na poddasze. Wszystkich obudził ten rumor.

– Rumor?

– Znowu pewnie jakiś stary gwóźdź nie wytrzymał.

– Nie rozumiem.

– Ostatnio ciągle spadają jakieś obrazy. Pewnie stare ściany się kruszą. Przepraszam cię, ale Sophie czeka. *Bonne nuit*<sup>[77]</sup>. – Mężczyzna zniknął za zakrętem, zostawiając Ewę z dziwnym wyrazem twarzy.

\* \* \*

Gdy potężny grzmot przetoczył się nad uśpioną okolicą, Ewa wyskoczyła z łóżka, by sprawdzić, czy zamknęła okno w gabinecie. Po powrocie do sypialni nie mogła już jednak zasnąć, bo natrętne myśli jej na to nie pozwoliły.

„Co się ze mną dzieje w tym domu? – myślała podenerwowana. – Chyba poproszę o jakieś ziółka na sen albo co. Mam już dość tych dziwactw!”

Spojrzała na zegar. Była dopiero piąta rano, lecz Ewa czuła, że musi się czymś zająć. Chciała zagłuszyć te absurdalne przypuszczenia, które przysły jej do głowy, gdy w nocy Piotr wspomniał o spadających obrazach.

„Że też ja się zawsze muszę w coś wpakować! To miało być zwykłe zlecenie, a tymczasem daję się wciągać w jakieś rodzinne problemy. To nieprofesjonalne! – besztła się w duchu, drepcząc na bosaka do komputera. – Powinnam skończyć obróbkę zdjęć, a nie mieszać się w cudze sprawy. Pewnie sobie tego wcale nie życzą” – marudziła zirytowana, że nie potrafi obiektywnie patrzeć na tę rodzinę.

Polubiła ich. Niespodziewanie szybko poczuła się między nimi jak wśród bliskich osób i z całego serca pragnęła dla nich tego błęgiego poczucia spokoju i harmonii, którym przesiąknięta była ich słoneczna kraina. Tymczasem mimowolnie dostrzegała

coraz więcej drobiazgów psujących sielankowy obraz.

Wcale nie chciała dokonywać tych odkryć, nie szukała ich. Informacje o poufnych sprawach rodziny same wpadały jej w ręce, przez co czuła się rozdarta.

Z jednej strony empatia kazała jej jakoś reagować i pomóc, choćby dobrą radą; z drugiej strony świadomość, że jest dla nich obcą osobą, studziła jej zapał. Starła się nie zapominać, że przyjechała tu do pracy, jednak relacje z „klientami” tak szybko stały się bliskie, że Ewa trochę się pogubiła. Rodzina zdawała się ją traktować jak miłego gościa, ale ona nie była pewna, czy to nie są tylko pozory. Jej prostolinijna natura nie pozwalała jednak udawać, że nic jej nie obchodzą ich problemy.

„Mam nadzieję, że nie uraziłam wczoraj pani Konstancji. Chciałam tylko pomóc Aleksowi, a nie sprawiać jej przykrość – pomyślała, wspominając rozmowę na tarasie. – Ech! Lepiej zajmę się tym, na czym się znam. Eliza musi mi wreszcie powiedzieć, co mam jeszcze sfotografować, bo czasu jest coraz mniej”.

Nie mogła się jednak skupić.

– Jeszcze na dodatek ty mi przeszkadzasz, Floro! – sapnęła na głos i spojrzała w górę, jakby przez sufit i ściany mogła posłać gniewne słowa wprost do postaci ze starego malowidła. – Czego chcesz? Nie zamierzam niczego sprawdzać, słyszysz? To tylko moja głupia wyobraźnia. Ojciec zawsze powtarzał, że mam wybujałą wyobraźnię, ale teraz umiem nad tym zapanować.

Przez chwilę nerwowo krążyła po pokoju.

W dzieciństwie dorośli często jej mówili, że wymyśla niestworzone historie. Jej bracia byli jednak z tego bardzo zadowoleni. Często prosili, by przed snem opowiedziała im coś ciekawego, a ona bez trudu spełniała ich prośby. Wystarczyło wybrać rekwizyt, nawet tak prozaiczny jak parasol czy szczotka do włosów, a historia sama wyświeślała się w jej głowie jak film. Bracia siadywali wtedy na podłodze przy swoich łóżeczkach i w nikłym świetle nocnej lampki słuchali z otwartymi buziami.

Pewnego razu, aby zwiększyć dramatyzm kolejnej historyjki, Ewa nadała bohaterom imiona członków rodziny i przez kilka kolejnych wieczorów snuła odcinkową opowieść o sensacyjnych przygodach na zaczarowanych wyspach. I wtedy wydarzyło się coś osobliwego. Jedna z jej magicznych bohaterek – odważna księżniczka o imieniu Urszula – skacząc z wieży, złamała nogę, którą potem długo leczyła w uzdrawiającym lesie.

Nazajutrz, gdy przyszła wiadomość, że babcia Urszula bez żadnego powodu spadła ze schodów i również złamała nogę, czteroletni Michaś z dziecięcą naiwnością wyznał rodzicom, że to Ewa tak babcie zaczarowała. Mama oczywiście skwitowała to

śmiechem, ale reakcja ojca była dość osobliwa – jeszcze tego samego wieczoru przekonywał córkę, żeby już nigdy nie opowiadała nikomu żadnych własnych historyjek.

– Zamiast wymyślać dziwaczne opowieści, lepiej coś razem namalujcie albo poczytajcie – zachęcał. – Potrafisz przecież tak ślicznie malować.

Ewa starała się spełnić jego życzenie, ale była wystarczająco samokrytyczna, by szybko ocenić jakość swoich „dzieł”. Wtedy właśnie wpadła na pomysł, że zamiast malować rzeczy, można je fotografować. Z radością poświęciła temu całą energię.

– A jednak głupie myśli same cisną się do głowy – mruknęła niezadowolona z siebie. Zrobiła jeszcze kilka okrążeń po pokoju, aż w końcu skapitulowała.

– Cholera, muszę tam pójść, bo się nie uspokoję. Tylko zerknę i wracam! – Wymknęła się na korytarz.

Człapiąc cicho pantoflami, dotarła do galerii. Od razu zauważyła, którego malowidła brakuje: wysoko na ścianie po lewej stronie, niemal pod sufitem, jasna, kwadratowa plama była jedynym śladem po zdjętym portrecie.

– To niemożliwe – wyszeptała, zadzierając głowę. – Idiotyczny zbieg okoliczności! Ten obraz musi tu gdzieś być.

Ruszyła wzdłuż korytarza, gorączkowo przeszukując wzrokiem kolekcję portretów. Gdy dotarła do końca, poczuła że jej oddech przyspiesza.

„Nie ma. Może go przegapiłam?” – pomyślała.

W nozdrza uderzył ją nagle znajomy słodki zapach kwiatów. Odwróciła się. Na rzeźbionym stoliku pod obrazem Flory w wielkiej, ciężkiej wazie stał bukiet o niebieskofioletowych barwach.

Sfotografowała ten bukiet w zeszłym tygodniu w kwiaciarni. Było to ostatnie zdjęcie, nad którym pracowała wczoraj wieczorem, gdy po odwiedzinach w galerii przodków wróciła do pokoju. Poświęciła mu sporo czasu, bo chciała trochę poeksperymentować z kolorem.

W kadrze widać było skupioną Konstancję z namysłem układającą kwiatową kompozycję. Kobieta miała spokojną twarz, zamyślane spojrzenie, a jej pomarszczone dłonie zdawały się zaledwie muskać delikatne kwiaty długimi palcami. Siwy kosmyk włosów wysunął się jej z pedantycznego koka i opadł łagodnym skrętem na szyję, ale ona tego nie zauważyła. Patrząc na fotografię, odnosiło się wrażenie, że jest się świadkiem jakiejś prywatnej rozmowy – rozmowy z kimś, kogo nie ma w kadrze, ale czuje się jego obecność.

Nastrój tego ujęcia, pogłębiony przez światłocienie, był na tyle osobisty, że Ewa chciała wydobyć z niego coś więcej. Po dłuższym namyśle usunęła barwy, zmieniając fotografię na czarno-białą, po czym dodała intensywny kolor wyłącznie na kwiatach.

„To one są nośnikiem myśli pani Konstancji – przyszło jej do głowy. – Są listem ułożonym dla kogoś. Ciekawe, co mówią? O ile dobrze pamiętam, niebieski to wierność, a fioletowy... Smutek? Żałoba?”

Obraz, jaki uzyskała, był odrobinę nierealny, ale ciekawy. Czarno-biały plan wydobywał osobiste cechy modelki, a przesycone barwą kwiaty zwracały na siebie uwagę widza. Ewa nie była jednak w pełni zadowolona z efektu końcowego i postanowiła wrócić do tego zdjęcia następnego dnia.

„Pewnie dlatego miałam ten głupi sen – pomyślała, patrząc na kwiatową kompozycję. – Skojarzyło mi się z galerią przodków. Bukiet dla Flory... Tylko dlaczego przyśnił mi się ten facet z różami?”

Spojrzała w górę. Po raz pierwszy widziała portret Flory w świetle dziennym. Wydawał się znacznie mniej tajemniczy i groźny niż w świetle latarki. Szklana osłona obrazu połyskiwała, kryjąc za sobą poczerniałą postać kobiety, jakby przejrzysta tafla była granicą dwóch światów – granicą, której namalowane spojrzenie Flory tym razem nie było w stanie przekroczyć.

„Aleks ma rację, że zabiera tutaj gości wyłącznie nocą. – Uśmiechnęła się. – W dzień to zupełnie inne miejsce”.

Jej wzrok przyciągnął nagle szczegół, którego wcześniej nie zauważyła. Podeszła bliżej, wspięła się na palce i przyjrzała się gałązce, którą Flora trzymała w dłoni.

– To jemiola – usłyszała za sobą głos Konstancji.

– O matko! – Ewa aż podskoczyła, bo starsza pani pojawiła się bezszelestnie jak duch. – Dzień dobry. Pani też nie może spać?

– *Bonjour*. Starzy ludzie nie potrzebują zbyt wiele snu. Ale dlaczego ty, moje dziecko, nie wypoczywasz, tego nie rozumiem. Jest dopiero szósta rano.

Ewa nie miała ochoty się tłumaczyć, więc tylko odwzajemniła uśmiech.

– Mówi pani, że to jemiola? Po co ją tu namalowano?

– To symbol. Plemiona celtyckie upatrywały w tej wiecznie zielonej roślinie dar bogów. Druidzi ścinali ją złotym sierpem w czasie zrównania wiosennego. Wierzyli, że to nie tylko lek na wszystkie choroby, ale także magiczna roślina. Miała sprowadzać do domu szczęście i bogactwo oraz spełniać ludzkie marzenia.

– To trochę dziwne. Na portrecie waszej przodkini spodziewałabym się raczej lawendy. Aleks mówił, że leczono nią tu prawie wszystko przez całe wieki. To

zdecydowanie bardziej prowansalski symbol cudownej rośliny.

– Aleksander miał rację, w naszym regionie używano lawendy nawet podczas zarazy.

– Czemu zatem jemiola, a nie lawenda?

Odpowiedział jej tylko tajemniczy uśmiech, rysujący zmarszczki na zapadniętych nieco policzkach. W oczach Konstancji kryła się jednak zachęta, jakby dawała do zrozumienia, że celowo nie odpowiedziała na pytanie młodej kobiety.

„Znowu prowadzi ze mną jakąś grę – pomyślała Ewa z przekąsem. – Co tym razem? Mam się popisać umiejętnością logicznego myślenia? Proszę bardzo”.

– Czy mi się zdaje, czy Flora przybyła z Irlandii? – spytała.

– Owszem, są w kronikach takie informacje.

– Irlandia to ludy celtyckie, więc Flora знаła wierzenia dotyczące jemioli.

– I cóż z tego wynika?

– Można założyć, że jako cudzoziemka wprowadzała tu niektóre zwyczaje swojej rodzimej krainy. Być może właśnie ta odmienność pomogła jej dokonać tego, co dla tutejszych kobiet wydawało się nieosiągalne. Czasem ktoś obcy może zrobić więcej, bo działa nieszablonowo. Może ta niepozorna gałązka na portrecie jest właśnie znakiem tej wyjątkowości Flory?

– Ciekawa koncepcja.

– Flora to intrygująca postać. Czy to, co o niej wiadomo, to fakty, czy raczej legendy?

– Każdy historyczny ród ma swoje mityczne opowieści.

– Aleks mówił, że ludzie nazywali ją świętą.

– A nie wspomniał przypadkiem, że była wiedźmą? – spytała Konstancja z lekką ironią. – Taka opinia pokutuje w tej okolicy od wieków.

– W Polsce słowo „wiedźma” tak naprawdę ma pozytywne korzenie semantyczne. – Tym razem to Ewa uniknęła bezpośredniej odpowiedzi. – Na początku oznaczało po prostu mądre kobiety; kobiety, które „wiedziały więcej”.

– Brawo, moje dziecko. Przed wiekami niektórzy nazwaliby Florę raczej czarownicą, ale my mówimy o niej właśnie „mądra kobieta”.

– My?

– Mój ród.

– Rozumiem. Ale dlaczego? Bo dzięki sprytowi ocaliła majątek dla swoich dzieci? To raczej naturalne zachowanie.

– Rodzinna legenda mówi, że Flora była obdarzona szczególnymi umiejętnościami. Była nie tylko mądra i przewidująca, potrafiła też leczyć: znała się na ziołach

i tajemnych miksturach. Pomagała szczególnie najbiedniejszym.

– Zielarka? – Ewa była szczerze zaskoczona. – Ale w średniowieczu to było niebezpieczne.

– Owszem. Nigdy jednak nie odmówiła pomocy swoim poddanym.

– To jakim cudem uniknęła stosu? Gdyby była zakonnikiem, może nikt by się nie czepiał. Ale kobieta, i do tego cudzoziemka, która warzy jakieś tam eliksiry dla chłopstwa? – dziwiła się. – Krewni jej zmarłego męża mieliby świetny pretekst, by się jej pozbyć. To po prostu niemożliwe, to musi być tylko legenda.

– Być może – odparła Konstancja, ale jej rozbawione spojrzenie przeczyło słowom.

Ewę nieco zirytowała ta dziwaczna rozmowa. Odniosła wrażenie, że Konstancja bawi się z nią w kotka i myszkę – otworzyła przed nią jakieś drzwi, ale nie zamierzała ułatwić jej przejścia przez próg. Co więcej, starsza pani zdawała się z zainteresowaniem przyglądać wysiłkom Ewy.

„O co jej chodzi? – zastanawiała się. – Nawet się nie zdziwiła, co ja tu robię o tej porze. Na dodatek gadamy sobie o wiedźmach i eliksirach, jakby to była pogawędka o pogodzie”.

– Ale w jednym masz rację, moje dziecko. – Konstancja przerwała jej rozmyślania, jakby nagle wyczuła, że ta zagadkowa rozmowa zaczyna męczyć młodą kobietę. – Flora nie miała łatwego życia, jak większość kobiet w naszym rodzie. Podobno w najtrudniejszym momencie pomógł jej przyjaciel męża, wysoko postawiony człowiek Kościoła. To on doradził jej, by stała się bardziej uległa, żeby się dostosowała do tutejszych zwyczajów. I przede wszystkim, aby zrezygnowała z leczenia poddanych.

– Jakoś trudno mi uwierzyć, że tak pokornie go posłuchała.

– Już mówiłam, była mądrą kobietą. Wykorzystała swoje zdolności.

– To znaczy?

– Czego nie mogła robić jawnie, zrobiła skrycie. Postanowiła założyć kwiatowy ogród. Zupełne dziwactwo jak na tamte czasy.

– Ale po co?

– Gdy ktoś potrzebował pomocy w chorobie, wysyłała do niego sprytną służącą z koszykiem pełnym jadła i z pachnącym bukietem dla polepszenia nastroju. – Konstancja uśmiechnęła się znacząco. – Nikt nie mógł przecież zarzucić dobrej chrześcijance, że spełnianie uczynków miłosiernych jest grzechem.

– Z bukietem...? Zaraz, zaraz. Już wiem! – W oczach Ewy błysnęło zaskoczenie pomieszane z radością. – Razem z bukietem posyłała odpowiednie zioła, prawda?

– Owszem.

– Sądziłam, że zielsko dodawane do waszych wiązanek to tylko taka moda



florystyczna.

– Nie tylko. To wyraz szacunku i pamięci.

– Zatem Flora uprawiała kwiaty tylko po to, żeby móc bezpiecznie dostarczać zioła chorym. Genialne! – Ewa cieszyła się jak dziecko, które samo rozwiązało zagadkę.

– Tak mówią nasze kroniki. Teraz rozumiesz, dlaczego kwiaciarnia jest dla nas tak ważna. Staram się podtrzymywać ideę, którą ona stworzyła. Choć w dzisiejszych czasach nasze bukiety koją jedynie smutki, zamiast leczyć ciała.

– Dlatego wasze florystki są tak wyspecjalizowane. Kiedy wiedzą, dla kogo kwiaty są przeznaczone, mogą skomponować coś specjalnego. Przy takiej filozofii handlowej usługa musi być zindywidualizowana.

– Wiele pojmujesz, moje dziecko. To dobrze, że Aleks lubi z tobą przebywać. Jesteś mądrą osobką.

– Dziękuję za komplement, ale daleko mi do mądrości – zaśmiała się. – Przez większość życia działałam raczej bez zastanowienia.

– Nie doceniasz swojej intuicji.

– Ale w takim razie Eliza miała rację – wyrwało się Ewie, która wciąż myślała o kwiaciarniach. – Pańskie oko konia tuczy.

– *Pardon?*<sup>[78]</sup>

– Jeśli Chez Flora ma być firmą dbającą o tak niezwykle podejście do klienta i jego potrzeb, to liczbę kwiaciarni trzeba ograniczyć do minimum. Inaczej nie da się dokładnie kontrolować jakości usług.

Zaskoczona Konstancja patrzyła na nią bez słowa.

– Ja... przepraszam, to oczywiście nie moja sprawa – mruknęła zakłopotana Ewa, widząc jej minę.

– Rozumujesz logicznie, jednak poprzez sieć kwiaciarni możemy dotrzeć do większego grona klientów. Jeśli dobrowolnie z nich zrezygnujemy, a nie napłyną nowi, możemy wszystko stracić. Nie przeżyłabym, gdybyśmy musieli zamknąć Chez Flora.

– Ryzyko zawsze istnieje, ale moim zdaniem pytanie brzmi: co będzie lepiej podtrzymywało tradycję i dawało dochód? Jakość czy ilość? – Ewa zaryzykowała, bo w oczach starszej pani nie dostrzegła gniewu.

– Poznałaś już zdanie Elizy. Co o tym myślisz?

Ewie aż zaschło w ustach z wrażenia. Seniorka rodu patrzyła na nią wyczekująco, jakby rzeczywiście była zainteresowana opinią zupełnie obcej osoby.

– Ty jedyna masz dystans do naszych spraw, bo nie pochodzisz stąd – dodała Konstancja z namysłem. – Jesteś w tym samym wieku co moja wnuczka, ale macie

inne spojrzenia na świat. Co tak naprawdę o tym myślisz, Ewo?

– Cóż... Wiem tylko, że na barkach Elizy spoczywa odpowiedzialność, jakiej ja nie muszę dźwigać. Moje decyzje nie wywierają większego wpływu na los mojej rodziny, dlatego nie mam zielonego pojęcia, jak postąpiłabym na jej miejscu – odparła poważnym tonem. – Ale jednego jestem pewna.

– Tak?

– Nawet jeśli plany Elizy się nie powiodą, ona nie przestanie strzec waszych tradycji. Znajdzie inny sposób na to, by wypełniać misję Flory: chronić rodzinę i pomagać innym. Jest w tym bardziej do pani podobna, niż to się może wydawać.

– Naprawdę tak myślisz?

– Może to dziwnie brzmi, bo znam Elizę bardzo krótko, ale jestem przekonana, że sobie poradzi.

Konstancja była wyraźnie zaskoczona tymi słowami, jakby nagle zrozumiała coś ważnego.

– Hmm... Dobrze się stało, że Eliza przywiozła cię do nas – przyznała wolno.

Z dołu przyplęły stłumione dźwięki zegara.

– Zagadałyśmy się trochę, moje dziecko. Trzeba przygotować się do śniadania. Chodźmy.

Ewa dopiero w tej chwili przypomniała sobie o swoim porannym stroju i nieco skrępowana otuliła się ciasniej jedwabnym szlafrokiem. Gdy dotarły do schodów, starsza pani z pewnym niezadowoleniem spojrzała na drugi koniec korytarza.

– Muszę zlecić Paulowi, żeby tym razem znalazł jakiś lepszy sposób na zabezpieczenie tego obrazu – westchnęła pod nosem.

– Zniszczył się? – spytała Ewa niespodziewanie dla samej siebie.

– Co?

– Ten portret, który spadł w nocy.

– Słyszałaś?

– Tak, przez przypadek. – Zmieszała się. – Wyjrzałam na korytarz i Piotr mi powiedział.

– Piotr?

– Szedł po coś do kuchni. Chyba Sophie była głodna.

– *Ah bon? Bizarre...*<sup>[79]</sup> Przykro mi, jeśli hałas cię przestraszył. Chyba ściana w tym miejscu jest osłabiona, bo to już nie pierwszy raz. – Konstancja zaczęła ostrożnie schodzić po stopniach. – Ale na szczęście się nie uszkodził, tylko rama pękła. Znow trzeba będzie ją wymienić.

– Kogo przedstawia ten obraz? – Ewa starała się udawać zwykłą ciekawość.

– Ojca jednej z dziewczeczek.

– Czy... czy to taki człowiek z różami w dłoni?

Konstancja zatrzymała się na półpiętrze.

– Owszem. Skąd wiesz?

– Yyy... Tak jakoś rzucił mi się w oczy, gdy Aleks pokazywał mi galerię.

Zapamiętałam po prostu.

– Zapamiętałaś? Tu wisi około stu obrazów.

– Mam dobrą pamięć wzrokową. – Ewa się zaczerwieniła. – Jak każdy fotograf.

– Ciekawe – mruknęła zaintrygowana Konstancja. – A przy okazji, coś mi się przypomniało. Już dawno chciałam cię spytać, co ci się przyśniło pierwszej nocy w naszym domu.

– Pierwszej nocy? – Zmiana tematu zbiła Ewę z pantałyku. – Chodzi pani o ten przesąd, żeby zapamiętać pierwszy sen na nowym miejscu? Ja nie wierzę w przesady.

– Więc nie pamiętasz?

– Nie wiem. Chwileczkę... – Zmarszczyła czoło. – Chyba jakiś ogród. I kwiaty. Tak, na pewno ogród. Myślę, że to naturalne, w końcu przyleciałam tu fotografować kwiaty. To zwykła sugestia.

– Jakie kwiaty?

– Jakie? Zdaje się, że czerwone róże. Tak, mnóstwo czerwonych róż.

Konstancja uśmiechnęła się w typowy dla siebie, nieco enigmatyczny sposób.

– I coś jeszcze?

– Chyba w tym ogrodzie ktoś był. – Ewa przeszukiwała pamięć. – W jakimś mundurze czy uniformie. Ale naprawdę nie wiem kto. Czy to ważne?

– Dla ciebie być może – odparła tajemniczo starsza pani i znów zmieniła temat: – Wybierzesz się z nami na mszę do kaplicy?

– Bardzo chętnie.

– Musimy się zatem pośpieszyć.

Ewa w milczeniu szła za starszą panią.

„Czuję się, jakbym rozmawiała ze szpiegiem, który wyciągnął ze mnie wszystkie sekrety, a sam niewiele ujawnił – pomyślała rozbawiona. – Co za dziwny poranek”.

\* \* \*

Na katolicką mszę zjechali ludzie z całej okolicy, w większości pracownicy z rodzinami. Ukryta wśród drzew kaplica stanowiła kiedyś całość z rezydencją, lecz po wojnie Konstancja podniosła ją z ruin jako osobny budynek.

Mszę odprawiał młody francuski ksiądz, który, jak się dowiedziała Ewa od Sophie, razem z pięciorgiem rodzeństwa zdobył wykształcenie dzięki pomocy Konstancji. Seniorka rodu nie zdradziła, w jaki sposób udało się jej przekonać kościelne władze, by pozwolono mu przyjeżdżać co tydzień do kaplicy. Najwyraźniej jednak kontakty z wpływowym klerem również należały do rodzinnej tradycji.

Ewa weszła do półmrocznego wnętrza w towarzystwie Sophie i Piotra. Mijając tylne ławki, zauważyła barczystą sylwetkę Gérarda. Elegancko ubranemu mężczyźnie towarzyszyła starsza kobieta, której z wielką troskliwością pomagał usiąść.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, ale Ewa natychmiast odwróciła głowę. Zdażyła jednak zauważyć szeroki uśmiech, jakim ją obdarzył. Nie spodobało się jej to.

Czekając na rozpoczęcie nabożeństwa, zastanawiała się, dlaczego czuje się speszona obecnością tego mężczyzny. Rozum podpowiadał, że powinna być mu wdzięczna, a jednak świadomość, że wtedy w zaroślach w jakiś dziwny sposób naruszył jej prywatność, irytowała ją. Dopóki o tym nie myślała, wszystko było w porządku, jednak każde spotkanie z nim przywoływało nieprzyjemne wspomnienia, o których z wielu względów chciała zapomnieć.

Kiedy Aleks na jej prośbę przedstawił jej „bohaterskiego ogrodnika”, aby mogła mu podziękować za pomoc, czuła się bardzo skrępowana. Chciała jednak mieć to już za sobą, więc ułożyła sobie wcześniej w głowie kilka odpowiednich zdań po francusku.

Ku jej zaskoczeniu mężczyzna zachował się bardzo szarmancko: staroświeckim gestem ucałował jej dłoń, po polsku stwierdził, że każdy na jego miejscu zachowałby się tak samo, i widząc jej zdenerwowanie, nie przedłużał rozmowy. Ujęło ją to, ale nie poprawiło samopoczucia. Tym bardziej że Aleksander żartował z niej potem przez pół dnia, iż została potraktowana jak jakiś biskup czy królowa.

– No wyobraź sobie, że w Polsce dobrze wychowanym mężczyznom wciąż jeszcze zdarza się całować dłoń kobiety na powitanie. I bardzo słusznie! Ja nie jestem feministką – mitygowała go, bez wielkich efektów.

Słuchając nabożeństwa, z którego niewiele rozumiała, Ewa zaczęła się zastanawiać, kim może być starsza kobieta towarzysząca Gérardowi.

„Może to jego matka? – przemknęło jej przez głowę. – Ma taką miłą twarz. On zresztą też... Boże! Co ja plotę?” – westchnęła w duchu i przez długą chwilę usiłowała się skupić na mszy.

Jednak podczas kazania jej myśli znowu odpłynęły.

„O rany! Przez to wszystko od dwóch dni nie sprawdziłam poczty. Może Jurek się odezwał? – pomyślała z nadzieją. – Nie, prędzej by zatelefonował, bo tak jak inni nie lubi pisać. To głupie! Ludzie coraz mniej piszą, jakby bali się porządnych, przemyślanych słów – rozważała. – A tak miło byłoby dostać prawdziwy papierowy list, jak dawniej. A nie e-mail. Czy ktokolwiek jeszcze pamięta, czym są listy miłosne?... Pani Konstancja ma rację, nie wszystkie zmiany prowadzą ku lepszemu”.

Dalsze rozmyślania przerwało jej wezwanie do modlitwy. Po skończonej uroczystości wszyscy zatrzymali się jeszcze przez chwilę na krótkie grzecznościowe pogawędki. Ewa stanęła z boku i ukradkiem obserwowała zebranych: śmiechy, rozmowy, zamaszyste gesty, sekrety szeptane wprost do ucha, rozbawione miny – miała przed sobą doskonały materiał na reportażowe ujęcia, ale mogła jedynie notować w pamięci te ulotne obrazy prowansalskiej niedzieli.

– Słyszałaś w nocy przodka? – spytał zniecierpliwiony Aleksander.

– Jakiego przodka? – zdumiała się.

– No tego, który spadł ze ściany. Narobił niezłego hałasu.

– Mówisz o portrecie?

– A o czym? Uprzedzałem, że duchy jeszcze narozrabiają i *voilà*. Masz dowód.

– Ej, czy ty przypadkiem nie masz czegoś wspólnego z tym spadającym obrazem? –

Przyszło jej nagle do głowy.

– No coś ty! – obruszył się. – Nawet nie wychodziłem z pokoju.

– To skąd wiesz, że znowu spadł?

– Patrycja mi powiedziała. Mówiłem, że przed nią się nic nie ukryje. Ona ma podobno słuch absolutny, słyszy wszystko.

– Dobrze, dobrze. Powiedzmy, że ci wierzę.

– Nie musisz. – Wzruszył ramionami. – Spytaj Paula. Już czwarty raz będzie go zawieszał z powrotem. Niech ci powie, ile śrub i gwoździ wykorzystał, a dalej nic nie pomaga.

– No nie obrażaj się. Hej. – Trąciła go łokciem po przyjacielsku. – Mówisz, że czwarty raz? I zawsze spada ten sam?

– No.

– Dziwne.

– *Bizarre*<sup>[80]</sup> – przytaknął.

– A co o nim wiesz?

– O tym przodku? – Skrzywił się, zaskoczony. – Właściwie nic – odparł szczerze. – Pewnie nie był nikim ważnym, skoro wisiał w kącie pod sufitem.

– No wiesz! Człowiek spada ze ściany czwarty raz, a ty, rodzinny historyk, nawet się nie zainteresowałeś, kim on jest? – podpuściła go. – A może ma jakąś mroczną tajemnicę i dlatego tak go nosi.

Chłopiec milczał przez chwilę z głupią miną.

– Teraz mnie zagięłaś – mruknął niezadowolony. – Powinienem coś wiedzieć.

– Daj spokój, tylko żartowałam. Nie możesz przecież znać sekretów wszystkich przodków z galerii. Może po prostu zapytaj prababcie?

– O nie! – zaprotestował. – Sam coś wyśledzę.

– Ale jak?

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę.

– Wiem! – W jego oczach zapaliły się małe ogniki. – Kiedy ostatnio grzebałem w bibliotece, trafiłem na stare drzewa genealogiczne. – Zaaferowany ruszył w kierunku domu.

– Aleks, poczekaj! Dokąd idziesz?

– Muszę obejrzeć ten obraz, zanim Paul odda go do oprawy. Tam na pewno jest jakaś data na odwrocie. Będę mógł odnaleźć go na drzewie.

– Kogo?

– No, przodka.

– Teraz chcesz to robić? Zaraz będzie obiad.

Zatrzymał się.

– Słusznie, muszę być dyskretny. Inaczej Patrycja zaraz poleci do ojca z jęzorem, że zamiast się uczyć, zajmuję się głupotami.

– Oj, dziecko, dziecko – zaśmiała się, ale nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo nagle dopadły ją dwie rozbrykane córeczki Stefana.

– *Attrape-nous!*<sup>[81]</sup> – zażądały piskliwie. – Bo zjemy ci obiadek!

– O, na pewno nie! Zaraz was złapię! – krzyknęła Ewa radośnie i pobiegła za dziewczynkami, zostawiając zamyślonego Aleksa z tyłu.

Zgromadzeni pod kaplicą goście zaczęli się rozpraszać. Jedni udali się w kierunku parkingu, inni w stronę domu, bo na niedzielny obiad zaproszono kilka dodatkowych osób, między innymi przyszłych teściów Elizy.

Tym razem posiłek podano na olbrzymim tarasie po wschodnio-północnej stronie domu, co zapewniało gościom przyjemny cień i relaks wśród zielonych roślin ustawionych w licznych donicach.

Przy smakowitym i bardzo długim obiedzie Ewa zapomniała zarówno o porannej rozmowie w galerii, jak i o wszystkich facetach świata, którzy mogli absorbować jej



uwagę. Poczula się senna i odprężona, więc niezbyt uważnie przysłuchiwała się cichym pogawędkom, jakie toczyły się wokół niej w dwóch językach.

W pewnym momencie Piotr wstał i poprosił zebranych o ciszę. W ręku trzymał kieliszek z sokiem, jakby przygotował się do jakiegoś toastu.

– Kochani, skoro jesteśmy tu wszyscy, no, niemal wszyscy... – Uśmiechnął się z przekąsem, bo zaraz po deserze narzeczeni ulotnili się dyskretnie, by pobyć trochę sam na sam. – My z Sophie chcielibyśmy coś ogłosić. – Podał żonie rękę i czule ją objął, gdy wstała. – Jak zapewne niektórzy zauważyli, mieliśmy ostatnio niewielkie kłopoty z huśtawką nastrojów.

– No wiesz! – Sophie obruszyła się uroczo.

– I z mieszanką smaków – kontynuował z szerokim uśmiechem. – Niektórzy przyłapali mnie w nocy, gdy zakradałem się do kuchni. – Mrugnął zabawnie do Ewy. – A jeszcze inni wprost pytali, jak my ze sobą wytrzymujemy. – Tym razem wskazał na Aleksandra.

– No właśnie!

– Aleks, uspokój się.

– Otóż postanowiliśmy nie wystawiać waszej cierpliwości na zbyt długą próbę – ciągnął mężczyzna niestrudzenie. – Dlatego chcemy z radością ogłosić...

– *Mon Dieu!* – jęknęła cicho matka Piotra, składając dłonie jak do modlitwy.

– ...że Sophie i ja spodziewamy się dzieci.

Okrzyki radości zamarły niektórym na ustach. Zapadła cisza.

– *Comment ça les enfants?*<sup>[82]</sup> – spytała wreszcie Konstancja. – Możecie jaśniej?

– *Oui, naturellement.* My w piątek byli u doktor i teraz wiemy już w pewności, że są dzieci – odparła rozpromieniona Sophie. – Dwa.

– No co tak patrzycie? Bliźnięta trafiały się już przecież w naszej rodzinie – odparł beztrąsko przyszły tatuś, wskazując na córeczki Stefana baraszkuje z piskiem po ogrodzie.

– *Les jumeaux? Formidable!*<sup>[83]</sup> – pierwsza otrząsnęła się matka Piotra, wywołując w końcu pożądaną reakcję.

Wszyscy po kolei rzucili się do ściskania przyszłych rodziców, a Konstancja ze łzami w oczach zażądała wzniesienia gratulacyjnego toastu, jak było w zwyczaju – świeżo wyciskany sokiem pomarańczowym.

Zanim niezawodny Paul napełnił wszystkie kieliszki, Ewa zdążyła wymknąć się na górę i wrócić z lustrzanką. Pomyślała, że skoro już została świadkiem tak miłych rodzinnych chwil, to powinna je uwiecznić dla przyszłych pokoleń.

„Niech te maluchy siedzące u Sophie pod sercem kiedyś się dowiedzą, jak rodzina cieszyła się na wieść o ich przybyciu na ten świat” – pomyślała ciepło, przykładając wizjer aparatu do oka.

---

[76] Nic takiego, drobnostka (fr.).

[77] Dobranoc (fr.).

[78] Przepraszam, nie rozumiem (fr.).

[79] Doprawdy? Dziwne (fr.).

[80] Dziwne, cudaczne (fr.).

[81] Goń nas! (fr.).

[82] Jak to: dzieci? (fr.).

[83] Bliźnięta? Cudownie (fr.).

# Rozdział 8

## Poniedziałek

Gdy Ewa kładła się spać w niedzielę wieczorem, była zrelaksowana, radosna i pełna optymizmu. Poniedziałkowy ranek wyglądał już niestety dużo gorzej.

Obudziła się przestraszona i natychmiast zapragnęła pobiec do Sophie. Tym razem dokładnie pamiętała, co się jej przyśniło.

„Boże, to był tylko zwykły sen, prawda? – przekonywała się w myślach, pospiesznie wkładając pierwszą z brzegu sukienkę. – A jeśli nie? Jeśli będzie jak z nogą babci Urszuli? Co ja mam robić? – zastanawiała się gorączkowo. – Nastraszyć ciężarną kobietę własnymi majakami? Cholera jasna!”.

Stała przed lustrem i dopiero widok kompletnego nieładu na głowie oraz w ubraniu otrzeźwił ją.

– Idiotka – mruknęła, zde gustowana własnym widokiem. – Przecież nie pobiegnę do niej tak wcześnie. Trzeba by to załatwić jakoś delikatnie, bo Sophie pomyśli, że zwariowałam.

Zrezygnowana powlokła się do łazienki. Zimny prysznic nie wpłynął na zmianę jej decyzji: postanowiła, że mimo wszystko opowie Sophie o tej sennej wizji, ale dopiero po śniadaniu.

Perspektywa tej rozmowy podminowała ją jednak do tego stopnia, że nawet niespodziewany esemes od Jurka nie zrobił na niej żadnego wrażenia.

– Też coś! – burknęła, patrząc na wyświetlacz.

Mężczyzna w krótkich słowach informował ją, że nadal nie może znaleźć nowej pracy ani nic skomponować, i pytał, kiedy Ewa wreszcie skończy ten urlop.

– Jeśli sądzi, że tym oschłym tonem mnie ukarze i wbije w poczucie winy, to się grubo myli. Zabrakło nagle chórku do śpiewania pochwał i natchnienie poszło w cholere jasną, co? – sarkała, klikając szybko w klawiaturę telefonu. – Jesteś facetem, to weź się w garść, a nie jojczysz mi tu jak stara baba. – Rzuciła telefon na łóżko. – Gdyby choć napisał, że tęskni za mną – mruknęła rozczarowana. – Ech,

z głodniałam z tego wszystkiego.

Przy śniadaniu nie znalazła jednak okazji, by poprosić Sophie o rozmowę. Promiennie uśmiechnięta Francuzka siedziała tego dnia przy drugim końcu stołu obok Konstancji, a później oboje z Piotrem w pośpiechu gdzieś wyszli. Zatroskana Ewa zwróciła się więc z prośbą do Paula, by natychmiast ją powiadomił o powrocie Sophie. Kamerdyner wysłuchał łamanej francuszczyzny pomieszanej z angielskim, skinął głową i bez słowa wrócił do swoich zajęć, pozostawiając kobietę w niepewności, czy w ogóle została zrozumiana.

Nie miała jednak czasu na zbędne rozmyślenia, bo Eliza niespodziewanie poprosiła ją o krótki spacer.

– Świetnie, już dawno chciałam z tobą porozmawiać – odparła Ewa, zadowolona z takiego obrotu sprawy. – Wstępne zdjęcia z kwiaciarni są już gotowe. Muszę jeszcze przesłać je do wglądu szefowi, a kiedy je zatwierdzi, pokażę ci efekt końcowy, dobrze?

– W porządku. – Eliza wolnym krokiem ruszyła alejką przed siebie.

– A co z tym drugim obiektem? Muszę się natychmiast wziąć do pracy.

– O tym właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Na pewno już się czegoś domyśliłaś, słuchając na tarasie mojej pogawędki z babcią.

– Niezupełnie. Dyskutowałyście o tylu sprawach.

– Jeszcze raz cię przepraszam, Ewo, za tamtą scenę. Mogłaś czuć się niezręcznie, to moja wina.

– Daj spokój. Wszystko zachowam dla siebie... – Ewa urwała, bo nagle rozproszył ją jakiś ruch między drzewami.

Obejrzała się nieznacznie i stwierdziła ze zdziwieniem, że ogrodnik, którego starała się ze wszystkich sił unikać, idzie za nimi w niewielkiej odległości. Gdy spostrzegł, że kobieta na niego zerka, przystanął. Długim sekatorem zaczął niemrawo grzebać w pierwszych z brzegu krzewach, usiłując się za nimi schować. Miał jednak na sobie roboczy kombinezon we wściekle pomarańczowym kolorze, trudno więc było nie zauważyć kogoś, kto między zielenią świecił jak neon z natrętną reklamą.

– Ewo, słuchasz mnie?

– Co? A tak, jasne. Co mówiłaś? – Kobieta na chwilę zgubiła wątek.

– Mówiłam, że nie wątpię w twoją dyskrecję. – Łagodną twarz o pięknych, błękitnych oczach rozjaśnił uśmiech. – Ale skoro już zostałaś wciągnięta w nasze sprawy, to orientujesz się, jak ważne są dla mnie rezultaty twojej pracy.

– Tego już dawno się domyśliłam. W takim razie jakie masz dla mnie zadanie?

– Potrzebuję bardzo efektownych zdjęć posiadłości.

– To duży teren. Co konkretnie mam sfotografować?

– Wszystko.

– Wszystko? – Mina Ewy mówiła sama za siebie.

– Tak, wiem, to niezbyt precyzyjne.

– No raczej. Możesz zdradzić coś więcej?

– Jeszcze nie wiem dokładnie, co mi się przyda. Sfotografuj dom, park, korty, ogród, staw... Wszystko, rozumiesz? Tak, by wyglądało zachęcająco, spokojnie, malowniczo. Posiadłość musi sprawiać wrażenie bezpiecznej, relaksującej przestrzeni.

– To akurat nie będzie trudne – mruknęła Ewa, z niezadowoleniem konstatując, że ogrodnik nadal podąża za nimi.

Nie mógł to być przypadek, bo zatrzymywał się, gdy one przystawały. Tym razem udawał, że gorliwie przycina jakieś rachityczne drzewko.

Ewa usiłowała skoncentrować się na wyjaśnieniach Elizy, lecz irytujący mężczyzna z tyłu zupełnie ją rozpraszał. Zwłaszcza że jego barczyste, opalone ramiona niejasnym sposobem przyciągały jej uwagę bardziej niż świecący jaskrawym pomarańczowym kombinezon. Na szczęście Eliza nie zwróciła uwagi na rozkojarzenie swojej towarzyszki.

– Muszę zdobyć sponsorów i chcę ich zachęcić czymś w rodzaju wizualizacji czy prezentacji – objaśniała. – To miejsce musi ich zauroczyć już na zdjęciach. Inaczej nie zdołam ich tutaj ściągnąć i namówić do współpracy. Rozumiesz?

– Słucham? A tak, naturalnie, zauroczyć sponsorów. A po co? To znaczy, do czego chcesz ich namówić?

– Przecież powiedziałam: do sfinansowania budowy ośrodka.

– Jakiego ośrodka?

– Ewo, czy ty się dobrze czujesz? – zaniepokoiła się w końcu Eliza. – Przed chwilą mówiłam ci, że chcę tu wybudować ośrodek dla dzieciaków po przejściach.

– Ach, ten ośrodek! Przepraszam, myślałam, że teraz mówisz o czymś innym – skłamała, chcąc zamaskować chwilowe problemy z koncentracją. – To świetny pomysł.

– Ja też tak myślę. Dzięki temu połączę moją pasję zawodową z obowiązkami rodzinnymi.

– A nie obawiasz się wpuszczać na własny teren obcych ludzi?

– Sama mówiłaś, że to duża przestrzeń. Wybiorę takie miejsce, by nie naruszać prywatności rodziny – tłumaczyła Eliza z entuzjazmem. – W regionie nie ma zbyt wielu takich miejsc, które prowadziłyby różnorodną terapię na profesjonalnym poziomie. A potrzeby są ogromne. Pierre obiecał mi wsparcie, ale jego inwestycje nie pozwalają na razie na zbyt duży odpływ gotówki. Dlatego będę potrzebowała sponsorów albo wspólników.

– No wreszcie rozumiem, o co ci chodzi. – Ewa się ożywiła. – Będziesz mieć doskonałe zdjęcia! Już moja w tym głowa.

– W to nie wątpię.

– Muszę powiedzieć, że cię podziwiam. To olbrzymie wyzwanie.

– Nie boję się wyzwań, choć ryzyko zawsze istnieje. Mój brat Franciszek powiedział, że gdybym planowała założenie sanatorium dla znerwicowanych bogatych pań, a nie ubogich dzieci, to pewnie osiągnęłabym krociowe zyski. Ale i tak obiecał, że będzie czuwał nad finansową stroną projektu. Wspominał coś o fundacji.

– To chyba dobre rozwiązanie.

– Zobaczmy. Dla mnie ważne są te dzieci. One często przeżywały tak okropne rzeczy, że nawet dorosły by tego nie udźwignął. A to miejsce – zatoczyła ręką krąg – potrafi dawać siłę, spokój i pomaga odkrywać w sobie możliwości, o których istnieniu nawet nikt nie pomyślał.

– Oj, tak – mruknęła Ewa. – Będę trzymała za ciebie kciuki. Choć ja na twoim miejscu byłabym przerażona rozmachem przedsięwzięcia.

– Pierre mówi, że jestem idealistką, i dlatego tak mnie kocha. Ale ja sądzę, że nie ma w tym nic nierealnego. Wystarczy trochę odwagi.

„I sporo optymizmu” – pomyślała Ewa, a na głos powiedziała:

– W tej sytuacji przestał mnie jednak dziwić niepokój pani Konstancji.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Nie obraż się, ale z jej perspektywy w waszym życiu zmienia się za dużo i za szybko: twój ślub, przejęcie majątku, zamykanie kwaciarni, budowa ośrodka – wyliczała. – Do tej pory wszystko było na jej głowie, a teraz ona nagle traci nad tym kontrolę. Ma prawo czuć się zagubiona.

– Być może masz rację, ale po co zwlekać z tym, co nieuniknione?

– Nie zwlekać, lecz iść wolniej. To silna kobieta, ale po nagłej utracie męża miała prawo stracić zaufanie do życia i bać się każdego kolejnego dnia. Gdybyś dała jej więcej czasu, może łatwiej byłoby jej uwierzyć, że wszystko ci się uda.

– Przecież dziadek umarł kilkadziesiąt lat temu. Co to ma wspólnego z moimi planami?

Ewa nie bardzo rozumiała, dlaczego wtrąca się w tę sprawę, ale brnęła dalej, rozproszona myślami o Gérardzie, którego wciąż dostrzegała wśród drzew.

– Sama mówiłaś, że ostatnio pani Konstancja źle się czuje, jest smutna. Ja nie jestem psychologiem, ale wydaje mi się, że te radykalne zmiany, które mają nadejść, wyzwoliły w niej dawne lęki. Może ona po prostu przestała czuć się bezpiecznie?

Przez chwilę stały wśród drzew, milcząc. Eliza wolnym ruchem odgarnęła z czoła

kasztanowy kosmyk włosów.

– Nigdy tak na to nie spojrzełam – mruknęła. – A powinnam. Dziękuję ci.

Ewa, chcąc ukryć zmieszanie, machnęła ręką.

– Za co? Jestem po prostu dobrym obserwatorem.

– Potrafisz zadziwiająco wyczuwać ludzi i emocje. Taki dar empatii to rzadkość. –

W głosie Elizy zabrzmiała osobliwa nuta niemal zazdrości. – Może powinnaś pomyśleć o studiach z psychologii?

– Ja? – Ewa aż się zaśmiała. – Nie, to dla mnie zbyt trudne. Jestem przerażona odpowiedzialnością za własne życie, więc jak mogłabym odpowiadać za cudze. To ty jesteś niesamowita. Nie masz obaw przed tym wszystkim, co chcesz zrobić?

– Tylko przed małżeństwem. Nie zrozum mnie źle – dodała szybko, widząc zaskoczone spojrzenie Ewy. – Chciałabym po prostu być szczęśliwa, a to nie zawsze udawało się kobietom z mojego rodu. Co do reszty, mam sporo doradców: Franciszek jest świetnym ekonomistą, ojciec księgowym, Sophie prawnikiem i PR-owcem, a Piotr zna się na podatkach. Czego tu się bać w takim gronie? Mamy nawet artystkę, która dba o stronę wizualną wielu projektów.

– Artystkę?

– Tak, Helenę, matkę bliźniaczek. Pamiętasz tę fontannę przed kwaciarnią? To jej dzieło.

– Naprawdę? Jest bardzo zdolna.

– I wszechstronna. Kiedy usłyszała o moim ośrodku, wymyśliła specjalne zajęcia artystyczno-terapeutyczne, które chciałyby tam zrealizować.

– Świetnie.

– Jak widzisz, sporo par oczu będzie się przyglądać moim działaniom. Włącznie z przyszłymi teściami i babcią, naturalnie.

– Hmm... Sama nie wiem, czy to dobrze, czy źle. Ale wracając do meritum, już wiem, jak mogę ci pomóc. Mam pomysł na tę sesję. Jutro poszukam odpowiednich miejsc, zrobię próbne fotki, a potem do pracy! – Zatarła ręce z radością.

– I taki entuzjazm lubię. Wiesz co? Poproszę Gérarda, żeby ci towarzyszył. Aleksander ostatnio siedzi nad jakimiś książkami, nie chcę go odrywać.

– Po co fatygować Gérarda? – Ewa natychmiast wróciła na ziemię. – Dziękuję, sama sobie poradzę.

Eliza potrząsnęła głową.

– Gérard zna tu każdy krzew i kamień, będzie świetnym przewodnikiem. Praktycznie sam zaprojektował nasze ogrody na nowo. A raczej na staro. Odpowie na każde twoje pytanie dotyczące posiadłości.



– Co to znaczy: na staro?

– Razem z Paulem tak długo przeszukiwali archiwa w bibliotece, aż znaleźli opisy i plany posiadłości z dawnych czasów. Na ich podstawie Gérard doprowadził wszystko do dzisiejszego stanu. To ambitny człowiek.

– Ale... ja naprawdę wolałabym sama.

– Dlaczego? Nie martw się, on nieźle mówi po polsku, dogadacie się.

– Ale ten facet jest jakiś dziwny – wykrztusiła w końcu, bo widziała, że Eliza nie odpuści.

– Jak to dziwny?

– Zauważyłaś, że cały czas za nami chodzi? – Ewa zniżyła ton do konspiracyjnego szeptu. – Zresztą odnoszę wrażenie, że to nie pierwszy raz tak ciągle wpadam na niego w tym parku. To trochę podejrzane.

Eliza obróciła się, spojrzała za siebie i ledwo stłumiła śmiech. Usiłując zachować powagę, bardziej przed własnym pracownikiem niż przed Ewą, odparła:

– Nie martw się. Ja wiem, co się tu dzieje.

– Co?

– Babcia się o ciebie martwiła od czasu tamtego omdlenia. Przy mnie poprosiła Gérarda, żeby miał na ciebie oko, gdy wychodzisz do parku.

– Poprosiła, żeby mnie śledził?

– Chyba nie aż tak. – Eliza była wyraźnie rozbawiona. – Ale to już taki typ człowieka: kiedy coś robi, to porządnie i całym sercem. Przejął się widocznie swoją rolą i pilnuje cię jak prawdziwy ochroniarz.

– Pilnuje? Jeszcze mi tylko tego brakowało – burknęła zde gustowana Ewa.

\* \* \*

– Nareszcie jesteś! – Ewa ucieszyła się na widok Sophie. – Wejdz.

– Paul mówił, że ty chciałaś do mnie coś ważnego. *Qu'est-il arrivé?*<sup>[84]</sup>

– Siadaj, proszę.

Francuzka przez chwilę śledziła wzrokiem zakłopotaną kobietę, która w milczeniu nalewała do wysokich szklanek wodę z karafki.

– Ewo, ty zmartwiona jesteś.

– Trochę. Od rana biję się z myślami, czy ci o tym mówić. Jak się czujesz?

– *Très bien*<sup>[85]</sup>.

– Cieszę się – powiedziała z wahaniem.

– Nie bój się, ty wyrzuć ze środka swój *problème*. – Usłyszała zachętę.

– No, dobrze. Tylko się na mnie nie pogniewaj. Miałam dzisiaj sen, bardzo niemiły.

– *Un cauchemar?*

– Koszmar? Ostatnio miewałam jeszcze dziwniejsze sny, więc już nie wiem, co o tym myśleć.

– To ja ci zawołam doktora.

– Nie, nie o to chodzi. – Ewa w zdenerwowaniu zaczęła skubać płatki stokrotek stojących w wazonie. – Posłuchaj, to wyglądało tak...

Ciemny długi korytarz wydawał się nie mieć końca. Początkowo wokół panowała cisza, dopiero po chwili do jej uszu dobiegł nerwowy, szybki oddech. Nie widziała nikogo, ale wyczuwała czyjąś obecność.

Gdzieś w oddali rozległ się nagle rytmiczny stukot. Ktoś nadchodził. Zdenerwowany człowiek zerwał się ze skrzypiącego krzesła i czekał. Drżał z emocji. Ewa czuła, że z wielką niecierpliwością wsłuchuje się w odgłos tych zbliżających się kroków.

Mrok korytarza powoli przerzedził się w blasku świecy jak rozproszona wiatrem mgła. Nadchodząca osoba w jednej ręce trzymała lichtarz, w drugiej laskę, którą się podpierała. Nikłe światło, malując na ścianach trzepoczące cienie, wydobyło z ciemności sylwetki starszej kobiety i postawnego mężczyzny.

– Twoja małżonka powiła dziewczkę – głos kobiety był surowy, stanowczy, oschły.

– Dzięki ci, Boże Wszechmocny! – Mężczyzna z wdzięcznością wzniosł oczy do góry.

– Tak, mój wnuku, wielki to powód do radości. Modły jednak przy katafalku odprawiać będziesz, nie tutaj – stwierdziła beznamiętnie, a jej słowa odbiły się głuchym echem w długim, zimnym korytarzu.

– Jakże to? – przeraził się. – Dziecko umarło?

– Dziecko nie.

Złowroga cisza aż dzwoniła w uszach.

– Poród był zbyt ciężki.

– To... to niemożliwe.

– Możliwe. I nie pora teraz na lamenty. Kiedyś sobie małżonkę wziął podług swego upodobania, tak wiotką i delikatną jak pajęczyna na wietrze, tedy się nie dziw, żeś sam ostał z dziećmi. Postąpiłeś wbrew tradycji, nie posłuchałeś głosu Flory, teraz sam poniesiesz swój los.

– To niemożliwe!

– Krzyk na nic się nie zda. Twoja żona wypełniła już swój obowiązek i w niebiesiach będzie służyć. Tobie sprawą pogrzebu zająć się wypada, bo ja muszę dopilnować mamki. To teraz najpierwsze. – Stukot laski zaczął się oddalać.

– Boże! – wyjęczał mężczyzna, kuląc się w sobie.

– Boże! – jęknęła Ewa, gdy obudziła się z mocno bijącym sercem. – Sophie!

Z widocznym oporem przytoczyła tę wizję zaskoczonej kobiecie.

– Ja nie wierzę w zabobony – tłumaczyła się. – Ale to było takie realne! Jeśli cokolwiek stałoby ci się przy porodzie, nigdy bym sobie nie wybaczyła, że cię nie ostrzegłam – mówiła zakłopotana, doskonale zdając sobie sprawę z tego, jak niepoważnie brzmią jej słowa.

Sophie podeszła jednak do sprawy rzeczowo i spokojnie. Poprosiła o powtórzenie rozmowy ze snu, zamyśliła się na chwilę, po czym położyła dłoń na ręce przejętej Ewy.

– Ty nie martw się. To nie był sen o Konstancja i mój Piotr. To zwyczajny zły sen. Ja myślę, że ostatnio trochę zmęczona jesteś i to nerwy są. Ja posiadam dobrego lekarza i wszystko będzie w porządku. *Tu comprends?*<sup>[86]</sup>

Przez chwilę patrzyły na siebie jedna i druga z wyraźną troską w oczach.

– Nie rozumiesz, Sophie, ja czasem miewam takie... przeczucia czy jak to nazwać. Najczęściej je ignoruję, ale ten sen tak mnie przestraszył! Porozmawiaj ze swoim lekarzem, proszę cię. Niech będzie uważniejszy, niech wszystko sprawdza po dwa razy.

– Dobrze. Ja wezmę mój Piotr i my pojedziemy jeszcze raz do *clinique*<sup>[87]</sup> – uspokoiła ją Sophie. – *D'accord?*<sup>[88]</sup>

– Dzięki – odetchnęła z ulgą. – Miło z twojej strony, że nie uznałaś mnie za kompletną wariatkę. – Uśmiechnęła się.

W tym momencie rozmowę przerwało szarpnięcie klamki. Do gabinetu wpadł zdyszany Aleksander, zupełnie zapominając o pukaniu do drzwi.

– Znalazłem coś superzastego! – oznajmił radośnie i dopiero na widok ciotki siedzącej z Ewą przy małym stoliku zatrzymał się niepewnie w progu.

– Aleks, *comment peux-tu entrer comme ça dans la chambre de quelqu'un?*<sup>[89]</sup> – Sophie pokręciła głową z dezaprobatą.

Chłopiec się speszył.

– Przepraszam, ja tylko...

– Nie przejmuj się, wszystko w porządku. – Ewa skinęła na niego. – Chodź, opowiedz, co się stało. Rozładujesz trochę atmosferę.

– Co zrobię?

– Nieważne. Znalazłeś coś? – Zwróciła uwagę na papierową teczkę, którą Aleksander trzymał w ręce.

Chłopiec posłał Ewie znaczące spojrzenie, którym dyskretnie objął ciotkę.

– Możesz mówić przy Sophie. Ona niczemu się nie dziwi, więc przyjmujemy ją do

naszej drużyny. – Ewa uśmiechnęła się, w lot pojmując jego obiekcje.

– Ja do drużyny?

– Tak. Założyliśmy z Alekssem całkowicie tajną drużynę do odkrywania rodzinnych sekretów historycznych. W końcu są wakacje i należy się nam trochę zabawy – wyjaśniła pogodnym tonem. – Początki są skromne, ale kiedy się Aleks rozkręci, to wszystkim pokaże. Zobaczysz, że zostanie poważnym naukowcem detektywem.

– Ach, tak. – Sophie poddała się nastrojowi, zrozumiałwszy pedagogiczne intencje Ewy. – To ja chętnie będę w ta drużyna. Coś odkryłeś?

– *Oui!* – Chłopak się rozpromienił. – W bibliotece. Właściwie samo wpadło mi w ręce.

– Co takiego?

– Aleks miał sprawdzić, kim był ten przodek, który ciągle spada ze ściany w galerii. Nie chcieliśmy zawracać głowy pani Konstancji czy Elizie. Rozumiesz? Samemu lepiej. Sophie przytaknęła.

– To opowiadaj.

Chłopiec z triumfalnym uśmiechem odsunął na bok szklanki i na poszarpanych płatkach stokrotek położył swoją zdobycz.

– Nie było łatwo, bo Patrycja ciągle mnie śledzi. Ale wreszcie udało mi się, wślizgnąć do biblioteki i zamknąć drzwi od środka, żeby mi nikt nie przeszkadzał – zaczął. – Potrzebna mi była taka gruba księga z najwyższej półki. Ostatnio natrafiłem w niej na szkice jakichś drzew genealogicznych, ale wtedy wcale mnie to nie interesowało – relacjonował zaaferowany. – Uznałem, że skoro prababcia ma gdzieś u siebie oficjalny *registre familial*<sup>[90]</sup>, to szkoda mojego czasu na genealogię. Ale kiedy Ewa spytała w niedzielę o przodka z portretu, przypomniałem sobie o tej księdze. Więc dzisiaj po cichu wlażłem na samą górę po drabinie, namierzyłem ją i chciałem wyciągnąć, ale trudno szło, bo tam książki są ciasno upakowane obok siebie. Kiedy porządnie pociągnąłem, drabina się zachwiała...

– *Oh, mon Dieu!* Spadłeś?

– Ja? Nigdy w życiu! Złapałem się tylko półki i wtedy zleciała na dół taka mała, cienka książka. Właściwie to nie wiem, skąd spadła i dlaczego.

– No dobrze, spadła i co?

– I rozwalila się w drobiazgi. To jest, chciałem powiedzieć, rozsypała się – poprawił się, widząc minę Sophie. – Oj, ciociu! To było tylko stare wydanie *Romea i Julii*.

– Stare?! – jęknęła Ewa, wyobrażając sobie gniew *grand-mère*, gdyby się okazało, że był to jakiś biały kruk.

– Bez paniki. To tylko międzywojenne tłumaczenie francuskie. Nikt nie zwróci na nie uwagi. TO jest ważne! – Stuknął palcem w teczkę.

Z nabożeństwem otworzył ją, ukazując zawartość: pożółkłą ze starości grubą kartkę papieru, złożoną wzdłuż na trzy części, lekko nadpaloną u dołu.

Zaciekawione kobiety pochyliły się nad znaleziskiem.

– A skąd to się wzięło?

– Jeśli nie będziecie mi ciągle przerywać, to wam powiem. Jesteście takie same jak moja siostra – marudził. – Z babami tak zawsze.

– No już dobrze, dobrze – zaśmiała się Ewa. – Wyjaśnij, odkrywco.

– No więc zlazłem z drabiny, żeby pozbierać te rozsypane kartki. A wtedy ktoś się zaczął dobijać do drzwi. – Zrobił dramatyczną pauzę.

Ewa aż zacisnęła usta, by przypadkiem się nie roześmiać, patrząc na jego minę.

– Wystraszyłem się, że to Paul. Gdyby mnie przyłapał nad tą rozbebeszoną książką, urwałyby mi głowę.

– Roz... co?

– On ma na myśli, że strony książki w nieładzie leżały na podłodze – odpowiedziała rozbawiona Ewa. – I co dalej?

– Na szczęście to była tylko moja wstrętna siostrunia. Bezskutecznie szarpała za klamkę, aż w końcu się znudziła i sobie poszła. Ale ja dobrze wiedziałem, gdzie ją poniosło. Tylko Paul ma zapasowe klucze, więc musiałem się spieszyć. Szybko zbierałem kartki, żeby się wymknąć, zanim Pati wróci. I wtedy na podłodze znalazłem to... – Ujął z szacunkiem pożółkły papier i delikatnie go rozłożył.

Oczom kobiet ukazały się pięknie wykaligrafowane litery. Triumfalna cisza trwała kilka sekund, zanim chłopak zdecydował się kontynuować opowieść.

– Musiało być w tej książce. Od razu wiedziałem, że to coś ważnego. Ulotniłem się z biblioteki w ostatniej chwili. Szkoda, że nie widziałyście miny tej szpiegownicy, kiedy przyszła z Paulem i odkryła, że drzwi nie są zamknięte! – parsknął.

– A co to właściwie jest?

– To, moje panie, najprawdopodobniej jest list owego przodka z portretu, co można wydedukować, porównując pismo – oświadczył patetycznym tonem.

– Jakie pismo?

– W liście i na obrazie. Udało mi się obejrzeć portret, zanim Paul oddał go do oprawy. Z tyłu na płótnie ktoś napisał: „Na zawsze w moim sercu”. Trochę niewyraźnie, ale to dość charakterystyczne pismo. Zrobiłem sobie zdjęcie i prześledziłem litery – stwierdził z dumą. – Sam byłem zaskoczony, że pasują, ale epoki też się zgadzają, więc na pewno mam rację. Spójrzcie na datę. Ten papier

pochodzi z końca osiemnastego wieku. Czujecie, jak pachnie przeszłością? – ekscytował się.

– Jesteś tego pewien? – Szczerze zaciekawiona Ewa przyjrzała się staremu dokumentowi. – To trochę zaskakujący zbieg okoliczności.

– Kiedy prababcia w końcu dopuści mnie do oficjalnych kronik, będzie łatwiej to udowodnić. Ale mam przeczucie, że się nie mylę.

– Brawo Aleks! – pochwaliła go Sophie. – To bardzo ciekawe jest.

– Wiem – puszył się.

– Owszem, bardzo ciekawe, ale musimy ten papier oddać pani Konstancji. – stwierdziła Ewa. – Jeśli masz rację, to jest zabytek. Trzeba go zabezpieczyć.

– No jasne, ale najpierw warto się dowiedzieć więcej, żeby zaskoczyć prababcie. Dlatego musimy to przeczytać.

– Jeszcze tego nie zrobiłeś?

– Noo... chciałem, ale trochę miałem trudności. Po pierwsze, nie było na to czasu, a po drugie, ta treść... – Chłopak podrapał się po głowie z niewyraźną miną.

– O co chodzi? – Ewa zerknęła na eleganckie pismo wykaligrafowane nieco już wyblakłym atramentem.

– To nie jest współczesny francuski, trochę się pogubiłem w tych archaizmach. Boję się, że umknie mi coś ważnego, więc muszę popracować ze słownikami.

– To bardzo dobry pomysł.

– Ale jest problem.

– Jaki?

– Muszę to zrobić w sekrecie. Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział o tym liście, zanim nie rozwiążemy całej zagadki. A mój ojciec ciągle sprawdza, czym ja się zajmuję.

– To przynieś te słowniki tutaj. Pomęczymy się razem.

– Super! Teraz?

– A na co czekać? Jestem szalenie ciekawa tego listu.

– *Moi aussi*<sup>[91]</sup>.

– Widzisz, Sophie też. To leć po te słowniki. Tylko dyskretnie.

– *Oui, mon général!*<sup>[92]</sup> Wracam za chwilę. – Chłopiec zabawnie zasalutował i wybiegł, zostawiając papier na stoliku.

Chwila, o której mówił, znacznie się jednak przedłużyła. Zaraz na korytarzu dopadła go Patrycja, która otrzymała polecenie przyprowadzenia brata, ciotki i Ewy na kolację. Zaciekawione odkryciem chłopca kobiety niechętnie schowały teczkę z dokumentem do biurka i poszły do jadalni.

– No nareszcie. Gdzie byłaś? – spytał Piotr, robiąc żonie miejsce obok siebie.

– Ja?

– Zagadałyśmy się – wyjaśniła szybko Ewa. – Przepraszamy.

Konstancja z pobłażliwą ciekawością zerknęła na trójkę spóźnialskich, którzy nie tylko mętnie się tłumaczyli, lecz także jedli z wyjątkowym roztargnieniem.

Kolacja jak zwykle się przeciągała, nie wypadało im jednak skończyć posiłku przed seniorką. Podekscytowani konspiratorzy z niepokojem śledzili wskazówki stojącego w kącie zegara, podczas gdy reszta rodziny zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na upływ czasu. Wreszcie Konstancja podniosła się zza stołu, a wychodząc, obdarzyła Ewę jednym z tych niepokojących spojrzeń, które ostatnio jej coraz częściej posyłała.

Młoda kobieta nie zauważyła tego, rozczarowana faktem, że jest już zbyt późno, by Aleks i Sophie mogli jeszcze tego wieczoru przyjść do niej i popracować nad tłumaczeniem. Tajemniczy list bardzo ją zainteresował, choć nie wierzyła, że dotyczy właśnie tego konkretnego przodka. Była jednak zawiedziona, że trzeba odłożyć tę sprawę na później.

Na korytarzu zamieniła z Alekssem kilka ukradkowych zdań. Chłopiec był równie zniecierpliwiony jak ona i stwierdził, że nie zamierza czekać do jutra.

– Ciotka nie da rady, ale ja spróbuję się wykraść po północy, gdy rodzice i Pati zasną.

– Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty.

– Dam sobie radę. Tylko nie zaśnij, czekaj na mnie. – Zadowolony z siebie pobiegł na górę.

Niezdecydowana Ewa została w wielkim holu. Nie miała ochoty wracać do pokoju, bo wiedziała, że w samotności znów będzie myśleć o Jurku albo o swoich dziwacznych snach. Spacer po parku też nie wydawał się jej dobrym pomysłem, ponieważ nie chciała oglądać się ciągle przez ramię w poszukiwaniu natrętnego ogrodnika.

Rozum podpowiadał, że zachowuje się jak idiotka, lecz wyobraźnia działała pełną parą – nie była w stanie pozbyć się wizji czającego się wśród drzew samozwańczego ochroniarza, co zdecydowanie psułoby jej przyjemność wieczornej przechadzki.

Na chwilę ogarnęło ją współczucie dla wszystkich gwiazd filmowych uwięzionych w luksusowych posiadłościach, po których nawet nie mogą się swobodnie poruszać bez obawy, że za krzakiem czyha jakiś *paparazzo*. Później przypomniała sobie, że to ona w tym towarzystwie ma największe kwalifikacje do czajenia się za krzakiem z aparatem, i uśmiechnęła się rozbawiona tą myślą.

„Może to fajny pomysł? Zrobiłam już trochę rodzinnych zdjęć, to mogłoby być



zabawne – jakaś myśl wykiełkowała w jej głowie. – No dobrze. Przejdę się choć dookoła domu, zaczerpnę trochę świeżego powietrza”.

Wyjrzała na wewnętrzny dziedziniec, skąd dobiegało poszczekiwanie Lucky’ego. Pod olbrzymim platanem, który wciąż nieprzyjemnie kojarzył się jej ze stadem cykad, dostrzegła niebieski sportowy samochód Pierre’a. Przez chwilę bezwstydnie przyglądała się, jak Eliza namiętnie całuje się z narzeczoną.

„Wyglądają razem tak pięknie, że aż kiczowato” – pomyślała z lekką zazdrością.

W ostatnich promieniach zachodzącego słońca, na tle ciemniejącej ogrodowej zieleni przytulona do siebie para wyglądała bardzo malowniczo: ona – smukła, elegancka, z odrzuconymi do tyłu długimi włosami; on – wysoki, przystojny, ubrany trochę nonszalancko – opierał się plecami o samochód i zatapiał dłonie w lokach narzeczonej.

Za każdym razem, gdy ich widziała, mężczyzna patrzył na Elizę z takim oddaniem i ciepłem, że nie można było wątpić w ich uczucie.

„A my? – pomyślała z żalem, siadając na murku przy schodach, by nie przeszkadzać zakochanym. – Ja i Jurek. Czy nas kiedykolwiek łączyło coś naprawdę poważnego? Czy choć raz na mnie tak patrzył?”.

Nie chciała się jeszcze do tego przyznać, lecz w głębi serca czuła, że to tylko przelotna znajomość. Choć było jej przykro, nie potrafiła zignorować ostatnich wydarzeń.

„Gdzie troska, czułość, oddanie? – analizowała zadumana. – Eliza powiedziała, że chce się zestarzeć przy swoim mężczyźnie. A ja?”.

Tak się zamyśliła, że zupełnie odruchowo pogłaskała czarny psi łeb, który niespodziewanie spoczął na jej kolanach.

„To, co nas łączy, jest jak przypadkowe spotkanie w pociągu – przyszło jej do głowy. – Podróż się nie dłuży, jeśli można z kimś porozmawiać, pośmiać się. Ale każdy jedzie do innego celu i wysiada na innej stacji... My nigdy nie rozmawialiśmy o przyszłości, żyliśmy tak po prostu z dnia na dzień”.

Uświadomiła sobie nagle z całą jasnością, że nawet przestała się niepokoić lakonicznymi wiadomościami, jakie otrzymywała od Jurka. Wydarzenia ostatnich dni w domu Elizy wydawały się jej dziesięć razy ważniejsze niż jego nieuzasadnione pretensje.

„Skoro jesteśmy ze sobą, to jego problemy powinny mnie obchodzić, a tymczasem jedynie mnie irytują”. Zaskoczona tym spostrzeżeniem, znieruchomiała.

Mokry nos psa trącił dłoń Ewy, a ona mimowolnie znów zaczęła go głaskać.

„To jakiś absurd. Jurek uważa, że go zaniedbuję. Ja z kolei nie mam już do niego cierpliwości... Jest taki dziecinny. Chyba musimy w końcu poważnie porozmawiać. –

Zerknęła na zakochaną parę. – To powinno właśnie tak wyglądać: namiętnie, z pasją, z oddaniem”.

Pierre wypuścił Elizę z objęć i otworzył przed nią drzwi auta. Gdy niebieski samochód zniknął za budynkiem, Ewa dostrzegła ruch firanki w oknie na górze. Przyjrzała się uważniej.

„Pani Konstancja? – zdziwiła się. – Ona też na nich patrzyła. Ciekawe, o kim myślała? O wnuczce czy o mężu?”.

Spuściła wzrok i zobaczyła wpatrzone w siebie czarne psie oczy ledwie widoczne spod długiej sierści.

– Gdyby można było ją jakoś pocieszyć – mruknęła współczująco. – Masz jakiś pomysł, Lucky? Lucky? O matko jedyna! – jęknęła cichutko. – Co ty tu robisz... piesku? Co ja tu z tobą robię?

Pies prychnął i zamerdał ogonem.

– A tuś mi się zapodział, bratku – rozległ się znajomy męski głos. – Panna Ewa wybaczy, że zadumę przerywam, ale panicz Michał szuka go po całym parku. A ten łapserdak pozwalałby się głaskać do północks. Zwłaszcza z takich rączek.

– Co? – bąknęła oszołomiona, bo nagle zaschło jej w gardle.

Nie dość, że ogromne, czarne zwierzę, najwyraźniej bardzo zadowolone, chuchało jej ciepłym oddechem prosto w twarz, to jeszcze ten dziwaczny ogrodnik, który zjawił się jak duch, patrzył na nią uradowany jak dziecko przy torcie.

– Panna Ewa pewnie zmęczona i trza ją zostawić w spokoju, ty bestio. – Mężczyzna uśmiechał się szeroko, udając, że mówi do psa. – Ale skorom już pannę tu zastał, to spytać pragnę, o której godzinie będzie mnie panna Ewa potrzebować.

– Słucham? – Oczy kobiety zrobiły się wielkie jak spodki. – Potrzebować? Do czego?

– Panna Eliza prosiła, żebym pokazał okolicę. Do zdjęć.

– Ach, do zdjęć! No tak. – Na twarzy Ewy pojawił się zabawny wyraz ulgi. – Zapomniałam. No cóż, skoro inaczej się nie da – mruknęła. – Muszę wybrać najładniejsze widoki posiadłości.

– O której zatem?

– Yyy... No tak zaraz po śniadaniu. Rankiem jest tu najpiękniej. Ale jeśli pan będzie zajęty...

– Przyjdę po śniadaniu. Jestem do usług panny. – Gérard błysnął białym uśmiechem, który wydał się jej nieco zbyt poufały. – Dobrej nocy życzę. – Przez kilka chwil nie odrywał od niej wzroku, po czym skłonił lekko głowę i gwizdnął na psa. – *Viens, veinard*<sup>[93]</sup>.

– Dobranoc – mruknęła poniewczasie.

Przez chwilę patrzyła jeszcze w stronę, gdzie zniknął mężczyzna i nasłuchiwała oddalającego się szczekania.

„O matko! – pomyślała wzburzona, gdy odzyskała oddech. – Co to miało być? Zjawia się jak duch, straszy człowieka, że aż mi serce wali... I jeszcze do tego bezczelnie się gapi! Co on sobie wyobraża? I te jego określenia, no ludzie! – denerwowała się. – A ja plotłam jakieś bzdury. Zamiast powiedzieć, że sama dam sobie radę, to jak kompletna idiotka kazałam mu przyjść rano! Teraz cały dzień zdjęciowy będę miała zmarnowany”.

Westchnęła zrezygnowana.

– Trudno, co się stało, to się nie odstanie. – Wzruszyła ramionami i poczłapała w górę po schodach. W drzwiach zatrzymała się jeszcze. Zerknęła na ciemniejący park.

– On mi kogoś przypomina – mruknęła, marszcząc czoło. – Tylko kogo?

\* \* \*

*Madame,*

*żywię nadzieję, iż pismo moje w dobrym zdrowiu zastanie Ciebie i całą moją rodzinę.*

*Spieszę donieść, iż Paryż w mych oczach nie takim miastem okazał się, o jakim mi w dzieciństwie opowiadałaś. Dopierom tutaj pojął, jak w naszym ustroniu żyje się spokojnie, dostatnio i w zgodzie z Bożymi nakazami.*

*Tam życzliwość ludzi traktowanych sprawiedliwie zawsze nas otaczała i otaczać będzie. Tutaj zaś królują przepych, intrygi i zabawy nieprzystojne, a czy kto wrogiem jest, czy przyjacielem, zgadnąć się nie da. Kaprysom władzy ulegać trzeba, na obyczajność i moralność nie bacząc. Nie dla mnie to sfery, a i ekspens niemały kilka tygodni w stolicy przesiedzieć bez pożytku.*

*Pałace tu od złota kapią, a po zaułkach lud prosty z głodu ginie, bez pracy i kawałka chleba, w nędzy i brudzie żyjąc, jakich u nas i bydło chyba nie zaznaje. Dopierom tu poznał, jak ludziom stanu pośledniego uczciwa praca godności dodaje.*

*A już i odór tego miasta w upalne dni najgorszy chyba, zdrowy żołądek o chorobę przyprawia – jakoby za życia w trupa gnijącego od zarazy, chorób i nędzy się zamieniał. Nawet pięknym ogrodem królewskim nijak się z naszą krainą porównywać.*

*Co do sprawy, dla której mnie Madame do Kuzyna naszego wysłała, to pełen najgorszych przeczuć jestem. Wicehrabia przyjął mnie godnie, o więzach krwi*

*pamiętając, choć przecie kondycja nasza niższa znacznie od niego, alem jakoś tym zaszczytom nie rad. Owe bale, wizyty i polowania nie w smak mi wcale.*

*Portrety rodzinne, po którym jakoby do Paryża przybył, już od malarza odebrałem i wracać mi pora, jako że misja moja zakończona. Bo i okazji do obserwacji spraw tutejszych miałem aż nadto. Ze smutkiem przyznać muszę, że słuszność po Twojej była stronie, gdyś kazała nam uwierzyć w sen mojej córce przez Boga zesłany. Wszystko, com tu zobaczył, mówi mi, że przyjdzie czas pomsty na tę ziemię i sprawdzą się słowa prorocze. Tak mi się zdaje, że rychlej to nastąpi, niżli sądzimy.*

*Wiele cierpień i burz kraina nasza znieść musiała i niejednen to raz przyszło nam odpierać ataki losu. Jednakoż to, com tutaj zobaczył, w niepokój każdy światły umysł uprawić może. Rozpasanie i przepych dworu, a nade wszystko beztroska Najjaśniejszej Pani szeroko w różnych kręgach jest dyskutowaną, gdyż pospólstwo z głodu ginące rozdrażnia i wręcz haniebną jest. A Król, miast powstrzymać małżonkę, sam bale i zabawy do świtania urządza.*

*Nie mnie sądzić sprawy owe, bom człek prosty, alem widział przecie, jak wicehrabia różnych ludzi potajemnie przyjmuje, a rozmowy ich nieświatłą przyszłość nam wróżą. Prawdę rzekła córka ma ukochana, że i w naszych stronach zamęt wielki z tego powstać może, zatem uchodzić nam trzeba póki czas i schronić się gdzieś przed burzą. Bo w takich terminach nad niewinnością nikt poważania mieć nie będzie i krwią przyjdzie odkupić winy możnych panów.*

*Jako że familija nasza głów nie podnosi, skromnym swym miejscem się kontentując, wiarę mam, iż jakoś nas uchowa Bóg Miłosierny od zniszczenia, jako Noego uratował, gdy wielkie wody przez ziemię szły.*

*Myszę jednak, że do rodziny bratowej na Wyspę udać się nam wypada na rok czy dwa dla bezpieczeństwa, na niechęć obu krajów i opowieści o chorobie angielskiego monarchy nie zważając.*

*Córki moje świata jeszcze nie widziały, a i bratanek familiję matki swej winien poznać, skoro go ojciec tak wczesnie odumartł. Takoż i powód do wyjazdu w oczach ludzi się znajdzie, by nie szemrali.*

*Wierni słudzy i dzierżawcy nasi majątku dopilnują, z serca i za zapłatę sowitą, jakiej im nigdy Twoja hojność nie skąpiła.*

*Wiarę pokładam w rozsądku Twoim, Madame, i w uczuciach, jakimi darzysz dzieci moje, że w tych okolicznościach postanowienia swoje ostatnie zechcesz zmienić i losem mych córek tak kapryśnie rozporządzać nie będziesz, z moją i ich wolą się nie licząc.*

*Trudno mi pojąć, że pierworodnej mojej drogę do służby Bożej zagradzasz, choć jej serce rwie się ku temu, a i w klasztorze jakowymś bezpieczniejszą by była niż*

*w zameściu niechcianym. A drugiej mej córuchnie, która nijakiego powołania ku temu nie odczuwa, miejsce w zakonie szykujesz.*

*Jako wnuk Twój i dziedzic jeno ojcowskiego skrawka w Lotaryngii posłuszeństwo Ci winieniem okazać. Aleć dusza boli, gdy dziewczątka moje krzywdzisz tak, decyzji swoich nie objaśniając. Choć obie wiek swój już osiągnęły, mogłyby jeszcze wiosnę czy dwie przy ojcu zostać, abyśmy roztropnie o przyszłości ich postanowić mogli.*

*O zwłokę tedy proszę, bo decyzji tak ważnej w pośpiechu podejmować się nam nie godzi. Jeśli dobry Bóg uchroni nas od nadciągającej burzy, wtedy za lat kilka nadejdzie czas, by szczęścia mych córek dopilnować.*

*Za dwie niedziele wracać mi wypada, więc rychło się obaczym. Wicehrabia do spisków jakowychś mnie tu wciąga, ale nie w smak mi to, choć o braterstwie i równości mówią, przeto...*

– *Mince alors!*<sup>[94]</sup> – sapnął rozgoryczony Aleksander. – Akurat końcówki listu brakuje. Byłby podpis, to rozszyfrowałoby się przodka na sto procent.

– Nie narzekaj. Dobrze, że cały list się nie spalił. A zresztą tu jest mnóstwo informacji. – Ewa ziewnęła.

– Mnóstwo?

– Jasne. Wiadomo, że to czasy przed Wielką Rewolucją i że napisał to wnuk którejś dziedziczki. Facet miał co najmniej dwie córki, ojca z Lotaryngii i brata, który wcześniej zmarł, zostawiając mu pod opieką syna. Być może ta rodzina spędziła jakiś czas w Anglii, a jedna z jego córek mogła być zakonnica. Jeśli znajdziesz właściwe drzewo genealogiczne, zidentyfikujesz go bez problemu. Dziwi mnie tylko, że nic tu nie napisał o matce dziewczyn.

Aleksander miał rozczarowaną minę.

– Wolałbym, żeby moje odkrycie było bardziej spektakularne, a tu tylko gadanie o rozpasaniu dworu.

– Oj, chłopaku, chyba już jesteś śpiący, skoro tak marudzisz. Masz przed sobą fascynującą historię, o której być może nikt nie wie, a tobie mało.

– No i co mi z tego?

– Udowodnisz prababci, że historia to twoja prawdziwa pasja. Wykonałeś kawał dobrej roboty z tym tłumaczeniem. Teraz musisz tylko sprawdzić resztę faktów.

– Jakich?

– Choćby z ogólnej wiedzy historycznej. – Mimowolnie ziewnęła po raz drugi. – Ja niewiele wiem o Wielkiej Rewolucji. W polskich podręcznikach to tylko krótka

opowieść, ale coś mi się kojarzy, że Prowansja do czasów rewolucji była raczej autonomicznym terenem. Jacyś hrabiowie tu rządzili, jakiś Dobry Król Rene i katarzy się tu plątali. Trzeba by to połączyć z historią twojej rodziny.

– No tak, ale tego uczę się w szkole. Tajemnice przodków są zdecydowanie ciekawsze.

– Witaj w dorosłym świecie – skwitowała z uśmiechem. – Ja mam na dzisiaj dość. Patrz, która godzina.

Kominkowy zegar wskazywał 4.28.

– Racja, muszę już wracać – mruknął trochę bez entuzjazmu, zbierając rozrzucone po podłodze kartki z zapiskami i słowniki leżące wokoło.

– Nie bądź taki rozczarowany. Czego się spodziewałeś po tym liście? Notatki o ukrytym skarbie?

– To lepsze niż gładzenie o królu i klasztorach.

– Wiem, że wolałbyś być jak Indiana Jones, a nie jak Poirot, ale nauczysz się, że między słowami można czasem znaleźć równie fascynujące skarby jak w lochach.

– Żebyśmy chociaż mieli te lochy – burknął.

– Mnie się podobało, przy okazji poćwiczyłam francuski. Myślę, że trzeba tylko poczekać na odpowiednią chwilę, żeby zaprezentować pani Konstancji twoje znalezisko. Będzie z ciebie jeszcze bardziej dumna, jeśli popisziesz się także szeroką wiedzą o czasach tego przodka.

– No dobra, jeszcze trochę pomyślę nad tym tekstem, może coś więcej znajdę w bibliotece.

– Słusznie. Pamiętaj, jeśli chcesz być dobrym historykiem, musisz w siebie inwestować. – Mrugnęła do niego. – Jedyne lokata, jaka się naprawdę zwraca wcześniej czy później, to własne wykształcenie. A teraz już idź. Jeśli twoi rodzice się dowiedzą, urwą mi głowę.

– Dobranoc. – Chłopiec cicho wymknął się na korytarz.

Zmęczona Ewa padła na łóżko.

„Ciekawe, o co chodziło z tymi córkami? – pomyślała, ziewając. – Jedna chciała do klasztoru i nie mogła, druga nie chciała, a była zmuszona... I na dodatek jakiś sen proroczy... To epidemia, czy co?”

---

[84] Coś się stało? (fr.).

[85] Bardzo dobrze (fr.).

[86] Rozumiesz? (fr.).

[87] Klinika (fr.).

[88] Zgoda? (fr.).

[89] Jak możesz tak po prostu wpadać do cudzego pokoju? (fr.).

[90] Rodzinny spis, rejestr (fr.).

[91] Ja również (fr.).

[92] Tak jest, generale! (fr.)

[93] Chodź, szczęściarzu (fr.).

[94] A niech to! (fr.).



## Rozdział 9

### Wtorek

Ewa miała plan. Zamierzała pobieżnie zdokumentować miejsca zaproponowane przez Gérarda, by taktownie i jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa. Dopiero po obiedzie chciała wymknąć się na porządną samotną sesję, tak jak lubiła.

Nie miała ogrodnikowi nic do zarzucenia, a jednak czuła się przy nim niekomfortowo. Wmawiała sobie, że to przez historię z omdleniem, bo na samo wspomnienie tamtego dnia odczuwała niepokój. Wolałaby zapomnieć o chwili słabości, gdy utraciła kontrolę nad wydarzeniami, a tymczasem wiecznie uśmiechnięta twarz mężczyzny wciąż jej o tym przypominała. Czasem traciła rozeznanie, czy on śmieje się do niej, czy z niej. Tak przynajmniej podpowiadał jej zdrowy rozsądek, bo inny powód nie przychodził jej do głowy.

Rano Gérard zgodnie z umową czekał na Ewę w holu. Całkowicie naturalnym gestem wyjął jej z rąk ciężki, nieporęczny statyw i otworzył drzwi wyjściowe.

Ku jej zaskoczeniu mężczyzna najwyraźniej nie zamierzał jej zagadywać. W milczeniu szli przez park, słuchając ptasich treli. Spodobało się jej to.

– Widziałam pana w niedzielę w kaplicy – odezwała się w końcu, by nie wyjść na gbura. – Ta starsza kobieta to pana matka?

Najwyraźniej ucieszył się, że może przerwać krępującą ciszę. Zaczął opowiadać o schorowanej matce oraz jednej z sióstr, która niedługo kończy studia prawnicze.

– I utrzymuje ich pan ze swojej pensji?

– *Oui. Madame* Constance godziwą daje opłatę, tylko trza się starać. W oczy mi rzekła, że chce nająć mi kogoś do pomocy, bo teren jest olbrzymi i roboty huk. Ale przyobiecałem, że dam radę sam, tedy prawie dwie pensje dostaję zamiast jednej. A i matka swoją emeryturę ma, to na studia młodszej siostry nam wystarcza.

„Cholerka, kogo on mi przypomina? – zastanawiała się w tym czasie Ewa, niezbyt uważnie słuchając dziwacznego monologu. – To irytujące uczucie. Przecież nigdy wcześniej go nie widziałam”.

Męczyło ją to, bo chwilami miała na końcu języka odpowiedź, lecz po sekundzie wszystko zniknęło.

Gérard opowiadał o swojej pracy, a ona przyglądała mu się kątem oka. Był wysoki, dobrze zbudowany i trochę barczysty. Pod koszulą, którą tego dnia włożył do swojego prywatnego ubrania, zostawiając gdzieś pomarańczowy kombinezon, rysowały się umięśnione ramiona. Brązowe włosy nosił obcięte dość krótko, nieco sarmacko, a kiedy się uśmiechał, co czynił niemal bez przerwy, spod wąsów błyskały mu niesłychanie białe zęby. Pomyślała, że może przypomina jej jakiegoś aktora.

„Nie, to jednak nie to – stwierdziła w duchu. – W gruncie rzeczy Eliza ma rację, to miły, dobrze wychowany facet... I tak się uroczo ożywia, gdy mówi o rodzinie”.

Niemal się roześmiała w głos, usłyszawszy historię małego siostrzeńca rozrabiaki, którą właśnie opowiadał. Zapanowała nad sobą w ostatniej chwili.

„No nie, uspokój się, kobieto! – zganiła się w myślach. – Jesteś tu w sprawach zawodowych. Zachowuj się odpowiednio, a nie jakieś śmichy-chichy!”.

Była trochę niezadowolona, bo osobliwie radosny nastrój Gérarda rozpraszał jej ponure myśli, a ona masochistycznie postanowiła tego dnia cierpieć – uznała, że po tym, co spotkało ją rano, nie powinna mieć dobrego humoru. Po prostu nie wypadało.

Cudowną pogodę musiała zaakceptować, chociaż wolałaby burzę z piorunami, ale nad swoim nastrojem mogła zapanować – tak właśnie myślała, wspominając poranny telefon do Jurka.

Słońce, wpadające rano do sypialni, ulokowało jeden ze złośliwych promieni wprost na nosie Ewy, lecz nie zdołało jej dobudzić. Zapomniała jednak wyciszyć na noc telefon komórkowy i uporczywa melodyjka skłoniła ją w końcu do otworzenia zapuchniętych powiek.

Zanim zdążyła po niego sięgnąć, telefon umilkł. Koszmarnie niewyspana, z ulgą padła na poduszkę, mrużąc pod nosem coś niezrozumiałego, ale obraźliwego. Niemal zasypiała, gdy zapiszczał sygnał esemesa.

– No kogo tam niesie tak wcześnie, cholera jasna! – Ziewając rozdzierająco, z trudem otworzyła jedno oko i spojrzała na zegar. – Siódma? Już? – jęknęła i w poczuciu obowiązku otworzyła drugie oko. – No dobra, niech wam będzie. Dzisiaj nie spóźnię się na śniadanie, zobaczycie.

Usiadła na łóżku, poczochnęła dłońmi włosy i spojrzała na wyświetlacz telefonu.

– Kto tam czego chce? Jurek? – zdziwiła się. – O tej porze?

Wcisnęła przycisk. Na ekranie pojawiła się wiadomość:

*Możesz łaskawie zrobić coś ze swoim bratem? To nie jego sprawa, kto mi kupuje bułki na śniadanie! Powiedz mu, żeby się odczepił od moich znajomych. Będę się widywał, z kim zechcę, skoro Ty masz mnie w nosie. Ona zawsze mnie doceniała, w odróżnieniu od Ciebie. I zawsze ma dla mnie czas.*

Ewa przetarła zaspane oczy i jeszcze raz z niedowierzaniem przeczytała zadziwiającego esemesa. Nie musiała długo zbierać myśli, by zrozumieć, o co, a raczej o kogo chodzi.

Emocje wzbierały w niej już od kilku dni, ale chciała załatwić to spokojnie, po powrocie do Polski. Wmawiała sobie, że nagłe wątpliwości co do ich związku były efektem ostatniej sprzeczki. Jurek urządził jej wtedy scenę zazdrości, że wyjeżdża z dnia na dzień nie wiadomo gdzie i z kim, bez pytania go o zdanie i to przed jego ważnym koncertem.

Sądziła, że szczerą rozmowa oczyści atmosferę i wszystko znów będzie dobrze, dlatego z całej siły starała się ignorować przecucie, że wcale nie będzie dobrze, bo ona już tego nie chce.

Nagle jeden esemes przeppełnił czarę goryczy, a przysłowiową kroplą okazała się „dziumdzia”, jak zgryźliwie mawiała Jola, opisując pewien typ kobiet.

– Ona? Ona?! Ty cholerny, naiwny głupku! Już ja ci wytłumaczę, co to znaczy lojalność i czego właściwie chce od ciebie ta twoja biedna Krysieńka, która tak cię docenia! – sapnęła z furją, wyszukując jego numer w kontaktach. – Ty jak zwykle jesteś poszkodowany! I jeszcze na dodatek czepiasz się mojej rodziny! – warczała, słuchając sygnału połączenia. – Gdybyś był prawdziwym facetem, to miałbyś przynajmniej odwagę powiedzieć mi wprost, że zamierzasz poromansować sobie z mężatką. Może doceniłabym szczerłość, zanim pokazałabym ci drzwi, ty pieprzony tchórze!

Sygnał zadzwieczał ostro w jej uchu już po raz czwarty, zanim po drugiej stronie odezwał się słodki głosik:

– Halo, tu telefon Jureczka. On nie może w tej chwili podejść, jest pod prysznicem. Czy coś przekazać? Halo! Jest tam ktoś?

Ewa przez chwilę słuchała w osłupieniu tego szczebiotu, zanim się rozłączyła. Oczami wyobraźni zobaczyła zabałaganiony pokój Jurka, który nadal mieszkał w domu swoich rodziców, oraz kobietę – ubraną wyłącznie w męski podkoszulek, siedzącą w ponętnej pozie na skórzanym fotelu z telefonem w dłoni.

– Jak to? – szepnęła zdumiona, bo mimo wcześniejszej złości nie sądziła, że sprawy

mogłyby zajść tak daleko. – Tak po prostu...?

Zadzwoniła, by się na nim wyżyć za wszystkie fochy i dąsy, które jej serwował od początku wyjazdu. Może nawet w głębi duszy była nastawiona na to, że po kolejnej kłótni wszystko się z hukiem rozpadnie. Jednak nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że Jurek mógłby ją tak zwyczajnie banalnie oszukiwać.

Nagle w przeblasku kolejnej wizji przypomniały się jej tysiące drobiazgów, do tej pory naiwnie przez nią ignorowanych: telefony, które odbierał ukradkiem, a potem rozmawiał z kimś, odpowiadając monosylabami; natrętne esemesy przychodzące do niego o najróżniejszych porach; mętne wyjaśnienia, gdy się spóźniał na spotkanie. A na koniec ta sytuacja, gdy poprosił Ewę o załatwienie za niego jakiejś ważnej sprawy w urzędzie, bo miał mieć w tym czasie próbę z kolegami z zespołu, później zaś się okazało, że zamiast tego pojechał z Krysieńką do Krakowa, bo ona musiała zdążyć na jakieś niezwykle pilne spotkanie.

Wszystko to przemknęło przez głowę Ewy z prędkością błyskawicy.

„Matko jedyna! Ależ ja byłam głupia! – pomyślała, wpatrując się w telefon, który wciąż trzymała w dłoni. – I jak to beznadziejnie brzmi, że byłam głupia. Jak w tanim romansidle. Fuj!”. Skrzywiła się.

Zdumiało ją, że w tej nieprzyjemnej sytuacji momentalnie przeszła jej złość, bo przeważył niesmak i jakaś pokręcona satysfakcja, że nie pomyliła się w swoich przecuciach. Już dawno coś jej natrętnie powtarzało, że nie wszystko jest w porządku między nią i Jurkiem, ale jedynie przydeptywała swoją intuicję, wzruszając ramionami.

„Co za banał! Niewiarygodne!... Teraz nawet gdyby się okazało, że ona odebrała ten telefon przez zupełny przypadek... jest już za późno. Mam tego dość, to koniec” – pomyślała zaskoczona swoją reakcją.

Zgodnie z własnym charakterem poddała się biegowi wydarzeń: rzuciła telefon na łóżko, włączyła komputer i bez zastanowienia napisała krótki e-mail, złośliwie ignorując wielkie litery w zaimkach osobowych:

*Jurku,*

*trzeba było uprzedzić przyjaciółczkę od serca, żeby nie dotykała twojego telefonu o siódmej rano. Zwłaszcza kiedy wyświetla się na nim numer twojej dziewczyny. Sorry – byłej dziewczyny. Od dziś Krysieńka może cię już doceniać bez ograniczeń, mam to w nosie. Zwalniam cię ze wszelkich zobowiązań. I racz wykasować mój numer z komórki, bo ja już twój zapomniałam. Miłego życia.*

Kliknęła „wyślij” i wylogowała się z poczty z dziwnym uczuciem, jakby niespodziewanie pozbyła się ciężaru, który od dawna ją przygniatał, a do którego była po prostu przyzwyczajona.

– No to sprawa sama się rozwiązała – stwierdziła zadziwiająco spokojnie. – Aż trudno uwierzyć, że to koniec. Tak po prostu... Co ja mam teraz właściwie...? Aha, śniadanie.

Gdy Gérard, nieświadomy jej porannych przeżyć, kończył właśnie opowieść o rodzinie, zamyślona Ewa analizowała swoje emocje.

„Jestem chyba bezdusznym potworem. Powinnam być chociaż zmartwiona z powodu rozstania z Jurkiem, a tymczasem jest mi to właściwie obojętne. Dlaczego, do licha, jest mi to obojętne?” – zastanawiała się.

– To tutaj. – Mężczyzna przerwał jej rozmyślenia, gdy dotarli do pierwszego pleneru.

– O! Ładnie – skomentowała, bo spodobał się jej widok z tej perspektywy na dom. – To podkreśla, jak bardzo rezydencja pasuje do otoczenia, jest sercem okolicy.

Od razu zabrała się do pracy. W tym czasie ogrodnik taktownie usunął się pod wielki dąb i stojąc w cieniu, z przyjemnością obserwował jej działania.

„Panna Ewa, Polka. Śliczna! Jak hajduczek – pomyślał rozmarzony. – *Les Slaves sont vraiment jolies. Monsieur Sienkiewicz avait raison*”<sup>[95]</sup>.

Czekał cierpliwie niemal bez ruchu, by jej nie przeszkadzać, a jednak Ewa nie mogła się skupić. Myśl, że ten dziwny mężczyzna na nią patrzy, całkowicie ją dekoncentrowała.

„Weź się, do cholery, ogarnij, kobieto! – napominała się w myślach. – Jesteś w pracy”.

Przykręciła odpowiedni obiektyw, wybrała ustawienia, zastanowiła się nad kompozycją, przyłożyła oko do wizjera i... wciąż miała ochotę sprawdzić, co teraz robi facet za jej plecami.

Złośliwie pomyślała, że z Jurkiem wszystko byłoby jasne: stałby z miną cierpiętnika, narzekając na upał, owady, brak pianina pod ręką tudzież inne plagi egipskie i co pięć minut pytałby, czy już skończyła.

„Może jestem uprzedzona i niesprawiedliwa, ale on nigdy nie szanował mojej pracy – przyszło jej do głowy. – Na wyprawy fotograficzne jeździł chyba tylko po to, żeby mnie

pilnować albo wkurzać”.

Za to *monsieur le jardinier*<sup>[96]</sup>, jak go nazwała w myślach, starał się być niemal niewidzialny i właśnie to sprawiało, że zerkąca na niego ukradkiem przez ramię.

Masywna sylwetka mężczyzny odcinała się jasną plamą ubrania na tle pnia dębu.

„Stoi i się gapi. – Pokręciła głową. – I tylko rusza tymi wąsiskami... Jak można nosić wąsy w takim upale?”

Przez chwilę starała się skupić na zdjęciach. Bez skutku.

„Wiedziałam, że tak będzie! – westchnęła w duchu. – Muszę tu wrócić sama. Ja się przy nim w ogóle nie mogę skoncentrować. Znowu się śmieje. Ciekawe z czego... Zaraz, zaraz... O matko!”

Raptem uświadomiła sobie, kogo przypomina jej Gérard – ta archaiczna pokręcona mowa, ten nieznaczny, ale jakże wymowny ruch wąsów – mógł się kojarzyć tylko z jedną osobą.

„Mały rycerz Sienkiewicza! Michał Wołodyjowski! – pomyślała zdumiona. – No, ludzie!”

Najpierw cichutko zachichotała, ale zaraz potem parsknęła niepohamowanym, radosnym śmiechem.

– Mały rycerz! Jak mogłam nie skojarzyć? – zaśmiewała się w głos. – Mały wielki rycerz... Idol skrojony na miarę!

– Cóż się stało, panno Ewo? – spytał zaniepokojony mężczyzna, podchodząc bliżej.

Gdy zamiast odpowiedzieć, kobieta tylko uspokajająco machnęła ręką i śmiała się dalej, on również się uśmiechnął. Nie miał pojęcia, co się stało, ale pomyślał, że woli ją widzieć rozbawioną niż zamyśloną i smutną.

W ostatniej chwili złapał przewracający się statyw, który potrafiła, gdy usiłowała się uspokoić. „Słowiańska dusza! – pomyślał zachwycony. – *Sincérité et spontanéité*<sup>[97]</sup>. Ot co!”

---

[95] Słowianki są naprawdę śliczne. Pan Sienkiewicz miał rację (fr.).

[96] Pan ogrodnik (fr.).

[97] Szczerłość i spontaniczność (fr.).

# Rozdział 10

## Czwartek

– A co wy tu robicie same? – zdziwiła się Ewa, widząc małe bliźniaczki nad brzegiem basenu.

Już z daleka je zobaczyła, więc zaniepokojona przyspieszyła kroku. Dziewczynki siedziały niemal nad brzegiem i radośnie tarłymi Lucky’ego, który swoim potężnym czarnym cielskiem odgradzał je od błękitnej tafli. Wyglądało to na zwykłą zabawę, ale Ewa od razu się zorientowała, że pies łagodnie, a jednak stanowczo popychał rozbrykane czterolatki na trawnik, byle dalej od wody. Na szczęście dziewczynkom nie przyszło do głowy, by się rozdzielić i walkę z psem prowadziły wspólnymi siłami.

– On nam przeszkadza się kąpać, proszę pani. – Usłyszała.

– Mądry piesek – pochwaliła go cicho, z lekkim wahaniem poklepując czarny łeb, który podsunął się jej pod dłoń. – Bardzo dobrze robi, że wam przeszkadza. Gdzie jest wasza mama? Jak mogli was tu zostawić bez opieki?

– Mamunia poszła po krem – oznajmiła Aristeia, podnosząc na nią roześmiane oczy.

– Nie po krem, tylko po melona, *imbécile*<sup>[98]</sup> – zaprotestowała siostra. – Sama chciałaś.

– Właśnie, że po krem. Mówiła mi, a ty nie słuchałaś, bo goniłaś piłkę. Ty nie słuchasz mamuni, to nie będziesz się kąpać.

– *C’est toi-même qui vas pas te baigner!*<sup>[99]</sup>

– Chwileczkę! – wtrąciła się Ewa stanowczo, widząc, że dziewczynki zabierają się do rękoczynów. – Nikt nie będzie się teraz kąpał.

Dzieci zamarły.

– A dlaczego? – Małe usta wygięły się w podkówki. – My chcemy.

– Musimy poczekać na waszą mamę – powiedziała łagodniej i usiadła obok nich, porzucając na trawniku swoje rzeczy. – Dzieci nie mogą się same pluskać w takim dużym basenie, bo to jest bardzo niebezpieczne.

– Co to znaczy niebezpieczne?



– Nie wiesz, głupku? To jest wtedy, gdy dziadek krzyczy na tatusia, że już nie da nam pieniędzy.

– Sama jesteś głupek! Wtedy to jest nieod... powiedzielne. I bez rozumu. Tak mówił dziadeczek.

Uzyskana tak niespodziewanie informacja dotycząca prywatnego życia Heleny i Stefana nieco Ewę rozbawiła.

– No, dość tej sprzeczki. Nie o to mi chodziło. – Pogłaskała Blanche po głowie. – Po prostu kąpać się bez dorosłych nie wolno.

– *Pourquoi?*<sup>[100]</sup>

– Bo basen jest duży i głęboki, a wy malutkie.

– I co?

– Na pewno nie umiecie jeszcze pływać. Woda mogłaby was wciągnąć do środka, a tam nie da się oddychać.

– I co?

– Każdy człowiek musi oddychać, żeby żyć, więc najpierw trzeba się nauczyć pływać, żeby się wam woda nie nalała do nosków. Inaczej można by się bardzo, bardzo rozchorować. Rękawki nie wystarczą. – Wskazała na żółte nadmuchiwane pływaczki, które dziewczynki miały założone na ramionkach.

– I co?

– To bardzo proste – tłumaczyła najspokojniej, jak umiała, słysząc to samo pytanie po raz kolejny. – Kiedy urosiecie, będziecie się mogły bawić w wodzie same, ale na razie trzeba poczekać na dorosłego. Nigdy, ale to nigdy nie wchodźcie do basenu same. Ani do stawu, ani do morza czy oceanu – dodała szybko, widząc, że Aristeia zamierza zadać kolejne pytanie. – Ani nawet do wanny pełnej wody. Rozumiecie?

– Taak! – wrzasnęły chórem.

– A pani nie jest dorosła? – spytała Blanche.

– Jestem.

– To możemy się kąpać, bo pani już jest.

„Spryciule!” – pomyślała Ewa, ale na głos powiedziała:

– Poczekamy na waszą mamę, bo musi was posmarować kremem z filtrem. Na razie idźcie się chlapać tam. – Wskazała płytki nadmuchiwany basen ustawiony w cieniu drzewa.

Dziewczynki nie wydawały się przekonane, więc Ewa wspięła się nagle na wyżyny pomysłowości.

– A kto mi powie, gdzie się woli kąpać Lucky? – spytała przebiegle.

Ukradkiem podniosła z ziemi leżący niedaleko obgryziony patyk i rzuciła go do dmuchanego basenu.

Pies, jakby na potwierdzenie jej słów, zerwał się z trawnika i rozbryzgując wodę na boki, z triumfalnym szczekaniem dopadł zdobyczy.

– W tamtym! – krzyknęły dziewczynki i popędziły za nim.

Zadowolonej Ewie przemknęło przez głowę, że Helena może nie być zachwycona tą wspólną kąpielą z psem, ale nie zdążyła się nad tym zastanowić. Nagle poczuła znajomy zapach wody kolońskiej.

– Witam pannę. – Usłyszała za swoimi plecami i aż podskoczyła, jakby kopnął ją prąd. – Panna ma podejście do dziatwy, to widać. – Szeroko uśmiechnięty Gérard patrzył na nią ciepło. – Jam tu z daleka czuwał, bo tylko chwasty wrywałem przy altanie. Pani Helena prosiła, bym je strzegł, jeno że Lucky najlepszym jest opiekunem. Mądre to zwierzę, jak mało które, i nigdy by na ich krzywdę nie pozwolił.

Ewa, kompletnie zaskoczona jego nagłym pojawieniem się, patrzyła nieco bezmyślnie, dłonią osłaniając oczy od słońca.

– Przeszkadzać dłużej nie będę, bom tylko dla spokojności panny Ewy chciał rzec, jak było. Do pracy mi trza wracać, skoro panna tu czuwa. Ale... może panna Ewa zechce to włożyć? – Schylił się i z porzuconych przez kobietę na trawniku rzeczy wybrał okulary przeciwsłoneczne. – Słońce u nas mocne i oczu takich szkoda. Dla fotografa ważna to rzecz.

Przykucnął i powolnym, delikatnym gestem wsunął jej okulary na nos. Przez dłuższą chwilę patrzył na własne odbicie, widoczne w brązowych szklach, choć Ewie wydawało się, że gapi się na jej biust. Poruszywszy wąsikiem, wstał i swobodnym krokiem poszedł w głąb ogrodu przylegającego do basenu.

Ewa z trudem przełknęła ślinę.

„O matko jedyna! – pomyślała, odzyskując oddech. – Czy ten facet musi ciągle tkwić za moimi plecami!? Nie może się pojawiać normalnie, jak człowiek? Nabawię się przez niego nerwicy! Że też nie ma chwili spokoju i prywatności w tym domu!”

Po dwóch dniach intensywnej pracy Ewa, namówiona przez Sophie, postanowiła tego ranka odpocząć. Po śniadaniu wcisnęła się w czerwony strój kąpielowy, owinęła zwiewną, kwiecistą chustą, spakowała plażową torbę i bocznym wyjściem pomaszerowała w kierunku basenu. Wydawało się jej, że nie spotka tam nikogo, gdyż tego dnia nawet Aleksander był czymś zajęty. W zasadzie ta propozycja bardzo się jej spodobała, bo nieoczekiwanie nabrała ochoty, aby tak zwyczajnie poleniuchować na leżaku, jakby rzeczywiście była na urlopie.

Nie czuła potrzeby rozmowy, nie miała też zamiaru analizować wydarzeń ostatnich dni. Chciała po prostu skorzystać z otaczającego ją luksusu, na złość Jurkowi. Rozstanie z nim paradoksalnie dodało jej energii, więc całą środę spędziła przy komputerze. Większość materiałów dla Elizy miała już gotowych, bez wyrzutów sumienia mogła zatem korzystać z pięknego dnia, zostawiwszy w pokoju telefon komórkowy, który na szczęście przestał dzwonić już wczoraj wieczorem.

Z takim nastawieniem poszła w stronę basenu. Nie przewidziała jednak, że realizacja Planu Beztroskiego i Samotnego Leniuchowania napotka na przeszkody, zwłaszcza w postaci wszędobyłskiego Gérarda.

Z rozdrażnieniem sięgnęła po kapelusz, wcisnęła go sobie na głowę i zsunęła szerokie rondo nisko na czoło tak, by móc niepostrzeżenie zerkać na pracującego nieopodal mężczyznę.

„Czy on musi wiecznie wpadać właśnie na mnie? Nie ma nic innego do roboty? Francuzi mają jednak w sobie jakąś bezczelność – zżymała się w myślach. – Gapi się i gapi. Co go obchodzi mój wzrok? A ja, zamiast mu się odgryźć, zastygłam jak żona Lota. Przy tym facecie formalnie odbiera mi mowę, cholera jasna!”

Zerknęła po raz kolejny i zobaczyła, że mężczyzna jak zwykle uśmiecha się pod wąsem. Zmrużyła oczy.

– Poczekaj ty, wielki mały rycerzu – szepnęła cichutko. – Śmiejesz się ze mnie? Myślisz, że tylko ty umiesz zaskakiwać ludzi w krępujących sytuacjach? No to zobaczysz, już ja się zemszczę! – Niepostrzeżenie namacała wśród swoich rzeczy podręczną cyfrówkę, którą ostatnio wszędzie ze sobą zabierała na wszelki wypadek. – Lucky! – zawołała łagodnym tonem, ale tym razem bez strachu. – Chodź, piesku. Skoro już się zaprzyjaźniliśmy, to przynieś mi swój patyk.

Mokre zwierzę wyskoczyło z dmuchanego basenu i otrzepało się, wywołując radosne piski ochlapanych dziewczynek.

– Dobry piesek. Chodź tu. Skoro lubisz aportować, zabawimy się. Widzisz Gérarda? Uważaj, zrobimy tak...

---

[98] Głupek, idiota (fr.).

[99] To ty nie będziesz się kąpać! (fr.).

[100] Czemu? (fr.).

# Rozdział 11

## Piątek

– Czego sobie ode mnie życzyście? – Mężczyzna był zdenerwowany, ale stanowczy.

– Hej, słyszycie? Ten przybłęda wysławia się jak księżę! – Młody głos zaśmiał się szyderczo.

Inni mu zawtórowali.

– Życzymy sobie, żebyś poszedł do piachu!

– Dlaczego? – spytał spokojnie.

Przez kilka sekund w mroźnym powietrzu panowała cisza pełna konsternacji.

– Jak to dlaczego? Bo jesteś zdrajcą! Współpracujesz z Niemcami! Zabiję cię, bo nikt mi tego nie zabroni. – Szczęknął zamek pistoletu.

– To prawda, poza Bogiem nikt ci tego nie zabroni – odparł mężczyzna wolno. – Ale ja nie jestem zdrajcą. Po prostu pomagam każdemu choremu, który o to poprosi.

– Nawet Niemcom!

– Nawet Niemcom. Tym samym, którzy w Polsce wymordowali całą moją rodzinę.

Przez chwilę w ciszy słychać było tylko szybkie oddechy.

– Daj spokój, Marc. I tak nie mieliśmy rozkazu. Idziemy.

– Co z tego, że nie ma rozkazu? – zaciętrzewił się młody.

– Powiedziałem, że znikamy! Jeśli będzie nam potrzebny, i tak go znajdziemy.

– Ale...!

– Jean ma rację. Spływamy. I nie machaj mi tą pukawką przed nosem!

Śnieg zaskrzypiał pod stopami kilku ludzi. Mężczyzna stał przez chwilę w bezruchu.

– Jeżeli będziecie kiedyś potrzebowali mojej pomocy, to mieszkam...

– My wiemy, gdzie mieszkasz, więc się nie... choleraaa!

Lód na zamarznętym błocie zgrzytnął groźnie pod obcasem zniszczonego buta. Huknęło. Echo poniosło w noc odgłos wystrzału. Na ziemię upadły dwa ciała, jedno po drugim. Zapadła cisza.

Spod rękawa kurtki pociekła na śnieg strużka ciepłej czerwieni, zasłaniając

wytatuowany na przedramieniu długi numer.

– Jezus Maria! Marc, coś ty zrobił?! Mieliśmy go tylko postraszyć – szepnął ktoś ze zgrozą.

– No przecież... nie chciałem – jęknął młody człowiek, gramoląc się z ziemi. – To przez te dziurawe buty!

– A mówiłem, żebyś schował tę pieprzoną pukawkę!

– Spokój! Spadamy chłopaki. Strzał było słychać na kilometr. No już!

– A on?

– Zostaw! Jemu już nie pomożemy.

Szybkie, skrzypiące w śniegu kroki oddaliły się, gubiąc ślady w lesie. Nastąpiła cisza.

Płatki spadającego bezszelestnie śniegu zaczęły miłosiernie okrywać martwe ciało.

\* \* \*

Ewa oddychała głęboko, starając się uspokoić rozszalały rytm serca. Siedziała na ławce, zgięta w pół, kurczowo trzymając się metalowej poręczy.

Pamiętała, co powiedział stary doktor: jeśli znowu pojawią się zawroty głowy i słabość, trzeba natychmiast usiąść i włożyć głowę między kolana. Tak też zrobiła.

Wirujący w szalonym tempie świat powoli zatrzymywał się jak rozpedzony pociąg na stacji. Nagrobki i pomniki przodków Elizy przestały nieprzyjemnie falować, bicie serca wracało do normy.

Uczepiona brzegu ławki kobieta dostrzegła leżący nieopodal na ziemi aparat.

„Jak to dobrze, że upadł na trawnik, a nie na marmurową płytę nagrobka – pomyślała, uspokajając oddech. – Szef by mnie zabił, gdybym go rozwalila”.

Bardzo wolno wyprostowała się, bo ten ruch wywoływał nową falę mdłości. Z ulgą spoczęła na oparciu ławki i dopiero w tym momencie uświadomiła sobie, o czym myślała.

– Ale idiotka ze mnie – szepnęła. – O mało nie padłam jak długa, a przejmuję się reakcją szefa. Tylko co tu się, do cholery, wyprawia?

Nie chciała przyznać sama przed sobą, że ten dom ma na nią niezrozumiały wpływ. Od tamtej chwili w galerii przodków, gdy spoczął na niej przeszywający wzrok Flory, coraz częściej zdarzały się jej takie sytuacje. Kierując się jednak rozsądkiem, starała się ignorować niepokojącą myśl o tym, że ktoś lub coś opowiada jej historię znacznie bolesniejszą niż ta, którą usłyszała od domowników.

„Co się ze mną dzieje? – pomyślała ze strachem. – To jakieś wariactwo! Co za obrazy cisną mi się do głowy! Strzelanina? Gdzie, kiedy? To nie było w tym miejscu”. Zdenerwowana rozejrzała się wokół.

Ogrodzony teren cmentarza tonął w ptasich śpiewach, słońce tworzyło spokojne cienie z drzew okalających murek, po lazurowym niebie gdzieś bardzo wysoko przelatywał samolot, ciągnąc za sobą białą smugę.

„To wszystko w mojej głowie zupełnie nie pasuje do tej cholernej sielanki – rozważała wzburzona. – Kim był ten mężczyzna? Pojechał leczyć Niemca? Boże, to przecież niemożliwe! Skąd mi się to bierze? W naszej rodzinie nie było wariatów. – Otarła pot z czoła. – Chyba że o czymś nie wiem. Może powinnam zadzwonić do domu?”.

Nagle doznała olśnienia.

– Zaraz, zaraz! A ciotka Eugenia?

Szczałki wspomnień z dzieciństwa zaczęły się jej przewijać przed oczami.

Ciotka uchodziła w rodzinie za ekscentryczkę, choć niektórzy mówili o niej wprost – dziwaczka. Eugenia zawsze wcześniej wiedziała, że stłucze się wazon, rozleje kawa, spóźni się pociąg czy spadnie grad. Nie napraszała się ze swoją wiedzą, tym bardziej że nie wszyscy chcieli tego słuchać, ale niektórzy szybko nauczyli się korzystać z jej niezwykłych umiejętności. Babcia Urszula mawiała, że córka ma po prostu intuicję, ale bracia już w dzieciństwie pojęli, że to coś więcej i że lepiej nie narażać się pięknej siostrze. Kiedy się na nich gniewała, zatrzymywała dla siebie wieści o mało przyjemnych zdarzeniach, które miały nastąpić, a wtedy niespodziewanej klasówki lub bijatyki pod szkołą nie dało się uniknąć.

Ewa jako dziecko tyle się tego nasłuchiwała, że zaczęła się w końcu zastanawiać, dlaczego ciotka nie przewidziała śmierci własnego męża. Gdy jednak po cichu zapytała o to ojca w czasie owej pamiętnej wizyty u ciotki, została surowo zbesztana. Ojciec zabronił jej wtrącać się w nie swoje sprawy i rozmawiać o tym z ciotką. Bał się, że dziewczynka niechcący sprawi Eugenii przykrość.

Ale Ewa pamiętała, że ciotka nie wstydziła się mówić o swoim dziwnym talencie.

– Zapamiętaj Ewuniu, że pomagać trzeba tak, jak się umie. Jeśli ktoś jest wyjątkowy, to nie może tego zatrzymać dla siebie. Jest taki dla dobra ludzi. Każdy ma jakiś dar i ma też obowiązek go wykorzystywać, by pomagać. – Usłyszała pewnego razu od Eugenii.

Wtedy jednak nie miała pojęcia, o czym tak naprawdę ciotka mówiła.

„Tylko spokojnie – pomyślała, ostrożnie sięgając po aparat. – Może Eugenia miała dar przewidywania przyszłości, ale mnie dręczy przeszłość, więc to zupełnie co innego”.

Obróciła lustrzaną w rękach, szukając uszkodzeń. Nie znalazła ich, sprzęt działał bez zarzutów.

– Chociaż tyle – mruknęła.

Spojrzała w stronę domu, mimo że przez drzewa nie zdołała go dojrzeć.

– Czy to ty mnie tak dręczysz, Floro? – spytała cicho. – Bo już prędzej uwierzę w duchy niż w inne dziwactwa. Czego ode mnie chcesz?

Potrząsnęła głową, niezadowolona z siebie.

„Co ja bredzę? – skrytykowała się w myślach. – To znowu przez ten upał. Może jest tu piękniej niż gdzie indziej, ale w tych warunkach nie mogłabym żyć. Klimat wyraźnie mi nie służy”. Westchnęła ciężko.

Bardzo powoli wstała z ławki, bo w nogach wciąż czuła słabość. Zachwiała się.

– No i gdzie teraz jest ten *bodyguard*? – mruknęła. – Kiedy jest potrzebny, oczywiście go nie ma. Faceci zawsze znikają, gdy mogą być użyteczni, i kobieta musi sobie radzić sama.

– Dobrze się czujesz, moje dziecko?

„Zaskakiwanie mnie w kłopotliwych sytuacjach zaczyna wszystkim wchodzić w krew” – pomyślała, słysząc za plecami głos Konstancji.

– Oczywiście, chciałam tylko chwilę odpocząć. Pięknie tu. I tak spokojnie.

– Jesteś blada. Może powinnaś wrócić do domu?

Ewa odniosła wrażenie, że starsza pani nie była zachwycona jej obecnością na cmentarzu.

„No tak, dzisiaj piątek – przypomniała sobie, patrząc na olbrzymi bukiet kwiatów, który przyniosła Konstancja. – A ja się rozsiadam beczelnie na jej ławce wspomnień. Trzeba było zrobić te zdjęcia wcześniej”.

Powoli zbliżał się czas wyjazdu, więc Ewa postanowiła uwiecznić jeszcze jeden element posiadłości – stare nagrobki. Wymknęła się niepostrzeżenie, wcześniej upewniwszy się, że ani Gérard, ani Lucky nie będą jej przeszkadzali. W tym pełnym nostalgii miejscu chciała być sama.

Intensywne słońce wczesnego popołudnia, przebijając się jasnymi plamami przez cień drzew, tworzyło na starych pomnikach inspirujące światłocienie. Ewa długą chwilę przechadzała się wśród nagrobków, chwytając w obiektyw kolejne obrazy.

Nie mogła się przy tym powstrzymać, by nie dotykać poczerniałych krzyży, liter i dat wyżłobionych kiedyś przez pilnego majstra, a mocno już zatartych przez czas.

Tutaj, podobnie jak w galerii przodków, niemal fizycznie odczuwała gorycz przemijania. Tyle osób, tyle istnień, tyle marzeń patrzyło na nią z szarych płyt –



przelane łzy wyschły, uśmiechy i radość rozwiały się w pył.

„Zostały tylko nagrobne napisy i geny, jak spadek przekazane potomkom” – pomyślała melancholijnie, podchodząc do pomnika męża Konstancji.

Wyciągnęła dłoń, dotknęła zimnej płyty i w tej samej chwili niemal straciła przytomność.

„Na szczęście tym razem nie zemdlałam – pomyślała z ulgą. – Znowu wybuchłaby afera i pani Konstancji byłoby przykro. – Zmarszczyła brwi. – Ale ten wystrzał... Cokolwiek to było, może nie powinnam zostawiać tego dla siebie? – Zawahała się, bo niespodziewanie ogarnęły ją wyrzuty sumienia. – To przecież nie jest moja historia”.

– A jednak źle wyglądasz, moje dziecko. – Starsza pani dotknęła jej czoła. – Coś się stało?

„Owszem, zamierzam zrobić z siebie kompletną wariatkę – przemknęło Ewie przez głowę. – Wcale się nie zdziwię, jeśli z hukiem wyrzucą mnie stąd jeszcze dzisiaj, ale... Jeśli to jedyny sposób, żeby ta ich Flora się ode mnie odzepiła, zanim oszaleję, to nie mam wyjścia. Tylko jak jej to powiedzieć?”.

Złękła się nagle tego, co cisnęło się jej na usta.

– Pani Konstancjo... – zaczęła niepewnie, skręcając nerwowo pasek od aparatu.

– Tak?

– Ja wiem, że pani chciałaby zostać sama, i za chwilę sobie pójdę. Ale muszę o coś zapytać.

– Słucham, moje dziecko.

– Czy ta północna furтка, to znaczy tam, gdzie w zeszłym tygodniu zemdlałam... czy to miejsce ma jakieś szczególne znaczenie, jakąś historię?

Konstancja odsunęła się o pół kroku, niemile zaskoczona.

– Dlaczego o to pytasz?

– Nie chcę być impertynencka i wścibska, ale proszę, niech mi pani odpowie. To bardzo ważne.

– Ważne? Dlaczego?

– Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć.

– Najlepiej od początku.

– Najpierw muszę znać odpowiedź na moje pytanie. – Zmieszła się. – Bo jeśli w tym miejscu nic szczególnego się nie wydarzyło, to moje przypuszczenia są bzdurą i nie będę pani zawracać nimi głowy. Bardzo proszę!

Konstancja przyglądała się młodej kobiecie z podejrzliwością i rosnącym niepokojem.

– Nie wiem, co przede mną ukrywasz, ale skoro to ważne, powiem ci – odparła

w końcu niechętnie. – Przed wielu laty posiadłość wyglądała nieco inaczej, w tamtym miejscu znajdowała się jedna z bram. Prowadziła na drogę do miasteczka. – Z twarzy starszej pani nie dało się wyczytać żadnych emocji. – Pytasz, czy ma dla mnie szczególne znaczenie? Owszem, tam widziałam po raz ostatni mojego ukochanego Jana. Zabrali go Niemcy i już nie wrócił. Zabili go i zostawili na drodze jak psa. – Zaciśnięte na bukiecie dłonie były jedynym znakiem zdenerwowania starszej pani. – Czy to wystarczy? – spytała oschle.

Ewę poruszył ból w oczach Konstancji. Miała ochotę po prostu uciec, a jednak z pewnym zdziwieniem usłyszała własne słowa:

– A jeśli to nie oni zabili pani męża?

– Słucham?

– Czy nigdy nie myślała pani o tym, że wszystko potoczyło się zupełnie inaczej?

– Nie rozumiem.

– Może tamten oficer wypuścił pani męża i dopiero w drodze powrotnej stało się coś nieprzewidzianego? – Głos Ewy drżał, ale nie była już w stanie się cofnąć.

Oczy Konstancji zwęziły się gniewnie.

– O czym ty mówisz, dziewczyno?

– To przecież mógł być wypadek. Głupi wypadek. Oni tego wcale nie chcieli. – Ewa pospiesznie wyrzucała z siebie słowa, jakby w obawie, że za chwilę zabraknie jej tchu.

– Jacy oni?

– Nie wiem. Byli młodzi, pewnie partyzanci. Spotkali pani męża przypadkiem, gdy wyszli z lasu na drogę. Wracał do domu, zmarznięty, bo przecież był mróz. Spieszył się do pani. A oni chcieli go tylko postraszyć – mówiła szybko, przerażona tym, co robi. – Nie spodobało się im, że pomógł Niemcom, ale to był wypadek. Pani rozumie, mróz, ślisko, a odbezpieczona broń sama wypaliła. Niechący – ostatnie słowo wyszeptała tak cicho, że prawie niedosłyszalnie.

Bukiet białych kalii otoczonych błękitnymi niezapominajkami upadł na ścieżkę. Dłoń opierająca się na srebrnej lasce zadrżała, duże, szare oczy patrzyły ze zdumieniem i z gniewem.

– Co ty...? Jakim prawem sięgasz tam, gdzie nikomu nie wolno zaglądać?

– Pani Konstancjo...

– Dość! Chcesz powiedzieć, że mojego Janka mogli zabić Francuzi?! – Głos starszej pani był zimny i przerażająco obcy. – To niewiarygodne!... Zawiodłam się na tobie, wstydź się – stwierdziła z oburzeniem. – Jesteś artystką, masz więc bujną wyobraźnię, dlatego ci wybaczam. Ale pamiętaj, że takie konfabulowanie może wyrządzić ludziom krzywdę. Panuj nad tym.

– Przepraszam – bąknęła roztrzęsiona Ewa. – Naprawdę nie wiem, co mnie napadło, żeby mówić pani o tym wszystkim.

– Idź stąd, zostaw mnie samą – usłyszała ostre polecenie. – Powiedz Elizie, żeby na mnie nie czekali. Nie chcę dziś już nikogo widzieć. Nikogo!

\* \* \*

Gérard zobaczył biegnącą Ewę, gdy wracał z magazynku. Dwadzieścia minut wcześniej zostawił ją na cmentarzu. Wiedział już, że sesje zdjęciowe zajmują sporo czasu, więc nie musiał tam tkwić bezczynnie. Postanowił odnieść narzędzia i poszukać płynu do opryskiwania róż, na których ostatnio zaległy się mszyce. Chętnie siedziałby w krzakach i przyglądał się pracującej Ewie, bo robiła to z prawdziwym wdziękiem, ale miał własne obowiązki, z których nikt go nie zwolnił. Wystarczy, że dzień wcześniej przy basenie długo symulował wrywanie chwastów, których wcale nie było. Lubił jednak patrzeć na tę szaloną kobietkę, dlatego każdy pretekst był dobry.

Wracał właśnie przez park, gdy niespodziewanie ujrzał ją między drzewami.

„*Qu'est-ce qu'elle fait ici?*”<sup>[101]</sup> – zdziwił się w myślach i w tym momencie zobaczył, że Ewa się potyka i prawie upada na ziemię.

Szybko odzyskała równowagę, oparła się ręką o najbliższy pień drzewa i zgięta wpół, ciężko dyszała.

Mężczyzna się przestraszył. Ewa wyglądała tak, jakby miała atak astmy, a ponieważ jego siostra na to chorowała, wiedział, jak niebezpieczne bywają takie sytuacje. Nie analizując własnych odczuć, puścił się pędem przez krzaki.

– Panno Ewo! Czy dobrze się panna czuje? Leki jakieś potrzebne? – wykrztusił niezręcznie, bo nie miał pojęcia, jak się zachować.

Zdyszana kobieta wyglądała jak siedem nieszczęść i Gérard chętnie podtrzymałby ją ramieniem, ale mimo pobladłej twarzy spojrzała na niego tak wojowniczo i groźnie, że nie odważył się jej dotknąć.

– Tak! – fuknęła. – Czuję się po prostu śśświetnie! Właśnie doprowadziłam starszą osobę do załamania nerwowego. Brawo dla mnie!

– Ja nie rozumiem, ale może pomóc jakoś zdołam.

– Nie zdoła pan pomóc! – zaprzeczyła ze złością. – Tak już mam, że najpierw coś robię, a potem myślę. Idiotka! Taki felerny charakter. I z tym to się już raczej za cholerę nic nie da zrobić. Ludzie są mili, traktują mnie jak członka rodziny, a ja włączę z brudnymi buciorami tam, gdzie mnie nikt nie zapraszał! Wygłaszam jakieś historyczne teorie... Kretynka! Kretynka! – Ewa z furią wyrzucała z siebie kolejne zdania w przyływie samokrytyki.

Zaskoczony jej gwałtowną reakcją, patrzył bezsilnie, jak urocza, filigranowa kobieta obrzuca się polskimi inwektywami, których on nie do końca rozumiał. W tej chwili miał jedynie ochotę przytulić ją i poprosić, żeby przestała krzyczeć i opowiedziała, co właściwie się stało. Ale powiedział tylko, przerywając potok jej słów stanowczym tonem:

– Panno Ewo, o uspokojenie proszę! Cokolwiek panna źle zrobiła, naprawić to można z pewnością. Ja pomogę, jeno pojąć muszę, w czym rzecz.

Kobieta spojrzała na niego trochę przytomniej, jakby dopiero teraz zauważyła obecność mężczyzny. I z przykrością uświadomiła sobie, że wylała swoje wewnętrzne żale na człowieka, na którym od paru dni usiłowała desperacko zrobić wrażenie całkowicie normalnej, zrównoważonej osoby.

Przez kilka sekund wpatrywała się bezmyślnie w nerwowo poruszające się wąsy mężczyzny.

– Znowu kompromitacja. Zupełna klapa! – sapnęła z rezygnacją.

– Słucham?

– Nic, nic. Dziękuję, ale nie może mi pan pomóc. Jestem beznadziejnym przypadkiem.

– Co też panna mówi? – obruszył się.

– Potrafię spartolić wszystko, czego się tknę.

– Spar...?

– To takie polskie wyrażenie. Nieważne. Przepraszam, pójdę już. – Z kwaśną miną powlokła się w kierunku domu.

Uspokojony Gérard, widząc, że sytuacja została mniej więcej opanowana, ruszył za nią.

– To ja pannę odprowadzę.

– Nie trzeba.

– I tak mi po drodze. Róż doglądać będę.

– Jak pan chce. – Wzruszyła obojętnie ramionami.

Pokonali alejkę w zupełnym milczeniu, tylko piasek chrzęścił pod ich stopami.

– Ja tu muszę, do klombów – odezwał się na rozwidleniu alejki. Nie skrzył jednak, tylko stał niezdecydowany.

– Co? A, róże, no tak – mruknęła. – To do widzenia.

– A może chce panna zobaczyć? Rosną pięknie jak mało które – pochwalił się niespodziewanie. – Jeno dbałość wielką trza im okazać, bo delikatne są. Zobaczysz panna?

Ewa dostrzegła w jego wzroku jakąś dziwną prośbę, której trudno było nie ulec.

– Wszystko mi jedno – odparła, nie wiedząc czemu. – Niech pan pokaże.

– To tutaj, blisko.

Ucieszony, poprowadził ją kilka kroków w bok do ogrodowej części parku, gdzie różne gatunki kwiatów tworzyły wraz z przyciętymi krzewami barwne, geometryczne kompozycje.

– No, ładnie rosną – stwierdziła obojętnym tonem, gdy pokazał jej czerwone klomby, lecz odruchowo schyliła się i powąchała najbliższy kwiat. – Pachnie. W dzisiejszych czasach coraz rzadziej można spotkać pachnące kwiaty. To mi się bardzo podobało w kwiaciarni Elizy; nieziemski aromat. – Rozpogodziła się nieco.

– Ma panna rację. Wielu kupców na trwałość kwiatu nastawia się. A sztuczne mieszanki woni nie dają. Coś za coś.

Po twarzy Ewy przemknął lekki uśmiech, bo rozweselał ją ten styl wypowiedzi. W swej nieporadności językowej mężczyzna przypominał Ewie Sophie, tylko w bardziej archaicznej wersji. Jednak ich determinacja i wysiłek, by dostosować się do niezwyklej rodziny Elizy, rozczulały ją i jednocześnie budziły podziw.

– Ja wolę, gdy kwiaty pachną – odparła, muskając delikatnie płatki róży koniuszkami palców. – Są prawdziwe, nawet jeśli mniej trwałe. A to najważniejsze.

– Zaiste, prawdę panna rzekłaś. Lepiej przeżyć coś prawdziwego, choćby i krótko, niżli długo tkwić w kłamstwie i fałszu dla spokoju czy ludzkich opinii.

„Ogrodnik filozof” – pomyślała zaskoczona.

– A co pan będzie z tym robił? – spytała, wskazując na pojemnik, który mężczyzna trzymał w ręce. – Oprysk?

– Tak, to na... takie owady małe. Zaległy się, a niedobre dla kwiatów są.

– Mszyce – zawyrokowała, przyglądając się bliżej roślinom. – Moja babcia pozbywała się ich za pomocą gnojówki z pokrzyw.

– Czegóż?

– Pokrzywa to taka parząca roślina. Widziałam, że rośnie u was przy północnej furtce. Hmm... – Odchrząknęła zmieszana. – Robi się z nich taki śmierdzący napar. Zdaje się, że trzeba zalać je wodą i poczekać parę dni, aż porządnie sfermentują. Najlepiej w beczce.

– Ach, *ortie*<sup>[102]</sup>.

– No właśnie. Powstaje z nich taki ekologiczny nawóz do podlewania. Robale tego nie lubią. Zresztą wcale się nie dziwię, też bym nie lubiła na ich miejscu. Tylko parzy draństwo przy zrywaniu. Pokrzywę mam na myśli – plotła bez zastanowienia. – Ale to podobno zdrowe. Babcia mówiła. To znaczy... nie mówiła, że draństwo, ale że ogólnie

zdrowe. No, sam pan wie na pewno.

– *Ah bon*<sup>[103]</sup>.

Gérard nie nadążał za jej tokiem myślenia i nie rozumiał połowy wyrażeń. Wydawał się zarówno skołowany niespodziewanym ogrodniczym tematem, jak i zachwycony rozmową.

Bardzo przyjemną myśl o tym, że ze śliczną Polką można porozmawiać nawet o ogrodnictwie, psuła mu jedynie konieczność błyskawicznego tłumaczenia jej wypowiedzi na francuski. Potakiwał więc, wpatrując się w nią z zachwytem, choć chwilami odnosił wrażenie, że potok jej słów przypomina raczej nerwową reakcję na coś niż miłą pogawędkę.

– A panna lubi róże? – spytał, gdy Ewa umilkła wreszcie, by złapać oddech.

– Tak. Ale najbardziej lubię frezje, bo przepięknie pachną i są takie delikatne. Tylko że coraz rzadziej można je spotkać w kwiaciarniach. Pewnie dlatego, że są nietrwałe, tak jak pan mówił.

– Fre...zje? *Je vérifie*<sup>[104]</sup> – mruknął do siebie.

Sięgnął do kieszeni kombinezonu, wyjął mały sekator i wyszukał dorodny kwiat na klombie. Szczęknęło ostrze.

– Niech panna Ewa weźmie do pokoju, dla zapachu. Nie wiem, jakie kwiaty *madame* Constance w tym tygodniu do siedziby zrobić kazała, ale od róży sny miłe panna mieć będziesz. – Podchodząc blisko, wyciągnął dłoń.

– Yyy... dzięki. – Ewa uśmiechnęła się niemrawo, bo zaskoczył ją zarówno gest, jak i poufała bliskość mężczyzny. – To ja... tego... pójdę już – mruknęła. – Ale radzę wypróbować oprysk z pokrzyw. Po pańskim preparacie róże na pewno zwiędną.

Ruszyła alejką w stronę domu, ale zanim zniknęła za zakrętem, obejrzała się jeszcze nieznacznie. „Zabawny ten ogrodnik” – pomyślała, odruchowo wachając różę.

Gérard w tym czasie wpatrywał się w zamazaną etykietkę preparatu.

– A niech mnie kule biją! *C'est périmé depuis six mois. Mais comment elle...?*<sup>[105]</sup> – Spojrzał w alejkę, gdzie zniknęła Ewa. – Niezwykła to niewiasta – szepnął do siebie. – Pojąć ją trudno niezmiernie, ale jakże jest interesującą... *C'était quoi?*<sup>[106]</sup> *Frezje. Bien.*

\* \* \*

Eliza zaczęła się martwić, gdy zobaczyła, że Ewa zupełnie nic nie je, choć stoją przed nią same frykasy. Siedziała osowiała obok Aleksandra i bezmyślnie gmerała widelcem po talerzu, rozkruszając tartę z pomidorami i kozim serem na nieapetyczną paćkę.

„Nie wygląda najlepiej – pomyślała, obserwując Polkę dyskretnie. – Musiało zajść

coś poważnego między nią a babcią, skoro jedna nie zjawiała się przy stole, a druga nie nie je”.

Ewa wróciła ze spaceru wyraźnie zmęczona i w dziwnym nastroju. Zajrzała do Elizy jeszcze przed kolacją i przekazała jej stanowcze oświadczenie Konstancji, żeby nie czekać na nią przy stole. Poproszona o wyjaśnienia, Ewa bąknęła, że to jej wina, bo zamiast pomóc, sprawiła przykrość starszej pani.

– Postaram się jutro jeszcze raz ją przeprosić, ale nie wiem, czy to coś da – wyznała.

„O co tu chodzi? Może rozmawiały o mnie i się pokłóciły?” – rozmyślała Eliza.

Miała nadzieję, że babcia jednak przyjdzie na kolację; pomyliła się.

Zaniepokojona Eliza nie czekała tym razem do końca posiłku. Szybko przekąsiła coś, by nie wzbudzać podejrzeń rodziny, i dyskretnie wymknęła się do Konstancji. Nie znalazła jej w pokoju, więc zajrzała do galerii przodków, a później zbiegła na dziedziniec, by poszukać jej w parku. Tuż za nią pojawili się bratankowie i Lucky.

– Dobrze, że jesteście. Zawołajcie mi tu Paula... albo nie. Poszukajcie Gérarda, może jeszcze nie wyjechał. Tylko szybko, czekam na was wszystkich – zarządziła.

– Co się stało? – spytał niezadowolony Michał. – Chciałem tylko wypuścić psa. Na forum czekają na mnie znajomi.

– Niech sobie czekają. I tak za dużo siedzisz przed komputerem. Mamy kryzys rodzinny i musicie mi pomóc – użyła tonu nieznośnego sprzeciwu.

Chłopcy wrócili w ciągu kilku minut.

– Gérard, czy obserwowałeś dzisiaj Ewę? – spytała mężczyznę.

– Jak co dnia.

– A zdarzyło się coś niezwykłego?

– Brak mi pewności, ale panna Ewa wielce zdenerwowana była wieczorem. Biegła przez park.

– Wiesz dlaczego?

– Nie.

– A *grand-mère* widziałeś?

– O poranku.

Eliza pokręciła głową zamyślona.

– Coś musiało się zdarzyć. Trzeba ją znaleźć, nie ma jej w pokoju.

– Pewnie na cmentarzu siedzi, jak zwykle.

– Tak długo? – zdziwił się Aleksander.

– Nie – zaprzeczyła. – Przed kolacją wysłałam na cmentarz Patrycję, lecz jej nie



znalazła. Myślałam, że poszła na spacer.

– Bo pewnie poszła.

– Już dawno powinna była wrócić. Nie chcę siać paniki w rodzinie, więc dyskretnie jej poszukamy.

Zagwizdała cicho. Z głębi parku przybiegł Lucky, radośnie merdając ogonem.

– Michał, weź psa i pójdziecie aż do bramy głównej. Zapytaj ochroniarza, czy jej nie widział. Aleks, ty obejdziesz część południową, a Gérard północną. Wiesz, tam przy furtce trzeba sprawdzić. – Spojrzała na niego wymownie.

– Tam, gdzie ostatnio panna...?

– Tak – przerwała mu. – Wiem, że już skończyłeś na dziś pracę, ale będę ci wdzięczna za pomoc.

– Niech się panna Eliza nie frasuje. Mam dziś wolny wieczór.

– A ty gdzie będziesz? – spytał Aleksander.

– Sprawdzę okolice domu. Gdybyście ją spotkali, zadzwońcie do mnie na komórkę. No, idźcie.

Zmartwiona Eliza obeszła rezydencję dookoła, zajrzała na taras, sprawdziła korty i basen. Konstancji jednak nigdzie nie było, a i telefon milczał. Chciała już wracać, gdy nagle coś przyszło jej do głowy. W świetle zachodzącego słońca pomaszerowała do kaplicy.

Przecucie jej nie myliło – drzwi od kościółka były otwarte, choć zawsze zamykano je na klucz. Cicho weszła do środka.

Wewnątrz było niemal ciemno. Przez małe, kolorowe witraże o tej porze dnia wpadało do środka bardzo niewiele światła, tylko pod krzyżem świeciła się niewielka lampka.

Jeszcze zanim jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku, Eliza zauważyła sylwetkę zgarbionej Konstancji opartej na klęczniku. Odetchnęła z ulgą. Stąpając na palcach, z pewnym onieśmieleniem podeszła bliżej i wtedy spostrzegła, że babcia płacze: cicho, bez szłochu, a jednak rozpaczliwie.

Przez długą chwilę czekała, aż Konstancja ją zauważy. Wreszcie starsza pani przeżegnała się i wspierając się na lasce, próbowała wstać, ale kolana odmówiły jej posłuszeństwa. Eliza doskoczyła, podtrzymała ją mocnym ramieniem i posadziła na ławce.

– Babciu kochana. Szukamy cię od kolacji – szepnęła ciepło. – Co się stało? Dlaczego znowu wypłakujesz oczy?

Konstancja wyciągnęła z kieszeni chusteczkę z monogramem.

– Dziecko, są sprawy, których wy, młodzi, nie możecie zrozumieć. Sprawy, które

wżerają się w serce i w mózg jak rdza, szarpią duszę na kawałki. Po cóż ci to wiedzieć?

– Wciąż traktujesz mnie jak dziecko, które trzeba chronić – odparła miękko. – A ja chciałabym pomóc, tylko musisz wyznać, jakie ciemności zasłaniają ci świat. Czy można aż tak tęsknić? Przez tyle lat?

– Tęsknić? Owszem, ale nie to zatruwa mi życie.

– Więc co? Martwisz się o naszą przyszłość?

– To nie takie proste. Wiem, że jesteś silną, mądrą kobietą, Elizo. Ostatnio widzę to jaśniej niż jeszcze kilka tygodni temu. Skoro Flora cię wybrała, tak jak przed laty wyznaczyła mnie, to nie pozostaje mi nic innego, niż ci zaufać. – Czułym gestem dotknęła kasztanowych włosów wnuczki. – Wy, młodzi, lepiej pojmujecie dzisiejszy świat.

– Dlaczego zatem wciąż jesteś taka przygnębiona?

– Bo od dawna czekam na kogoś – szepnęła Konstancja. – Ale dopiero dziś odkryłam, dlaczego on nie przyjeżdża.

– Kto?

– Twój dziadek.

Przestraszona Eliza zamilkła.

– Widzisz, kochanie, nie zaznałam w życiu zbyt wiele miłości. Choroba, wycieńczenie i brak lekarstw wcześniej odebrały mi rodziców. Zaraz potem przyszła wojna, a ja zostałam sama w tamtych okropnych czasach – mówiła wolno Konstancja, od czasu do czasu przecierając nos chusteczką. – Gdyby nie kilku wiernych ludzi z dawnej służby, żadne pamiątki rodzinne by nie ocalały, a ja zapewne umarłabym z głodu. Znienawidziłam wojnę. Niszczyła ludzi i sumienia, niszczyła świat, który znałam, spokojny, dostatni, bezpieczny... A potem zjawił się twój dziadek. Nigdy wcześniej nie spotkałam takiego człowieka. On umiał przebaczać wszystkim. Był cichy, dobry, kochający. Nie chciał i nie umiał mówić o swojej przeszłości w Polsce, ale wiem, że spotkały go tam okropne rzeczy. Mimo to był silny. Mówił, że Bóg obdarza go tą siłą. Uwierzyłam, że dzięki niemu podźwignę z ruiny własne życie. Było nam ciężko, a jednak cudownie! Zaczęły się rodzić dzieci: najpierw Teodor, potem twój ojciec. Jan tak kochał swoich synów! Mimo okropieństw wojny byłam szczęśliwa, miałam tyle planów... Ale wkrótce znowu zostałam sama. – Delikatny uśmiech zniknął z jej twarzy jak zdmuchnięty płomień świecy. – Jedna noc, jedna okropna noc zmiotła moje szczęście jak mistral zmiata z drogi śnieg. I znów musiałam samotnie borykać się z życiem, z dwójką maleńkich dzieci, w ruinach domu, w piątym miesiącu ciąży.

Eliza słuchała jak zaczarowana. Bała się choćby drgnąć, by nie przerwać opowieści. Była zdumiona, bo babcia nigdy tak szczerze nie rozmawiała z nią o dziadku. Cała rodzina wiedziała, że tę piekącą ranę Konstancja ukryła pod grubym pancerzem zasad i obowiązków, dlatego nikt nie ośmielił się wypytywać ją o tamte czasy. Wiedzieli tylko tyle, ile zapamiętał Teodor i starzy służący.

W Konstancji jednak coś pękło, słowa pełne goryczy wylewały się z niej jak rzeka, która wystąpiła z brzegów i przerwała tamę.

– Wtedy, zamiast wojny, znienawidziłam Niemców. Nie mogłam obwinić Boga, że odebrał mi mojego anioła, więc cały gniew skierowałam na ludzi. Jakby wszyscy jednakowo byli odpowiedzialni za jego śmierć – mówiła z trudem. – Bo to właśnie Niemcy przyszli po niego wieczorem. Ktoś im zdradził, że Jan umiał nastawiać kości, a niemiecki generał, który stacjonował w naszym miasteczku, złamał sobie rękę... Mój biedny Janek. Dopiero rankiem stary Gilbert przywiózł mi jego ciało. Znalazł go leżącego na drodze niecały kilometr od domu. Strzał prosto w serce. – Przez twarz Konstancji przebiegł bolesny skurcz.

Spuściła głowę. Ciężkie powieki przesłoniły wilgotne oczy, a zaciśnięte usta drżały.

– Babciu, nie zdręczaj się, proszę – szepnęła Eliza współczująco.

– Chciałam, żebyś wiedziała.

– Ja wiem, to bardzo smutna opowieść. Aleks wspominał mi coś o tym w zeszłą sobotę.

– Aleks? Skąd to dziecko...? Zresztą jakie to ma znaczenie? Jakie znaczenie ma to wszystko? – Konstancja ukryła twarz w dłoniach.

Wnuczka objęła ją delikatnie.

– Proszę, nie płacz. To przeszłość. Była trudna, przyznaję, ale teraz powinnaś się cieszyć miłością swojej rodziny, żyć dniem dzisiejszym.

– Jak mogę się cieszyć, skoro właśnie odkryłam, że przez całe życie czerpałam siłę do walki z nienawiści, a nie z miłości. Że przez zaślepienie mogłam popełnić okropny błąd.

– Babciu, o czym ty mówisz?

– O chorobie mojej duszy. Codziennie patrzyłam na portrety moich prababek, ocalone z tych wszystkich zawieruch wojennych, i zastanawiałam się, czy one też były takie twarde i silne jak ja. Czułam się dumna, że los mnie nie złamał. Nie zauważyłam jednak, że moja siła pochodzi z gniewu. Z niesłusznego gniewu, bo nie znam prawdy. Jestem złym człowiekiem.

– Jak możesz tak mówić?! Jesteś troskliwa, opiekuńcza i kochająca. Nie znam osoby bardziej życzliwej wobec ludzi niż ty.

– To za mało! Czy wiesz, dlaczego nigdy nie opowiedziałam ci o mojej młodości, choć uczyłam cię całej historii naszego rodu? Bo nienawiść zrodzona w tamtych okropnych czasach była tylko moja. Pielęgnowałam ją w sekrecie jak cenny kwiat, odsuwając myśl, że to jest roślina trująca, która mnie niszczy. Dopiero dzisiaj ktoś mi uświadomił, że popełniam błąd: nie mam prawa osądzać bez dowodów. Jan też tak powtarzał: nie sądźcie, byście nie byli sądzeni. Mój Boże, a jeśli to rzeczywiście było inaczej, niż myślałam? Przecież nikt nie wie, co tam się naprawdę wydarzyło.

– Babciu, ja nie do końca rozumiem, o czym mówisz.

Konstancja spojrzała wnuczce głęboko w oczy i gwałtownym ruchem chwyciła jej dłoń.

– Elizo, zmarnowałam swoje życie! – rzuciła z rozpaczą. – Jeśli się nienawidzi, zamiast kochać, to takie życie można wyrzucić do śmietnika! Flora przekłębaby mnie za to, gdyby mogła, a twój dziadek wyrzekłby się mnie na zawsze.

– Nieprawda! – oburzyła się młoda kobieta. – Żal po śmierci dziadka, który nosiłaś w sercu, na pewno nie jest nienawiścią! Przecież nikogo nie skrzywdziłaś, a po takich przeżyciach każdy ma prawo nosić w duszy żalobę czy nawet niechęć do kogoś.

– Ale ja...

– Babciu, ja cię dobrze znam – przekonywała Eliza silnym, pewnym siebie głosem. – Zawsze pragnęłaś, aby wszyscy wokół ciebie byli szczęśliwi: rodzina, przyjaciele, pracownicy. Uczyłaś nas dobrych, mądrych rzeczy. Nie masz prawa mówić, że zmarnowałaś życie, bo twoje życie to my wszyscy. Nie tylko Flora byłaby z ciebie dumna, lecz także i dziadek.

– A jednak po mnie nie przyjeżdża – szepnęła rozżalona Konstancja. – Może właśnie dlatego, że byłam niesprawiedliwa.

– Kto nie przyjeżdża?

– Mój anioł. Od lat śni mi się to samo: twój dziadek, młody, przystojny i uśmiechnięty, zajeżdża pod nasz dom dorożką. Uśmiecha się do mnie i wyciąga ręce jak wtedy, gdy brał mnie w ramiona. Patrzę na niego z okna, wołam, chcę, żeby na mnie zaczekał. Ale kiedy wybiegam na dziedziniec, on już odjeżdża i tylko macha mi ręką na pożegnanie. A ja nie mam sił, żeby go dogonić, bo coś pęta mi nogi.

– To tylko sen, twój wyraz tęsknoty.

– Nie. Dziś wiem, co mi przeszkadzało biec do niego. Jeśli uwolnię się od nienawiści, przebaczę i uwierzę, że świat nie jest zły, wsiądę wreszcie do tej dorożki. I znów będziemy razem – dokończyła cicho.

– Babciu! – szepnęła ze zgrozą Eliza. – Nie mów tak, jesteś nam potrzebna. Musisz pozwolić sobie pomóc. Zaufaj mi, proszę.

Konstancja chciała coś powiedzieć, ale wnuczka jej przerwała.

– Nie można ciągle żyć w ciemności. – Eliza starała się opanować wzruszenie i nadać głosowi rzeczowy ton. – Wszyscy cię kochamy i potrzebujemy twojego wsparcia, nawet jeśli chcemy urządzać świat po swojemu. Pozwól nam o ciebie zadbać. Nasz stary doktor to kochany człowiek, ale myślę, że najwyższa pora, abyś pozwoliła się zbadać jego synowi. Zobaczysz, że za jakiś czas smutek minie i znów będziesz z nami szczęśliwa.

Konstancja westchnęła.

– Może masz rację. Potrzebuję wypoczynku.

– Chodźmy do domu, już późno. – Eliza podała jej rękę. – Zjesz coś, wypijesz melisę i położysz się spać. A jutro będzie nowy dzień. Lepszy niż dzisiejszy. Obiecuję.

---

[101] Co ona tu robi? (fr.).

[102] Pokrzywa (fr.).

[103] Ach tak (fr.).

[104] Sprawdzę (fr.).

[105] To już pół roku temu straciło termin ważności. Ale skąd ona...? (fr.).

[106] Co to było? (fr.).

# Rozdział 12

## Sobota

Ewa długo nie mogła zasnąć. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, mimo że Konstancja odnalazła się – cała i zdrowa. Ewa wiedziała jednak swoje.

– Nie powinnam była się wtrącać – stwierdziła ponuro, patrząc w lustro. – Pora wracać do domu, zanim jeszcze coś nabroję.

Myśl, że w poniedziałek będzie już z powrotem w Polsce, cieszyła ją. Chciała wreszcie uściskać rodziców i braci, porozmawiać z Jolą i po prostu odetchnąć normalnością. Ta rezydencja, przesycona tajemnicami, kryjąca w sobie szczęście i cierpienia wielu pokoleń, zaczynała ją już przytłaczać.

– Czuję się jak pieprzona antena satelitarna, tylko nie wiem, kto i dla kogo nadaje ten program – narzekała w łazience, rozczesując włosy. – Mam już dość. Dobrze, że wyjeżdżam, bo inaczej chyba, bym zwariowała.

Zanim zasnęła, przypomniała sobie ciotkę Eugenię.

– Ona jedna zrozumiałaby, co przeżywam. I dałaby ci w kość, Floro, za to, że mnie tak dręczysz! Chyba jednak byłaś czarownicą – wymruczała, przytulając się do poduszki, jakby to mogło ją uchronić od onirycznych wędrówek w czasoprzestrzeni. Dopiero sen uciszył jej emocje.

Poranek przywitał ją różanym zapachem. Przeciągnęła się leniwie na poduszkach, a później uśmiechnęła na widok rozchylonych purpurowych płatków.

– Ogrodnik miał rację – mruknęła pogodnie, wachając różę włożoną do wazonika. – Rzeczywiście spałam dzisiaj spokojnie. Aż dziwne.

Przy śniadaniu dobry nastrój popsuka jej nieco wiadomość, że Eliza wezwała do Konstancji lekarza. Wbrew protestom seniorki młody doktor zbadał ją dość szczegółowo, pobrał krew do analizy i zalecił wypoczynek. Rodzina trochę plotkowała w jadalni o wczorajszych wydarzeniach, ale ponieważ nikt nie wydawał się szczególnie zatroskany, więc Ewa postanowiła cierpliwie poczekać na jakieś oficjalne informacje.

Wieści przyniósł Aleksander.

– Nie martw się. Wszystko w porządku – oznajmił.

– Jak to: w porządku? U pani Konstancji był lekarz. Coś musiało się stać.

Chłopiec pokręcił głową.

– Spokojnie. Eliza już dawno namawiała prababcię na badania, ale ona zawsze się od tego jakoś wymigała. Nasz stary doktor to jej przyjaciel jeszcze z czasów wojny, dlatego nie umiał jej niczego odmówić.

– To prawda jest – potwierdziła z uśmiechem Sophie, która przyszła do Ewy razem z chłopcem.

– Tym razem Eliza była jednak sprytniejsza i zatelefonowała do Henriego. To syn naszego doktorka. On też jest lekarzem, takim od serca.

– Kardiologiem?

– No właśnie. W zasadzie to wszyscy się ucieszyli, że prababcia dała się w końcu zbadać.

– Może chociaż tyle będzie ze mnie pożytku – szepnęła do siebie Ewa.

– *Qu'est-ce que tu dis?*<sup>[107]</sup>

– Nie, nic. A co powiedział lekarz?

– Wiedziałem, że o to zapytasz, więc wysłałem Patrycję na przeszpiegi, ona jest w tym najlepsza – stwierdził Aleksander bardzo zadowolony z siebie. – Nie za darmo oczywiście. Musiałem obiecać, że pomogę jej napisać jakąś pracę z historii, kiedy przyjdzie pora.

– Aleks, proszę cię, twoje dygresje wpędzą mnie do grobu. Opowiadaj po kolei.

– Przecież mówię. Podśluchała rozmowę Henriego z Elizą przy samochodzie. Powiedział, że serce prababci działa dobrze, ciśnienie jest w normie i ogólnie nie jest źle. Mówił, że najbardziej niepokoi go... no, jak to się mówi w tych medycznych serialach? Stan psychiczny pacjentki! – przypomniał sobie. – Stwierdził, że tym musi się zająć Eliza. No i zabronił nam mówić prababci o swoim ojcu, że jest bardzo chory.

– Nasz doktor zachorowany jest? – zmartwiła się Sophie.

– Podobno. Dlatego nie przyjechał z Henrim. Prababcia bardzo długo przyjaźni się ze starym doktorkiem, więc to by ją zdołowało.

– No jasne. Musisz pamiętać, żeby się przed prababcią nie wygadać – Ewa pouczyła chłopca.

– Wiem. Tak czy owak, nie ma się co zadręczać. Eliza dobrze się zajmie prababcią.

– *Oui*. – Sophie położyła dłoń na ręce Ewy. – Ale to bardzo miłe jest, że tak się zajmujesz o *grand-mère*. Ona ciebie bardzo lubi.

– Nie byłabym taka pewna – mruknęła Ewa świadoma tego, że nikt nie zna prawdy



o wczorajszych wydarzeniach na cmentarzu.

– Pewnie, że tak. Ja sama słyszałam na swoje uszy: kazała kucharce jutro pożegnanie przygotować dla ciebie. Żeby podziękować.

– No. Będzie wyzerka!

– Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć po tym, co wczoraj... Ale skoro tak, to ja też mam dla was pożegnalną niespodziankę. – Ewa błyskawicznie się rozchmurzyła.

– Jaka? – zaciekał się chłopiec.

– Przecież jeśli powiem, to nie będzie niespodzianki.

– No, Ewa!

– Dobrze, tylko mnie nie zdradźcie. Zaczęłam robić prezentację z waszych zdjęć. Myślę, że się wam spodoba.

– Jak to: z naszych?

– To znaczy, rodzinnych. Przy okazji sesji zrobiłam trochę prywatnych fotografii, tak na pamiątkę dla was i dla mnie.

– Prywatnych? – Aleksandrowi rozbłysnęły oczy. – Przydałyby się jakieś szpiegowskie niedyskretne fotki. Na przykład Patrycji, która coś zbroiła.

– Ty to masz pomysły. Nic z tego. Napstrykałam po prostu trochę zdjęć posiadłości i was samych. Lubię takie naturalne, niepozowane fotografie. Często są zabawne i mają niepowtarzalny urok.

– Eee tam. Jak cię znam, wszystko będzie przyzwoite jak w klasztorze. – Rozczarowany nastolatek machnął ręką. – Na poszukiwaczkę skandali to ty się nie nadajesz. W odróżnieniu od mojej siostruni, ona wyniucha wszystko. A już miałem nadzieję, że raz w życiu będę miał na nią haka.

– Oj, Aleks...

– À propos klasztoru. Coś mi się przypomniało. – Ewa nie dała Sophie szansy na skarcenie chłopca. – Pamiętacie, ten list przodka i sprawę jego córek? No, o tym posyłaniu dziewczyn do zakonu?

– Tak. Jedna chciała do *prononcer des voeux*<sup>[108]</sup>, a druga nie.

– No właśnie. Babka zaś postanowiła zrobić dokładnie na odwrót.

– Rzeczywiście, to jakieś głupie było – burknął Aleksander. – Też się nad tym zastanawiałem, ale nic nie wymyśliłem. Poza tym, że nigdy nie wiadomo, co dorosłym wpadnie do głowy. Lubicie się pastwić nad dziećmi, a mówicie, że to dla naszego dobra.

– Bidulek! – zaśmiała się Ewa. – Wiem, o co ci chodzi. Matematyka to jeszcze nie tortury. A zresztą, już ci tak wiele do dorosłości nie brakuje, za parę lat sam zobaczysz, że życie nie jest takie proste.

– No chociaż ty nie marudź! – jęknął nastolatek.

– Już dobrze, nie wściekaj się. Wracając do listu, przyszło mi do głowy, że z dużym prawdopodobieństwem można się domyślić, czemu tamta babka tak dziwnie zarządziła losem swoich prawnuczek.

– *Pourquoi?*

– Pamiętacie, co tam było napisane? Że jedna z tych dziewczyn miała jakieś... wizje.

– Ostatnie słowo Ewa wypowiedziała z wyraźną niechęcią. – „Słuszność po Twojej była stronie, gdy kazałaś nam uwierzyć w sen mojej córce przez Boga zesłany”. Tak to chyba brzmiało?

– I co z tego?

– Pomyślałam, że jeśli ta dziewczyna miewała jakieś niezwykle przeczucia czy coś takiego, to w tamtych czasach musiała się z tym ukrywać. Zresztą nie tylko w tamtych – dodała ciszej.

– Dlaczego?

– Ludzie mogli ją uznać za wariatkę czy czarownicę. Tak jak wcześniej Florę. To mogło być niebezpieczne dla całej rodziny.

– I dlatego chcieli ją zamknąć w klasztorze? – Aleksander był sceptyczny.

– A czemu nie? Pomyśl: jeśli niezwykle sny miewa zakonnica, zawsze można powiedzieć, że to szczególny dar, zdolność prorokowania. Kościół mógł ją ochronić, co już się zdarzało wcześniej w waszej rodzinie – przypomniała. – Ale jeśli takie rzeczy o snach czy głosach opowiada świecka osoba i do tego niezamężna, młoda dziewczyna, to co ją może spotkać?

– No co?

– Na pewno nic miłego. Przypomnij sobie Joannę d’Arc. Strach i zawiść są potężną bronią. Myślę, że w tamtych czasach posyłano kobiety do klasztorów ze znacznie mniej ważnych powodów.

– To ja rozumiem. To logiczne jest trochę – poparła ją Sophie. – Ale dlaczego nie chciała babka, żeby jej druga prawnuczka też została w klasztorze przyjęta? Napisał jej ojciec, że ona miała prawdziwie *vocation*<sup>[109]</sup>. Po co za mąż ją dać przeciw niej?

– Nie rozumiecie? To może mieć związek z waszą tradycją. – Dla Ewy wszystko było jasne. – Przecież ktoś musiał odziedziczyć majątek, urodzić dzieci, przedłużyć ród. I to powinna być wyjątkowa kobieta. Sam kiedyś o tym mówiłeś: loteria genowa – odpowiedziała chłopcu, który nagle zrobił minę, jakby go olśniło.

– Chcesz powiedzieć, że ta, która chciała iść do klasztoru z własnej woli, była ruda?

– Istnieje taka możliwość, prawda? W takim wypadku babka nie mogła pozwolić jej

odejść. Musiała interweniować, by nie doprowadzić do sporów rodzinnych. Na taki majątek na pewno niejednen by się połaszczył, a tradycja raz złamana może stracić ważność na zawsze.

– A co z drugą dziewczyną? Przecież obie mogły być rude.

– Dlaczego tak myślisz?

– Były siostrami. A poza tym ich ojca wyraźnie zaskoczyła decyzja tej babki. Gdyby tylko jedna z nich miała rude włosy, pewnie zrozumiałaby to bez zbędnego gadania.

– Dobrze kombinujesz, Aleks. Tylko zapomniałeś, o czym już mówiłam. Ze względu na te prorocze sny, które dręczyły jedną z dziewczyn, to właśnie ona wymagała szczególnej ochrony. Może babka pomyślała, że tylko klasztor zapewni jej bezpieczeństwo. Przecież nie znamy całej historii. Podejmując taką dziwaczną decyzję, chciała ochronić jedną prawnuczkę, a dzięki drugiej zapewnić ciągłość rodu i dziedziczenia. Szkoda tylko, że te biedne dziewczyny chciały czegoś przeciwnego.

Sophie wyglądała na nieco zagubioną w gąszczu wyjaśnień, ale chłopiec patrzył na Ewę z uznaniem.

– No, ta teoria ma nawet ręce i nogi – przyznał. – Staruszka mogła nie mieć wyjścia.

– Ręce? – zdziwiła się Sophie.

– Tak się mówi.

Francuzka pogładziła się po niewidocznym jeszcze brzuszku.

– Ale wy nie pomyśleli o czymś innym na dodatek – powiedziała.

– O czym?

– Nie tylko o to mogła być sprawa. Może to miłość w rodzeństwie.

– Jaka miłość?

– Kochały się siostry obie i dla uratowania przed stosem pomogła jedna do drugiej.

– Co? – Aleksander się skrzywił. – Nie rozumiem.

– A ja wiem, o co jej chodzi. Sophie ma rację. Nawet jeśli ojciec się przeciwstawiał decyzji babki, to jedna z sióstr mogła się sama poświęcić, żeby uratować drugą przed posądzeniem o konszachty z siłami nieczystymi. To zależy, czy łączyły je silne więzy.

– No nie wiem... – Mina Aleksandra wyrażała powątpiewanie. – Myślicie, że ja dla ratowania Pati spaskudziłbym sobie całe życie?

Kobiety spojrzały na siebie porozumiewawczo i uśmiechnęły się.

– Tak – odparły jednocześnie.

– E tam – mruknął chłopiec, mile połechtany nieco zaskakującą oceną jego charakteru. – Ale w sumie ta koncepcja z prawnuczkami jest niezła. Trochę zawiła, ale fajna. Kiedy przyjdzie pora, opowiem wszystko babci.

– Myślę, że ty nie czekasz. Idź dzisiaj – zachęciła go Sophie, zaskakując oboje.

– Dzisiaj?

– Ona teraz wypoczynek ma, może miło jej będzie z prawnuczek swój porozmawiać jak z poważnym *historien*<sup>[110]</sup> – przekonywała. – Co na to, Ewo?

– Jeśli myślisz, że to rozerwie panią Konstancję – odparła niepewnie. – Jasne, może to dobry pomysł.

Ewa sięgnęła do szuflady biureczka, gdzie spoczywał oryginalny list przodka i mocno podkreślone tłumaczenie.

– Przynajmniej oderwie to jej myśli od... innych spraw – powiedziała cicho, podając chłopcu dokumenty.

---

[107] Co mówisz? (fr.).

[108] Zakon (fr.).

[109] Powołanie (fr.).

[110] Historyk (fr.).

# Rozdział 13

## Niedziela

Ewa stała przed portretem Flory. Nie chciała znów przychodzić do galerii, a jednak coś ją tam wciąż przyciągało.

– Wiesz co? – szepnęła, zadzierając głowę. – Rozgryzłam cię. Byłaś po prostu zwykłą kobietą, która musiała walczyć z przeciwnościami losu, tak jak umiała. Dzisiaj powiedzieliby po prostu: twarda baba. Wtedy mówili: czarownica. Nie miałaś wyjścia. By ocalić bliskich, wykorzystałaś wszystkie swoje atuty. Prawda? – Umilkła, jakby oczekiwała, że usłyszy odpowiedź.

Zbliżający się wyjazd sprawił, że Ewa się wyciszyła i wpadła w refleksyjny nastrój. „Jakie to dziwne – pomyślała. – W najtrudniejszych chwilach pamięć o Florze pomagała tej rodzinie przetrwać. Od tylu wieków wciąż istnieje między nimi silna więź”.

Przypomniała sobie sentencję, którą gdzieś przeczytała: „Mężczyzna to czyn, kobieta to istnienie”.

„To, kim oni dziś są i jak żyją, zawdzięczają kobietom ze swojego rodu – rozważała. – Trochę niesamowite, gdy się pomyśli, że geny i krew Flory wciąż płyną w żyłach jej potomków. Charakter tej kobiety, jej duma i samozaparcie, zasady życiowe, zakodowane w jakiś niesamowity biologiczny sposób, są przekazywane kolejnym pokoleniom i wpływają na ich życie, choć oni sami o tym nie wiedzą”.

Spojrzała w głąb korytarza, gdzie obok siebie wisiały obrazy wielu kolejnych dziedziczek.

– Mówiąc szczerze, to trochę przerażające – mruknęła do siebie. – Może powinnam się lepiej przyjrzeć moim własnym przodkom? Kto wie, co przekazali mi w swoim DNA.

Przypomniała sobie kuferek, który odziedziczyła po Eugenii, i poczuła wdzięczność do swojej niesamowitej ciotki – ona również, mimo własnych tragedii, pomyślała o kolejnym pokoleniu, jakby wiedziała, że bratanica zapragnie kiedyś zajrzeć

w przeszłość własnej rodziny.

„Gdy wrócę do Polski, muszę koniecznie znaleźć czas, żeby porządnie zabezpieczyć te pamiątki. Kto wie, może w przyszłości ktoś się nimi zainteresuje? Któraś z moich bratanic? A może moja własna córka? – rozmarzyła się, po czym pokiwała z politowaniem głową nad własnymi refleksjami. – Tak, tylko najpierw trzeba mieć tę córkę, a z moim charakterkiem... który facet wytrzyma z taką dziwaczką? – krzywiła się. – Co ty na to, Floro? Poradzisz mi coś?”

– Znowu gapisz się na ten obraz? – Tym razem zaskoczył ją Aleksander. – Co tu widzisz ciekawego?

– *...Ojciec ojca mego ojca / patrzy na mnie z głębi życia / choć już nie ma ani ciała / ani ducha do ukrycia...* – wyrecytowała Ewa w odpowiedzi.

– Jaki ojciec?

– To cytat, fragment piosenki – wyjaśniła z uśmiechem. – Grzegorza Turnaua, takiego polskiego pieśniarza. Nie wiem właściwie, skąd ją znam, ale gdy patrzę na te malowidła, właśnie te słowa rozbrzmiewają w mojej głowie.

– No to chyba powinno być o matce, a nie o ojcu, bo to babski ród.

– Poezja i metafizyka nigdy nie są dosłowne.

– Ja tam poezji nie rozumiem. To dla bab. Twarde historyczne dowody, to mnie interesuje.

– Poczekaj, aż się pierwszy raz zakochasz i będziesz chciał napisać wiersz dla ukochanej! – przekomarzała się. – Wtedy pogadamy.

– Wiersz? To ze starych romansideł. Teraz kobiety lecą tylko na forszę albo na sławę.

– Ach tak? Widzę, że jesteś już bardzo doświadczony.

– Nie nabijaj się ze mnie. Ja nie mam czasu na takie głupoty, ale wystarczy rozejrzeć się dookoła. Takie, które lecą na majątek, już się u nas w rodzinie trafiały. Ja się nie dam zrobić jak wuj Teodor, nie ma głupich! Dlatego właśnie zostanę sławnym naukowcem.

Ewa miała na końcu języka uwagę, że jeśli to jedyna motywacja do zrobienia kariery, to powinien jeszcze raz przemyśleć życiowe plany. W ostatniej chwili powstrzymała się jednak, bo przyszło jej do głowy, że w tym przypadku nie liczy się motywacja, tylko cel.

– Masz rację, lepiej być docenianym za to, co ma się w głowie niż w portfelu. Ale najpierw zdobądź porządne wykształcenie, a potem zobaczymy, co z tą sławą – skwitowała rozbawiona.

– Dobra, dobra. Ja tam swoje wiem.

– Rozumiem, nie czepiam się. A po co przyszedłeś?

– Pożegnalna kolacja gotowa. Prababcia wysłała mnie po ciebie, jakby doskonale wiedziała, gdzie cię znajdę.

– Musiałam się pożegnać z Florą. Napsuła mi trochę krwi, ale też zmusiła do zastanowienia się nad wieloma sprawami – przyznała. – Ogólnie nie było tak źle.

– A co niby ci zrobiła?

– Nieważne. – Uśmiechnęła się tajemniczo. – To sprawy między kobietami.

– Znowu to samo! Ciebie też zaraziły?

– Kto?

– No kto? Baby z naszej rodziny – stwierdził zirytowany. – Myślicie, że faceci nie potrafią dochowywać sekretów?

– Jasne, że potrafią. Przynajmniej niektórzy. – Szybko pojęła, o co mu chodzi. – Zobaczysz, twoja prababcia też cię doceni i podzieli się rodzinnymi tajemnicami. Musisz tylko być cierpliwy i wytrwały, jak Flora.

– No, powiedzmy. Wczoraj rzeczywiście uważnie mnie słuchała, kiedy opowiadałem jej o naszym odkryciu.

– Jak zareagowała?

– Właściwie nie wyglądała na bardzo zdziwioną, ale ucieszyła się z odnalezienia listu. Oczywiście zaraz go schowała do jednej ze swoich przepastnych szuflad. Dobrze, że go sobie zeskanowałem.

– I nic więcej nie powiedziała?

– Spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie i stwierdziła: „miałam rację, coś z tego będzie”.

– Z czego?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Właśnie wtedy przyszła Eliza i mnie wyprosiła.

– A ja myślę, że pani Konstancja cieszy się z twoich planów zawodowych.

– Może. – Chłopiec nie wydawał się przekonany. – W sumie to szkoda, że już wyjeżdżasz. Fajnie się przy tobie bawiłem, no i miałem trochę wolności. Poza tobą i Sophie nikt mnie tu poważnie nie traktuje, każdy tylko: „Ucz się, ucz”. Jakbym był dzieckiem – narzekał.

– Bo o swoje miejsce w życiu trzeba powalczyć. Ja w ciebie wierzę.

– Chodź już, bo wszystko pożrą i nic dla nas nie zostanie. – Aleksander udawał, że opinia Ewy nie ma dla niego znaczenia, ale widać było, że sprawiła mu przyjemność.

Kiedy doszli do schodów, kobieta przystanąła. Męczyło ją uczucie, że o czymś zapomniała, więc spojrzała jeszcze raz w głąb korytarza.



– Poczekaj, Aleks.

– Co się stało?

– Coś mi przyszło do głowy. Potrafisz mi pokazać tę *madame* z listu twojego przodka? No tę, która tak namieszała w życiu swoich prawnuczek.

Aleksander przez kilka sekund zastanawiał się, o co jej chodzi.

– Aaa, tę od klasztorów?

– Tak. Wiesz, na którym jest portrecie?

Chłopiec rozejrzał się po ścianie dziedziczek i wskazał jeden obraz.

– To chyba ten. Nie jestem pewien, trzeba by zapytać Elizę albo sprawdzić dokładne daty.

Ewa zwyczajem krótkowidza zmrużyła oczy, by lepiej dojrzeć namalowaną sylwetkę. Portret przedstawiał popiersie kobiety dość tęgiej i niemłodej. Rysy twarzy zdradzały podobieństwo do Konstancji, ale oczy, przykryte ciężkimi powiekami, patrzyły na Ewę taką samą zielenią jak Flora.

Mimowolnie spojrzała na kolejne malowidło. Prostokątne płótno, ujęte w skromne drewniane ramy, przedstawiało młodziutką dziewczynę w fioletowej sukni. Rudozłote sploty jej włosów opadały miękką falą na plecy i częściowo ukrywały smutną, bladą twarz. Postać stała w cieniu jakiejś altany zarośniętej bluszczem i nieodparcie skojarzyła się Ewie z kobietą uwiecznioną przez Arthura Hughesa w *Kwietniowej miłości*.

„Dziwne – zastanowiła się. – Podobieństwo barw na obrazie i pozy modelki jest zdumiewające. Tylko oczy nie pasują. Są przerażająco smutne”.

– Zaraz, zaraz – mruknęła, zaintrygowana pewną myślą. – Powiedziałeś, że one tu wiszą chronologicznie.

– Dziedziczki? Tak. Prababcia kazała nawet poprzesuwać trochę ostatnie obrazy, by zrobić miejsce dla Elizy. O tam, prawie na końcu. A co?

– Aleks! Nie rozumiesz?

– Czego?

– Jeśli to jest *madame* z listu, a obrazy powieszono zgodnie z kolejnością dziedziczenia, to...

– No co?

– To musi być ta prawnuczka!

– Jaka prawnuczka?

– No ta, którą chcieli wydać za mąż, żeby urodziła potomków w linii kobiecej. Córka tego mężczyzny, którego obraz spadł w nocy.

– Rzeczywiście – przytaknął, niezadowolony z faktu, że to Ewa, a nie on, wpadła na tak oczywistą myśl. – Skoro została dziedziczką, jej portret musi tu wisieć. Może to ona? Trzeba by zdjąć obrazy i przyjrzeć się datom.

Ewa nie słuchała. Wpatrzona w smutną twarz poczuła się trochę dziwnie: ogarnęło ją raptem poczucie rezygnacji i apatii, jakby opuściła ją wola życia po stracie kogoś bardzo bliskiego. Czuła fizyczny ciężar tego przygnębiania i ogromną tęsknotę, która niemal chwyciła za gardło i nie pozwalała oddychać. Tęsknotę za kimś, kto odszedł, zniknął i nie może się odnaleźć.

Ukryte w cieniu oczy młodziutkiej dziewczyny błyszczały tak mocno jak maleńki złoty krzyżyk na jej dekolcie, a ich błękit niemal namacalnie wypełniał się łzami.

Aleksander pociągnął ją za rękę.

– Ewa, słyszysz? Musimy już iść. Przecież oni tam czekają.

– Słucham? – ocknęła się. – Ach, kolacja. No dobrze, ale co z tymi datami?

Chłopiec roześmiał się, widząc jej minę.

– Ty to jednak jesteś zwariowana – stwierdził. – Teraz chcesz to sprawdzać?

– No, no, trochę szacunku – zaprotestowała z uśmiechem.

– A czy ja mówię coś złego? Zobaczymy, czy wieczorem uda mi się wyrwać z pokoju.

– Mrugnął zawadiacko. – Jeśli nie, zajmę się tym później sam. Napiszę ci e-maila, kiedy dowiem się czegoś pewnego.

– A obraz przodka? – spytała, gdy schodzili w dół. – Paul przywiózł go już po oprawieniu?

– Nie słyszałaś? Powiesili go wczoraj na miejscu, ale znowu spadł.

– Znowu? Musiałam tym razem mocno spać – mruknęła.

– Nie wytrzymał nawet kilku godzin. Uparty jest. Widocznie nie podoba mu się tamto skromniutkie miejsce pod sufitem – zachichotał. – Prababcia jeszcze nie zdecydowała, co z nim zrobić.

– Jak długo można na was czekać? – Ojciec Aleksandra pojawił się w holu. – Takie dobre jedzenie się marnuje. Gdzie wy ciągle znikacie?

\* \* \*

Pożegnalną kolację podano na tarasie. Przygotowano ją ze szczególną starannością, która według Ewy polegała nie tylko na smaku dań, ale przede wszystkim na ich ogromnej liczbie. Kiedy patrzyła na pogodne twarze domowników – zajadających się kolejnymi potrawami, dyskutujących zażarcie na różne tematy, gestykulujących trzymanymi w dłoniach sztuczkami lub zaśmiewających się w głos – czuła w sercu ciepło i zarazem żal, że to już koniec. Z jednej strony cieszyła ją myśl o powrocie do

domu, z drugiej zaś dotarło do niej, że będzie trochę tęsknić za tymi ludźmi. Obserwowała ich i starała się zapisać w pamięci każdy szczegół, jakby nagrywała film, który później będzie mogła odtworzyć w głowie w jakiś ponury polski dzień jesienny.

„Oni chyba też mnie polubili – myślała. – Na początku naszej znajomości nie zachowywali się przy mnie tak swobodnie”. Przypomniała sobie własne skrepowanie, gdy pierwszy raz zasiadła z nimi do stołu.

Jej rozmyślania przerwała Konstancja. Gdy podawano deser, poprosiła o ciszę i ku zdumieniu Ewy wygłosiła krótkie przemówienie. Podziękowała jej za sumienną pracę oraz za to, że Ewa stała się kimś ważnym dla członków rodziny. Mówiąc to, seniorka patrzyła na Aleksandra i Sophie, ale Ewa domyśliła się, że starszej pani nie chodziło tylko o nich.

Rankiem tego dnia udało się jej zamienić z Konstancją kilka słów na osobności.

– Chciałam panią serdecznie przeprosić za to, co na cmentarzu... Proszę zapomnieć o głupotach, które mówiłam. Tak mi się coś naplotło w głowie, to pewnie przez to niesamowite miejsce – tłumaczyła się niezdarnie. – Proszę mi wybaczyć.

– Uspokój się, moje dziecko – odparła Konstancja łagodnie. – Myślę, że dobrze się stało.

– Jak to?

– Przemyślałam twoje słowa. Dziś wiem, że już dawno ktoś powinien był mi je powiedzieć. Nie chodzi o konkretną historię, tylko o wskazówkę.

– Wskazówkę?

– Widzisz, czasem spojrzenie z dystansu może się okazać bardzo trafne. Nawet szokująco trafne. Poza tym często komuś obcemu łatwiej jest dotrzeć do ludzkiej duszy niż osobie bliskiej, która boi się konsekwencji trudnej rozmowy.

Ewa milczała, nie wszystko pojmując.

– Od miesięcy uparcie odrzucałam pomoc Elizy, choć ona widziała, że sama nie daję już rady. Nie chciała mnie denerwować, dlatego w końcu się wycofywała zgodnie z moim życzeniem. A ty pomogłaś mi, nie pytając mnie o zgodę. – Uśmiechnęła się nieznacznie. – Nie wszystko, co się ostatnio wydarzyło, jestem w stanie zrozumieć, ale wiem, że sporo ci zawdzięczamy. I nie mam tu na myśli wyłącznie efektów twojej pracy.

Ewa odwzajemniła uśmiech, ale zrobiła to dość nieśmiało, jakby nie bardzo wierzyła w to, co słyszy.

– Ale ja przecież nic...

– Jak to nic? Aleks, Sophie, Eliza i przede wszystkim ja, każdy z nas ma ci za co

dziękować. Zresztą nie tylko my. Czasem nieświadomie robimy więcej dobrego dla innych, niż nam się zdaje. To, że się u nas znalazłaś, może się wydawać przypadkiem, ale nim nie jest. Ja nie wierzę w przypadki. Flora też w nie nie wierzyła.

– Pani mnie zawstydzła. Mam wrażenie, że tylko narobiłam zamieszania.

– Nawet jeśli, to wyniknęło z tego więcej dobra, niż sądzisz. I dlatego ja też chcę cię prosić o przebaczenie.

– Pani mnie? Za co?

– Wtedy na cmentarzu byłam bardzo zdenerwowana i powiedziałam coś, z czego Flora nie byłaby zadowolona.

– To znaczy?

– Powiedziałam ci, że intuicja czy też jak inni mówią – wybujała wyobraźnia to coś, czego trzeba się wstydić. Ukrywać, by kogoś nie skrzywdzić. Zapomnij o tym, moje dziecko. Trzeba zawsze słuchać wewnętrznego głosu. Serce i sumienie najlepiej podpowiadają człowiekowi, jak należy postępować.

– Wiem, ale konsekwencje słuchania tych podszeptów bywają różne.

– Trudno, takie jest życie. Kiedyś moje prababki miały podobno szczególny dar widzenia rzeczy, których nie dostrzegali inni. To pomagało w wielu sytuacjach. Ale los najwyraźniej odebrał nam tę umiejętność. Teraz jesteśmy zdane tylko na własny, czasem mylny osąd. I ja to właśnie zrobiłam, pomyliłam się. – Konstancja sposepniała na chwilę. – Wtedy gdy osądziłam zabójców mojego męża, choć nie znam przecież prawdy o tamtej nocy. Dzięki tobie wreszcie uzmysłowiłam sobie, jak długo błądziłam. Jeśli chcę się uwolnić od złych emocji, muszę przebaczyć i zapomnieć. Ty też, moje dziecko, nie oglądaj się za siebie, patrz w przyszłość.

Szczera poranna rozmowa mile Ewę zaskoczyła, dlatego nie spodziewała się już usłyszeć dodatkowych pochwał, a jednak podczas kolacji padło jeszcze wiele serdecznych słów. Zawstydzona kobieta nie bardzo wiedziała, jak ma reagować na te komplementy, więc tylko uśmiechała się od ucha do ucha.

Kiedy Paul z kamienną miną wniósł na taras rzutnik, laptop i biały ekran, Ewa zerwała się z krzesła, na którym już nie mogła usiedzieć z emocji.

– A teraz na pożegnanie moja niespodzianka – oznajmiła radośnie. – Poza zdjęciami, które zamówiła Eliza, pozwoliłam sobie przy okazji zrobić trochę pamiątkowych fotek. Mam nadzieję, że przydadzą się do rodzinnego albumu.

Nieco patetyczne wrażenie, jakie zrobiło przemówienie Konstancji, szybko zniknęło, gdy na tarasie zaczęły się rozlegać salwy śmiechu.

Zmieniające się slajdy ukazywały bowiem nie tylko artystyczne ujęcia pejzażu

i posiadłości, lecz także całkowicie niepozowane portrety członków rodziny, scenki z życia, uchwycone z reporterskim pazurem, oraz sporo innych zabawnych ujęć.

Największą furorę zrobiła jednak seria zdjęć Gérarda powalonego na trawnik przez mokrego psa, który beztrąsko skakał po mężczyźnie. Kadry przedstawiające roześmianego ogrodnika, Lucky'ego, który usiłował go polizać, zastygłe w powietrzu brylanty z rozchlapywanych kropli wody oraz biegające dookoła roześmiane córeczki Stefana były dynamiczne, zabawne i pełne radości życia.

– Teraz przynajmniej wiemy, z jakim poświęceniem wykonują swoje obowiązki nasi pracownicy – skomentował z uśmiechem Piotr.

Gdy późnym wieczorem zmęczona wrażeniami Ewa kładła się spać, pomyślała, że to były najdziwniejsze dwa tygodnie w jej życiu.

„Wszystko się dobrze kończy, jak w baśni – pomyślała wesoło, poprawiając poduszkę pod głową. – Tylko kto wystąpił w roli złego bohatera? Chyba złe wspomnienia i niezałatwione do końca sprawy. Moje też. Do happy endu brakuje tylko tego, żeby szef mnie pochwalił i dał podwyżkę. No i może... – jakaś myśl przemknęła jej przez głowę, ale Ewa szybko zdusiła ją w zarodku. – Nie, nie. Żadnych komplikacji! Przyda się trochę spokoju”.

Ułożyła się wygodnie i spojrzała w sufit.

– To jak, Floro? Dasz mi dzisiaj pospać, mam nadzieję – szepnęła w cichą przestrzeń nocy. – Żadnych numerów. Jutro wyjeżdżam, należy mi się zatem spokojna ostatnia noc pod twoim dachem, nie uważasz?

Zgasła światło.

\* \* \*

– A toż co?! – wykrzyknęła nagle matrona, wzbudzając dreszcz wśród zgromadzonych w komnacie kobiet.

Zdumiona patrzyła na zapłakaną twarzączkę dziecka, które trzymała w ramionach.

– Wszystkie dzieci po urodzeniu mają niebieskie oczy, jaśnie pani – odezwała się akuszerka, ale w jej głosie brakowało pewności.

Starsza dama chciała zaprotestować, ale nie zdążyła. Od strony łoża rozległ się nagle głośny jęk.

Leżąca wśród zmiętej pościeli matka dziecka skrzyknęła się spazmatycznie, a jej białe dłonie zacisnęły się z bólu na koronkach poduszek. Akuszerka natychmiast rzuciła się w jej kierunku.

– Ruszcie się, niedojdy! – wrzasnęła na służące. – Przynieście więcej wody i czyste prześcieradła. I lód! A chyżo!

– Co się dzieje? – Dama oddała niemowlę w ręce mamki. – Skąd tyle krwi?

– O wybaczenie proszę, jaśnie pani. Moja to wina, zem wcześniej tego nie dostrzegła.

– O czym mówisz, niewiasto?

– Rodzi się drugie dziecko.

– Co takiego?!

– Młoda pani taka pobożna, że nawet dotknąć mi się nie zezwoliła. Mówiła, że to nieobyczajne i grzeszne, a Bóg sam dziecięcia w jej łonie ustrzeże. Lecz to ja nie dopatryłam! – kajała się akuszerka, a tymczasem rodząca zaczęła słabnąć.

Dama w czerni, widząc, że wszyscy tracą głowę, odrzuciła laskę i ujęła spoconą dłoń dziewczyny wijącej się z bólu.

– Nie czas teraz na słabości – powiedziała ostro. – Słyszysz? Wszystkie siły zebrać ci trzeba, by drugie twe dziecko przyszło na świat!

Rodząca spojrzała na nią nieprzytomnie. Mokre od potu włosy ciemną plamą odbijały się od śmiertelnie bladej twarzy.

– Musisz teraz przec! Z całych sił! Słyszysz?! Dla dziecka!

Matka ostatkiem sił zrobiła jeszcze jeden wysiłek.

– Jest! Jaśnie pani, jest!

Gdy płacz drugiego niemowlęcia rozległ się w komnacie, spocona biała dłoń rozluźniła uścisk. Bez życia opadła na zakrwawione prześcieradło.

Wszyscy zamarli. Akuszerka próbowała jeszcze ratować młodą kobietę, na próżno.

– Jaśnie pani... ja... – szepnęła cicho, ze strachem patrząc na matronę.

– Zamilcz. Nie nasza to rzecz Boże wyroki osądzać. Teraz o dzieci zadbaj razem z mamką, bo za ich życie przede mną sprawę zdasz!

– Tak, jaśnie pani. – Kobieta schyliła kornie głowę, a następnie delikatnym ruchem zasłoniła twarz zmarłej czystym płótnem. – Wieczne odpoczywanie...

Dama w czerni przeżegnała się.

– Pokażcie mi drugie dziecko.

– To dziewczynka, jaśnie pani. – Usłyszała od służącej.

– Odsuń się... Niech Bóg miłosierny ma nas w swojej opiece! – szepnęła z lękiem, przyglądając się płaczącemu dziecku. – Ciężkie czasy idą na naszą rodzinę, bo dary przodków naszych rozdzielone zostały i przyszłość nasza ciemna teraz jako niebo w czas burzy – mówiła wzburzona, zapominając, że słyszą ją zebrane w komnacie służące. – Matko Floro, dopomóż, bym umiała ochronić prawnuczki moje przed złem świata. I przed nimi samymi, bo jako ogień i woda są teraz, jedna dusza w dwóch ciałach... Jakże mi wybrać, komu należy się dziedzictwo?

Krzyczące niemowlę uspokoiło się, gdy prababka dotknęła jasnej główki. Zanim mamka owinęła je w czyste pieluszki, dziecko zdawało się z ciekawością spoglądać na swoją opiekunkę dużymi zielonymi oczyma.

– A więc to nie Sophie umarła przy porodzie... – szepnęła Ewa, stojąca bez ruchu przy kotarze łoża. – Boże, pomóż mi się obudzić. To tylko sen! Chcę się obudzić!



# Rozdział 14

## Poniedziałek

– Jest dopiero piąta rano. – Przez głośnik telefonu słyhać było, że Aleksander ziewa rozdzierająco. – Co to za esemesy wysyłasz mi o tej porze? Cierpisz na bezsenność?

– Przepraszam, ale musiałam ci to szybko przekazać. A bezsenność nie byłaby wcale taką złą rzeczą. W każdym razie lepszą niż te ciągłe koszmary – odparła zdenerwowana Ewa.

– Koszmary to ja mam na jawie, gdy widzę podręcznik do matematyki – mruknął. – Mów, co to za *info super importante*?<sup>[111]</sup>

– One były bliźniaczkami.

– Jakie one?

– No te dziewczyny z listu przodka. Właśnie mi się przyśni... to znaczy, chciałam powiedzieć, że właśnie to wymyśliłam, kiedy tak bezsennie leżałam w łóżku – skłamała.

– Bliźniaczkami? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Twój przodek nigdzie nie napisał, jaka była między nimi różnica wieku – stwierdziła, ostrożnie dobierając słowa. – Cały czas pisał o nich: córki. A skoro... no... w waszej rodzinie często trafiają się bliźniaki, to może one też urodziły się razem? Jak dziewczynki Stefana i dzieci Sophie. Dlatego właśnie nie ma w liście żadnej wzmianki o ich matce.

– A co to ma wspólnego?

– Dużo. Ona... pewnie umarła przy porodzie. Urodzenie bliźniaków w tamtych czasach było bardzo niebezpieczne dla kobiety.

– Aleś wymyśliła – wymamrotał sennie.

– Co ci się nie podoba? Teoretycznie istnieje taka możliwość. Tak czy nie?

– No niby tak, ale nic takiego z listu nie wynika. Ta hipoteza nie jest nam do niczego potrzebna.

– Mylisz się, jest – przekonywała gorliwie. – Jeśli chcesz dotrzeć do prawdy

historycznej, musisz sprawdzić każdy trop.

– To nie jest trop, tylko czysta fantazja. Porządny historyk nie może się opierać na tym, co mu do głowy wpadnie. Potrzebne są dowody.

– Oj, ty porządny historyku! Przecież po to ci o tym mówię. Musisz to w przyszłości sprawdzić. Kiedy pani Konstancja pozwoli ci wreszcie zajrzeć do starych manuskryptów, szukaj informacji o bliźniaczkach. Mam mocne przeczucie, że to ci pomoże nie tylko znaleźć przodka, ale też sprawdzić twoją teorię o sposobie wyznaczania dziedziczek.

– Moja teoria nie wymaga sprawdzenia, ale okej, mogę poszukać. Choć myślę, że nie masz racji. Gdyby one były bliźniaczkami, to gdzieś w galerii wisiałby portret podobnej siostry. A nie wisi.

– Chyba że one nie były do siebie zbyt podobne. Tak się zdarza.

– Dobra, sprawdzę to. Tylko już niczego nie wymyślaj, bo nigdy nie rozwiążę tej sprawy. Oho... muszę kończyć – wyszeptał. – Coś mi się zdaje, że wścibski Patyczak podsłuchuje pod moimi drzwiami. Ona chyba zostanie szpiegiem albo policjantką. Nara! – Połączenie się urwało.

Uspokojona Ewa z ulgą opadła na poduszki.

„Jak to dobrze, że on tak twardo stąpa po ziemi – pomyślała. – Nie to co ja, pokrecona wariatka wierząca w sny... Zaraz, zaraz! Czyżby o to chodziło? – Aż uniosła brwi ze zdziwienia. – Mężczyzna i dwie białe róże... No tak! Aleks lubi zagadki, ale sam nigdy by się tym nie zainteresował. A jeśli spojrzeć na sprawę po mojemu, czyli wbrew zwykłej logice... Założę się, że Aleks nie znajdzie portretu drugiej bliźniaczki. Może to irracjonalny pomysł, ale muszę powiedzieć o tym Elizie. – Ziewnęła. – Trzeba w końcu powiesić ten obraz, który ciągle spada. A jeśli mam rację, tym razem się uda”.

\*\*\*

Przy wkładaniu bagaży do samochodu pojawił się niespodziewany problem: na pożegnanie Ewa została obdarowana tak wieloma prezentami, że nie wiedziała, jak wszystko zabrać ze sobą. Cała rodzina wyległa na dziedziniec, a ponieważ każdy miał własne zdanie na temat sposobów pakowania, zapanował harmider okraszony szczekaniem psa i śmiechem rozbrykanych dziewczynek.

Mimo kłopotów z udźwignięciem kolejnych pakunków, Ewa z wdzięcznością przyjęła wszystkie butelki, paczki, flakoniki i pudełka, które jej ofiarowano. Przyjemnie bulgoczące wino, złocista oliwa, aromatyczny miód lawendowy, perfumy, mydła i inne drobiazgi zawierały bowiem esencję zapachów i smaków krainy, którą chciała

zapamiętać wszystkimi zmysłami.

Konstancja zaczęła się jednak niepokoić o możliwość zabrania tego wszystkiego do samolotu.

– Moje dziecko, nie chciałabym, żebyś miała z naszego powodu jakieś kłopoty. Przepisy są raczej rygorystyczne. Co ty z tym zrobisz?

– Najwyżej dopłacę za nadbagaż. Niech się pani nie martwi. – Ewa gorliwie upychała pudełka z jednej strony samochodu, w czasie gdy sceptyczny Piotr wyciągał je na zewnątrz z drugiej strony.

– Poczekaj, tak się tego nie da zrobić – tłumaczył. – Przecież będziesz miała przesiadkę w Paryżu. Jak zamierzasz sama to wszystko udźwignąć? Tyle pudełek?

– Piotr ma rację, Ewo, to do walizy z kółkiem zapakować trzeba. Nie tak osobno – zgodziła się z mężem Sophie.

– Nie mam już drugiej walizki na kółkach. A w torbie jest sprzęt.

– Przecież ona ma tylko dwie ręce!

– Jakoś dam sobie radę.

– A ja wam mówię, że trzeba to przepakować.

– A my chcemy z panią Ewunią polecieć samotołem!

– Samolotem, *imbécile!*

– Blanche! Nie przezywaj siostry.

– Stefan, nie krzycz na dzieci.

– I to ma być według ciebie wychowywanie?

– Uspokójcie się! – zarządziła Konstancja, przykładając dłoń do czoła takim gestem, jakby ją nagle rozbolała głowa. – Elizo, poproś Paula, żeby przyniósł moją podręczną walizkę, będzie w sam raz. A reszta, odsuńcie się! Stefan, zabierz dziewczynki z samochodu. Michał, uspokój psa. Niech tu wreszcie zapanuje jakiś porządek, bo ona się spóźni na samolot. Proszę to wszystko wyjąć i zapakować jeszcze raz.

– To ja pomocnym być mogę. – Stojący nieopodal Gérard wyjął z rąk Ewy skrzyneczkę z butelkami wina. – Panna pozwoli, że się tym zajmę.

– Pomóż mi, tę walizę trzeba przesunąć w prawo – poinstruował go Piotr.

Panowie zanurzyli się w czeluści bagażnika. Gdy wreszcie auto Elizy zostało odpowiednio załadowane, pożegnanie z konieczności musiało już być krótkie. Czas mijał nieubłaganie.

– Obiecuj, że pisać będziesz do mnie, Ewo – poprosiła Sophie, przytulając ją. – My zostać musimy przyjaciółkami. I ty przyjedziesz jeszcze, prawda? Bo ja teraz nie powinna *voyager en avion*<sup>[112]</sup>. Ale kiedyś odwiedzimy ciebie.

– Oczywiście, że przyjedzie – weszła jej w słowo Konstancja. – Przecież Eliza i Pierre zaprosili ją na swój ślub w październiku.

– Przywieź ze sobą oscypki – poprosił Aleks. – Nazwa jest fajna, muszę tego spróbować.

– Postaram się, specjalnie dla ciebie. – Ewa zmierzwiła chłopakowi włosy przyjacielskim gestem, choć udawał, że się broni. – Do widzenia wszystkim. Jeszcze raz serdecznie dziękuję za wspaniałą gościnę.

Konstancja, zamiast uścisnąć dłoń młodej kobiety, niespodziewanie ją objęła.

– Do zobaczenia, moje dziecko. Pamiętaj, że nasz dom jest dla ciebie zawsze otwarty.

– Dziękuję.

– My już naprawdę musimy jechać. – Eliza zagarnęła Ewę łagodnym gestem, a Gérard otworzył drzwi samochodu.

Niespodziewanie w dyskretny sposób podał Ewie kopertę.

– To dla panny – szepnął. – Będę szczęśliwy, jeśli panna Ewa później przeczyta to raczy. *Je vous souhaite un bon voyage*<sup>[113]</sup>.

Samochód ruszył. Zmieszana Ewa, przytłoczona chaotycznym pożegnaniem, bezwiednie schowała kopertę do torebki. Wychyliła się z okna auta i jeszcze raz spojrzała na zgromadzonych przed domem.

– Do widzenia! Napiszę do ciebie, Sophie, zaraz po przyjeździe! – krzyknęła do machającej kobiety, ale jej wzrok spoczął też na Gérardzie.

– Mam nadzieję, że do mnie też się odezwiesz. Nie tylko do Aleksa i Sophie. – Eliza uśmiechnęła się znad kierownicy.

– Oczywiście, zresztą szef powiedział, że w ciągu tygodnia prześlemy ci ostateczną wersję zdjęć, więc i tak będę telefonować.

– Mam nadzieję, że i on doceni twój wysiłek. Włożyłaś w to całe serce, należy ci się zatem jakiś awans.

– Awans? Nie sądzę, ale może zyskam trochę zawodowego szacunku w jego oczach. W końcu dzięki temu zleceniu nasza firma weszła na rynki międzynarodowe. – Ewa uśmiechnęła się szeroko. – Ale niezależnie od reakcji szefa chciałabym coś zmienić w swoim życiu zawodowym.

– Znowu?

– Nie, nie w tym sensie. – Przypomniała sobie rozmowę, w czasie której opowiedziała Elizie o tym, jak rzuciła etat w szkole. – Chciałabym, tak jak ty, robić coś dla ludzi. Połączyć swój talent z jakimś działaniem społecznym, czy ja wiem...

– Jakim?

– No właśnie nie jestem pewna.

– Najważniejsze są chęci. Kiedy przylecisz na moje wesele, może już będziesz mogła powiedzieć coś więcej.

– Naprawdę chcesz, żebym przyleciała? Między nami mówiąc, myślałam, że to raczej było kurtuazyjne zaproszenie.

– Oczywiście, że musisz przylecieć. Tylko nie jako fotograf, ale jako gość. Zaproszenie jest naturalnie dla dwóch osób, więc zabierz ze sobą Jurka. Tak mu chyba na imię, prawda?

– Postaram się być na twoim ślubie. Ale na pewno bez Jurka. – W głosie Ewy zabrzmiała ostra nuta, która wzbudziła ciekawość Elizy.

Taktownie powstrzymała się jednak od pytań. Spojrzała na zegarek.

– Mam nadzieję, że zdążymy – mruknęła.

– Elizo, jest jeszcze jedna sprawa – zaczęła Ewa trochę niepewnie.

– Tak?

– Na pewno wiesz, że Aleks, ja i Sophie bawiliśmy się trochę w historyczne poszukiwania. Obiecał, że będzie mi pisał o ewentualnych kolejnych odkryciach. Nie chcę jednak, żeby pani Konstancja miała do niego pretensje, że chłapie językiem do obcych o rodzinnych tajemnicach. Spróbuj dyskretnie czuwać nad tym, co on znajdzie w waszych dokumentach.

– Nie martw się. Nawet gdyby babcia wpuściła go dzisiaj do swojego archiwum, to miną lata, nim on coś odkryje. Dokumenty wymagają przede wszystkim uporządkowania. Na razie to po prostu zbiór papierów, książek i notatników poupychanych w starych kufrach.

– Leżą tam w tych pozamykanych pokojach?

– Owszem, razem z innymi pamiątkami. W zasadzie cieszy mnie myśl, że mogę w przyszłości złożyć to zadanie na jego barki. Sama powinnam się tym zająć, ale wiesz, że mam zupełnie inne sprawy na głowie. Dlatego jestem ci wdzięczna, że zdopingowałaś go do zdobycia odpowiedniego wykształcenia. Kto jak to, ale archiwista historyk bardzo się u nas przyda.

– On sam widzi się raczej w roli historyka detektywa – zaśmiała się Ewa.

– Wiem, ale to mądry chłopiec. Babcia już jest z niego dumna.

Ewa przypomniała sobie nagle coś ważnego.

– No właśnie, czy mogłabyś porozmawiać z panią Konstancją o czymś jeszcze?

– Oczywiście.

– Zaproponuj jej, żeby powiesiła ten spadający obraz na ścianie dziedziczek, obok

portretu dziewczyny w fioletowej sukni.

– Na ścianie dziedziczek? Mężczyznę? To niemożliwe.

– Ja wiem, że to pozornie wbrew tradycji, ale zróbcie to przynajmniej na próbę.

Proszę.

– Nie rozumiem. – Zaskoczona Eliza przyhamowała przed skrzyżowaniem w miasteczku, bo zapaliło się czerwone światło. – Skąd taki pomysł?

– To trudno wyjaśnić... Po prostu czuję, że stamtąd już nie spadnie.

– Jeśli się go porządnie przymocuje, to nie spadnie i z innej ściany. – Eliza nie była przekonana do dziwacznej propozycji.

– Spadnie. – W głosie Ewy zabrzmiała taka pewność, że Francuzka spojrzała na nią uważnie.

– Co ci chodzi po głowie?

– Nie pytaj mnie, skąd wiem, bo to sprawa między mną a Florą. – Zaabsorbowana tłumaczeniem Ewa nie zauważyła, jakie wrażenie zrobiły jej słowa. – Ten obraz ma prawo wisieć na ścianie dziedziczek. Są na nim właściwie we troje.

– We troje? Kto?

– On i jego dwie córki, bliźniaczki. Ojciec i dwie białe róże. Jak lew walczył ze swoją babką o ich szczęście. Mają prawo wisieć na tej ścianie, bo posiadłość tak naprawdę należała do nich obu.

Eliza milczała przez chwilę. Trudno jej było ukryć, że odpowiedź Ewy ją poruszyła.

– Mówisz o pierwszych bliźniaczkach w naszej rodzinie? Skąd... skąd o nich wiesz?

– Można powiedzieć, że się domyśliłam – odparła wymijająco. – Zatem to prawda? Tak przypuszczałam, lecz Aleks nic nie wiedział o ich istnieniu. No i nie znaleźliśmy portretu drugiej siostry.

– Zaskakujesz mnie, Ewo, na każdym kroku – wyznała Eliza. – Ale masz rację. Babcia uczyła mnie kiedyś historii naszego rodu, żeby miał ją kto opowiedzieć przyszłym pokoleniom. Wtedy nie spodziewałyśmy się jeszcze, że będziemy mieć w rodzinie takiego dociekliwego Aleksa. Choć to była opowieść pełna niewiadomych, fakt podwójnych narodzin został odnotowany w kronikach. Tylko nigdy się nie zastanawiałam, dlaczego nie ma drugiego portretu. Skoro były bliźniaczkami, wyglądały zapewne tak samo.

– No, niezupełnie – mruknęła Ewa.

– Słucham?

– Nie, to nic ważnego. Porozmawiasz więc z panią Konstancją o spadającym obrazie?

– No cóż, to dość dziwny pomysł... ale może warto spróbować.

Ewa myślami była już w Polsce. W samolocie okazało się, że bilet pierwszej klasy, który wykupiła dla niej Eliza, pozwalał jej cieszyć się luksusem, jakiego się nie spodziewała. Jak zwykle z zachwytem przyglądała się wszystkiemu dookoła, z odrobiną złośliwej satysfakcji myśląc o tym, że jutro opowie o swoich wrażeniach w pracowni przy Jacku.

„Jestem wstrętnym złośliwcem – pomyślała zadowolona, wyobrażając sobie minę zazdrosnego kolegi. – Ale może to go nauczy pokory wobec kobiet i wobec klientów. Nasza firma dobrze na tym wyjdzie, gdy Jacuś przestanie wreszcie zgrywać ósmy cud świata”.

Jeszcze z lotniska w Paryżu wysłała esemesy do rodziny i do Joli. Koleżanka przysłała jej w odpowiedzi uśmiechniętego stworka i długachny komentarz:

*Cieszę się jak cholera, że już wracasz. Nudno tu bez Ciebie. Na wtorek wypisałam Ci urlop, jak chciałaś, ale w środę przyjdź wcześniej. Piękę kremówki. Szef był w szoku, że klientka już zapłaciła. Jackowi powiedział, że jesteś obiecującym pracownikiem i warto w Ciebie inwestować. Gratuluję. Buziaki.*

Dostała też esemesa od rodziców, którzy napisali, że tęsknią i także pieką dla niej ciasto na powitanie.

„Kochana mama. – Ewa uśmiechnęła się do swoich myśli. – Tylko ciekawe, ile ja niedługo będę ważyć? Tam kolacyjka pożegnalna, w Polsce powitalna, Jola też nie odpuści kremówek. Nigdy się nie odchudzałam, ale w tym tempie wkrótce nie zmieszczę się w swoje ciuchy – westchnęła. – Gdybym wyglądała jak Eliza...”.

Zrobiło się jej smutno na wspomnienie pożegnania.

– Elizo, nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna – powiedziała, ściskając ją na lotnisku. – Przez dwa tygodnie tutaj przeżyłam więcej niż przez cały zeszły rok. Szkoda, że mieszkacie tak daleko. Będzie mi was brakować. – Potarła wilgotne oczy i niemal wydłubała sobie soczewkę. – O matko!

Zaskoczona Eliza rzuciła się jej na ratunek, ale na szczęście w ostatniej chwili Ewie udało się uratować swoje szkło kontaktowe i nie stracić przy tym oka.

– Nie wiedziałam, że jesteś krótkowidzem – stwierdziła Eliza, przyglądając się jej. – Jak widać każdy ma swoje małe tajemnice. Już w porządku?



– Tak, dzięki. Fotograf krótkowidz to trochę kiepska reklama, więc się nie chwale – odparła Ewa przeprasząc. – Ale to żaden sekret.

– O, twoja bramka do odprawy jest tam. Do zobaczenia.

Stewardesa zaczęła właśnie roznosić posiłek, przerywając jej wspominki. Ewa z dużym rozczarowaniem spoglądała na to, co jej podano, choć wcześniej sama wybrała potrawę. Mimo pierwszej klasy posiłek nawet w najmniejszym stopniu nie przypominał tych cudownie pachnących kolorowych dań, którymi raczyła się przez ostatnie dwa tygodnie.

„Trudno. Pora wrócić na ziemię” – pomyślała.

Sięgnęła do torebki po chusteczkę, by dyskretnie zetrzeć błyszczak z ust przed jedzeniem i nagle pod palcami wyczuła coś dziwnego.

– Co to? Ach, koperta. Zupełnie zapomniałam – mruknęła, wyjmując tajemniczy prezent, który dostała od Gérarda.

W środku znajdowała się kartka złożona na trzy części.

„List?” – zdziwiła się, rozprostowując pomięty papier.

Gdy skończyła czytać, wciąż z niedowierzaniem wpatrywała się w kartkę.

„No coś takiego! – myślała rozemocjonowana. – Przecież zamieniliśmy raptem parę zdań... Nic się nie zdarzyło. Poza tym, że się kilka razy przed nim totalnie skompromitowałam. – Skrzywiła się. – Myślałam, że uważa mnie za wariatkę, a tymczasem... Nic z tego nie rozumiem”. Usiłowała sobie szybko przypomnieć swoje spotkania z ogrodnikiem.

W kontekście nieoczekiwanego listu, który trzymała na kolanach, wszystkie błahy wydarzenia nabierały jednak zupełnie innego znaczenia.

„To, że w jego obecności zawsze traciłam grunt pod nogami, w przenośni i dosłownie, przecież nic nie znaczy – przekonywała siebie, gorączkowo analizując w myślach swoje odczucia. – No, może wtedy przy basenie... Nie, po prostu mnie zaskoczył i tyle... Dziwne, ale wciąż pamiętam zapach jego wody kolońskiej”. Nawet nie zauważyła, że serce zaczęło jej szybciej bić, gdy przypominała sobie tamtą scenę.

Wtedy uznała jego zachowanie za aroganckie i niestosowne, zwłaszcza gapienie się na jej biust. Jednak, mając przed oczyma list od niego, niespodziewanie ujrzała tę scenę w zupełnie innym świetle.

„I co ja mam z tym zrobić? Normalnie szok! Na dodatek napisał to w całości po polsku – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. – Nie, nie! Spokojnie, nie chcę go urazić, ale... Przecież on nawet nie jest w moim typie. Ja wcale nie lubię wąsów i ogólnie wolę Janka Bohatyrowicza od Wołodyjowskiego – dyskutowała w myślach

sama ze sobą. – Owszem, był zabawny i nawet przystojny – przyznała z ociąganiem. – Tylko co z tego? Mam na razie dość facetów. Zresztą prawie go nie znam ani on mnie. To jakiś absurd... Ale jeszcze nikt dla mnie nie napisał czegoś takiego. – Zgrabne litery wciąż przyciągały jej wzrok. – A może to tylko żart? Może po prostu chciał być miły? Trafił mi się romantyczny błędny rycerz, cholera! Najlepiej byłoby zapomnieć o tym, ale... Nie, nie da rady. Eliza zaprosiła mnie na ślub, więc i tak go zobaczę... Znowu się w coś wpakowałam! Lepiej pomyślę o tym jutro”. Odłożyła list na wolne siedzenie obok i zaczęła łapczywie pochłaniać posiłek, bo nagle poczuła się bardzo głodna.

Na pomiętej kartce widniał tekst:

*Szanowna panno Ewo,*

*mam nadzieję, iż zechcesz przyjąć ode mnie w podarku tych kilka słów, którym dla Ciebie prosto z serca napisał. Liczę, iż zechcesz zachować w łaskawej pamięci i Francję, i postać skromnego ogrodnika, któremu Twa wizyta wielką sprawiła radość.*

*Takżeś mi, Miła,*

*zawróciła w głowie,*

*kiedym na progu serca Cię obaczył,*

*żem przestał słuchać, co mi rozum powie.*

*Jako bumerang*

*wracasz do mych myśli,*

*tedym spokojność całą swą utracił*

*i jeno ganię ten mój upór ośli.*

*Jakże skuć duszę*

*zimy wiecznym lodem,*

*gdy swym uśmiechem wiosny przebudzenie*

*i odwilż niesiesz, nic nie wiedząc o tem?*

*Jakoż bez Ciebie*

*rozterki się pozbyć,*

*czy wolisz przyjaźń mieć, czy miłowanie?*

*Chyba cierpliwym wypada mi pobyc.*

*Bo pozostaje mi jeno czekanie...*

*Gérard*

---

[111] Superważna informacja (fr.).

[112] Podróżować samolotem (fr.).

[113] Szczęśliwej podróży życzę (fr.).

# Rozdział 15

## Środa

– Witamy naszą międzynarodową siłę fotograficzną! – Szpakowaty mężczyzna podbiegł do Ewy niemal w podskokach i ku jej zaskoczeniu pocałował ją w rękę. – Pięknie się spisałaś, dziewczyno! Musiałaś owinąć sobie tych zabojadów dookoła palca, ale zawsze wiedziałem, że twój urok osobisty kiedyś nam zaprocentuje. Dobrze wybrany pracownik to połowa sukcesu. Jak mój sprzęt? Nadal działa?

Ewa nie zdążyła odpowiedzieć na tak dziwaczne powitanie, bo z pracowni wyjrzał Jacek, a tuż za nim Jola.

– Witaj, kochana, nareszcie jesteś. Już nie mogłam tu wytrzymać z tymi samcami. – Puszysta blondynka zbliżyła się do niej, kołysząc zmysłowo biodrami. – Chodź na kawę. I zostaw tę torbę. Szef sam się zajmie swoimi zabawkami.

– Oczywiście, oczywiście, moje drogie panie. Byle nie za długo trwała ta kawa. Za chwilę chcę pełnego raportu z delegacji. – Mężczyzna, zacierając ręce, zniknął w swoim gabinecie.

– Cześć, chłopaki! – Ewa przywitała się z zespołem.

– Cześć, piękna. – Usłyszała chóralną odpowiedź.

Bez entuzjazmu klapnęła na swoje krzesło. Na biurku czekała na nią wielka patera z ciastkami, a Jola zakrzętała się koło ekspresu.

– Zaraz będzie kawa. Czemu masz taką minę?

– Urok osobisty! Słyszałaś? Powiedział: „urok osobisty” – rzuciła Ewa z rezygnacją i bezmyślnie sięgnęła po kremówkę. – Dlaczego nie talent czy pracowitość? Dlaczego nie doświadczenie zawodowe?

– A to są pytania retoryczne?

– Daj spokój. Tak się cieszyłam, że wreszcie mnie doceni, a on uważa, że udało mi się przez przypadek.

– Nie przejmuj się. Przecież go znasz, nie robi tego celowo. Po prostu uważa, że w tym gronie on jest mistrzem, a wy tylko uczniakami. Taka drobna słabość

charakteru. – W głosie Joli nie było słycać przygany, raczej sympatię i wyrozumiałość. – I tak zarobiłaś u niego duży plus. Ja to wiem. – Mrugnęła do niej.

– Jolka ma rację, nie przejmuj się – skomentował jeden z kolegów.

– Mnie zauważył dopiero po dwóch latach – stwierdził Sławek, nakładając sobie na talerzyk szarlotkę. – No co? Powiedziałaś, żeby nie ruszać ciastek do przyjazdu Ewy. Już przyjechała, czyli można – usprawiedliwił się, widząc spojrzenie sekretarki. – A jeśli chodzi o zawodowe ego naszego szefa, to nawet święty Juda Tadeusz niewiele by pomógł. Trzeba go lubić takim, jaki jest.

– Dlaczego święty Juda Tadeusz?

– Jest patronem spraw beznadziejnych – zaśmiał się.

– To może uczynię go swoim osobistym patronem – westchnęła Ewa.

– Nic z tego – zaprotestowała Jola.

– Czemu?

– Bo wtedy zabrakłoby mu czasu dla Jacka. Przy nim jest ciągle zajęty.

– Bardzo śmieszne, wiesz! – oburzył się młody mężczyzna, prychając cukrem pudrem z kremówki po wykładzinie i własnym krawacie. – Zresztą o czym tu gadać? Zlecenie jak każde inne.

– Zazdrościsz, Jacek, zazdrościsz – mruknął Sławek.

– Czego? Chyba tego, że szef oddał jej najlepszy sprzęt. Dosłownie nie było na czym pracować.

– No ty się, Jacuś, akurat zapracowywałeś! – parsknęła Jola. – Zamiast przygotowywać plan sesji na wesele burmistrzówny, umawiasz się z nią na jakieś kawki i biegasz do solarium. To mocno podejrzone.

– Muszę przecież ustalić jej oczekiwania, omówić plenery, poznać modelkę... – Niespeszony Jacek tym razem wepchnął sobie do ust wielki kawał sernika. – Mniaam, pycha, kto to piekł?

– Ja. I ostrzegam, że następny kawałek kosztuje dziesięć złotych. Wiesz, gdzie stoi puszka.

– Mów, co chcesz, Jacek, dla mnie to też dziwne, że spotykasz się wyłącznie z burmistrzówną, a nie z jej narzeczoną – mruknął Tomek. – W końcu to także jego ślub. Na dodatek jeszcze tak się pindrzysz po tych solariach i fryzjerach, że aż wstyd.

– Ja się nie muszę pindrzyć, mnie w liceum ogłoszono supermenem szkoły.

– Jaka szkoła, taki supermen. – Jola pokiwała z politowaniem głową.

Rozległy się chichoty.

– No wiesz! Chyba masz dzisiaj babską chandrę. Co się tak mnie czepiacie? Kiedy Ewka dwa tygodnie wyleguje się na słońcu, to nikt nie komentuje. A jeszcze potem

dostała dzień urlopu, jakby miała po czym odpoczywać. Natomiast gdy ja zbieram dokumentację do pracy, to się lenię, tak? Jeszcze zobaczycie! – Z brzękiem odstawił talerzyk i wyszedł z pracowni.

Jola tylko westchnęła.

– Zapamiętajcie moje słowa: jeśli on spieprzy to wesele, będziemy się mieli z pyszna. Burmistrz tak nam zrobi koło tyłka, że się nie pozbieramy.

– Nie spieprzy – zaproponował Sławek. – Teraz już nie. Będzie chciał wszystkim udowodnić, że jest najlepszy, więc przestanie gadać i weźmie się w końcu do roboty. Sam przecież wyzebrał u szefa tę szansę. A poza tym burmistrz lubi wazelinę, ergo Jacek się świetnie nadaje.

– A ty, Jolka, mogłabyś mu trochę odpuścić. To nie jest zły chłopak, po prostu jeszcze szczeniak. Z tego się wyrasta.

– Toteż właśnie go wychowuję, Tomeczku. Ktoś musi. Wasza męska solidarność na razie nie wyszła mu na dobre, jak widać.

– Oj tam. Myślałby kto, że jesteś feministką.

– Ja? Nigdy w życiu. Sławku, chciałam uprzejmie zauważyć, że właśnie wyżerasz Ewie ostatnie ciastka. Ależ wy, faceci, jesteście jak hieny, tylko wam słodkie pokazać!

– No, faktycznie pyszne – zachwycił się z pełnymi ustami, nakładając sobie na talerzyk kolejny kawałek. – Gdybym lubił blondynki, ożeniłbym się z tobą, Jolka, choćby dla takich ciastek. Tak, tak, wiem, dziesięć złotych – rzucił z uśmiechem, widząc minę sekretarki. – Fajnie, że już wróciłaś, Ewa.

– Może pokażesz nam swoje dzieło? Chcemy zobaczyć tę rudą piękność, o której mówiła Jolka – poprosił jeden z kolegów. – Jacek wykasował fotografię, którą przysłałaś i nikt nie widział tej słynnej zleceniodawczyni. Naprawdę taka ładna?

– Ładna, ładna. I zajęta. W październiku jadę na jej ślub.

– Nie potrzebują przypadkiem fotografa? – spytał Sławek z nadzieją, oblizując widelczyk. – Czy sama się tym zajmiesz?

Ewa spojrzała na niego z błyskiem w oku.

– Nie, jestem zaproszona jako gość. Ale wiesz co? To nie jest głupi pomysł. Zorientuję się.

– Super. Szef będzie zachwycony, że podsyłasz mu następne zlecenia.

– Sławek! Albo płacisz za każde następne ciastko, albo natychmiast mnie prosisz o rękę – oświadczyła surowo Jola, widząc łakomstwo kolegi.

– Królowo moja! Jestem po wypłacie, więc dostaniesz do puszek, co zechcesz. Druga możliwość niestety nie wchodzi w grę. Nie mam ochoty zginać z ręki mojej żony albo

szefa.

– Szefa? – zdziwił się Tomek.

– Ty jak zwykle niezorientowany. Każdy widzi, że on przy Joli zamienia się w prawdziwego tygrysa.

– Doprawdy? Ja chyba czegoś nie wiem. – Rozbawiona Ewa po raz pierwszy w życiu zobaczyła rumieniec na twarzy Joli.

– No to sobie nagrabiłeś, chłopie – szepnął do Sławka najbliższy siedzący kolega. – Nie zazdroszczę.

\* \* \*

– Jeszcze nie śpisz, dziecko? – zapytała mama, uchylając drzwi.

Ewa musiała w duchu przyznać, że miło jest usłyszeć takie zabawne pytanie od własnej matki, gdy ma się na karku ćwierć wieku.

– Zaraz kończę, mamciu. Rozmawiam z Leszkiem na Gadu-gadu, bo już późno, więc nie chciałam wchodzić na Skype’a. Pytał mnie, jak mi poszło dzisiaj w pracy.

– Nie siedź długo, kochanie. Leszek wpadnie jutro na obiad ze swoimi kobietkami, to sobie znowu pogadacie. Nie musisz zarywać nocy, śpij dobrze – powiedziała mama ciepło i bezszelestnie zamknęła za sobą drzwi.

Ewa skończyła rozmowę z bratem i przeciągnęła się.

„Jak miło! – pomyślała. – Nawet do spania zagonię o odpowiedniej porze, zupełnie jak za dawnych dobrych czasów... To był świetny pomysł, żeby pomieszkać kilka dni u rodziców”.

Gdy młodszy brat odebrał Ewę w poniedziałek z lotniska, zgodnie ze stanowczym poleceniem matki przywiózł ją do rodzinnego domu. Nie musieli jej długo przekonywać, by została na kilka dni. W wynajmowanym mieszkaniu czekała na nią tylko pusta lodówka i poniewierające się po wszystkich kątach drobiazgi Jurka. Wiedziała, że będzie musiała mu je odesłać, ale na razie nie miała siły się z tym zmierzyć.

Rodzinna kolacja, zgodnie z przewidywaniem, była smakowita i zdecydowanie polska: sałatka warzywna i druga z kaszą gryczaną, smażone kielbaski w sosie pomidorowo-chrzanowym, śledzik w śmietanie, jajka z majonezem, marynowane grzybki, domowa szynka, ciemny chleb i na wyraźne życzenie Ewy – całe morze herbaty.

Po obżarstwie wszyscy z ciekawością wysłuchali opowiadań o Francji, Michał zaś nie mógł się oderwać od zdjęć. Ucieszył się na wieść o tym, że Teodor zgodził się



w przyszłym roku zatrudnić go przy winobraniu lub przy zbiorach lawendy.

Po podróży Ewa była koszmarne zmęczona, ale nie mogła się wprost nacieszyć swoją rodziną, więc rozmowy przeciągnęły się do późna. Dopiero koło północy mama odesłała ją siłą do pokoju, który mimo iż stał się ostatnio biblioteką, wciąż wyposażony był w jej stare żelazne łóżko.

Rodzice pomalowali ściany na oliwkowy kolor, kupili regały na książki, nowe biurko i skórzany fotel. Ale po kątach wciąż kryły się wspomnienia z dzieciństwa; przynosiły jakiś kojący spokój i poczucie bezpieczeństwa.

Być może dlatego pierwszą od dwóch tygodni noc Ewa przespala wreszcie spokojnie i bez snów, a rano, korzystając z dnia urlopu, długo wylegiwała się w łóżku. Zanim wstała, rozśmieszyła ją myśl, że wreszcie może pójść na śniadanie o dowolnej porze, w piżamie i że nikogo to nie zdziwi.

„Zostanę tu do końca tygodnia” – pomyślała sennie i wyłączyła komputer.

Gdy swoim zwyczajem otworzyła okno na całą szerokość, chłód nocy wdarł się do środka orzeźwiająca falą.

„Tutaj nawet noc jest inna niż w Prowansji”. – Uśmiechnęła się do swych myśli.

W domu Elizy lubiła stać w oknie i patrzeć na park oraz na równo przystrzyżone trawniki. W porównaniu z tamtym widokiem ogródek rodziców i kawałek ulicy oblanej żółtym światłem latarni wydały się jej nagle zbyt mało przestrzenne. We Francji jej wzrok mógł się wzbić ponad czubki drzew i niemal jak w tamtym dziwnym śnie poszybować w dal ku wzgórzom; w Polsce zatrzymywał się na szarej ścianie domu sąsiadów i jeśli chciał pokonać przestrzeń, musiał zmierzać ku gwiazdom.

To porównanie skali rozbawiło ją.

„A jednak tu jest przytulniej i bardziej swojsko, choć chłodniej” – przyznała w duchu i pospiesznie wskoczyła pod cienką, letnią kołdrę.

Powierciła się przez chwilę w pachnącej świeżością pościeli, zgasła nocną lampkę i zapatrzyła się w sufit, na który księżyc rzucał cienie drzew rosnących w ogrodzie.

„Nawet gdy jest się całkiem samodzielnym, dorosłym człowiekiem przyjemnie mieć świadomość, że gdzieś jest dom rodzinny, do którego w każdej chwili można wrócić – pomyślała, ziewając. – Chociaż nie, nie wszyscy mogą wrócić”. Przypomniała sobie Eugenię.

Gdy po powrocie zapytała rodziców o spadek, okazało się, że większość drobiazgów ocalałych po ciotce zostało już rozdzielonych zgodnie z testamentem, który ciotka spisała na dwa tygodnie przed wylewem, jakby przeczuwała własną śmierć.

Mama z entuzjazmem opowiedziała o spotkaniu z rodziną, podczas którego z rozwianym włosom biegła po ciasnym salonie, obdzielając wszystkich ciastem, sałatkami, kanapkami i herbatą. Lubiła być aktywną gospodynią i dopiero w tłumie rozgadanych, głodnych ludzi czuła się w swoim żywiole, zupełnie odwrotnie niż Ewa. Spokojny ojciec pilnował natomiast napełniania kieliszków, próbując metodą złotego środka utrafić z ilością alkoholu pomiędzy wprawienie gości w dobry nastrój a przekroczenie płynnej granicy, za którą zaczynały się niezdane pretensje i kłótnie. Na szczęście tym razem obyło się bez scen. Wszyscy: ciotki, wujkowie i kuzyni, wyjechali zadowoleni nie tylko z miłego spotkania, ale i ze zdobyczy.

Rodzicom Ewy, według testamentu Eugenii, przypadła w spadku piękna, stara porcelana niewiadomego pochodzenia, choć komentarze krewnych jednoznacznie sugerowały, skąd taki komunista jak jej mąż mógł mieć w domu antyki. Michaś i Leszek dostali do podziału kolekcję naukowych książek, należącą do rosyjskiego wuja, oraz wielki klaser ze znaczkami. Ewie przypadł tajemniczy kuferek.

Zajęta urządzaniem swojego życia, zmianą pracy i Jurkiem, nigdy wcześniej nie interesowała się testamentem Eugenii. Wiedziała tylko, że ciotka jeszcze przed śmiercią chciała jej wysłać kuferek z niewiadomą zawartością. Nie zdążyła jednak, więc przesyłką zaopiekował się znajomy adwokat Eugenii, który później załatwiał większość jej nieuporządkowanych spraw.

Ewa nie miała pojęcia, dlaczego procedury spadkowe okazały się bardziej zawikłane, niż to zwykle bywało, ale po minach rodziców widziała, że nie powiedzieli jej wszystkiego. Wyjaśnili tylko swoim dzieciom, że dom ciotki, meble, biżuterię i wszystkie inne cenne rzeczy zajął już wcześniej komornik.

Rodzina aż do ogłoszenia testamentu nie wiedziała, że Eugenia miała spore długi. Przyjęcie spadku wiązało się ze spłatą tych zobowiązań. Wywołało to sporo emocji i prawnych perturbacji, jednak ostatecznie okazało się, że Eugenia przeznaczyła niespłacone kredyty na zbożny cel. Z poświęceniem pomagała w odbudowie zniszczonego przez pożar ośrodka dla upośledzonych dzieci, prowadzonego przez zaprzyjaźnione z nią siostry zakonne. Tylko niewielką część kwoty wydała na prywatny użytek – budując na cmentarzu solidny grobowiec dla siebie i ukochanego męża, tuż obok grobu jej rodziców.

Kuferka Ewy wszyscy byli ciekawi. Na szczęście matka nie pozwoliła nikomu go tknąć, tym bardziej że klucz do niego został w depozycie u adwokata i miał nadejść pocztą osobno.

Niecierpliwy Michaś snuł opowieści o skarbach i zaraz po powrocie siostry zaproponował użycie łomu lub innego wygodnego narzędzia do otworzenia kufra. Ewa,

która skrycie liczyła na pamiętniki, stare zdjęcia i inne szpargały, zdecydowanie jednak zaprotestowała i upchnęła skrzynkę pod łóżkiem w swoim dawnym pokoju.

Przed wyjazdem do Francji perspektywa papierowych staroci wypełniających rzeźbiony kuferek nie byłaby dla niej zbyt atrakcyjna, lecz pod wpływem Aleksandra spojrzenie Ewy na rodzinne pamiątki wyraźnie się zmieniło. Nie spieszyło się jej zatem, chciała nacieszyć się w myślach niespodzianką, którą przyszykowała ciotka.

„Jakie to dziwne – pomyślała, nasłuchując brzęczenia komara w ciemności. – Gdyby nie rodzina Elizy, pewnie dopiero za kilka lat zainteresowałabym się własną historią rodzinną. Może dopiero na emeryturze? A kufer upchnęłabym w piwnicy albo na strychu. Aż mnie korci, żeby skorzystać z rady Michasia, ale poczekam na klucz. Sama radziłam Aleksowi, by ćwiczył się w cierpliwości. Nie mogę być gorsza” – westchnęła w duchu.

Świadomość tego, że pod łóżkiem czeka na nią kawałek historii, była nęcąca.

– To jakby się czekało na prezent, który już wcześniej przypadkowo znalazło się w szafie – mruknęła, ziewając. – Jak przed mikołajkami... Jest tyle innych spraw do załatwienia, ale nie chce mi się o nich myśleć... – Jej szept brzmiał coraz ciszej.

Wtuliła się w poduszkę i uległa przyjemnemu wrażeniu zasypiania.

Nagle rozległ się dźwięk esemesa. Na wpół rozbudzona zaklęła w duchu, że nie wyciszyła na noc telefonu i wzrokiem przeczesła pokój. Niebieski poblask światła zobaczyła na biurku.

– Co za ludzie wysyłają esemesy po nocy, zamiast spać? – narzekała, wyplątując się z pościeli, a przy okazji zabijając komara na własnym policzku. – Auć! Ciekawe, czemu w Prowansji nie było komarów? Chociaż i tak to lepsze niż ich cykady.

Na wyświetlaczu telefonu zobaczyła wiadomość od Aleksandra.

– No tak. Odgrywa się na mnie – stwierdziła z przekąsem. – Co go tak przypiliło?

*Ewo, nie wiem, jak to zrobiłaś, ale prababcia kazała powiesić obraz przodka na ścianie dziedziczek. Podobno ją namówiłaś. Nawet rozumiem dlaczego, ale to nie rozwiązuje problemu. O ile zakład, że z tej ściany też zleci? I to jeszcze dzisiejszej nocy.*

– Nie bądź taki pewny siebie, dzieciaku – szepnęła z zadowoleniem, wystukując szybko odpowiedź. – W twojej rodzinie to kobiety mają ostatnie słowo. Ale skoro chcesz, przy okazji upiekę dwie pieczenie przy jednym ogniu. Okazja sama pcha mi się w ręce.

Wysłała esemes, wyciszyła telefon i z westchnieniem ulgi wróciła do łóżka.

We Francji ucieszony Aleksander zacierał ręce, czytając odpowiedź:

*OK, przyjmuję zakład. Jeśli spadnie w ciągu trzech dni, przywiozę Ci dużo polskich przysmaków i najlepsze książki naszych historyków. Ale jeśli nie spadnie, będziesz wkuwał matkę z ojcem i załatwisz mi adres e-mailowy Gérarda. Obiecałam mu podać kilka zdjęć. Stoi?*

Uradowany perspektywą prezentów, chłopiec odpisał szybko: *Stoi*. Telefon Ewy zamigał światełkiem, ale tym razem już jej nie wyrwał z łóżka.

„Będę się smażyć w piekle za te kłamstwa. No ale dla dobra sprawy...” – Ewa, całkowicie pewna swego zwycięstwa, zbeształa się w myślach, zanim odpłynęła w sen.

# Rozdział 16

## Piątek

– Na razie masz wolne – oznajmiła Jola. – Zlecenia są rozdzielone, chwilowo zastój w interesie.

– Na pewno nic nie ma? – Rozczarowana Ewa wpatrywała się w grafik. – Myślałam, że firma wychodzi z cienia?

– Owszem, szef właśnie nagrywa jakąś robotę. Zabrał na lunch tę babeczkę z wydawnictwa. Mają robić albumy o regionach Polski i jest szansa, że się wkęcimy. Zrobić ci kawy?

– Jeśli można, poproszę herbaty.

– Zielonej?

– Tak. A co do albumu, to pewnie nie mam szans, żeby się włączyć do tego projektu? – spytała smętnie.

– Nie martw się, kobieto. – Jola postawiła przed nią filiżankę i czajniczek. – Pamiętam, że krajobrazy to twój konik. Osobiście dopilnuję, żebyś na tym zleceniu skorzystała.

– Naprawdę? Myślisz, że się uda?

– Tak, jeżeli Władek oczaruje tę pańczę. – Jola skrzywiła się z lekką zazdrością. – Ale nawet jeśli nie, to i tak nie będziesz się już więcej zajmowała pogrzebami i retuszem zmarszczek. Nadeszła pora zmian.

– Widzę, że masz jakieś własne plany co do naszej firmy – stwierdziła Ewa z uśmiechem.

– A tak. Właśnie zabieram się do podskórnej reorganizacji. Musimy zacząć działać sprawniej, jeśli chcemy utrzymać dobrą pozycję na rynku.

– Podskórnej, czyli jakiej?

– Z drugiego rzędu, żeby nikt nie zauważył, czyje to są pomysły.

– Szef też się nie zorientuje? – zażartowała Ewa.

Jola kocim ruchem odgarnęła do tyłu złociste loki, wypinając przy tym biust

i chętnie unosząc zgrabny podbródek.

– On jest w moich rękach jak wosk. Mam na to swoje metody i wiem lepiej od niego, czego mu potrzeba.

– No, no! Nie poznaję cię. Taki otwarty tekst? Do tej pory wolałaś aluzje.

– Cóż, kiedy cię nie było, zmieniło się parę rzeczy w moim życiu – odparła Jola zmysłowym niskim tonem, wyciągając przed siebie dłoń. – Teraz mogę działać bardziej otwarcie.

Poruszyła lekko serdecznym palcem, na którym zalśnił złoty pierścionek z niedużym brylantowym oczkiem.

– O matko! – Zdumiona Ewa niemal zakrztusiła się herbatą. – Jak mogłam tego nie zauważyć? Zaręczyłaś się? Z kim?

– To przecież oczywiste. A nie zauważyłaś, bo musiałam oddać pierścionek do zwężenia. Ten mój Tygrysek zupełnie nie potrafi wybierać biżuterii. Dopiero wczoraj odebrałam od jubilera.

– Tygrysek? Chcesz powiedzieć, że...?

– Owszem. Niedługo będziesz mogła mówić do mnie: szefowo – zaśmiała się Jola.

Ewa zerwała się z krzesła i serdecznie uściskała koleżankę.

– To fantastycznie! Joluś, życzę ci szczęścia. Wam obojgu życzę szczęścia – poprawiła się. – Choć nie wątpię, że jesteś dla szefa skarbem, o jakim nawet nie śmiałaś marzyć.

– No widzisz. Tylko kobiety potrafią prawić odpowiednie komplementy w odpowiedniej chwili. – Zadowolona z reakcji Ewy, wyciągnęła z małej lodówki kawałek sernika. – Musimy to uczcić.

– Kochana, ostatnio stanowczo za często pieczesz. – Ewa z mieszanymi uczuciami patrzyła na wielki kawał ciasta, który wylądował na talerzyku. – Twoje szczęście pójdzie mi w biodra.

– Jedz, chudzielcu. Sama widzisz, że kobieta musi mieć to i owo, by sterować swoim mężczyzną. Oni bez nas giną jak okręty bez żagli. Chociaż przyznaję, że dla twojego smętnego Jureczka raczej nie warto się wysilać, on nie doceni.

– Na szczęście już nie muszę się dla niego wysilać – wyrwało się Ewie.

– O! Nareszcie! Rzuciłaś tego chwasta?

– Jola, jak ty coś powiesz, to czysta desperacja. Żadnego chwasta, po prostu nie pasowaliśmy do siebie. Co nie znaczy, że on jako facet nie może się spodobać jakiejś innej... babie – dokończyła nieco zbyt kąśliwie, natychmiast wzbudzając podejrzenia Joli.

– A więc to tak! Kogo sobie przygruchał? Spowiadaj mi się tu zaraz.

Ewa sprawdziła, czy korytarz za otwartymi drzwiami jest pusty.

– Nie ma o czym gadać, za rękę go nie złapałam. Miałam tylko... uzasadnione przeczucie. Ten związek i tak nie miał szans na przetrwanie.

– To kim ona jest? – Jola nie odpuszczała.

– Czy to ważne?

– Jestem ciekawa, kogo teraz będzie zameczał swoimi fochami.

– Oj, Jolka. Ty przyciskasz człowieka jak magiel jakiś – mruknęła Ewa. – No dobrze. Mam mocne przekonanie, że to Kryśka. Ona umie odpowiednio intensywnie zachwycać się jego talentem i sukcesami, a ja nie. Tyle w temacie.

– Ta brunetka, która ma męża za granicą?

– Yhy – potwierdziła z pełnymi ustami.

– Co za idiota z tego Jurka! Ale tym lepiej dla ciebie. Rzuciłaś go, mam nadzieję, z odpowiednim hukiem.

Ewa milczała, więc niezadowolona Jola dołała jej herbaty, kręcąc głową.

– No tak. Czego się można po tobie spodziewać? Odebrał już swoje rzeczy z twojego mieszkania?

– Nie. Klucze zostały u moich rodziców, a ja na razie jeszcze u siebie nie nocowałam.

– Na twoim miejscu wywaliłabym wszystko na ulicę. Ale pewnie zapakujesz to starannie i odeślesz mu grzecznie pocztą, co? I to poleconym, żeby nie ukradli.

– Może.

– Oj, kobieto, kobieto. Musisz częściej myśleć o sobie. Przez dwa tygodnie mieszkałaś w pałacu. Trzeba było sobie przygruchać tam na miejscu jakiegoś bogatego Francuza, a nie wracać tu do czterdziestu metrów kwadratowych. I to wynajętych. Ta Francuzka wyglądała na taką, która ma dobrze sytuowanych znajomych.

– Dajże spokój.

– Wiem, co mówię. Ale ty jesteś z tych romantycznych, zapomniałam. – W głosie Joli dała się słyszeć lekka ironia. – Miłości do grobu się zachciewa, co? Jak w baśniach.

– Nawet jeśli tak, to co? – Ewa się nasrożyła.

– Nic. Skoro to lubisz, trzeba było się rozejrzeć za romansem. W tej sławetnej, choć moim zdaniem mocno przereklamowanej scenerii Prowansji nie było to chyba zbyt trudne, prawda? A ty pewnie tylko robota i robota.

Rumieniec, który pojawił się niespodziewanie na policzkach Ewy, obudził czujność Joli.

– Ej! Chyba że coś przede mną ukrywasz. Kim jest ten facet? – Przysunęła się do niej konspiracyjnie.

– Jaki facet?

– Nie piernicz, kochana, tylko odpowiadaj. Szkoda czasu na wykręty.

– No ludzie! – westchnęła zaczerwieniona Ewa.

– Nie ludziuj mi teraz, bo zaraz ktoś nam przerwie, tylko opowiadaj szybko.

– Noo... rzeczywiście jakby... poznałam tam kogoś, w pewnym sensie.

– Jak to: w pewnym sensie?

– Bo nie miałam pojęcia, że on coś... że zwrócił na mnie uwagę.

– A możesz jaśniej?

– Sama bym chciała, żeby to było prostsze, ale nie jest. Przynajmniej ja nie bardzo

wiem, co mam z tym fantem zrobić – plątała się w tłumaczeniu. – Poznaliśmy się

w zasadzie na gruncie zawodowym, pomagał mi przy sesjach. W pewnym sensie –

powtórzyła. – No i tak jakoś...

Jola zmrużyła podejrzliwie oczy.

– Kręcisz. Ustalmy podstawowy fakt: kim on jest?

– Ogrodnikiem.

– Kim?

– Architektem krajobrazu czy jakoś tak. Jest zatrudniony w posiadłości Elizy. –

Ewa zdenerwowała się nieco, słysząc pełne rozczarowania sapanie koleżanki. – I dla

twojej wiadomości: jest przystojny, szarmancki, skończył studia i jak sądzę zarabia

z dziesięć razy tyle co ja! – rzuciła buntowniczo. – Ty okropna materialistko.

Jola spojrzała na nią z politowaniem.

– Szarmancki? Kobieto, w jakiej epoce ty żyjesz?

– Jolka, czy ja wyglądam jak cholerna heroina romansów? Jestem piegowatym

niziołkiem o krótkim wzroku i lichej fryzurze. Choćbym nawet chciała, nie mogłabym

tak zarzucać lokami, jak ty to robisz. Oddychać też niespecjalnie mam czym, więc

tabuny facetów za mną nie latają, jak widzisz. A poza tym przypominam, że

pojechałam tam do pracy, a nie żeby szukać jakiegoś księcia z bajki.

– Znowu to samo. Skąd w tobie biorą się te kompleksy? Zupełnie nie rozumiem.

Pracuję nad tobą, pracuję, a efekty nadal marne.

– Oj, daj spokój. A tak właściwie, co ci się nie podoba w ogrodniku? Lubię mężczyzn,

którzy sami umieją do czegoś w życiu dojść. I do tego właśnie cholernie szarmanckich!

Z kindersztubą, o której większość dzisiejszych facetów nie ma zielonego pojęcia. Tacy

na pewno nie rozrzucają po mieszkaniu brudnych skarpetek, a na rocznicę dają

kobiecie biżuterię zamiast wyciskarki do soków – marudziła.

– No, no! Skoro tak się irytujesz, to znaczy, że... – Jola uniosła brwi. – No coś

takiego!

– Co?



– Znowu się zakochałaś? Tak szybko?

– Ja?! – stropiła się Ewa.

– Oj, kobieto szalona. Przecież widzę. Oczy ci błyszczą, ręce ci się pocą. No masakra!

– Zwariowałaś? To zwykła znajomość. Zamieniliśmy ze sobą raptem parę zdań.

– Pięknie! Jeszcze i to. Przecież mówiłaś, że nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia.

– Bo nie wierzę. – Ewa wzruszyła ramionami.

– I komu chcesz wcisnąć ciemnotę? Szkoda tylko, że obiekt twoich westchnień zawsze jest taki zwyczajny.

– On nie jest zwyczajny.

Blondynka nie pozwoliła sobie jednak przerwać.

– Idealizm czy romantyzm to piękne rzeczy, ale pozwól, że ci przypomnę, iż maselko do chlebka trzeba za coś kupować, a bez perfum i jedwabnej bielizny prawdziwa kobieta długo nie pociągnie. Już nie pamiętasz, że na nowy aparat musiałaś odkładać pół roku, kiedy stary utopiłaś w rzece? A wystarczyło nie zakochiwać się w tym wybladłym muzyku. Zaoszczędziłabyś przynajmniej na jedzeniu, które wyżerał ci z lodówki.

– Nie chcę już rozmawiać o Jurku.

– To przynajmniej tutaj się zgadzamy. No trudno, co z tym ogrodnikiem?

Opowiadaj.

– A co ma być? Nic. – Ewa dąsała się przez chwilę. – Chyba nic. – Łyknęła herbaty.

– Już sama nie wiem!

– Mów po kolei, bo tak mnie zasypujesz faktami, że nie nadążam – zakpiła Jola.

– To nie jest takie proste. Przemyślałam to na wszystkie strony i stwierdziłam, że głupia jestem, i tyle.

– A konkretniej?

– Przyznaję, że chyba mi się od początku podobał, ale to nie było takie oczywiste.

Zawsze się przy nim jakoś tak... denerwowałam.

– Dlaczego?

– A takie tam. – Ewa machnęła ręką. – Dużo by opowiadać. Głupio zaczęliśmy naszą znajomość i wydawało mi się, że się trochę skompromitowałam.

– Okej, szczegóły później. Idźmy dalej.

– Nie ma wiele dalej. Po prostu na koniec okazało się, że ja jemu też się chyba spodobałam.

– A skąd wiesz?

– Co skąd wiem?

– No, że mu się spodobałaś. Francuzi i Włosi podrywają podobno wszystko, jak leci.

– Dzięki za komplement!

– Nie obrażaj się, po prostu chcę wiedzieć, jak zareagował na twoje wdzięki.

– Nie prezentowałam mu żadnych wdzięków! Wręcz przeciwnie, jak sędzę. Ciągle robiłam z siebie idiotkę.

– W to akurat wątpię, ale nie irytuj się tak.

– To po co zadajesz mi takie pytania?

– Bo wszystko z ciebie trzeba wydzierać jak z kamieniołomu jakiegoś. Jak ma właściwie na imię ten facet?

– Gérard.

– Ładnie – skwitowała Jola i przez chwilę przyglądała się zamyślanej koleżance. – Jesteś pewna, że dobrze rozszyfrowałaś jego intencje? Twój francuski jest, *sorry* za szczerość, mocno kulawy.

– Podwójne dzięki. – Ewa znów westchnęła. – Na szczęście to on się wysilał lingwistycznie, zna polski. W pewnym sensie.

– Za chwilę z tobą oszaleję! Wszystko w tym Gérardzie jest „w pewnym sensie”, czy są jakieś fakty dotyczące waszej znajomości? I skąd on zna polski, u licha?

– Tam w sumie wszyscy liznęli trochę polskiego, taka rodzina. Mają polskie korzenie. W... – chciała powiedzieć: „w pewnym sensie”, ale ugryzła się w język. – W każdym razie nie sędzę, że bym go źle zrozumiała. No, chyba że to był żart, ale Gérard nie wyglądał na kawalarza.

– Co niby miało być żartem?

Ewa z ociąganiem sięgnęła do torebki. Rozmowa z Jolą nieco ją krępowała, ale czuła, że jeśli się z kimś nie podzieli swoimi przemyśleniami, to głowa jej eksploduje od sprzecznych konkluzji. Wyjęła list i podała go koleżance.

– Sama zobacz, czy się mylę. Wręczył mi to na pożegnanie. Nie bardzo wiem, jak mam ten list potraktować.

Jola łąpczywie wpatrzyła się w tekst.

– Noo... Moja droga! – odezwała się po chwili, a w jej głosie zabrzmiało uznanie. – Jeśli on faktycznie sam to napisał... Może ja jestem trzeźwą realistką, ale takie coś to jest coś. Nawet jeśli to marne poezje.

– No świetnie, tylko co ja mam zrobić z tym cosiem?

– Musisz z nim pogadać. – Dla Joli wszystko było oczywiste. – Jeśli facet ci się podoba, to będzie dobry pretekst. A jeśli nie, to obrócisz wszystko w żart i nie będzie mu głupio. Tak czy owak, coś trzeba zrobić. To jest prawdziwy list miłosny, tego się

nie zostawia bez odpowiedzi.

– Ale ja nie wiem, czy... To znaczy teraz już wiem, że on mi się trochę podoba... No dobrze, nawet bardzo mi się podoba. Tę kwestię zdążyłam już przemyśleć, bo miałam wreszcie trochę spokoju. Tylko co to zmienia?

– Nie rozumiem.

– No, Jola! Przecież to Francuz. Na cholere mi taka znajomość? Czy to uczucie dawać mu nadzieję, skoro to nie ma żadnej przyszłości?

– Wiesz co?! – Jola zerwała się z krzesła, wyjęła Ewie pustą filiżankę z ręki i pomaszerowała do aneksu kuchennego. – Pomyliłam się! Nie jesteś idealistką, jesteś obrzydliwie trzeźwo myślącą istotą.

– Ale dlaczego?

– Jak to dlaczego? Kiedy wreszcie przestaniesz się przejmować tym, co sobie inni pomyślą? Skup się na swoich pragnieniach.

– Przecież nie mogę tak bez zastanowienia...

– A pamiętasz, jak bez namysłu zmieniłaś pracę? Właśnie tak trzeba: iść za głosem serca.

– Nie jestem taka pewna, czy wyszło mi to na dobre.

– Jak to nie? Gdybyś nie zmieniła pracy, nigdy nie pojechałabyś do Francji i nie spotkała tego Gérarda. A nasza firma straciłaby świetne zlecenie i musiałabym znacznie dłużej pracować nad moim Tygrysiem, żeby się zadeklarował – dodała łagodniejszym tonem. – Same korzyści.

– Może.

– Żadne może. Nie zastanawiaj się. Co to, samoloty już nie latają? Pociągi nie jeżdżą? Przecież nie obiecujesz mu, do cholery, małżeństwa! A nawet gdyby, to myślisz, że twoi rodzice nie chcieliby jeździć na wakacje do pięknej Prowansji?

– Ty jak już coś powiesz, to klękajcie narody – mruknęła zaskoczona Ewa. – Naprawdę tak myślisz?

– Nie. Tak sobie plotę trzy po trzy, żeby cię wkurzyć. Pewnie, że tak myślę! Czego ty się boisz?

– Że to pomyłka – wyznała. – Że wymyśliłam sobie wszystko. Ostatnio przez te moje przecucia ciągle wpadam w jakieś idiotyczne sytuacje.

– To pogadaj z nim, nic prostszego. Wyjaśnij sprawę.

– Sama nie wiem.

– Ewka, zrobisz, jak uważasz, ale w końcu przeszkody są po to, żeby je pokonywać, a zasady po to, żeby je łamać. Inaczej świat stałby w miejscu.

– Cześć, Elizo, nie mogłam się do ciebie dodzwonić od rana.

– Przepraszam, ale miałam pracowity dzień i nie zauważyłam, że komórka mi się rozładowała. Coś się stało?

– Nie, skądże. Chciałam ci tylko przekazać, że szef przejrzał już wszystkie materiały, dopracowaliśmy korektę i chyba będziesz zadowolona z efektu końcowego. Mój szanowny pryncypał musiał wtrącić oczywiście swoje trzy grosze, ale ostatecznie wszystko jest gotowe.

– Rozumiem... Ewo, gdzie ty właściwie jesteś? Okropny hałas tam u ciebie.

Kobieta odruchowo rozejrzała się wokół.

– Siedzę na przystanku, czekam na autobus. Wyszłam dziś z pracy planowo i, o dziwo, nikt nie protestował. A już niedługo będę mieć własne autko – pochwaliła się.

– Brat już rozgląda się za czymś dla mnie w komisach. Co u was słyhać? Mówisz, że jesteś zapracowana.

– Owszem. Babcia ostatecznie zaakceptowała moje pomysły. Przyznaję, że z dużą ostrożnością, ale jednak się zgodziła.

– Na wszystko?

– Na razie na zamknięcie najbardziej nierentownych kwaciarni i zaprojektowanie ośrodka. O reszcie zdecydujemy, jeśli projekt i mój biznesplan się babci spodobają.

– To cudownie! – Ewa szczerze się ucieszyła. – Więc i z reklamą możesz już ruszyć. A jak czuje się pani Konstancja?

W telefonie na chwilę zapanowała cisza.

– Wydaje się, że nie najgorzej – stwierdziła wreszcie Eliza, ale w jej głosie słyhać było wahanie. – Oczywiście nadal odmawia udziału w terapii, zgodziła się tylko na leki, ale to i tak duży postęp. Nie mogę sobie darować, że przegapiłam moment, gdy to się zaczęło. W ostatnich latach było sporo problemów, a nerwy człowieka mają swoją wytrzymałość.

– I co teraz zrobisz?

– Chciałam wysłać ją gdzieś na urlop, lecz również odmówiła. Nie pozwala się ruszyć z domu, co zresztą jest typowe dla depresji. Muszę jeszcze raz porozmawiać z Henrim, wiesz, synem starego doktora. Teraz już oficjalnie pełni rolę naszego lekarza domowego.

– To dobrze. Młody lekarz może być bardziej przekonujący w relacji z pacjentką.

– Zobaczymy. Tylko że w tej chwili sam jest bardzo zajęty chorobą ojca, więc nie ma zbyt dużo czasu dla nas. Boję się, że gdy babcia się dowie, w jakim stanie jest nasz

pocciwy, stary doktor, poczuje się jeszcze gorzej. Przyjaźnią się od czasów wojny.

– Wspominałaś. On jest z waszych stron?

– Tak. Zaczął jej pomagać w najtrudniejszym momencie, gdy zginął dziadek. Być może dlatego babcia jest taka do niego przywiązana. Ale wygląda na to, że serce odmawia mu już posłuszeństwa i nawet Henri nie jest w stanie nic z tym zrobić. Na razie ukrywamy to przed nią, ale już zaczęła coś podejrzewać. Kilka razy pytała Henriego, dlaczego jego ojciec już nie przychodzi.

– To bardzo przykre – powiedziała Ewa współczująco. – Masz teraz na głowie masę spraw i jeszcze wesele za pasem. Ale jesteś silna, jak pani Konstancja – próbowała ją pocieszyć. – Wszystko się ułoży.

– Też w to wierzę. Pierre bardzo mnie wspiera, bez niego byłoby mi ciężko.

– A tak przy okazji, to mam sprawę do ciebie w związku z weselem. – Ewa przypomniała sobie prośbę Sławka. – Oj, przepraszam, muszę kończyć! Właśnie podjeżdża mój autobus. – Poderwała się z ławki. – Napiszę ci resztę w e-mailu, dobrze? Pozdrów wszystkich.

– Do zobaczenia.

\* \* \*

– Mamo! – Ewa wpadła do kuchni rozpromieniona. – Mam pomysł!

– Jaki pomysł? Czemu tak krzyczysz?

Ewa rzuciła torebkę na krzesło i usiadła przy stole, na którym matka lepiała pierogi.

– Z czym są? – zapytała ciekawie, zaglądając do miski z farszem.

– Nie wyjadaj. – Umazana mąką dłoń pacnęła ją delikatnie. – Dla chłopaków ruskie, a dla ciebie takie jak lubisz, z serem na słodko.

– Mniaam! A kiedy będą? Głodna jestem jak wilk.

– Ty zawsze jesteś głodna. Wyjmij tamtą partię z wody, już są gotowe. I wrzucaj następne. Twoje niestety na końcu, bo woda byłaby słodka. A co z tym pomysłem?

Ewa umyła szybko ręce pod kranem i zaczęła wyciągać pierogi na durszlak.

– Mówiłam ci, że czuję niedosyt zawodowy, pamiętasz?

– Tak.

– Jechałam autobusem i myślałam o Elizie. Ona robi tyle rzeczy naraz. Ma na głowie całą rodzinę, rozwija firmę, przygotowuje wesele i takie tam. – Przeląła pierogi zimną wodą. – A ja do tej pory głównie siedziałam przed komputerem.

– Nie narzekaj. Sama mówiłaś, że we Francji miałaś świetną pracę.

– Tak, ale teraz trzeba wrócić do szarej rzeczywistości. Ciekawe zlecenia raz są, raz ich nie ma, a szef musi być sprawiedliwy przy rozdziale pracy. Więc kiedy tak

staliśmy w korku, pomyślałam, że trochę mi brak pracy z dziećmiakami.

– Chcesz wrócić do szkoły? – Mama aż odwróciła się od stolnicy.

– Nie, to jednak nie było dla mnie. Za dużo nerwów, przepisów i bzdurnych papierów. I jeszcze ciągle jakieś reformy, żeby ministrowie mieli za co brać swoje pensyjki. Nikt teraz nie szanuje pracy nauczyciela.

– No więc o co ci chodzi?

– Wymyśliłam, że mogę połączyć oba te zajęcia.

– Jakie? Fotografikę i nauczanie?

– Tak. Nie wiem jeszcze dokładnie, jak to zrobić, ale Eliza mnie zainspirowała. Mam ochotę na coś w rodzaju kółka fotograficznego dla młodzieży. Takiego wiesz... z dobrym sprzętem, wyjazdami plenerowymi... Może nie jestem w tym genialna, ale niejedno już umiem. Koledzy z pracy w razie czego by mi pomogli, a wykształcenie pedagogiczne już mam. Musiałabym tylko znaleźć fundusze.

– Ciekawa myśl, ale kółka zainteresowań w szkołach prowadzą nauczyciele na etacie. Nikt nie zatrudni cię w ten sposób.

– Jest przecież sporo szkół prywatnych, domy kultury, pałace młodzieży i takie tam. Oni często na zajęcia pozalekcyjne przeznaczają osobne pieniądze. Jeśli przedstawię ciekawą ofertę, może ktoś będzie zainteresowany.

– Musiałabyś założyć jakąś działalność gospodarczą. Chyba że chcesz to robić społecznie.

Ewa skrzywiła się, wrzucając do gotującej się wody kolejną partię pierogów.

– No niezupełnie, aż taką idealistką nie jestem. Zresztą mówiłam ci, że nie przemyślałam do końca całej koncepcji. Chciałabym jednocześnie, żeby to były zajęcia otwarte także dla niezamożnych dzieciaków. Może lepiej spróbować w jakichś świetlicach parafialnych albo stowarzyszeniach? – Zamyśliła się, mieszając w garnku drewnianą łyżką. – Gdybym mieszkała w Prowansji, Eliza zatrudniłaby mnie w swoim ośrodku. Pewnie trzeba by zrobić podyplomowo coś z terapii zajęciowej – mruzczała pod nosem.

Mama zalepiła ostatniego pieroga i odebrała jej łyżkę.

– Wiesz co, Ewuniu, nakryj lepiej do stołu, bo od tych twoich marzeń zaraz wszystko wykipi. I zawołaj ojca, siedzi w bibliotece.

– A Michaś?

– Poszedł do sklepu ze zdrową żywnością po te twoje mąki razowe. Napisałam mu wszystko na kartce, bo inaczej by nie zapamiętał. Mówi, że będzie nam pomagał przy pieczeniu chleba, by zapunktować u przyszłej żony – odparła pogodnie.

– Przecież on nawet nie ma jeszcze dziewczyny. Ciągle skacze z kwiatka na

kwiatek. – Rozbawiona Ewa wyjęła z szuflady sztucce, serwetki i zaniósła je na stół do jadalni.

– Nic nie szkodzi. – Mama w kuchni podniosła nieco głos, żeby było ją słychać. – Mówi, że kiedyś się ustatkuje i że o swoją żonę musi się zacząć troszczyć już teraz.

– Może wreszcie wydorósł?

– Też mam taką nadzieję. Babci Urszuli spodobałoby się takie podejście do sprawy. Mawiała, że dobra kobieta to skarb i trzeba o nią dbać. A skąd właściwie przyszedł ci do głowy ten pomysł z pieczeniem chleba? Nie robiłyśmy tego już chyba... chyba z dziesięć lat. – Mama zajrzała do jadalni.

– A tak jakoś naszła mnie ochota na prawdziwy chleb z przepisu babci zamiast tego gumowatego badziewia ze sklepu. Musimy wrócić do tradycji pieczenia. I wspólnych niedzielnych obiadów.

– Super. Mnie się ten pomysł bardzo podoba. – Mama uśmiechnęła się ciepło.

# Rozdział 17

## Sobota

*Kochana Ewuniu,*

*pozdrawiam serdecznie i ściskam Cię. Aleks mi stoi za plecami i sprawdza, czy ja dobrze piszę do Ciebie, bo ja ćwiczę ortografię teraz. Słownik mi tu poprawia w komputerze i uczy. Fajnie. Tak powiedział Aleks, że to dobre słowo jest. A mój Piotr powiedział, że mówię już dobrze, tylko z pisaniem to za mało ćwiczeń mam. A do kogo ja miałam pisać? Teraz mam, a Ty sama mówiłaś, że lubisz listy.*

*Aleks mówi, że on też Ciebie pozdrawia. Ty pytałaś ostatnio, co u nas nowego. Są dobre i złe wieści.*

*Zacznę od dobre. Po pierwsze, ja i moje dzieci czujemy się dobrze. Piotr mi ciągle mówi, że ładnie wyglądam, i kupił mi nowe sukienki, takie duże, że strach. On kochany jest. Już mi przeszły te smaki i nie musi w nocy chodzić do kuchni, i szczęśliwy jest dlatego.*

*Aleks chce Tobie przekazać, że coś odkrył. Pytał Konstancję o drugą bliźniaczkę i ona dała mu inny stary list. On odkrył to:*

*Miałaś rację, że nie ma jednego portretu, bo ta dziewczyna jedna zaginęła. Madame ją umieściła w klasztor, tak jak chciała, jeszcze zanim ojciec powrócił wtedy z Paryżu. Był wściekły, kiedy jej nie zastał w domu. A drugą siostrę ta babka zabrała do Anglii, żeby uciekać przed rewolucją. Ale ten ojciec nie chciał pojechać z nimi i tu niejasne jest całkiem. Chyba wyklęła go ta babka, bo pomagał córce z klasztor ucieknąć. To w list jest napisane, że on babkę swoją przeprosza, ale że nie mógł patrzeć na łzy córki, więc porzucają rodzinę, by nie narażać ich na niebezpieczeństwo, i wyjeżdżają gdzieś do spokojny kraj, gdzie nie będzie rewolucji.*

*Konstancja mówiła Aleksowi potem, że babka ta ich szukała po kilku latach, gdy Napoleon po całej Europie jeździł, ale nie wiadomo nic więcej. List ten z niemieckiego kraju przyszedł, ale madame tam nikogo nie odnalazła i biała plama jest w historii, jak mówi Aleks. On rozczarowany i mówi, żebyś wymyśliła coś, bo masz dobre pomysły*



*nie wiadomo skąd.*

*Ślub Elizy za dwa miesiące, więc niedługo będziesz. A przodek już ze ściany nie spada ☺. Tylko Aleks zły i burczy mi tu nad głową teraz. Wiesz dlaczego?*

*Zła wiadomość to nastrój babci Konstancji. Ona teraz w żałobie jest. Nasz stary dobry doktor umarł wczoraj. Henri robił wszystko, żeby ocalić swój ojciec, ale nie dało się nic. Eliza nie mówiła babci, ale ona uparła się i sama pojechała do niego. Była u doktora w szpitalu cały wieczór i powróciła załamana, i płakała w pokoju długo w nocy. A Eliza biegła do niej i Teodor, i byli zmartwieni. Ale mówiła, że dobrze się stało, bo Konstancja zdążyła pożegnać stary przyjaciel i wybaczyła mu coś, co jej powiedział przed śmiercią. Podobno okropną jakąś rzecz o sobie z czasów wojny powiedział jej i Konstancja dostała ataku rozpacz w szpitalu, i leki jej dawali tam. Dziś na śniadanie nie zeszła, bo w łóżku leży, ale Eliza mówi, że będzie dobrze.*

*Teraz Henri będzie naszym doktorem, po ojcu. Jutro pogrzeb jest i smutek w domu, ale Eliza czuwa nad wszystkim. Biedny kochany doktor Marc! Zawsze taki uśmiechnięty był do Konstancji. Był młodszy od niej kilka lat i silny organizm miał, bo nawet przeciw okupacji walczył, a już umarł. Nigdy nie brał pieniędzy od Konstancji. Sam przychodził, mówiła Eliza, i pomagał, a potem leczył, gdy studia skończył po wojnie. Może kochał się w Konstancji?*

*Kończyć już muszę, bo Piotr mówi, że obiad, a moje dzieci już głodne ☺. Napisz, jak u Ciebie, może przyślesz nam zdjęcia swojej famille i miasta, bo ciekawa jestem.*

*Sophie, Piotr i dzieci*

*I Aleks*

*PS*

*Dopisuję się. Po pierwsze, nie odpowiadam za gramatykę ciotki, bo tylko jej przez ramię zerkąłem i podpowiadałem słowa.*

*Po drugie, właśnie wysłałem ci na komórkę adres e-mailowy, o który prosiłaś. Ale mnie zrobiłaś na szaro! Przodek jak wisiał, tak wisi. Ale honor to honor. Umówiłem się z ojcem na wkuwanie, nawet się ucieszył. Nie powiem mu jednak, że to przez Ciebie, niech myśli, że jestem taki pilny. Może przy okazji prababcia da się zmiękczyć, bo na razie nie chce mnie do archiwum wpuścić, żebym czegoś nie poniszczył. Powiedziała, że dopiero, gdy będę na studiach, bo się na starodrukach nie znam. Masakra!*

*Aleks*

– Biedna pani Konstancja. Biedny doktor – szepnęła Ewa, wpatrując się w ekran komputera.

Przypomniała sobie uśmiechniętą twarz staruszka, który tak gorliwie zajął się nią po omdleniu.

– Szkoda, był taki serdeczny, ciepły... doktor Marc.

Zmarszczyła czoło.

„Skąd ja znam to imię? – zastanowiła się, bo coś ją tknęło. – Może już wcześniej ktoś wspominał... Chociaż nie, zawsze mówili tylko: stary doktor. Ale coś mi to...”.

Raptem w jej głowie zabrzmiało wspomnienie wystrzału i głosu, który słyszała na cmentarzu przy grobie Jana: „Jezus Maria! Marc, coś ty zrobił?! Mieliśmy go tylko postraszyć!”.

– O Boże! – szepnęła. – To niemożliwe! To przypadek.

Przez chwilę usiłowała uporządkować natłok myśli.

„Ale jeśli to byłaby ta sama osoba... – rozważała. – Sophie napisała, że doktor Marc przed śmiercią wyznał pani Konstancji coś okropnego o sobie. No, matko! To niesamowite! Tyle lat był przyjacielem domu, a ona nie wiedziała, że to przez niego zginął jej mąż. Mocna sprawa! – Pokręciła głową, nie dowierzając. – Może dlatego właśnie jej pomagał? Chciał odkupić swoją winę. Jeśli to prawda, to dobrze, że miała szansę mu wybaczyć. Biedna pani Konstancja! I biedna Eliza. Musiały przechodzić trudne chwile”.

– Ewka, twój klucz przyszedł! – Michaś wparował do pokoju siostry, wrywając ją z zamyślenia.

– Klucz przyszedł? Zwariowałaś? Jaki klucz?

– No ten od kuferka, sklerotyczko. Chodź na kolację, bo mama mówi, że dopiero po jedzeniu będziemy go otwierać. Zrobiła jajecznicę z kiełbasą i cebulką; krzyczy, że wszystko stygnie, no chodź! Im szybciej zjemy, tym szybciej zajrzemy do środka.

\* \* \*

– Pospiesz się!

– Michaś, ty jednak wciąż jesteś duży dzieciak – skomentowała z pobłażliwością mama.

– Właśnie – stęknęła Ewa, usiłując przekręcić klucz w zamku, który najwyraźniej dawno nie był używany. – Cokolwiek tam jest, i tak należy do mnie. Ty już dostałeś, co twoje.

– Nie bądź sknera. Podzielisz się przecież z ulubionym bratem.

– Jasne, złotem i brylantami. Bo dokumentów nie dam ci tknąć.

– Nie ma sprawy. Ja się chętnie zadowolę brylantami.

– Oj, Michaś, Michaś – mruknęła rozbawiona, w chwili gdy zamek zgrzytnął. – No,

poszło!

Zgromadzona w salonie rodzina ciekawie zajrzała do środka.

– Co? Tylko papierzyska? – Rozczarowany młody mężczyzna stracił zainteresowanie i wrócił do stołu, na którym zostawił niedojedzoną kanapkę z pieczoną karkówką.

– Papierzyska! – powtórzyła Ewa z zachwytem.

Z pietyzmem wyjęła powiązane wstążkami paczki listów, pudełko ze starymi zdjęciami, jakieś zapisane ołówkiem luźne kartki, urzędowe dokumenty i kilka grubych brulionów w czerwonych oprawach, które okazały się pamiątkami ciotki. Na samym spodzie czekała na nią niespodzianka – jakiś twardy przedmiot owinięty w kilka warstw zielonego aksamitu.

– Co to? – spytała mama.

Ewa delikatnie rozpakowała zawiniątko. W świetle lampy błysnęły jubilerskie drobiazgi: piękna kamea z kości słoniowej, ozdobiona dookoła delikatnym warkoczem ze złota, stary srebrny pierścionek z bursztynem, niewielkie lustreczko w srebrnej oprawie z secesyjnym wzorem na uchwycie i prosty złoty krzyżyk z dziwacznym kwiatowym kółeczkiem do przewlekania łańcuszka.

– O widzisz, siostra, to co innego!

Zaciekawiony Michał odłożył pusty talerzyk, gdy tylko zobaczył błysk kosztowności.

– To antyki. Ciekawe, do kogo należały i ile są warte? – zastanawiał się.

– Chyba nie zamierzasz tego sprzedać? Ewuniu? – zaprotestował zgorszony ojciec, widząc minę syna. – To na pewno rodzinne pamiątki. Twoja ciotka chciała je obronić przed komornikiem, skoro tutaj je umieściła.

– Och, tato, oczywiście, że nikomu nie sprzedam. Michaś, oddawaj! – Ewa stanowczo wyjęła kameę z rąk brata. – Może w papierach będzie jakaś informacja na temat tych przedmiotów. Też chciałabym wiedzieć, do kogo należały.

– Tę broszkę pamiętam jak przez mgłę – przypomniała sobie matka. – Czy to nie babcia Urszula podarowała ją Eugenii na osiemnaste urodziny? Kochanie? – Spojrzała pytająco na męża.

– Chyba tak. Jeśli dobrze pamiętam, to jeszcze z Kresów.

– Ale reszty nie widziałam nigdy.

– Ja też. Pewnie matka dała to Eugenii przy jakiejś innej okazji. One zawsze miały wspólne sekrety. Może rzeczywiście, Ewuniu, znajdziesz coś w tych dokumentach.

– Muszę to w wolnej chwili przeczytać. – Ewa z fascynacją przekartkowała ręcznie spisane pamiątki. – Potrzeba na to sporo czasu... Wiesz co, mamó? Chciałabym zostawić ten kuferek u was. Tu będzie bezpieczniejszy, a ja sobie po kawałeczku będę zabierać do czytania.

– Dobrze, córciu. Co my tu mamy? Listy, jakieś akty ślubu... chrztu... O! Dokumenty własności jakiejś ziemi.

– Teraz już nam to na nic, kochanie. Przecież to na Ukrainie.

– Tu jest list do ciebie, Ewuniu. – Mama podała jej grubą, białą kopertę. – Od Eugenii.

– Naprawdę?

– Moja siostra miała fantazję – mruknął ojciec, chcąc ukryć, że łąza zakręciła się mu w oku. – No, dość tego. Żonuś, dałabyś świeżej herbaty, co? – Ze stęknieniem dźwignął się z taboretu i przeniósł na fotel.

Ewa podeszła cicho do ojca i jak podłotek cmoknęła go w policzek.

– Jeśli tam nie ma jakichś osobistych spraw, dam ci go do przeczytania, tatusiu – szepnęła. – Michaś, rusz się. Pomóż mi to przenieść do biblioteki. Mam dziś długi wieczór przed sobą.

\* \* \*

*KOCHANA EWUNIU,*

*może to zabrzmieć banalnie, ale nie mogę się powstrzymać przed napisaniem tych słów: skoro czytasz ten list, to znaczy, że mnie już z Wami nie ma. Poprosiłam znajomego prawnika, by kluczyk do kufierka przesłał Ci po mojej śmierci.*

*Jesteś już dorosłą kobietą, ale mimo że tak rzadko się widywałyśmy, czuję, jakbym bardzo dobrze Cię znała. Mam nadzieję, że zawartość kufierka, który specjalnie dla Ciebie spakowałam, pomoże Ci trochę lepiej mnie poznać. Może część tej wiedzy zechcesz przekazać następnym pokoleniom?*

*Wiem, jakie opowieści krążą o mnie wśród dalszej rodziny, i zupełnie mi to nie przeszkadza. Najważniejsze, że mój brat, a Twój ojciec, w to nie wierzy, choć jako mężczyzna nie ma pojęcia o sekretach, które skrywa kobieca dusza. Myślę, że Twoja matka, choć nie jest ze mną spokrewniona, lepiej rozumiała moje motywacje życiowe. I choć to dziwnie brzmi: Twoja babcia – moja ukochana Mama – także.*

*Wyrzuciła mnie z domu, ale nie mogła się inaczej zachować, doskonale to rozumiem. Praktycznie porzuciłam ją i zdradziłam tradycje naszego domu, lecz miłość do niezwykłego mężczyzny okazała się silniejsza ode mnie. Takich uczuć się nie lekceważy, zwłaszcza gdy ma się pewność, że to ten jeden jedyny. Wiem, że to brzmi sentymentalnie, ale właśnie taka jestem. Kieruje mną serce, nie rozum. Twój ojciec słusznie kiedyś zauważył, że powinnam była się urodzić w epoce romantyzmu.*

*Moja Matka była jednak inna. Kobiety z jej pokolenia wolały umrzeć, niż*

zrezygnować z wyznawanych wartości. Dzięki Twojemu ojcu wiem jednak, że już dawno mi wybaczyła. I że czytała wszystkie moje listy, które przez lata do niej wysyłałam, choć na żaden nie odpisała. Na szczęście Pan Bóg obdarzył mnie dobrym bratem i dzięki niemu mogłam uczestniczyć w życiu mojej rodziny, choć tylko na odległość.

Ale dosyć o tym. Historię mojej udręki znajdziesz w pamiętnikach. Być może zastanawiasz się, dlaczego właśnie Tobie ofiarowuję te wszystkie dokumenty. Odpowiedź jest prosta: chcę, abyś otrzymała po mnie to, co najcenniejsze – naszą tożsamość, naszą przeszłość; wszystko to, co ukształtowało nasze życie. Wiem, że Ty jedna zrobisz z tego dobry użytek. Moja Matka też by tego chciała, byłaś jej ukochaną wnuczką.

Znajdziesz tu zarówno stare fotografie, dokumenty, listy, jak i kilka niezmiernie cennych dla naszej rodziny przedmiotów. Nie mam pojęcia, czy mają jakąś wartość finansową, zapewne tak, jak wszystkie antyki. Jestem jednak przekonana, że ujrzysz w nich przede wszystkim pamiątki rodzinne i będziesz ich dobrze strzegła. Tych kilka drobiazgów to niemal wszystko, co udało się mojej Matce ocalić z rodzinnego domu pod Lwowem i przechować aż do dzisiejszych czasów. Niestety, z mojej winy zaginął cenny, stary pierścień z otwieranym oczkiem, czego do dzisiejszego dnia nie mogę sobie darować. Dlatego proszę, zadbaj o to, co pozostało.

W moich pamiętnikach jest też szkic naszego drzewa genealogicznego. Udało się mi odtworzyć udokumentowane powiązania zaledwie do początków XIX wieku. Reszta to tylko niepotwierdzone opowieści rodzinne. Brakło mi czasu na dokładne poszukiwania. Ale jeśli kiedyś zechcesz się zabawić w genealoga, informacje z aktów urodzeń i ślubów mogą Ci pomóc. Wiem, że teraz internet stwarza szerokie możliwości.

Moja Mama niestety niewiele zapamiętała. Gdy wybuchła wojna, była zaledwie nastolatką. Sama wiesz, czym wtedy zaprzątnięte są serce i umysł młodej dziewczyny. Opowiedziała mi jednak kilka ciekawych historii, które znajdziesz w pamiętnikach.

Ustna tradycja naszej rodziny mówi, że nie mamy się czego wstydzić. Nasi przodkowie odważnie umierali za ojczyznę, gdy była taka potrzeba. W naszych żyłach płynie krew nie tylko różnych narodowości, lecz także różnych stanów – chłopów, prostych rzemieślników i bogatych mieszczan. Podobno nawet jakiś szlachcic przytrafiał się od czasu do czasu, zwabiony niezwykłą urodą naszych przodków.

Matka opowiadała mi na przykład historię, ubarwianą zapewne przez pokolenia, o napoleońskim oficerze, który po uszy zakochał się w jakiejś naszej prababce i choć była mieszczką, ożenił się z nią. Był co prawda biedny jak mysz kościelna, ale ona wniosła mu w posagu prawdziwy majątek. Osiedlili się w Krakowie. Podobno byli ze

sobą bardzo szczęśliwi, choć on był już niemłody i przez całe życie nosił żałobę po swojej poprzedniej rodzinie – po żonie oraz po córce, która zmarła na tyfus. Podobno złoty krzyżyk, który znajdziesz w kufrze, należał właśnie do niego. Oficer podarował go synkowi w dniu jego piątych urodzin, mówiąc, że to najcenniejszy przedmiot, jaki pozostał mu z dawnego życia. W ten sposób zabytkowy krzyżyk znalazł się w posiadaniu naszej rodziny.

Spisałam w pamiętnikach więcej takich opowieści mojej Matki, bo chociaż sporo w nich fantazji naszych prababek, myślę, że warto je poznać.

Chcę Ci powiedzieć coś jeszcze. Być może dotąd tego nie odkryłaś, ale po naszych przodkach odziedziczyłaś szczególną intuicję, która pozwala widzieć i czuć więcej, niż może dojrzeć zwykły człowiek. Nie bój się tego, nauczysz się robić pożytek ze swoich przeczuć. Kiedy zostałaś nauczycielką, myślałam, że właśnie znalazłaś swoją drogę, choć nie wiesz, że namawiałam Twojego ojca, by posłał Cię na psychologię. Sądziłam bowiem, że właśnie w tym zawodzie będziesz mogła dobrze wykorzystać niezwykle dar dostrzegania rzeczy, na które nikt inny nie zwróciłby uwagi. Musisz się tylko nauczyć rozumieć wiadomości, jakie przesyła Ci podświadomość. Życie potoczyło się jednak inaczej, ale wszystko ma swój ukryty sens.

Niektórych ludzi Bóg obdarza genialnym umysłem matematycznym, innych wspaniałym talentem malarskim czy poetyckim, jeszcze innych przepięknym głosem. Nam ofiarował coś mniej spektakularnego, ale za to bardzo przydatnego w życiu. Można zdziałać wiele dobrego, pomagając innym wyjaśniać dręczące ich problemy.

Może nie pamiętasz, ale gdy byłaś kiedyś u mnie ze swoim ojcem, widziałam, ile się w Tobie kłębiło emocji. Odrzucałaś je, chciałaś być wzorowa we wszystkim, co robiłaś, schematyczna i podobna do Twoich rówieśniczek. To chyba naturalne w takim wieku. Wiedziałam jednak, że będziesz się wyróżniać. Jak ja i jak Twoja babcia Urszula, która jako dziecko uratowała swoją rodzinę z rzezi na Kresach tylko dzięki koszmarom sennym.

Na koniec mam prośbę: ten list, jeśli chcesz, możesz dać do przeczytania naszej rodzinie. Także wszystkie dokumenty i stare zdjęcia. Ale moje pamiętniki i to, co znajdziesz pomiędzy ich kartkami – fotografie mojego ukochanego męża, zasuszone kwiaty i inne sentymentalne drobiazgi – zachowaj wyłącznie dla siebie. Gdy spotkasz mężczyznę, dla którego będziesz skłonna zostawić za sobą cały swój świat i otworzyć zupełnie nowe drzwi, zrozumiesz, że są przeżycia, którymi można się dzielić jedynie z pokrewnymi duszami. Dlatego kiedyś, w odległej przyszłości, wybierz jedną kobietę z naszej rodziny i tylko jej ofiaruj sekrety mojej duszy. Jest mi lżej w mej samotności, gdy wiem, że ktoś przechowa pamięć o moim szczęściu.

*PS*

*Nie wstydz się swojego zielonego spojrzenia, ono wyróżnia nas z tłumu. To rzadki podarunek Natury i powinnaś być z niego dumna jak ja.*

\* \* \*

Cały dom spał spokojnie. Z kuchni dobiegało ciche podzwanianie zegara wybijającego drugą godzinę. Żółte światło lampy stojącej na biurku rozpraszało półmrok panujący w pokoju i oświetlało rozłożone na pościeli kartki papieru.

Ewa siedziała w rogu łóżka, oparta o ścianę, z małą poduszką wepchniętą za głowę. Zamyślonym wzrokiem błędziła po suficie. Nie słyszała bicia zegara, nie przeszkadzał jej chłód wpadający do pokoju przez uchylone okno. Wokół panowała kojąca cisza, przerywana od czasu do czasu poszczekiwaniem psa na którymś z sąsiednich podwórek.

Wolnym ruchem podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Stopy miała zimne jak lód, ale nie czuła tego – myślała o Eugenii. List od niej, napisany pięknym odręcznym pismem, spoczywał obok.

„Och, ciociu! – pomyślała ze smutkiem. – Nie jestem pewna, czy wybrałaś odpowiednią osobę. Przemijanie jest okrutne. To takie przykre, czytać wyznania osoby, która już odeszła. Byłaś przecież taka jak ja, młoda kobieta z głową pełną marzeń, z wiarą, że los uczyni cię szczęśliwą. Kochałaś, cierpiałaś, walczyłaś ze światem o swoje małe poletko życia. A teraz pozostała po tobie tylko pamięć. – Schyliła głowę, oparła podbródek o kolana i zagryzła wargi. – Jesteś jak te portrety w galerii pani Konstancji; pokazują ludzi, którzy, patrząc w oczy malarzowi, chcieli uwiecznić swoją duszę dla przyszłych pokoleń. Wierzyli, że są nieśmiertelni, że wyrwą życiu kawałek swojego szczęścia, ale pozostały po nich tylko smutne spojrzenia z obrazów, które prawie nikogo nie obchodzą”.

Poczuła, że ogarnia ją nostalgia, a w oku kręci się łza. Otarła ją wierzchem dłoni i spojrzała na stojący obok łóżka kuferek.

„Nie, to nieprawda – zaprzeczyła sobie w myślach. – Obchodzi mnie, Elizę, Aleksandra i Sophie. Jeśli się postaramy, będzie obchodzić inne osoby z naszych rodzin. Michaś śmieje się z babskich sentymentów, Leszek nie ma czasu, bo ciężko pracuje, ale moja bratanica już rośnie. I kiedyś wyrośnie na kobietę, a kobiety przechowują życie i pamięć jak stare księgi. To zadziwiające, ale jest w tym jakaś

ciągłość, odradzanie się starych marzeń w nowych osobach. Tak naprawdę wszystkie pragniemy tego samego, od wieków. Chcemy być szczęśliwe w ten lub inny sposób”. Głośne ujadanie psa obszczekującego przejeżdżający ulicą samochód wyrwało ją z zadumy.

– Zupełnie jak Lucky! – Zamrugła, jakby przebudziła się ze snu.

Z trudem rozprostowała ścierpnięte nogi. Spojrzała na zegarek, wskazywał 2:37. Uśmiechnęła się na myśl, że to już niedziela i nie musi się zrywać rano do pracy.

– No, dość już tego – mruknęła, zbierając rozrzucone kartki i troskliwie zamykając je w kuferku. – Wszystko ma swój czas i miejsce. Wybacz, ciociu, ale twoje pamiętniki jeszcze trochę poczekają. Najpierw muszę zrobić porządek we własnym życiu. Jest parę spraw, którymi powinnam się zająć. – Z wysiłkiem wsunęła skrzynię pod łóżko.

Włączyła komputer.

– Skoro wszyscy mi radzą, by zaufać przeczuciom, proszę bardzo – szepnęła, klikając w ikonkę poczty. – Francuz, nie Francuz, wypada się odezwać. Zresztą Jola ma rację: kto mi zabroni uprawiać międzynarodową korespondencję? To przecież tylko e-maile – przekonywała siebie, stukając szybko w klawisze. – W końcu ja też muszę mieć na starość o czym pisać w pamiętnikach.

Na ekranie komputera zaczął się pojawiać tekst z nagłówkiem:

*Gérardzie...*



# Rozdział 18

## Jesienny weekend

– Jaka piękna! – szepnęła oczarowana Ewa, patrząc na suknię ślubną.

– Mnie się też podoba. – Eliza uśmiechnęła się promiennie.

Manekin z założoną na niego suknią stał w rogu pokoju. Ewa po raz pierwszy została zaproszona do prywatnego apartamentu Elizy, ale nawet nie zdążyła go zwiedzić. Już po kilku krokach dostrzegła obok dużego lustra ślubną kreację i straciła zainteresowanie wszystkim dookoła. Miała przed sobą prawdziwe dzieło sztuki krawieckiej, jakie zapewne trudno byłoby znaleźć w polskich sklepach.

Śnieżna biel usztywnionego gorsetu haftowanego w misterne wzory koloru kości słoniowej odcinała się od szarego dekoltu manekina trójkątnym, lekko zaokrąglonym wycięciem. Szerokie rękawki z półprzezroczystego materiału, ozdobione na końcach podobnym haftem, skromnie zakrywały ramiona, sięgając zapewne aż do łokcia. Materiał na plecach przystrojono wstążką, która spinała gorset od góry, kończąc się w talii elegancką kokardą. Dół sukni był skromny – lekko falujący, rozkloszowany matowy jedwab ozdobiono u dołu podobnym wzorem jak haft na gorsecie.

Ręcznie zdobiona kreacja była wytworna i znakomicie pasowała do Elizy. Jednak największe wrażenie zrobił na Ewie welon spływający koronkowym strumieniem ze specjalnego stojaka.

– O matko! – szepnęła zachwycona. – Jaki cudny!

– To antyk – wyjaśniła z dumą Eliza. – Nosiła go na swoim ślubie moja babcia i moja prababka Róża. Był szyty specjalnie dla niej, choć podobno perły pochodzą z jeszcze starszych sukien ślubnych naszych przodkiń. Miałam sporo kłopotów z odświeżeniem go w taki sposób, żeby się nie zniszczył. Babcia wyciągnęła go z jednej ze swoich sekretnych szaf. Cieszę się, że będę mogła go włożyć.

– Nie dziwię się. – Zafascynowana Ewa delikatnie dotknęła starej materii.

Welon, połączony z czymś w rodzaju czepka obejmującego ściśle całą głowę, wykonany był z pięknej, delikatnej jak mgła koronki naszytej na tkaninę czepka

i układającej się nad czołem w rodzaj pofalowanego obrębiania. Ażurowy materiał welonu spływał do ziemi i rozszerzał się u dołu w piękny, długi tren, przybierając w świetle odcień kości słoniowej, jednak Ewa była pewna, że kiedyś musiał być biały jak lilie. Czepek dodatkowo ozdobiono maleńkimi perełkami i srebrną nicią układającą się w skomplikowane kwiatowe wzory, tak gęste, że tkanina wyglądała jak wytłaczana. Przesuwając lekko palcami po wszystkich chropowatościach materii, Ewa poczuła, jakby dotykała właśnie kawałka historii.

– Jest przepiękny i cieszę się, że babcia mi go podarowała. Jednak noszenie go nie jest takie proste – powiedziała Eliza. – Jest dość ciężki i bardzo długi, a nie chcę go uszkodzić. Specjalnie u dołu kazałam podszyć go warstwą cienkiego jedwabiu, żeby koronka nie podarła się podczas ceremonii. Będziesz musiała mi chwilami pomóc, żeby się o nic nie zaczepił. Nie darowałabym sobie, gdyby coś mu się stało.

– Oczywiście, dopilnuję tego. Mam stać przy ołtarzu? Właściwie nie opisałaś mi waszej ceremonii i trochę się czuję przerażona rolą, jaką mi przydzieliłaś. Nic nie wiem o francuskich weselach – wyznała Ewa rozbijając szczerze.

– Niczego się nie obawiaj. Mam nadzieję, że nie jesteś skrepowana funkcją druhny?

– Skrepowana? Żartujesz! Jestem zaszczyczona, tylko nie wiem, czy sobie poradzę.

Ewa mówiła szczerze, bo czuła się tak przejęta, że od kilku godzin nie mogła się uspokoić.

Przyleciała do Francji ze Sławkiem, którego Eliza zgodziła się zatrudnić jako fotografa weselnego. Zaraz po powitaniu straciła go jednak z oczu, bo rodzina Elizy wciąż absorbowwała jej uwagę, jakby była jednym z najważniejszych gości.

Jeszcze w Polsce Jola jak zwykle podkpiwała sobie z Jacka, pozornie nieprzejętego komunikatem o kolejnym francuskim zleceniu, które go ominęło. Widać było jednak, że zazdrości Sławkowi tego wyjazdu tak samo, jak wcześniej zazdrościł Ewie. W porównaniu z takim zleceniem wesele burmistrzówny wyraźnie bladło w pamięci szefa, choć Jola musiała uczciwie przyznać, że się chłopak postarał i wstydu nie przyniósł.

– Przynajmniej jeśli chodzi o zdjęcia – stwierdziła z przekąsem, oglądając efekty pracy Jacka. – Bo co wyniknie dla nas z tego tajemniczego incydentu z panem młodym, kiedy się prawie pobili, to się jeszcze zobaczy. Jacek milczy, ale obawiam się, że plotek nie unikniemy – prorokowała Jola pod koniec lata, jednak Ewa była już myślami na zupełnie innym weselu.

Francja jesienią podobała się jej tak samo jak latem, a może nawet bardziej: drzewa zabarwiły się prawie jak w Polsce – całą paletą czerwieni i żółci, chłodniejsze

powietrze można było nazwać prawie orzeźwiającym, a ulice miasteczek, przez które przejeżdżali taksówką razem z Sławkiem, były już niemal opustoszałe, choć w Paryżu na lotnisku nie wyglądało na to, by ruch turystyczny zmalął.

Na miejscu byli już w piątek rano. Kiedy wysiadali z taksówki przed domem Elizy, Sławek miał podobnie zdumioną minę, jak kiedyś Ewa.

– Na fotografiach to wyglądało trochę inaczej – stwierdził enigmatycznie i zaczął wyciągać walizki.

Pierwszy wybiegł im na powitanie Lucky i natychmiast zaczął się łączyć do rąk roześmianej Ewy. Tuż za nim pojawili się Aleksander, wszędobylska Patrycja i Eliza, która już z daleka przyjaźnie machała do gości. Zanim jednak zdążyli podejść do samochodu, zostali wyprzedzeni przez dwa różowe, pędzące na oślep brzdące, które z wrzaskiem dopadły Ewy, okręcając ją wokół własnej osi.

– Pani Ewunia, masz dla nas prezenty?!

– Ty głupku, najpierw trzeba powiedzieć dzień dobry.

– Dzień dobry, ma pani dla nas prezenty?

– Spokojnie, dziewczynki, oczywiście, że przywiozłam podarunki dla wszystkich. Ale dostaniecie je dopiero za chwilę.

– Bo? – zapytały chórem.

– Bo są porządnie zapakowane do walizek, żeby się nie uszkodziły. Widzicie, ten miły pan, który ma na imię Sławek, właśnie je wyciąga z bagażnika. – Wskazała na wyszczerzonego radośnie kolegę.

– I co?

– I zabierzemy walizki do domu, a potem je rozpakujemy i wyjmemy prezenty.

– Huraaa! Chodźmy!

– Teraz Ewa musi odpocząć po podróży. – Eliza przerwała radosne okrzyki. – Dziewczynki, proszę się odsunąć i przypilnować Lucky’ego. Witam cię serdecznie. – Uściskała Ewę i przyjrzała się jej ze zmarszczonymi brwiami. – Zmieniłaś fryzurę? Wyglądasz jakoś inaczej.

– Inaczej?

– Już wiem! Założyłaś zielone soczewki kontaktowe – stwierdziła z uśmiechem, ale w jej głosie dało się wyczuć zdziwienie. – Czy to specjalnie na cześć Flory?

Sławek, który stał obok i z wielką przyjemnością spoglądał na piękną młodą kobietę rozmawiającą z jego koleżanką, już otwierał usta, by wtrącić się do rozmowy, gdy Ewa dyskretnie ścisnęła mu dłoń.

– Tak – odparła szybko. – Barwione soczewki są w Polsce ostatnio bardzo modne. Zresztą doskonale pasują do mojej szmaragdowej sukienki wieczorowej, którą ci

później pokażę.

– Rozumiem. – Eliza wciąż wyglądała na zaskoczoną, ale nie pytała o nic więcej, tylko przywitała się uprzejmie ze Sławkiem.

Na podwórku zaczęli się pojawiać kolejni członkowie rodziny. Wszyscy ściskali Ewę z radością, a zwłaszcza Sophie, która niemal promieniała, ozdobiona uroczym uśmiechem i zaokrąglonym brzuszkiem.

– Sophie, ślicznie wyglądasz!

– Ty też ładnie, Ewunia. A to? Zmiana? – Zachwyciła się, patrząc w oczy kobiety.

– To tylko nowe soczewki – zniecierpliwił się Aleksander, który nie mógł się dopchać do gościa, a myśl o ewentualnych prezentach ekscytowała go tak samo jak przed chwilą dziewczynki. – Czy już wszyscy słyszeli? Ewa nosi kolorowe soczewki! To może byśmy wreszcie weszli z tym całym majdanem do środka i przestali gadać o kolorze sukienek!

– Masz rację, Aleksandrze – zabrzmiał spokojny głos Konstancji. – Zajmij się bagażem. A to zapewne nasz fotograf. Witam pana w naszym domu, Paul wskaże panu pokój gościnny. – Seniorka typowym dla siebie pewnym tonem przywitała Sławka, który kurtuazyjnie ucałował jej dłoń. – Miło poznać dobrze wychowanego, młodego mężczyznę – dodała.

Przez kilka sekund przyglądała się Ewie, po czym ciepło ucałowała ją w oba policzki.

– Dobrze, że wreszcie jesteś, moje dziecko... Cieszę się, że cię znów widzę. Wejdzmy do środka.

Ewa uradowała się, że Konstancja jest zadowolona z jej przyjazdu i o nic ją nie wypytuje. Tego obawiała się najbardziej. Całą drogę z lotniska planowała, co powiedzieć, jeśli przy jakiejś okazji zostanie zapytana o tamto zdarzenie na cmentarzu.

Od momentu gdy świętej pamięci doktor Marc wyznał Konstancji szokującą prawdę o śmierci Jana, *grand-mère* mogła sobie w każdej chwili przypomnieć, że to właśnie Ewa pierwsza podsunęła jej rozwiązanie tragicznej zagadki. Tymczasem Ewa nie chciała i nie umiała rozmawiać o tym, czego sama nie rozumiała. W odruchu desperacji postanowiła więc, że w razie potrzeby wymyśli coś na poczekaniu.

„W wymyślaniu bzdur zawsze byłam dobra” – stwierdziła w duchu z goryczą.

Na szczęście podczas przywitania zobaczyła w oczach Konstancji jedynie serdeczność i odrobinę zaskoczenia, jakby starsza pani ujrzała ją tak naprawdę po raz pierwszy.

Zadowolona z obrotu sprawy, Ewa dała się poprowadzić do domu i zakwaterować

w swoim dawnym pokoju. Przez cały czas przyglądała się jednak dyskretnie sytuacji.

Konstancja była bardzo miła i troskliwie zajęła się gośćmi, lecz Ewa zauważyła, że wygląda na zmęczoną, a przy obiedzie niewiele zjadła. Nie zdziwiło jej to specjalnie, bo Eliza pisała, że stan babci poprawia się bardzo wolno.

Jej wnuczka była natomiast pełna radosnej energii i zdawała się bez wysiłku panować nad weselnym chaosem, który powoli ogarniał rezydencję. Przewyciężając wrodzoną powściągliwość, Eliza witała kolejnych gości z prawdziwym entuzjazmem. Kilkoro krewnych, którzy przybyli z daleka, przyjechało tego samego dnia wieczorem, pozostali mieli dotrzeć w sobotę wprost do kaplicy.

Podczas kolacji Ewa po raz pierwszy zauważyła, że służba musiała dostawić krzesła, by wszyscy się zmieścili. Poza przyjezdnymi i domownikami obecni byli także rodzice pana młodego, a Pierre zajmował przy stole miejsce obok rozpromienionej narzeczonej. Był już niemal zadomowiony i od rana do wieczora pomagał w przygotowaniach do ślubu. Sophie zdradziła Ewie, że pokoje Elizy zostały już przemeblowane i czekały teraz wyłącznie na wprowadzenie się młodego małżonka.

Na piątkowy wieczór Eliza zaplanowała spotkanie z przyjaciółkami, na które zaprosiła także całą żeńską część rodziny i oczywiście Ewę. Przyjęcie miało się odbyć w restauracji w pobliskim miasteczku, bo jak powiedziała Eliza, dom potrzebuje odrobiny spokoju.

Oszołomiona rozgardiaszem Ewa z trudem odszukała Sławka, by wyjaśnić mu kilka spraw organizacyjnych. Dopadła go na wewnętrznym dziedzińcu.

– Nie zawracaj sobie mną głowy, Ewka – zaśmiał się, gdy go przeproszała, że przez cały dzień była nieosiągalna. – Jesteś tu, widzę, gościem honorowym, a ja tylko pracownikiem.

– No coś ty!

– Dziewczyno, idź, baw się dobrze i zajmij się sobą. Ja muszę zdokumentować teren i pogadać trochę z rodziną, żeby lepiej ich poznać. Dam sobie radę.

– Naprawdę nie masz żalu?

– Zwariowała, jak Boga kocham. Czy wyglądam na żalosego maminsynka, którym trzeba się ciągle zajmować?

– Ty? Nigdy w życiu – zaśmiała się szczerze. – To lecę, bo Eliza zaprosiła mnie na prezentację sukni ślubnej. Mam być druhną. Pa!

– Jeszcze nigdy nie byłam druhną – wyznała Elizie, gdy oglądały ślubną kreację. – Mam tremę.

– Przepraszam, że nie uprzedziłam cię wcześniej. Właściwie nie planowałam

druhen, ale wczoraj nagle pomyślałam, że będziesz w tej roli doskonała. Cieszę się, że się zgodziłaś.

– To dla mnie przyjemność.

– Twoja pomoc bardzo mi się przyda, bo czuję, że zaczynam się denerwować.

– Naprawdę?

– Tak. Boję się, że w ostatniej chwili zapomnę nawet, jak się nazywam.

– Spokojnie, poradzimy coś na to.

– Jak?

– Na przykład pogadajmy o czymś innym niż ślub. Jak idzie projektowanie ośrodka?

I co z kwiaciarnią?

– No cóż, na razie chyba dobrze. Wstępny projekt spodobał się babci i rodzinie. Chciałam, żeby budynek pasował do naszej posiadłości i chyba to się udało. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, budowa ruszy pełną parą już na wiosnę. Na razie zbieram fundusze, załatwiam różne papierkowe sprawy i głowa mi od tego puchnie. Ale kwiaciarnia trzyma się dzielnie.

– To znaczy?

– Wiesz, to dziwne; odnoszę wrażenie, że nie ma większego ruchu niż zazwyczaj, ale nie mamy już żadnych strat. Zamówienia co prawda spływają bardzo powoli, lecz systematycznie. Pojawiają się też nowi klienci. Na przykład ostatnio obsługiwaliśmy dużą imprezę z Japończykami. Franciszek twierdzi, że z analizy finansowej wynika... nie będę cię zanudzać szczegółami – zreflektowała się. – Po prostu jest trochę lepiej niż do tej pory. On uważa, że zamknięcie tamtych filii zmniejszyło koszty i nie ponosimy żadnych strat.

Ewa nie słuchała zbyt uważnie. Zamyślona patrzyła na suknię Elizy.

– Czy Gérard miał dzisiaj wolne? – spytała nagle.

Rozmówczyni podążyła za jej wzrokiem i dyskretnie uśmiechnęła się do swoich myśli. Odniosła wrażenie, że rozwiązała właśnie zagadkę osobliwego roztargnienia, jakie ostatnio przejawiał jej ogrodnik.

– Nie, był dzisiaj – odparła ciepło. – Widziałam go rano w głównej alei, udawał, że sprawdza stan platanów przed zimą, ale wciąż zerkał na bramę wjazdową. Jakby na kogoś czekał – dodała wesoło.

Ewa przygryzła wargi.

„No właśnie – pomyślała. – To czemu się nie pokazał?”

\* \* \*

– To lawenda? – zaciekawiała się Ewa, oglądając w sobotnie popołudnie ślubną

wiązanke.

– Tak. Podoba ci się? – odparła Eliza, której upinano właśnie welon. – Babcia zrobiła mi ją osobiście.

– Nie wiedziałam, że lawenda może mieć tyle odcieni.

Bukiet o tradycyjnym, okrągłym kształcie składał się ze swobodnie pomieszanych gałązek drobnych pachnących kwiatów. Ich barwa zmieniała się od typowego fioletu, poprzez ciepły róż, zdumiewający szafirowy odcień niebieskiego aż po niemal czystą biel. Kwiatowa kompozycja związana była skromnie jedynie długą, muślinową, białą wstążką. Wśród kwiatów Ewa dostrzegła wplecioną gałązkę jemioli.

Uśmiechnęła się. Wiedziała doskonale, do jakiej tradycji i symboliki nawiązuje bukiet.

– My pokazywali tobie głównie fioletową na wycieczce – odezwała się Sophie, która wygodnie siedziała w fotelu, przypatrując się ubieraniu panny młodej. – Ale jest dużo, dużo gatunek lawendy.

Delikatnie chłodziła się staroświeckim wachlarzem, choć ciepły dzień październikowy nie przypominał letnich upałów.

– No, gotowe. – Głos matki Elizy zdrzął wzruszeniem. – Idźcie już, zaczekajcie na nas w holu. Chcę zostać na chwilę sama z córką.

Domownicy przyjęły prośbę ze zrozumieniem i powoli udały się do kaplicy, gdzie zgromadzili się pozostali goście. W holu na dole czekał jedynie zdenerwowany ojciec Elizy oraz zupełnie spokojna Konstancja.

– Dobrze, że z nami jesteś w tak ważnym dniu, moje dziecko – szepnęła Konstancja, nieoczekiwanie ciepłym gestem gładząc Ewę po policzku. – Chciałabym ci... ja... – Zawahała się, widząc zaskoczenie w jej wzroku. – Flora wiedziała, co robi, przysyłając cię tutaj – powiedziała tylko, bo u szczytu schodów pojawiła się wytworna postać w bieli z kolorowym bukietem w dłoniach.

Eliza niemal eterycznie spłynęła po stopniach. W milczeniu, lecz z radosnym uśmiechem, pozwoliła się uściskać ojcu i babce, po czym cała czwórka wolnym krokiem ruszyła w stronę kaplicy: mężczyzna po prawej stronie córki, Konstancja po lewej, a przejęta swoją funkcją Ewa z tyłu, podtrzymując delikatny jak pajęczyna koniec welonu, by niepotrzebnie nie sunął po ostrych kamyczkach ścieżek.

Narzeczony oczekiwał na swoją oblubienicę w środku półmrocznego kościółka bogato przystrojonego kwiatami. Wewnątrz było jednak tak mało przestrzeni, że mieściła się jedynie najbliższa rodzina. Dla pozostałych gości i zaproszonych pracowników przygotowano specjalne ławy przed szeroko otwartymi drzwiami kaplicy.

Ewa dyskretnie udrapowała welon-tren panny młodej na kilku schodkach przed

ołtarzem w taki sposób, by Eliza, wstając z krzesła, nie potykała się o delikatny materiał. Uspokojona stanęła z boku. Przez chwilę przyglądała się, z jakim profesjonalizmem pracuje Sławek, który w tak małej przestrzeni był w stanie nie tylko robić zdjęcia, lecz także pozostawać prawie niewidocznym, jeśli nie liczyć błyskających cicho fleszy.

W tej chwili myśli Ewy popłynęły w kierunku Gérarda, o którym wiedziała, że został na zewnątrz, bo mignął jej wśród zebranego tam tłumu. Stojąc przy ołtarzu, wśród rozpasanej bieli róż, margerytek, storczyków, ogrodowych stokrotek, hortensji, orchidei i mnóstwa innych gatunków kwiatów, rozjaśniających wnętrze kaplicy, Ewa poczuła, że dostaje zawrotu głowy nie tylko od natłoku zapachów. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że wzbiera w niej fala dziwnych emocji.

Początkowo była tylko rozczarowana i zaniepokojona tym, iż Gérard nie szukał jej wczoraj, choć jeszcze w ostatnim e-mailu zapewniał, że nie może doczekać się chwili spotkania. Jego zdumiewająco romantyczne listy – zarówno te, które otrzymywała drogą elektroniczną, jak i te tradycyjne, które cieszyły ją podwójnie, bo mogła dotykać liter skreślonych przez niego własnoręcznie – przez kilka tygodni od powrotu do Polski całkowicie ją uwiodły i roztopiły wszelkie obawy, jak pełne słońce lód.

Broniła się, mówiąc, że jego zabawnie brzmiące wyznania nie robią na niej żadnego wrażenia, jednak Jola dość szybko przekonała ją, by „dała facetowi szansę”. Zaczęła więc odpisywać na jego wiadomości, aż w końcu nieśmiało zaproponowała mu spotkanie na Skypie. Była rozczarowana, gdy odmówił, tłumacząc, że to wynalazek nie dla niego. Całkowicie rozbroił ją jednak wyjaśnieniem, iż prawdziwy mężczyzna spłonąłby jak sucha gałązka w ognisku, mogąc jedynie patrzeć na miłą sercu osobę, a nie mogąc jej wziąć w ramiona. „Cierpliwym mi być wypada, aż zasłużę na prawdziwy uścisk Twej dłoni i słodkie tchnienie Twych perfum, we Francji lub w Polonii, gdziekolwiek zechcesz” – pisał.

Gdy jej brat przez przypadek spojrział na monitor z otwartym e-mailem i przeczytał kilka pierwszych zdań, przez kwadrans pękał ze śmiechu, aż musiała go z oburzeniem przywołać do porządku. Zasiał jednak w jej głowie ziarno niepewności, ostrzegając, by była ostrożna, bo tacy faceci jak ten z listu nie istnieją i pewnie to jakiś zwyczajny francuski styl podrywu, który nic poważnego nie znaczy.

To, że od przyjazdu do rezydencji Ewa bezskutecznie czekała na jakikolwiek znak od Gérarda, zdawało się potwierdzać słowa brata i wyraźnie psuło jej nastrój w piękny weselny dzień.



„Miałam rację, pisząc mu na początku, że taka znajomość na odległość nie ma sensu. Nagadał mi masę bzdur, a teraz się przestraszył i mnie unika. Łatwo jest przecież udawać zakochanego bez żadnych zobowiązań – rozważała w duchu, skubiąc nerwowo bukiet z miniaturowych słoneczników, który dostała od Elizy jako druhna. – A może po prostu znalazł sobie kogoś innego...? Tylko po co miałby mnie tak zwodzić? Nie wyglądał na takiego, któremu zależy jedynie na rozkochaniu kobiety, żeby się tym pysznić jak trofeum sportowym... Co ja bredzę?! Wcale nie jestem w nim zakochana! – zżymała się w duchu. – Ale on przecież wiedział, że przyjadę na ślub Elizy, więc... Cholera! Może właśnie dlatego pisał, że koniecznie musi mi coś wyznać? – zdenerwowała się. – Może jednak poznał kogoś i nie umiał mi o tym napisać? Co ja mam teraz zrobić?”

Była tak zatopiona we własnych myślach, że niemal przegapiła moment, gdy Eliza wraz z narzeczonym wstali, by złożyć przysięgę małżeńską.

Welon na szczęście zachowywał się tak, jak Ewa tego po nim oczekiwała – majestatycznie popłynął za panną młodą i o nic nie zahaczył.

Na zakończenie uroczystości Patrycja odśpiewała po łacinie *Ave Maria* bez akompaniamentu, wywołując wzruszenie wśród zebranych. Ewa również była zaskoczona fantastyczną barwą jej głosu. Nigdy by nie podejrzewała o taki talent wyrosniętej nastolatki z pryszczami na nosie, ale dzięki wzruszającej pieśni zapomniała na chwilę o własnych niewesołych myślach.

Gdy ksiądz pobłogosławił młodą parę, rozległy się gorące oklaski i okrzyki gratulacyjne. Wychodząc z kaplicy, państwo młodzi byli uszczęśliwieni i, jak wszyscy w podobnych okolicznościach, wyglądali wręcz cukierkowo, co Ewa odnotowała w swej fotograficznej pamięci z pewną zawodową uszczypliwością.

„Ciekawe, co Sławek wymyśli, żeby wykrzesać z tego choć odrobinę oryginalności?” – pomyślała i natychmiast musiała się zająć welonem sunącym po zielonym trawniku w kierunku ogrodu, gdzie przygotowano przyjęcie weselne.

Wśród zieleni, pod specjalnymi namiotami z białego materiału przygotowano na początek małe przekąski i kieliszki z prawdziwym szampanem. Bąbelki podziały na Ewę orzeźwiająco, co natychmiast skierowało rozbiegane myśli na bardzo konkretny cel: dopchać się do apetycznie wyglądających przekąsek. W zdenerwowaniu jej żołądek głośno i dobitnie domagał się zaspokojenia swoich potrzeb, ale na rozstawionych w ogrodzie stołach jedzenia było bardzo niewiele.

Spojrzała na zegarek i stwierdziła, że właśnie dochodzi siedemnasta. Na polskim weselu oznaczałoby to, iż niedługo podany zostanie obiad. Jednak tutaj kelnerzy wciąż

roznosili jedynie szampana, którym zebrani wokół młodej pary goście wesoło i głośno wznosili kolejne toasty.

Zaledwie dla kilku starszych osób przyniesiono krzesła i ustawiono przy jednym ze stolików, gdzie honory domu czyniła Konstancja i zmęczona Sophie. Wersja szwedzkiego stołu na francuskim weselu nieco Ewę zaniepokoiła, bo znając już hojność tego domu, spodziewała się wielkiego obżarstwa, a jedynie to było w stanie ukoić w tej chwili jej podrażnione nerwy. Kulinarne rozmyślania przerwał Aleksander.

– Widzę, że przekąszasz? – zażartował, uśmiechając się szeroko. – Masz rację, za chwilę talerze będą puste, a kolacyjka dopiero koło dwudziestej.

Ewa omal nie zakrzuszyła się malutką tartinką.

– Co takiego?! Jak to? Wkręcasz mnie!

– Bynajmniej – odparł elegancko, nadal szczerząc zęby. – Kolacja jak zwykle będzie późno, a tańce dopiero koło północy.

– A co będziemy robić do kolacji?

– Obawiam się, że jedynie konwersować.

Ewa spojrzała na niego groźnie.

– Mój drogi chłopcze, z radością konstatuję, iż znacznie rozszerzyłeś zasób swego polskiego słownictwa, i to w wersji literackiej. Niezmiernie mnie to raduje, jednakże wolałabym, abyś nie stroił sobie żartów z tak poważnej kwestii życiowej jak posiłek – wypaliła z szybkością karabinu maszynowego.

Aleksandrowi trochę zrzędła mina, bo zobaczył w oczach Ewy prawdziwe błyskawice.

– Oj, Ewka, coś ty dzisiaj taka nadęta? Przecież... tego... no, ładnie wyglądasz i w ogóle. Stało się coś?

– Nie! – burknęła, rozglądając się za kelnerem.

– Ja naprawdę nie żartuję – zapewniał stropiony. – Oni za chwilę będą sobie robić zdjęcia w parku, można pójść z nimi, bo to trochę potrwa. Żarcie będzie później. A teraz czekamy na niespodziankę.

– Jaką niespodziankę?

– Nie wiem, Patrycja mówiła, że pracownicy przygotowali na cześć nowej właścicielki jakąś niespodziankę. Jeśli na serio jesteś taka głodna, to zawsze możemy zakraść się do kuchni, gdy oni pójdą z fotografem. Pomogę ci coś zwinąć.

– Okej, ta wersja bardziej mi odpowiada. – Ewa dała się udobruchać. – Jak ci się podobały książki?

– Super! Dzięki, że mi je przywiozłaś, chociaż przegrałem zakład. Przodek jak wisiał, tak wisi – zaśmiał się. – Skąd wiedziałaś, że nie spadnie?

– Kobięca intuicja.

– Ech, wy baby – westchnął zabawnie. – Już gadasz, jakbyś należała do rodziny.

– Dzięki. – Uśmiechnęła się półgębkiem, starając się elegancko, choć szybko zjadać tartinki z półmiska, obok którego przystanąła.

– Ale matkę uczciwie zaliczyłem. Ja dotrzymuję słowa.

– Nigdy w to nie wątpiłam.

– Tylko prababcia ciągle nie w humorze. Powiedziała, że na razie żadnych więcej odkryć. Że się muszę skupić na wykształceniu.

– Nie martw się. Kiedy pomachasz rodzinie przed nosem dyplomem ukończenia studiów, wszystkie archiwa staną przed tobą otworem.

– Bardzo zabawne. Skończenie studiów to dla mnie wieczność! Będę już wtedy zgrzybiałym starcem.

– No dzięki! Ja już parę lat temu skończyłam studia, więc w takim razie zaliczasz mnie do kategorii mumii egipskich, jak sądzę. Czy może pozwolisz mi jeszcze pożyczyć kilka lat, zanim rozsypię się w proch ze starości?

– Oj tam, wiesz, o czym mówię.

– Wiem, ale to przyjdzie szybciej, niż się spodziewasz. I zaręczam ci, że będziesz się czuł młodo nawet jako czterdziestolatek. Człowiek tak naprawdę dojrzewa tylko przez jakiś czas, a potem to już mu jedynie lata w dowodzie lecą. I wcale od tego nikt nie mądrzeje, obawiam się – dorzuciła już ciszej, jakby do siebie.

– Jakoś dziwnie dzisiaj gadasz – mruknął.

Zaśmiała się trochę nerwowo i łyknęła szampana.

– Dobra. Mam w takim razie jeszcze jedną radę starej baby dla ciebie: musisz się nauczyć także przegrywać.

– Nie rozumiem.

– Przeszłość, jak i przyszłość, to wielka niewiadoma. Nie wszystkie zagadki uda ci się wyjaśnić. Musisz być na to przygotowany.

Chłopiec milczał, patrząc na Ewę, jakby mówiła do niego po chińsku.

– No co się tak dziwisz? Takie jest życie. Na przykład, jeśli w dokumentach pani Konstancji nie znajdziesz nowych konkretnych informacji o tych naszych bliźniaczkach, to odnalezienie zagubionych przed wiekami krewnych będzie prawie niemożliwe. Mogli umrzeć w drodze, zostać napadnięci przez bandytów albo dopadła ich jakaś wojna czy zaraza. Wszystko mogło się zdarzyć.

– Dzięki, że dodajesz mi otuchy – stwierdził ponuro.

– Oj sorki, po prostu chcę, żebyś się nauczył cieszyć z małych sukcesów i nie zniechęcał porażkami. Ale mogę się mylić, prawda? Może kiedyś, pracując nad

zupełnie inną sprawą, wpadniesz nagle na jakiś trop. To się zdarza. – Poklepała go po ramieniu.

W tym momencie muzycy, grający do tej pory cichutko jakieś klasyczne utwory, zaintonowali wesołą, skoczną melodię, w której rolę przewodnią odgrywały flet i jakiś bębenek. Goście krążący spokojnie po ogrodzie, cofnęli się pod namioty, robiąc na środku miejsce i z zaciekawieniem spoglądali na zbliżających się od strony rezydencji ludzi. Bardzo szybko rozległy się oklaski i rozbawione okrzyki, a Eliza aż złożyła dłonie w geście zachwytu.

Ubrani w barwne staroświeckie stroje mężczyźni i kobiety, ustawieni w długi korowód, podrygiwali zabawnie w rytm melodii, trzymając się za ręce. Na ten widok Sławek dostał nagle jakiegoś przyspieszenia; zaczął się dwoić i troić z aparatem, niemal wchodząc tancerzom pod nogi.

Rozśmieszona Ewa zobaczyła nagle wśród pływających radośnie osób Gérarda i mina jej nieco zrzędła. Wyglądał dziwnie, podskakując w rytm melodii i machając nogami jak w balecie.

– Mówiłeś, że tańce będą później. Co to ma być?

– *Farandola*, jak mniemam – wypalił chłopak z uśmiechem. – Taki nasz regionalny taniec ludowy. Ale jazda! Nasi pracownicy założyli zespół taneczny – zachichotał i pobiegł w kierunku tańczących.

Ewa nic więcej nie powiedziała. Coraz szerzej natomiast otwierała oczy ze zdziwienia.

Wśród podrygujących osób rozpoznała kilka znajomych twarzy: kucharkę, groźnego ochroniarza pracującego przy bramie, pomoc kuchenną, młodszą pokojówkę i sztywną francuską asystentkę Konstancji. Wszyscy rytmicznie podskakiwali, uśmiechnięci od ucha do ucha, okręcali się dookoła swoich partnerów, kłaniali się sobie i machali trzymanymi w rękach chusteczkami. Główną figurą był tradycyjny na polskich weselach „wąż”, lecz w jakiejś specyficznej wersji, wijący się dookoła gości w zabawnych hołubcach.

Zgromadzeni wokół byli najwyraźniej oczarowani swawolnymi pływami, które zakończyły się ukłonem złożonym parze młodej i wręczeniem olbrzymiego kosza kwiatów. Rozochoceni goście podziękowali tańczącym burzliwymi oklaskami, a niektórzy najwyraźniej zażądali bisu i chcieli dołączyć do tańca. Tłum szybko się przemieszał, powstał nieopisany wesoły rozgardiasz.

Oszołomiona Ewa poczuła nagle lekki uścisk czyjejś dłoni na ramieniu i trochę bezwolnie pozwoliła się pociągnąć tuż za ścianę namiotu.

– Co jest...?

– *Pardonne-moi*<sup>[114]</sup> – usłyszała niespodziewanie ciepły szept we własnym uchu.

Momentalnie poczuła, że brakuje jej tchu. Zaskoczona patrzyła na Gérarda, który ze skruszoną miną podawał jej słodko pachnący bukiet frezji. Adrenalina podskoczyła jej w ułamku sekundy. Nie mogąc wykrztusić ani słowa, przyjęła wiązanekę i ukryła w niej czerwoną twarz, udając, że wącha kwiaty.

„Pamiętał o frezjach! Jasna cholera! Już zapomniałam, jak on na mnie działa – pomyślała w popłochu. – Zawsze mnie zaskakuje, a potem radź tu sobie, człowieku, z zawałem!... Tylko spokojnie, oddychaj. Oddychaj!”

– Czy znajdziesz dla mnie kilka chwil, bym ci rzekł, dla jakiej przyczyny tak nieobyczajnie wczoraj wobec ciebie postąpiłem? – spytał cicho. – Proszę.

Ewa zmusiła się do odetchnięcia. Chrząknęła.

– Dobrze, porozmawiajmy. Ale nie tutaj, chodźmy do domu.

Mężczyzna skinął głową i korzystając z ogólnego zamieszania, poprowadził ją w stronę dziedzińca. Jednak dom pełen był ludzi. Kelnerzy biegali z kieliszkami tam i z powrotem, Paul wydawał polecenia służbie, w holu czekał pies. Zdesperowana Ewa, zastanawiając się, co Gérard chce jej wyznać, pociągnęła go aż na samą górę, do galerii przodków.

Tutaj rzeczywiście panował spokój. Twarze z obrazów wydały się Ewie tak znajome, że już nie onieśmiały. Wręcz przeciwnie, pod portretem Flory poczuła się bezpieczna.

Spojrzała na mężczyznę nieco urażona. Miał zakłopotany wyraz twarzy i widać było, że wstydzi się tego, co chce powiedzieć.

– Chciałeś mi coś wyjaśnić. Więc słucham – rzekła chłodno po chwili niezręcznego milczenia, przygotowana na niemiłe wieści. – Wysłałam do ciebie wczoraj dwa esemesy. Miałam nadzieję, że się spotkamy, ale nie odpisałeś. To niezbyt grzeczne.

– Tak, wiem, że jestem godzien wszelkiej przygany i nijakiego prawa o wybaczenie prosić nie mam – zaczął cicho. – Grubiańskie to z mej strony, by tak kobietę uczciwą zwodzić. – Mimowolnie z nerwów przygryzł wąż.

Ponieważ roztrzęsiona wewnętrznie Ewa nic nie powiedziała, próbując ukryć, że drżą jej ręce, mężczyzna westchnął ciężko.

– Co ja Ewie winien jestem, pamiętam... bo każdy człowiek za swoje słowa odpowiadać musi, jeśli szczerym jest, a nie oszustem jakim. Ale wczoraj... ja...

Widziała, że się płacze, wyraźnie zdenerwowany. Wyglądał jak siedem nieszczęść: wysoki, barczysty, umięśniony mężczyzna wbity w śmiesznie kolorowy staroświecki strój, z wyrazem twarzy nieszczęśliwego psiaka – w jednej chwili wyciszył jej emocje.

Poczuła, że cokolwiek Gérard zamierza powiedzieć, ona nie chce, by czuł się z tym tak źle jak w tej chwili.

„Czy to jego wina, że pochodzimy z dwóch różnych krajów i pewnie zupełnie inaczej odczytaliśmy swoje intencje? – pomyślała ze smutkiem. – Do tego jeszcze ta Jola i jej teorie. Jest kochana, ale to, że jakaś kobieta zwyczajnie podoba się mężczyźnie, nie znaczy, że chodzi o coś poważnego. To moja wina, że nie szukam zabawy, tylko czegoś na serio – westchnęła w duchu. – I do wszystkiego podchodzę serio”.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Spokojnie, Gérardzie. Jeśli będziesz się tak denerwował, to nigdy nie zrozumieć, co chcesz mi powiedzieć. Co ty właściwie ostatnio czytasz? Dalej Sienkiewicza? Bo styl jakby ci się zmienił – dodała, by rozładować napięcie.

– Nie, Aleksander pożyczył mi coś, co *Nad Niemnem* się zwie. Piękna historia. I w ziemi pracują, i zasady mają, i poważnie do życia podchodzą.

– Orzeszkową czytasz? – Mężczyzna wyraźnie ją zaskoczył. – No tak, rozumiem. Spróbuj więc spokojnie i bez ozdobników wyjaśnić, czemu się nie odzywałeś. Nic wielkiego się oczywiście nie stało, ale sprawiłeś mi przykrość. Tak zwyczajnie – dorzuciła.

– Przepraszam. Myślałem, że widzieć mnie nie pragniesz. Żeś kim innym zajęta.

– Ja? – zdumiała się.

– Widziałem wczoraj, kiedyś z taksówki wysiadała. Czekałem na ciebie za rogiem. Ale ty nie sama przybyłaś. Mężczyzna z tobą był, do bagaży się zabrał, z panią Elizą przyjaźnie rozmawiał. Strapienie na mnie w jednej chwili spadło.

Ewa patrzyła na niego, nic nie pojmując.

– O czym ty mówisz? Jaki mężczyzna...? Sławek?

– Polak, tak. Przybyliście razem.

– Przecież to mój kolega z firmy. Pracuje dla Elizy na zlecenie, jak ja latem. A poza tym on ma żonę w Polsce.

– Dziś i mnie to wiadomo. – Uśmiechnął się nieco odważniej, przybierając znany Ewie wyraz twarzy. – Pani Sophie mi dobre wieści pod kaplicą przekazała. – Przynął się bliżej. – Ale wczoraj myślałem, że wy razem na wesele przybyliście. Tak za dłoń go wzięłaś i spojrzałaś dziwnie, żem odszedł jak niepyszny. Bo nijak mężczyźnie z uczuciami niechcianymi narzucać się.

– Za dłoń...? Ach, wtedy! – Ewa nagle przypomniała sobie, że faktycznie ścisnęła dłoń Sławka, aby go powstrzymać przed komentowaniem sprawy jej soczewek. – O matko kochana! Coś ty sobie umyślił? To nic nie znaczyło.

Gérard uśmiechał się już w typowy dla siebie zawadiacki sposób. Nieznacznie przysunął się jeszcze bliżej, wyjął jej z rąk bukiet, odłożył i objął Ewę ramieniem.

– Teraz dopiero widzę w twoich oczach, że nic to było – mruknął niskim głosem.

– Co ty robisz? – bąknęła.

– Posłuchaj, co ci rzeknę. Choć zasady nieco staroświeckie mnie przez życie wiedą, to w świecie współczesnym żyję i na nogach twardo stoję. Własnymi rękoma i głową do wszystkiego w życiu doszedłem. Tylko tak już na mnie dziwnie przypadło, że uczciwość i szczerść to dla mnie bardzo ważna rzecz. Teatrów, dąsów i udawań kobiecych nijak znieść nie mogę. Więc jeśli kiedyś coś się zmieni między nami, wystarczy, że słowo rzekniesz, a ja wolę twoją uszanuję.

Ewa poczuła, że robi się jej gorąco, a w uszach zaczyna pulsować krew. Znajomy zapach jego wody kolońskiej uderzył ją nagle ze zdwojoną siłą.

„Takich facetów nie ma. Uważaj, bo znowu wdepniesz!” – szeptał jej do ucha jakiś chochlik.

Zaczęła się więc nieporadnie wykręcać z jego uścisku.

– Gérard, opamiętaj się. Chętnie bliżej cię poznam, ale... w tych warunkach jakaś poważna znajomość to... no rozumiesz... ja w Polsce, ty tutaj. Mam plany zawodowe, ty masz świetną pracę. Związki na odległość się nie udają.

Starła się odsunąć od niego, by złapać oddech, ale choć ramiona mężczyzny oplatały ją delikatnie, to nie ustąpiły nawet o milimetr.

– Plotkom posłuch dajesz? – szepnął, wachając dyskretnie jej włosy. – Blisko czy daleko, moje serce do ciebie już należy. Dla takiej kobiety, która duszę niezwykłą ma i temperament, i serce szczerze na dłoni, choćby i z głową w chmurach chodziła, a czasem i po pysku sprąła, kiedy jest za co... dla takiej kobiety nawet ojczyznę można zmienić.

– Co ty mówisz? Nigdy więcej nie żartuj sobie z takich rzeczy!

– Ja nie żartuję. Czyż w twojej Polsce nie ma ogrodów starych do odnowienia? A uratować ogród od śmierci i ziemię od ugoru to moja pasja jest i sercu radość daje. I może kiedy czas przyjdzie, własną firmę założę, która ratować będzie ogrody. Więc to nie figle są jakoweś, ja poważnie... filtruję z tobą.

Ewa roześmiała się cicho, przymykając oczy.

– Chciałeś powiedzieć – flirtuję.

– Słowo się rzekło, choć język połamany.

– Gérard?

– Tak, Ewciu?

– Może byśmy jednak na powietrze troszkę wyszli, bo coś tu oddech tracę –

wyszeptała, czując, że jego wąsy łaskoczą ją po policzku.

– Hmm... Może i wyszlibyśmy, jeno nie rzekłaś jeszcze, co z nami. A chciałbym być tym powietrzem i oddechem, i piaskiem gorącym pod twoimi stopami... Jeśli pozwolenie mi dasz... – mruczał prosto w jej bujnie ufryzowane włosy, tuląc ją do siebie coraz śmieiej.

Serce Ewy biło już w tempie alarmowym, gdy nagle ponad ramieniem Gérarda złowiła spojrzenie Flory.

„A więc to twoja sprawka! – pomyślała. – Myślisz, że wyglądamy równie banalnie jak Eliza i Pierre? Nic nie szkodzi. Ty też byłaś zakochana i dla swojej miłości zmieniłaś ojczyznę. Na pewno pamiętasz, że te banały są cudowne i niech trwają wiecznie!”

Nie myśląc już o niczym, poddała się uściskowi Gérarda i poczuła na ustach jego ciepłe wargi. Kiedy odzyskała oddech, zobaczyła w jego oczach czystą radość i odrobinę niedowierzania.

– Lepiej już chodźmy, będą mnie szukać, jestem druhną – wyszeptała mu zalotnie do ucha, niemal stając na palcach.

– Jako zechcesz, moja piękna. Ale najpierw do kuchni pójdziemy, bo ty głodna, Ewciu, być musisz.

A ona uświadomiła sobie, że po prostu nie mogła nie zakochać się w tym facecie.

„Bohatyrowicz czy Wołodyjowski, w zasadzie wszystko mi jedno” – pomyślała wesoło.

Objęci ruszyli przez korytarz. Nagle jakiś błysk światła przyciągnął jej uwagę. Przystanęła.

– Ewciu? – Gérard poczuł, że kobieta zadrżała.

Podążył za jej wzrokiem. Wpatrywała się w obraz przedstawiający dziewczynę w fioletowej sukni.

– Na co patrzysz?

– Jej wisiorek... – szepnęła. – Błysnął. Widziałeś? – Zmrużyła oczy, by dojrzeć namalowany złoty krzyżyk na szyi sportretowanej dziedziczki.

– Cóż za dziwny pomysł? To jeno obraz.

– Coś mi przypomina ten jej krzyżyk... Ale nie wiem co.

– Chodźmy – szepnął jej do ucha, łaskocząc wąsami. – Niepotrzebne nam te wszystkie oczy – zażartował.

– Racja, czekają na mnie. – Otrząsnęła się z dziwnego wrażenia.

Gdy zbiegali na dół, podjęła błyskawiczną decyzję.

„O nie, Floro! – protestowała w duchu. – Żadnych więcej zagadek, żadnych szeptów



w mojej głowie! Nie mam na to ani czasu, ani ochoty. Ja też zasługuję na swoje pięć minut szczęścia. – Z błogim uśmiechem wyszła na słoneczny dziedziniec. – Zresztą twoimi bliźniaczkami musi się zająć Aleks. Nie odbiorę mu tej satysfakcji. A to znaczy, że mam kilka lat spokoju i proszę to uszanować, bo chyba będę tu częściej przyjeżdżała”.

– Poszukamy młodej pary czy chcesz się posilić? – spytał Gérard.

– Przejdźmy się po parku. Lubię to miejsce.

Kiedy przystanęli za jednym z szerokich drzew, bez żadnych wyrzutów sumienia pozwoliła się znowu pocałować. Zupełnie przestało ją obchodzić, czy ktoś się temu przygląda.

Dopiero po długiej chwili przypomniała sobie o bukietcie frezji, który został na stoliku pod portretem Flory.

„Wyślę po niego pokojówkę – postanowiła w duchu. – Na razie dość wycieczek do galerii. Ja zajmę się Eugenią, a Aleks bliźniaczkami. Tak będzie sprawiedliwie”.

Niespodziewanie lekki powiew wiatru przyniósł ze sobą zapach róż. Ewa rozejrzała się – przechodzili właśnie obok różanego ogrodu Gérarda.

„Ej, chcesz mi powiedzieć, że twoje i tak na wierzchu, Floro? – Otoczona męskim ramieniem Ewa uśmiechnęła się do swoich myśli. – Mój pierwszy sen w tym domu, o różach... Uważasz, że to ty wybrałaś dla mnie Gérarda? Być może. Ale to my podejmiemy decyzję o naszej przyszłości, nie ty”.

– O czym myślisz, Ewuniu?

– O pewnej kobiecie, której mimo wszystko muszę podziękować – odparła. – Pomogła mi zrozumieć wiele spraw. Zresztą, nie ona jedna.

– Spójrz, robią sobie zdjęcia. – Wskazał. – Dla potomnych.

W oddali między drzewami stała grupka gości, fotograf i przytulona do siebie młoda para.

---

[114] Wybacz mi (fr.).

# Epilog

Mężczyzna pogłaskał dziecko po jasnej główce.

– A co to, papo?

– To pamiątka, synku, cenna pamiątka. Strzeż jej, jakobyś największego skarbu pilnował. Kiedyś przed laty to należało do twojej siostry, której nie dane ci było poznać. Bóg Wszechmocny zbyt szybko zabrał ją ode mnie. Ukarał mnie, że wole Jęgo złamał i posłuszeństwo rodzinie wypowiedział.

– Miałem siostrę?

– Tak, lecz umarła. Kiedyś istniały dwa takie, jednakże o tym opowiem ci, gdy dorośniesz. Strzeż go dobrze.

Dziecko z poważną miną otworzyło zaciśniętą piąstkę. Na małej rączce błyszczał złoty krzyżyk z łańcuszkiem przewleczonym przez kółeczko o kwiatowym ornamencie.

K O N I E C

# KONSTANCJA I JAN





